

**LIN HAIRE-SARGEAN**

**Powrót Heatcliffa**

Przełożył: GRZEGORZ SIWEK

Rodzicom  
Elizabeth S. Haire  
i  
Ahahowi Chambersowi Haire  
oraz córce  
Sage Anett Green  
z wyrazami miłości

**1**

*Trzeciego stycznia 1844 roku.*

List napisany sześćdziesiąt lat temu przez człowieka nieżyjącego od lat czterdziestu! Nie wyobrażałam sobie, że właśnie ów list, a nie tęsknota za panem Hegerem, zaprzątnie mój umysł i wyobraźnię podczas podróży do domu w pierwszych dniach nowego roku.

Pracując jako nauczycielka na pensji Hegera, zbierałam pieniądze z myślą o jej właścicielu i tylko o nim. Jedyne on uśmiechał się do mnie i pozdrawiał przyjaźnie; inni stronili ode mnie, czekając jakby, aż zniknę im z oczu i zamknę się w swym maleńkim pokoju. Zarówno wykładowcy, jak i wychowankowie zachowywali się tak, jak wyrachowana madame Heger — odgradzali się ode mnie ścianą lodowatego milczenia. Lody topniały na krótko, gdy mój jedyny przyjaciel, pan Heger, zaszczycał mnie uprzejmym słowem. Madame była zazdrosna, madame pragnęła pozbyć się mnie — Angielki... madame zawsze osiągała swój cel.

Zakochałam się. Obiektem moich uczuć był żonaty mężczyzna. Teraz to nieistotne. Pożegnałam się z nim, prawdopodobnie na zawsze, bez okazywania wzruszeń, bez jednego choćby czułego słowa. Byłam jego uczennicą, a on moim mistrzem (nauczył mnie tak wiele). Nie pozwalaliśmy sobie na wzajemne wyznania czy zwierzenia. I pomimo głębokiego uczucia, jakim go darzyłam, mimo wspomnień, które wryły się w mą pamięć, byłam niczym wysuszony kwiat: spokojna, zrównoważona, powściągająca drżenie warg. Ja — jeśli wierzyć metryce — młoda kobieta, pozostawiłam w Brukseli zdruzgotane nadzieje i wzruszenia.

Do rodzinnego domu wracałam pełna udręku. Czułam, jak żelazna obręcz ściska mi gardło, czułam, że muszę ją zerwać, by się nie udusić. Cierpiałam jednak na samą myśl, iż będę musiała to uczynić. Gdybym wyznała prawdę swoim bliskim, wprawiłabym ich w oszołomienie. Zniszczyłabym wyobrażenia o sobie jako cichej, niewinnej istocie.

Mogłam liczyć na współczucie obu siostr. Były tolerancyjne i szczerze mi oddane, nie mogły jednak i nie powinny zaakceptować mego wyboru — miłości do żonatego mężczyzny. Nie, nie wolno mi było z nikim dzielić się troskami, musiałam znosić je samotnie, nie bacząc na ich brzemię. Czułam się jak pielgrzym porzucający swą prymitywną chatkę, by błąkać się po bez-

drożach surowych gór.

Pierwszego dnia nowego roku opuściłam ukochanego i znalazłam się w Antwerpii. Wkrótce potem postawiłam stopę na angielskiej ziemi. Kazałam się zawieźć zatłoczonymi ulicami Londynu wprost na dworzec, na którym stał już pociąg do Leeds. Dwa lata temu widziałam Londyn po raz pierwszy; sprawił na mnie wrażenie falującej, hałaśliwej, pełnej życia rzeki i tu właśnie poczułam wówczas, że żyję — minione dni zdawały się cichym snem. Teraz przemierzałam londyńskie aleje jak lunatyczka. Przeszłam przez wielki i opustoszały budynek dworca i zajęłam miejsce w wagonie. Starłam się nie zwracać na nic uwagi. W umyśle pielęgnowałam obraz swego mistrza — człowieka, którego utraciłam. Pragnęłam, by nic nie zmąciło jego jasnego wizerunku.

Mój mistrz! Ileż czci i miłości było zaklęte w tych słowach! Ja, dumna Angielka, zwracałam się do pana Hegera, śmiertelnika, „mój mistrzu”, gdyż wymagał tego europejski obyczaj. On, na przemian żwawy, srogi albo wesoły, posiadał niezwykłą umiejętność dzielenia się z innymi swą wiedzą. Tym zaskarbił sobie mój szacunek. Czemu jednak zakochałam się w nim?... Och, nie, nie chodziło wcale o energię i żywotność, za które podziwiał go tak wielu. Pan Heger miał pewną unikalną i niezwykle cenną cechę — umiał mnie ożywić. Przy innych milczałam, byłam sztywna i posępna — i sądzę, że wszyscy mnie za taką uważali — w jego obecności jednak czułam, stawałam się elokwentna, swobodna i bystra. Czyż mogłam nazywać go inaczej niż mistrzem? Zastanawiałam się, czy na długo zachowam w sercu jego niezmacony obraz. Nie pozostała mi po nim inna pamiątka. Większość wspomnień traci z czasem swą ostrość...

Zaczęłam rozglądać się po przedziale. Pociąg ruszył gwałtownie i to otrzeźwiło mnie nieco. Za oknem przesuwał się pogrążony w półmroku świat: stalowe szyny, semafony, rzadkie płatki śniegu... Lokomotywa stopniowo nabierała rozpędu.

Nie byłam sama. Naprzeciw mnie, obok drzwi, siedziała starsza, siwowłosa kobieta. Dziergała na drutach, bezwiednie poruszając przy tym podbródkiem. (Chyba właśnie rytm jej podbródka, wtórujący stukotowi kół pociągu, wytrącił mnie z zadumy.) Potem przeniosłam wzrok na szpakowatego, wąsatego dżentelmena. Miał na sobie drogę, żałobne odzienie. Cichutko

usiadł przy oknie, dłonie w szarych rękawiczkach oparł na główce laski. Nie spuszczał oczu z punktu znikającego gdzieś w oddali, za szybą.

Najwyraźniej stan jego ducha przypominał ten, którego doświadczałam sama. Być może bezwiednie uśmiechnęłam się, widząc, że innych również trawia czarne myśli: w każdym razie nie dostrzegł tego grymasu, zapatrzony w coś za oknem. Wcześniej, kiedy wszedł do przedziału, wymieniliśmy grzeczne ukłony.

— Gdyby miały panie życzenie zasłonić okno — odezwał się, zdecydowawszy przerwać milczenie — proszę o tym powiedzieć.

Uśmiechnęłam się i zaprzeczyłam. Starsza dama odpowiedziała marszczeniem czoła i jeszcze szybszym przebieraniem drutami. Dżentelmen skłonił się i znów pograżył w rozmyślaniach, a ja, de bacząc na swój zły nastrój, dalej ukradkiem go obserwowałam.

Miał około sześćdziesięciu lat, jasną, zdrową cerę. Był szczupły niewysoki. W jego zmarszczkach kryło się coś paradoksalnie młodzieńczego. Na obliczu malowała się uprzejmość, życzliwość, inteligencja, a kształt podbródka i ust sugerował, że człowiek w zdradza skłonność do zadumy, przesadną dbałość o siebie, niedostatek życiowej energii. Pomyślałam, że mój współpasażer należy do ludzi, którzy podporządkowują się nakazom prawa, mając na względzie głównie własne dobro. Jakże ta dobrotliwa warz różniła się od innej, pełnej życia i humoru twarzy mężczyzny, który pozostał po tamtej stronie kanału La Manche!

Moje konstatacje przerwało nagłe wejście konduktora, który poprosił o bilety. Sprawdził mój, a także należący do dżentelmena

zwrócił je bez komentarza. Natomiast długo i badawczo przyglądał się biletowi naszej towarzyszki podróży. Ta jednak de raczyła zauważyć zmieszania konduktora. Zarówno ja, jak

nieznajomy z uwagą obserwowaliśmy całą scenę z owym fatalistycznym przecuciem znanym wszystkim podróżującym pesymistom, że oto kolej — ta ogromna, bezduszna instytucja — znajduje zadowolenie w czynieniu nieprzyjemności zwykłym ludziom. Konduktor odezwał się po dłuższej chwili ciszy:

— Ma pani bilet do Ipswich.

— Naturalnie, młody człowieku. Istotnie wybieram się do Ipswich! — stwierdziła dama tonem najwyższego zdegustowania, przestając pracować drutami i ruszać podbródkiem.

— Tym pociągiem nie dostanie się pani do Ipswich. Jedziemy do Rugby, Derby i do Leeds.

Zacna niewiasta posłała mu piorunujące spojrzenie.

— Jest pan impertynentem. Powinnam złożyć skargę. To pociąg do Ipswich.

Konduktor wzruszył ramionami.

— Jak pani sobie życzy, madame. Ale za pięć minut zatrzymamy się w Luton. Jeśli wysiądzie tam pani i przejdzie przez peron, zdoła pani wrócić do Londynu i zdążyć jeszcze na pociąg do Ipswich.

Następnie ruszył ku dalszym przedziałom.

Matrona, przekonana o swej nieomyślności, spokojnie wróciła do robótki. Wymieniliśmy z dżentelmenem raczej niespokojne spojrzenia. Zrozumieliśmy, że jeżeli szybko czegoś nie przedsięwziemy, będziemy świadkami zenującego wybuchu wściekłości.

— Proszę mi wybaczyć, droga pani — powiedział mężczyzna. — Dla jej dobra jestem zmuszony coś wyjaśnić. Ten pociąg w rzeczy samej jedzie do Leeds. To miasto stanowi cel mojej podróży.

(W ten oto sposób okazało się, że przyjdzie nam spędzić razem w przedziale kilka godzin.)

Kobieta odłożyła robótkę i zerknęła na dżentelmena znad okularów.

— Ależ ja jadę do Ipswich.

— Tym niemniej znajdujemy się w nocnym pociągu do Leeds. Przytaknęłam, potwierdzając tę informację. Dama, wciąż patrząc uważnie, stwierdziła z głębokim sceptycyzmem:

— Muszę zobaczyć, co też mu państwo pokazali. Posłusznie sięgnęliśmy po bilety. Spieszyliśmy się, ponieważ

pociąg zwalniał już przed przystankiem w Luton. Konduktor położył mój bilet na górnej półeczce, wstałam więc, by go wziąć i wówczas zsunęła się książka, którą trzymałam na kolanach. Spadła na podłogę. Książka bardzo dla mnie cenna — dostałam ją w prezencie w Brukseli — schyliłam się więc po nią. Mężczyzna uczynił dokładnie to samo.

Zderzyliśmy się głowami. Mnie spadły z nosa okulary, a on upuścił laskę. Jednocześnie przycisnęliśmy dłonie do stłuczonych czoł.

Ból nie miał znaczenia. W normalnych okolicznościach ów wstrząs nie wywarłby na mnie większego wrażenia (ponieważ roześmiałałabym się), ale tym razem lekkie uderzenie przepełniło we mnie czarę goryczy.

Rozpłakałam się — i nie potrafiłam powstrzymać strumieni ;z, choć próbowałam, jak mogłam. Mężczyzna nie okazał bólu, y nie pogarszać sytuacji. Jednakże przeprosiny, czy też słowa współczucia, na jakie się zdobył, sprawiły, że szlochałam jeszcze głośniejsze. Od tak dawna nie spotkałam się ze zwyczajną ludzką życzliwością, że owe dobre słowa sprawiły mi raczej przykrość iż ulgę.

— Wystraszyłem się nie na żarty... — powiedział w końcu, wachlując mnie chusteczką. — Bałem się, że coś się pani stało. Wezwę pomoc. Może wśród obsługi pociągu znajduje się jakaś kobieta...

— Nie... nie! — gdyby mieli patrzeć na mnie jeszcze inni idzie, wówczas z pewnością nie zdołałabym powstrzymać łez. Kiedy udało mi się odzyskać panowanie nad sobą, rozumiałam, jak nierozsądnie się zachowuję. I choć dziwnym trafem pozbyłam się części dręczącego mnie przygnębienia, w głębi duszy czułam, że zrobiłam z siebie żalosne widowisko. Wylałam oczy. — Nie chodzi o tego guza, naprawdę. Nie mogę wyjawic powodu mego płaczu. Przepraszam, to było niemądre.

— Mądre czy niemądre, w każdym razie pomogło w jednym.

— W czym? — spytałam, odgarniając włosy z czoła i zakładając okulary.

Bez słowa skinął głową w stronę drugiego końca przedziału. tył pusty. Dama, być może z powodu mego płaczu, zrezygnowała z naszego towarzysstwa i wyniosła się, zabierając swoje rzeczy.

Uśmiechnęłam się. Dżentelmen podjął ośmielony:

— Przysłużyła się jej pani.

Wskazał przez okno stojącego teraz wagonu na peron, gdzie starsza kobieta, smagana mroźnym wiatrem, dreptała za bagażowym w kierunku pociągu do Londynu.

— Wbrew swemu uporowi, a za pani sprawą, zdoła dotrzeć im, gdzie



planowała.

— Jest pan zbyt łaskawy, sir.

— Bynajmniej. Dostrzegłem pani strapienie. Coś panią dręczy, tyć może przeżyła pani jakąś stratę. Nie... proszę się nie łopotać wyjaśnieniami — pokręcił stanowczo głową. — Ośmielę się przypuścić, że wszystko rozumiem — gestem wskazał swój żałobny ubiór. — Zbyt często doświadczałem kaprysów złego losu, by nie rozpoznać oznak nieszczęścia u innych. Pozwoli pani, że się przedstawię. Wspólne cierpienia zbliżają ludzi. Nazywam się Charles Lockwood. Na ogół mieszkam w Londynie.

— Charlotte Bronte, z Yorkshire. Córka wielbego Patryka Bronte.

Teraz rozmowa potoczyła się wartko. Wymieniliśmy uwagi na tematy, które w owych dniach zajmowały chyba wszystkich podróżnych: szybkość i wygoda poruszania się pociągami w porównaniu z jazdą powozem; niebezpieczeństwa czyhające na pasażerów, zmiany w angielskim pejzażu poczynione przez budowniczych kolei; rozwój myśli naukowej i jej wpływ na lokalne zwyczaje, nawet w najodleglejszych zakątkach kraju.

Pomocnik konduktora wszedł do przedziału, żeby zapalić lampy naftowe.

— W nocy czeka nas zamieć — rzekł i oddalił się. Istotnie, pogoda pogorszyła się znacznie w ciągu ostatniego

kwadransa. W smudze żółtawego światła bijącego z okien pociągu kłębiły się masy gęstniejącego śniegu. Przez chwilę patrzyłam jak zahipnotyzowana na ten niezwykle taniec wirujących płatków. Przywodził na myśl daremność wysiłków, pustkę... Odwróciłam się od okna.

— Pani pozwoli... — pan Lockwood zaciągnął zasłony. W przedziale zrobiło się jaśniej i przytulniej. — Chłód i mrok zanadto przypominają mój nastrój tego wieczora. Przywołują wspomnienie czegoś, o czym starałem się zapomnieć przez wiele lat.

Musiałam wyglądać na zaskoczoną tym wyznaniem, gdyż ciągnął dalej:

— Proszę darować, panno Bronte, jeśli zabrzmiało to zbyt dramatycznie. Przypomina mi się szereg wypadków naznaczonych siłą zła; wypadków, których skutki, miast maleć, stają się czasami coraz bardziej dotkliwie. Pani, na szczęście, jest zbyt młoda, żeby coś o tym wiedzieć. I trzeba modlić się do Wszechmogącego, aby nigdy się pani nie dowiedziała.

Być może wspólny pobyt w tym bezpiecznym, jasnym i ciepłym prze-

dziale pędzącego pociągu, spowitego ciemnością i przeraźliwym chłodem, dał nam złudzenie, że znamy się dobrze i to od dawna. A może stało się tak za sprawą niefortunnego zderzenia naszych głów, od którego wszystko się zaczęło. Tylko tak mogę wytłumaczyć swą zuchwałość w zadawaniu pytań i gotowość mego towarzysza podróży do udzielania na nie odpowiedzi. W każdym razie, zamiast skwitować jego dziwne, tajemnicze oświadczenie skinieniem głowy, jak tego wymagały nakazy grzeczności, odezwałam się, nie kryjąc ciekawości:

— Cóż wydarzyło się dawno temu i wciąż wpływa na pańskie ycie, panie Lockwood?

Przez chwilę patrzył w bok nieobecny wzrokiem i odrzekł:

— Zastanawiam się, jak zrozumiałe, a jednak zgodnie z prawdą, dpowiedzieć na pani pytanie, panno Bronte. Najprościej chyba tak: wszystkie kłopoty zaczęły się od przypadkowego spotkania człowiekiem, którego nazywano Heathcliffem. Oniemiałam ze zdumienia.

— Czy słyszała już pani to nazwisko? — zapytał równie zaskoczony Lockwood.

— Owszem. Czy Heathcliff, o którym pan wspomniał, nie pochodzi przypadkiem z okolic miasteczka Gimmerton?

— Tak. Wychował się w posiadłości zwanej Wichrowymi Wzgórzami, nie opodal Gimmertonu. Tam właśnie jadę. Lecz Heathcliffa nie ma wśród żywych od lat.

— Proszę mi wybaczyć, ale niepodobna, byśmy mówili o tym samym człowieku — powiedziałam. — Heathcliff, o którym słyszałam, żyje lub żył jeszcze przed rokiem.

— Osobliwa historia! Przecież to tak niepospolite nazwisko, jak mogło żyć dwóch Heathcliff ów w Gimmertonie? W jakich okolicznościach usłyszała pani o nim?

Odpowiedziałam na to pytanie wymijająco. Nie chciałam roztrząsać tej kwestii, nim nie uporządkuję swych myśli.

— Niektórzy ludzie z Gimmertonu najmują się do pracy lub ta służbę w Haworth, gdzie mój ojciec jest wikarym. Być może nazwisko Heathcliff pojawiło się w kościelnych księgach.

Wówczas pan Lockwood zdumiał się głośno nad zbiegiem okoliczności,

który kazał nam spotkać się dziś w jednym przedziale. Okazało się, że mamy kilku wspólnych znajomych, pamiętał kościół mego ojca, spacerował po ścieżkach, którymi tak często przechadzałam się razem z siostrami. Zdołałam uspokoić wzburzony z nagła umysł i podjęłam wcześniejszy wątek.

— Jak pan poznał owego tajemniczego Heathcliffa? — zapytałam.

— Wynająłem od niego dom na rok — powiedział pan Lockwood. — Heathcliff był poważnym i zamożnym dżentelmenem. Największym właścicielem w okolicy.

— W takim razie to istotnie nieprawdopodobne, by chodziło o tę samą osobę, gdyż Heathcliff, o którym słyszałam, był włóczęgą z wrzosowisk, prawie dzikim człowiekiem.

— Zdumiewam się coraz bardziej. Pani słowa doskonale opisują Heathcliffa z lat jego młodości! — wykrzyknął pan Lockwood. — Zaczynał jako parobek i dorastał razem z córką Earnshawa, która była jego przybraną siostrą i towarzyszką dziecięcych zabaw. Czy o niej słyszała pani także? Odpowiedź wołałam zachować dla siebie.

— Rodzina Earnshawów od dawna zamieszkiwała tę okolicę. Mówił pan jednak, że Heathcliff pracował na farmie... W jakim sposób przedzierzgnął się w bogacza?

Pan Lockwood uśmiechnął się.

— Spodziewałem się tego pytania. Posiadam dokument napisany ręką Heathcliffa, który jasno rozstrzyga tę zagadkę.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął pakunek zaadresowany, jak dostrzegłam, na jego nazwisko. Dziwne, przesyłka owinięta była w papier, który zaczęto sprzedawać dopiero niedawno. A przecież siedzący naprzeciw mnie człowiek utrzymywał, że nadawca nie żyje od wielu lat!

— Wnoszę, że napisał do pana dawno temu — zaryzykowałam.

— Istotnie, dawno. Jakieś sześćdziesiąt lat temu, kiedy był jeszcze młody i dopiero dochodził do swej fortuny... lecz nie napisał tego listu do mnie!

— A więc jak wszedł pan w jego posiadanie?

— Przed paroma dniami przysłał mi go ktoś trzeci. Wstrzymałam oddech i słuchałam dalej, nie chcąc już przerywać.

— List ten przeznaczony był dla tej samej panny Earnshaw, Katarzyny czy Katy, jak zwykł ją nazywać, z którą się wychowywał. Uciekł od niej,

gdyż pewni ludzie z jej otoczenia dali mu się we znaki. Starszy brat Katy uczynił zeń niemal niewolnika, ot co. Napisał ten list parę lal po swym wyjeździe, by wyjaśnić ukochanej, jak wiele zdoła-osiągnąć w czasie, kiedy przebywał daleko od niej. Prosi: ją o rękę.

— Czy wyraziła zgodę? — dopytywałam się.

— Nie. Nigdy nie otrzymała tego listu. Nie miała pojęcia gdzie podziewa się jej przybrany brat. Wyszła za innego mężczyznę, choć nadal kochała Heathcliffa.

— Jaka smutna historia.

— Nadzwyczaj smutna. Ta tragedia wycisnęła piętno m losach wielu ludzi. Mimo to trudno stwierdzić z całą pewnością czy sprawy potoczyłyby się pomyślnie, gdyby kochankowi zostali małżonkami.

Teraz po prostu nie mogłam przytaknąć panu Lockwoodowi

— Czy uważa pan, że ludzie, którzy się bardzo kochają, ni powinni być z sobą?

— Zazwyczaj powinni, ale to nie był przypadek... Ni potrafię odpowiedzieć.

Pokręcił głową, gładząc palcami przesyłkę owiniętą w brunatny apier.

— Czemu jednak list nie dotarł do Katarzyny Earnshaw? jak znalazł się w pańskich rękach?

— Odpowiedź na oba pytania znajdzie pani tutaj — otworzył akunek i wyjął zeń dwa rękopisy. Jeden z nich był wielostronicowym, grubym plikiem pożółkłych kartek zapisanych kanciastymi literami, drugi, mniejszy, wypełniały chwiejne linijki słów naniesionych dłonią starszej, lecz nawykłej do pióra osoby, pan Lockwood wziął ten drugi. — Proszę przeczytać ten list. znalazłem go przed dwoma dniami, gdy dostałem tę paczkę. Napisała go pani Dean, gospodyni w posiadłości, którą wydzierżawiłem od Heathcliffa. Tak się składa, iż to właśnie ona dostarczyła mi najwięcej wiadomości o tym człowieku. List wyjaśni wszystko lepiej.

Podał mi kilka kartek.

*Gimmerton 26 grudnia 1843 roku*

*Drogi Panie Lockwood,*

*Żywię nadzieję, że jeszcze mnie Pan pamięta. Nazywam się Ellen Dean, byłam gospodynią w Drozdowym Gnieździe w czasach, gdy Pan dzierżawił tę posiadłość. Jakieś czterdzieści lat temu był Pan łaskaw opisać historię pewnej rodziny, zwłaszcza spraw dotyczących pana Heathcliffa, człowieka, którego również pracowałam. W każdym razie, ja wciąż pamiętam Pana i Pańskie dobre usposobienie. Pomyślałam, że wciąż mogą interesować Pana losy ludzi, których Pan poznał.*

*Przypomina Pan sobie zapewne, że pan Heathcliff zniknął pewnego dnia. Mówiłam, że nikt nie wiedział, co się z nim działo przez te trzy lata i jak zdobył majątek. To nieprawda. Ja wiem*

*Wiedziałam to, o czym nie mieli pojęcia inni. Odkryłam wszystko czytając pismo, które obecnie przesyłam Panu.*

*Oto długi list pana Heathcliffa do mej ówczesnej chlebodawczyni, Katarzyny Earnshaw, matki mojej obecnej pani. Przez prawie sześćdziesiąt lat, a więc tak długo, jak trwa niejedno ludzkie życie, ukrywałam go na dnie swego pudełka z nićmi, każdego dnia przez te sześćdziesiąt lat zastanawiałam się, czy dobrze czynię, trzymając go z dala od ludzkich oczu.*

*Panie Lockwood, ja ukradłam ten list. Pewnego pogodnego poranka, na dzień przed zaślubinami panny Katarzyny z paniczem Lintonem, dostarczył go młody foryś. Pamiętam, że panna Katarzyna pojechała na kilka godzin do Drozdowego Gniazda, by spotkać się ze swym pięknym Edgarem, jak go nazywała, a ja prasowałam w domu jej ślubną suknię i rozmyślałam o minionych dniach. Wtem usłyszałam za sobą głos: „Proszę, panienko, pan Heathcliff oczekuje na odpowiedź” i ręka chłopca wręczyła mi kopertę. Zupełnie jakby oznajmił, że diabeł wyrósł spod ziemi!*

*Heathcliff nie dawał znaku życia przez trzy lata i byłam już całkiem pewna, że panienka Katarzyna przestała o nim marzyć, że zupełnie o nim zapomniała. Dałam więc chłopcu pomarańczę, którą miałam w kieszeni fartucha, i kazałam mu czekać. Poszłam z listem do sąsiedniego pokoju, złamałam pieczęć i przebiegłam wzrokiem treść. Zapewniam Pana, że potem czytałam go jeszcze wiele razy i płakałam — chociaż Heathcliff nie zrozumiałby tych łez i z pewnością nie podziękowałby mi za nie!*

*Teraz jestem już stara i — jak mówi doktor Kenneth — złożona ostatnią*

*boleścią. Ciągłe zastanawiam się nad swym życiem. Myślę, że zawsze czyniłam jak najlepiej, przynajmniej najlepiej jak umiałam. To jedno nie przestaje mnie jednak dręczyć. Wahalam się, czy nie wyznać wszystkiego pani Katy, ale odkąd owdowiała, nie brak jej własnych kłopotów. Jak zapewne Pan wie, poślubiła swego kuzyna, Herentona Earnshawa. W ten sposób powróciła do panieńskiego nazwiska matki i objęła rodzinny majątek. Małżeństwo było udane i trwało wiele lat. W tym większym pogrążyła się smutku, kiedy została sama.*

*Długo rozmyślałam, nim postanowiłam napisać Panu o szalbierstwie, jakiego dokonałam. Proszę o wyrozumiałość. Dzięki Pańskiej pomocy zdołam się rozliczyć ze swoją przeszłością, zanim stanę przed obliczem Stwórcy. Proszę, aby przeczytał Par to, co napisał Heathcliff, i szczerze odpowiedział, co zrobiłby Pan na moim miejscu.*

*Ellen Dean*

Podniosłam wzrok znad kartki.

— Jedzie pan właśnie do niej?

— Tak. Chcę ją zobaczyć, może już ostatni raz, i uspokoić je sumienie.

— To bardzo wspaniałomyślne. Pańskie postępowania przynosi panu zaszczyt, sir. Przemierzyć tyle mil-w czasie takie zawieruchy, by spotkać osobę, której nie widział pan of dziesiątków lat... Naprawdę godne podziwu.

— Muszę to zrobić. Proszę nie wychwalać mnie bardziej, niż na to zasługuję. Skłoniły mnie do tej decyzji różnorakie powody

I tylko jednym z nich są ciepłe uczucia w stosunku do kobiety, która służyła mi całym sercem w nieszczęsnym okresie mego życia.

Milczałam, choć mnóstwo pytań cisnęło mi się na usta. Pan Lockwood przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

— Panno Bronte, coś w pani łagodnej twarzy mówi mi, że potrafi pani wydać sprawiedliwy osąd.

Pochlebstwo nie przypadło mi do gustu, lecz kiwnęłam głową, pan Lockwood kontynuował:

— Pani ujmująca fizjonomia powoduje, iż mam czelność oprosić ją o przysługę... jeśli znajdzie pani w sobie siły, by nie odmawiać.

— Z chęcią spełnię pańską prośbę, skoro obdarza mnie pan zaufaniem. Czego pan ode mnie oczekuje?

— Proszę to przeczytać, panno Bronte — wskazał na drugi list, list Heathcliffa. — Zdaje sobie sprawę, że rękopis jest bardzo długi, a pani utrudzona podróżą i być może niechętna zgłębianiu kłopotów kogoś, kogo nie ma już wśród żywych, limo wszystko, proszę.

— Przeczytanie owego listu sprawi mi przyjemność, gdyż uspokoi moją ciekawość. A jednak nie pojmuję, czemu to dla pana takie ważne?

— To proste. Żywię nadzieję, że potrafi pani rozwikłać problem, który nie daje mi spokoju: jak nie urazić żyjących, oddając jednocześnie sprawiedliwość tym, którzy odeszli. W istocie wyświadczy pani przysługę, o którą Nelly prosi mnie. Przeczytać osądzić...

Pociąg zakołysał się nagle, zasłonki w oknach poruszyły się gwałtownie. Podskoczyliśmy i zaśmialiśmy się z powodu tego niespodziewanego płąsu. Myślę, że oboje byliśmy radzi, iż nie jesteśmy wystawieni na wiatr i śnieg, które szalały na zewnątrz. Do przedziału wszedł młody człowiek z kocami i ocieplaczami a stopy. Przyjęliśmy je z wdzięcznością, gdyż chłód dawał się nam coraz bardziej we znaki. Kiedy usadowiliśmy się wygodnie, an Lockwood wskazał na list i powiedział:

— Pani się waha...

— Wprost przeciwnie. Będę czytać z rozkoszą! Wyciągnęłam rękę, lecz on nie cofnął swej dłoni znad kartek,

Jakby próbował się ze mną droczyć.

— Przyznam, że zapomniałem o czymś panią ostrzec. Ten list zawiera słowa i opisy, które mogą wydać się młodej damie niestosowne...

— Panie Lockwood. Chociaż jestem córką duchownego, to wiele czytałam. Co więcej, przez ostatnie dwa lata mieszkałam w Brukseli. Niełatwo mnie zaszokować.

— A jednak bez trudu mógłbym streścić tę opowieść. Tym bardziej, że uważne jej przeczytanie zajmie pani całą noc. Tak długo pisał ten list Heathcliff. Powinna pani poznać tylko te fragmenty, w których...

Uniosłam dłoń.

— Och nie, proszę. Pragnę przeczytać wszystko. Naturalnie, jestem zmęczona, ale żadną miarą nie potrafię spać podczas podróży. Wolę zapoznać się

z każdym słowem listu, niż daremnie domyślać się tego, czego się nie do-  
wiem.

(Albo też tęsknie wspominać pana Hegera z Brukseli, dopowiedziałam  
sobie.)

— Zanim zacznę, chciałabym jednak powtórzyć pewne pytanie, chociaż  
może się to wydać niegrzeczne. Co powoduje, że postać Heathcliffa jeszcze  
dziś nie daje panu spokoju?

— Odpowiem, aczkolwiek moje słowa mogą panią wstrząsnąć. Dawno  
temu, pewnej mroźnej nocy, podobnej do dzisiejszej, zatrzymałem się na  
Wichrowych Wzgórzach. Heathcliff przyjął mnie chętnie. I właśnie tam, to  
przysypiając, to budząc się znowu, ujrzałem zjawę. Po tym zdarzeniu choro-  
wałem przez kilka tygodni, nie mogłem dojść do siebie. Wspomnienie owego  
spotkania czy też przywidzenia (nie dbałem o to, czy ludzie mi uwierzą)  
prześladowało mnie przez wiele lat.

Skinęłam głową.

— Czy poznał pan zjawę?

— To był duch Katarzyny Earnshaw.

— Dziękuję. Tyle chciałam wiedzieć.

Wręczył mi rękopis. Gdy dotknęłam kartek, poczułam lekki dreszcz bie-  
gnący przez palce ku ramieniu. Usiadłam bliżej lampy i zaczęłam czytać. Pan  
Lockwood oparł kark na podglówku jakby zamierzał spać, ale spod przy-  
mkniętych powiek baczył w moje postępy w lekturze listu. Starłam się nie  
zdradzić, jak bardzo zaintrygował mnie ten manuskrypt — stronicę kryjące  
tajemnicę Heathcliffa mogły po części dotyczyć także mojego życia

## 2.

*Gimmerton*

*10 kwietnia 1784*

To ja, Heathcliff. Wracam do Ciebie. Piszę te słowa, siedząc swym poko-



ju, nie dalej niż dwie mile od miejsca, gdzie teraz sypiasz. Jutro będę oczekiwał w powozie — w mym własnym powozie — na drodze wiodącej do Peninstońskich Turni na jedno Twoje słowo. Jedno słowo i zrobię wszystko, by wyrwać Cię z komnat na Wzgórzach. Jedno słowo i znajdę się u Twego oku. Jedno słowo i zapomnimy o tym pijaku i tyranie Hindleyu wszystkich innych, którzy chcieli oddzielić nas od siebie.

Najpierw jednak musisz przeczytać opis moich losów. Wówczas - zrozumiesz, dlaczego odszedłem, co trzymało mnie z dala od Ciebie przez trzy długie lata i czemu dopiero teraz mogę ratować nas oboje. Musisz poznać moją tajemnicę, musisz dowiedzieć się o wszystkim. Nie mogą nas dzielić żadne nieporozumienia, nie może dziać się tak, jak podczas tamtych ostatnich miesięcy na Wzgórzach, kiedy niechący skrzywdziłaś mnie, a ja, zraniony, odtrąciłem Ciebie. Opowiem Ci o wszystkim - nawet jeśli masz odczuć ból, czytając niektóre fragmenty. I ja, pisząc je, cierpiałem.

Tak więc nie pomiń niczego, nie odwracaj oczu od tego listu, błagam Cię o to, choć czuję udrękę z powodu każdej chwili, która oddala nasze spotkanie i połączenie. A jednak proszę, byś przeczytała wszystko.

Mam po temu powody, wkrótce sama je pojmiesz. Katy, stałem ę dżentelmenem... za sprawą kaprysów koła fortuny i dzięki własnej wytrwałości. Zdołałem gruntowną wiedzę o świecie i nauczyłem się dobrych manier. Posiadam majątek, który wystarczy nam do końca naszych dni. Już nigdy nie przyniosę Ci wstydu. Mam nawet nazwisko. Wolnego, muszę wyjaśnić Ci wszystko po kolei. Kiedy zrozumiesz, już nic nas nie rozdzieli. Czytaj tedy, wiedząc, że czekam na Ciebie i miotam się między rozkoszą a śmiertelnym przerażeniem, gdyż nie wiem, co przyniosą następne godziny.

Z pewnością pamiętasz noc, kiedy opuściłem Wichrowe Wzgórze. Prześladowania, jakie spotykały mnie ze strona Hindleya, stały się nieznosne, lecz trwałem tam ze względu na Ciebie. Ty przedkładałaś jednak towarzystwo Edgara Lintona nad moje. Czara goryczy przepelniała się, gdy usłyszałem Twe słowa:

— Upodli mnie małżeństwo z Heathcliffem.

(Nawet pisząc to, czuję, jak płoną mi policzki.)

Nie chciałaś małżeństwa ze mną! Choć moje dzieciństwo nit było podobne do Twego, to jednak byliśmy sobie tak bliscy... nic nie mogło nas rozdzie-

lić. Tylko bluźnierca mógłby term. zaprzeczyć. Ale to właśnie Ty zaprzeczyłaś! Sam słyszałem! Nit próbowałem poznać powodów, dla których to uczyniłaś Uciekłem, popędziłem wrzosowiskami ku Peninstońskim Turniom.

Zanosilo się na burzę. Ciężkie, czarne chmury zasłoniły niebo przepuszczając tylko pojedyncze, jasne promienie słońca Wrzosowiska tonęły w poświacie, nie wiedziałem, dlaczego ziemia lśni jaśniej niż sklepienie niebios. Tak, nic już nie było normalne.

Kim byłem? Zrozumiałem to wówczas. Chłopcem od pługą pomywaczem z kuchni, nieszczęśnikiem — czułem upokorzenie lecz nie potrafiłem znaleźć słów, by je opisać. Powtarzałaś to tal często — mówiłaś, że nie umiem porozmawiać tak jak panowie tak pięknie i gładko.

Upokorzenia, jakich doznałem od Hindleya, były niczym Znacznie gorszy był fakt, iż nie mogłem równać się z Edgarem Lintonem. Jego coraz częstsze wizyty sprawiały, że rzadziej Cię widywałem. Czemu jednak miałabyś woleć moje towarzystwo. Oczarowała Cię jego jasna, pogodna twarz, wesołe słowa wdzięk, z jakim się poruszał. A ja byłem jak chmury tamtego wieczora: ciężki, niezdamny i ponury. Ja — bełkoczący gbur prostak — i on, zawsze nieskazitelnym Edgar. I wtedy właśnie poznałem smak prawdziwego bólu.

Wiatr dął coraz mocniej. Wyobrażałem sobie, jak topi Edgara w moczarach (tych samych, które zawsze omijaliśmy podczas wspólnych przechadzek), skręcam jego delikatny kark widzę strach w jego oczach! Lecz stałem tam samotnie, głupi, ubogi, uwalany błotem. Wrzasnąłem, chcąc przekrzykując zawrodozenie wichru. Jak mogłem pozbyć się plugastwa, którym byłem napiętnowany? Jakże miałem stać się wolnym człowiekiem? W czym powinienem pokładać nadzieję?

Nie znalazłem żadnej odpowiedzi. Nadzieja? Nie, tylko instynktowna walka o przetrwanie. Nie miałem szans stać się kimś lepszym od Edgara Lintona. Mogłem tylko walczyć z nim zabić go.

Próbowałem uspokoić się i na chłodno rozważyć swe położenie. Uzmysłowiłem sobie, że muszę uwolnić się od jarzma narzuconego mi przez Hindleya, póki to jeszcze możliwe. Nie wiedziałem, gdzie pójść, lecz wiedziałem, że muszę odejść. W stodole ukryłem parę sztuk złota, które Hindley zgubił, gdy był kompletnie bijany, a które należały mi się za niewolniczą pracę. Musiałem wziąć je ze sobą i udać się tam, gdzie mógłbym dać upust

nienawiści i pomścić swe krzywdy.

Wróciłem do Wzgórz, gdy z chmur zaczęły spadać pierwsze krople ciepłego deszczu. Z ukrycia patrzyłem, jak stoisz bez -uchu przy murze i spojadasz w stronę Gimmertonu. (Wypatrywałaś mnie czy Edgara?) Błyskawice oświetlały Twą twarz; twarz, którą pragnąłem obsypać pocałunkami i jednocześnie przeklinałem. Czułem, że moje serce zmienia się w głąz. Wydobyłem złoto z kryjówki za pułapką, którą Józef zastawił na króliki. Wyrywałem pukiel włosów i rzuciłem go do wilgotnej jamy; przypuszczam, że wciąż tam jest. Uchyliłem wrota; burza wzmagala się coraz bardziej. W bladej poświacie błyskawic dojrzałem zarys Wzgórz i Twój cień przy murze. Wtedy to widziałem Cię po raz ostatni. Potem uciekłem.

Dokąd mogłem się udać? Nie znałem świata poza Gimmertonem.

Chciałem trwać w nieświadomości u Twego boku, lecz moje marzenia uleciały niczym wiatr wyjący między pniami jodeł. Wróciłem pamięcią do dnia, kiedy pierwszy raz, owinięty w płaszcz Twego ojca, zobaczyłem Wichrowe Wzgórze. Co działo się ze mną przedtem? Znalazłem w sobie obraz wielkiego miasta - rzeki, statki, roześmianych marynarzy, pamiętałem zbieranie skrawków chleba z podłogi w tawernie, twarze piratów, którzy rzucali złote monety w moje wyciągnięte błagalnie dłonie. Miasto olbrzymów... byłem przecież wtedy dzieckiem przemykającym pod nogami dorosłych. Przypomniałem sobie także, jak przez mgłę, komnatę z krzyżem na pobielonej ścianie, modlących się ludzi i podziemny tunel, z którego bił odór rzecznoego szlamu.

Te wyblakłe reminiscencje były wszystkim, co wiedziałem o okolicy, w której przyszedłem na świat. Nie wyskoczyłem przecież jak ropucha z rzecznoego mułu — miałem ojca i matkę, którzy mnie zrodzili. Może powinienem ich odnaleźć. Z opowiadań Nelly wynikało, że Twój ojciec znalazł mnie w Liwerpoolu. Tam też podążyłem.

Szedłem przez całą noc. Na moczarach zaskoczyła mnie burza. Trzykrotnie potykałem się i upadałem w zdradliwe bagno; trzy razy udawało mi się zeń wydostać. W końcu, zupełnie wyczerpany, straciłem przytomność — gdy przebudziłem się, czułem w ustach smak błota. O trzy cale od mej twarzy ujrzałem głowę upiora z pustymi oczodołami i szramą w miejscu ust. Było to zapewne ciało jakiejś ofiary Sasów, które za sprawą torfu przetrwało aż do

naszych niespokojnych czasów — Nelli opowiadała o podobnych wypadkach. Ja przestraszyłem się jednak, że to zjawa z piekła rodem. Tym razem strach uratował mi życie — znalazłem w sobie siły, dzięki którym wydostałem się z błota. Wypłułem z ust szlam i o brzasku ruszyłem do Gimmertonu. Tam skryłem się wśród słomy na wozie, którym dostarczano ser na targ w Manchesterze.

Mimo iż upadłem na duchu i byłem srodze utrudzony. z podnieceniem wpatrywałem się w gawieź na targowym rynku. Byłem poruszony widokiem kupujących i sprzedających. Choć wyglądałem na śmierzącego gnójem półgłówna zamieszkującego opuszczone szopy, obudził się we mnie odruch pańskiej dumy: zbeształem bogatego kupca ze złotym łańcuchem na brzuchu, który chciał rzucić mi monetę. Zdobędę majątek i będę gardził takimi jak on!

Zorientowałem się, że najlepiej dostać się do Liwropoolu kanałem. Chciałem, by człowiek spławiający barką wielkie zwoje sukna wziął mnie na pokład i zapytał, ile za to chce pieniędzy. Odepchnął mnie i oświadczył, że nie przewozi cygańskich złodziei. Kiedy tylko się odwrócił, uskoczyłem na bok i ukryłem się za stertą zwojów. Tkwiłem tam całe popołudnie, aż barka dobiła do nadbrzeża w Liwropoolu.

Wydostałem się z kryjówki po zmroku. (Rzecz jasna zabrudziłem błotem liczne tkaniny, płacąc w ten sposób przewoźnikowi za przysługę.) Nie zwracając na siebie uwagi, przeszedłem obok dokerów.

Przystanąłem. Mogłem się nieco rozejrzeć. Powietrze było gęste od mdlących, błotnistych wyziewów. Miałem wrażenie że również od smrodliwych oddechów pracujących tu ludzi. Spojrzałem na odpływającą barcę, która powoli zniknęła we mgle.

Ruszyłem po prostu przed siebie. Błąkałem się po krętych, wyboistych alejkach. Wciąż słyszałem ciche głosy i śmiechy, lecz nie widziałem nikogo. Czulem, że wciąż doskwierają mi pełne udręku wspomnienia.

Wówczas zauważyłem wielki, czarny kontur. Nie oświetlała 50 choćby jedna latarnia. Zatrzymałem się i wyteżyłem wzrok. Stałem obok wysokiego muru, za którym kołysało się coś wolna — drzewa, jak się domyśliłem, poruszane leniwymi podmuchami wiatru. Byłem pewny, iż za tym murem znajduje się duży budynek.

Zacząłem iść wzdłuż muru, który zakręcał w kierunku rzeki, slaraz, tknięty nagłym przecuciem, przykleknąłem i obiema rękami zacząłem przeczesywać zarośla przy ziemi. Nie znalazłem niczego.

W końcu dojrzałem przed sobą migocące światło. W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu słyszę przytłumione krzyki, przypominające ryki dzikich bestii. Gdzież się znalazłem? Może w którymś parku, pełnym niezwykłych zwierząt? Jak pamiętasz, Twój ojciec opowiadał nam, że do Liwerpoolu zawijają statki z zachodnich Indii i Afryki, które przywożą rozmaite osobliwości, między innymi fantastyczne stwory. Być może ten mur otaczał menażerię jakiegoś bogacza? jeśli tak, to czemu to miejsce wydało mi się znajome?

Ruszyłem ku drodze, którą rozświetlały jedynie pochodnie przejeżdżających powozów. Wzrok mój przywykł do ciemności. La otwartą bramą, do której się właśnie zbliżyłem, dostrzegłem budynek, który już kiedyś musiałem widzieć. Potężny, symetryczny gmach z wąskimi, smukłymi oknami. Poczulem strach albo uniesienie, sam nie wiedziałem co. Fantazje przeważały nad rozsądkiem: a jeśli to moja rezydencja, może byłem synem akiegoś lorda? Wówczas bez trudu zatryumfowałbym nad niezbyt zamożnym ziemianinem, jakim był Edgar Linton.

Przy bramie stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, w liberii, uzbrojony w pikę, trzymał latarnię, która oświetlała džentelmena, najwyraźniej próbującego zasięgnąć jakichś informacji. Postanowiłem zachować się podobnie. Zbliżyłem się do nich czekałem, aż przestaną ze sobą rozmawiać. Musiałem się dowiedzieć, co to za dom.

Człowiek w liberii skierował pikę w moim kierunku, jakby chciał mnie nią pchnąć, jednak džentelmen powstrzymał go.

— Hola, przyjacielu — rzekł. — Bardzo chciałbym usłyszeć, o cóż ten chochoł czy upiór pragnie zapytać ludzi. Toż to zjawia w rzeczy samej. Zobacz! W tym ubraniu musiano pochować go bardzo dawno temu.

Spojrzałem na siebie i naraz zdałem sobie sprawę, jakże głupio musiałem wyglądać w tych brudnych łachach pośród schludnych ulic wielkiego miasta.

— Spójrz na mnie, niech no zobaczą twój twarz, chłopcze — powiedział džentelmen. Wtedy omal nie rzuciłem się do ucieczki, lecz on, jakby czując moje zamiary, powstrzymał mnie ruchem laski. — Powiedz, co cię

trapi.

Chciałem połamać mu laskę i wepchnąć te wielkopańskie słowa na powrót w jego gardło (mógłbym tego dokonać — był krzepki, jednak ja byłem wyższy i mocniejszy), ale powstrzyma! mnie niezłomny zamiar znalezienia odpowiedzi na pytanie, które nie dawało mi spokoju.

— To moja sprawa.

— Przekonamy się o tym. Mów.

Zdecydowałem, że zignoruję jego obcesowość. Spojrzałem na wartownika.

— Do kogo należy ten dom?

Szlachcic ruchem laski rozkazał odpowiedzieć służącemu w liberii.

— Należy do Kościoła.

— Ale to nie jest kościół. Ów wybuchnął śmiechem.

— Nie pomyliłeś się.

— W takim razie któż tam zamieszkuje?

W tejże chwili w budynku rozległ się przerażający wrzask Wartownik zaśmiał się ponownie.

— Zdaje się, że twoi bracia.

Oszołomiony wrażeniami i głodem (nie miałem niczego w ustach, odkąd zjadłem na targu bułkę za pensa) wyobraziłem sobie nagle swych rodzonych braci, czekających na mnie z otwartymi ramionami, gotowych przyjąć mnie, zbłąkaną owcę na powrót do rodziny. Wtem dżentelmen, wiedziony odruchem który — jak się później przekonałem — był dlań charakterystyczna wyrwał latarnię z ręki wartownika i podniósł ją do mej twarzy

— Co za piękny okaz, sir! Zupełnie jak ci w środku; gest brwi i dzikie oczy. Jakież on wściekły! Trzeba go skrepować, sir Ręczę, że jest niebezpieczny!

Szlachcic wpatrywał mi się w oczy w świetle latarni. Jego oblicze miało dziwny wyraz. Powoli zapytał:

— Chłopcze, czy jesteś z tego domu?

Coś w jego głosie sprawiło, iż milczałem. Przysunął latarnię jeszcze bliżej, czułem żar płomienia.

— Mów!

— Co to za miejsce? — spytałem. Odpowiedział mi wartownik:

— To dom dla obłąkanych pod wezwaniem świętego Michała, chłopcze. Żyją tu najwięksi szaleńcy z całej Anglii.

Upadłem. Zupełnie jakby ktoś z wielką mocą uderzył mnie w pierś. Szlachcic rzucił się, aby mnie schwycić, jego laska i latarnia upadły na ziemię. Wyrwałem mu się jednak i zacząłem uciekać. Nie zastanawiałem się nawet dokąd.

Obłąkani! Oto skąd pochodziłem. Okrutna dłoń przewrotnego losu przywiodła mnie tutaj i z żelazną mocą dławiała oddech w mym gardle. Zdało mi się, że już sobie przypominam — zamglony obraz okazywał się straszliwą prawdą. Pokój o bielonych ścianach był celą w domu wariatów; tunel — drogą ucieczki szaleńca gnanego paralizującym strachem; wrzaski i razy — demonami chorego dziecka. Dziecka odciętego od świata, dziecka, w którym nawet teraz nie rozpoznawano człowieka, którego nadal się lękano. Nic dziwnego, że omijano mnie z dala i że nawet Ty, Katy, odwróciłaś się ode mnie i wybrałaś jasną twarz Lintona.

Wydawało mi się, że biegnę pustymi ulicami, szerszymi niż te, które widywałem dotąd. Ulicami, przy których stały duże domy, otoczone ogrodami pełnymi spokoju. Nie widziałem i nie słyszałem żywej duszy. Towarzyszył mi tylko stukot mych butów uderzających o bruk. Z trudem chwytałem oddech.

Nie mogłem biec dalej. Nawet obłąkani muszą odpoczywać. Wszedłem do najciemniejszego ogrodu i zwałem się na trawę pod drzewem. Postanowiłem, że zasnę, szalony czy przy zdrowych zmysłach, mając nadzieję, iż za dnia łatwiej będzie mi myśleć o sobie i swej przeszłości.

I tam, we śnie, ujrzałem Ciebie, Katy, jednak — czując naraz rozkosz i rozpacz — taką, jakiej nigdy nie widziałem. Usta tamtej Katy pokrywała zakrzepła krew, jej oczy płonęły i przesywały mnie spojrzeniem pełnym wściekłości i wyrzutu. Jej zakrwawione wargi nie poruszały się, lecz słyszałem jakby z oddali, zza gęstwiny dzikiego ostu, Twój — tak drogi mi — głos, dręczący mnie tymi dziwnymi, strasznymi słowami:

Gdy odchodziłeś, stałam obok muru dławiona strumieniami gorących łez. Odszedłeś i wiedziałam, że nie wrócisz. Kiedy minął deszcz, mgła nad bagnami uformowała nasze sylwetki. Twój mglisty obraz skinął mi dwornie i pozostawił samą. Uwierz mi, pragnę Cię. Uwierz, chcę mieć tylko Ciebie.

Przebacz mi, Heathcliffie. Zrobiło mi się słabo. Mgła owinęła Cię z powrotem, ty jednak byłeś uparty. Nelly mówiła, że wszystko się tak skończy. Całe moje życie legło w gruzach. Mgła przesłoniła moje oczy. Upadłam pod murem w spływające błoto. Przeciekało mi między palcami, zimne, takie zimne... Chłodne jak ziemia na cmentarzu, pomyślałam. Oto moja przyszłość. Grób.

I wtedy powrócisz. Usłyszę odgłos Twych butów depczących trawę i będę wiła się pod ziemią. Wówczas przystaniesz i przeczytasz napis na kamiennym nagrobku. Będą Cię ogrzewać promienie słońca, będziesz oddychać świeżym powietrzem, zagwizdziesz jakąś piękną melodię i odejdziesz...

Nie, mój chłopcze. Na tym się nie skończy. Odrzucę śmiertelne odrętwienie. Przebiję się przez cmentarne bioto, choćby nawet było zimne i twarde jak tafła lodu. Uczepię się korzeni drzew, choćby miały poszarpać martwe ciało. Żadna moc, żywa czy nadprzyrodzona, nie zdoła mnie powstrzymać.

Moje palce rozgrzebią cmentarną ziemię na mym grobie i uniosę się ku niebu. Zakołyszą się kwiaty przynoszone tu przez żywych. Tak, dostrzeżesz to, lecz się nie poruszysz. Nie zdołasz. Będziesz mój. Tu, ze mną.

Potem głos ucichł i znikły gorejące oczy. Lecz jeśli to były naprawdę Twoje słowa, Katy, jeśli to nie był sen, lecz wizja, jakie miewają święci albo potępieńcy, znak wysłańców piekieł dla człowieka błakającego się po świecie — wtedy, ma najdroższa, pośpiesz do mnie w tej minucie i w objęciach uczymy echo tamtego koszmaru.

Świeżość powietrza przywróciła mi świadomość, nie otwierałem jednak oczu. Tęskniłem okrutnie do Ciebie, Katy, tęskniłem za Wzgórzami. Pomyślałem, że jeśli o poranku nie znajdę Cię przy sobie, zacznę krzyczeć. Przed oczami - wciąż miałem to, co zdarzyło się w ciągu ostatnich godzin. Czuję się tak, jakbym opuszczając Ciebie popełnił wielką zbrodnię — największą krzywdę — jaką tylko mogłem Ci uczynić — przecież nie mógłbym Cię ani zranić, ani zdradzić, ani zabić. Nic nie było w stanie zniszczyć związku naszych dusz. Jakaż jednak była moja dusza? Czy kryły się w niej tylko szalone urojenia? Ty sama, Katy, mogłaś być zjawą w długim śnie obłąkanego, wizją na ścianie bielonej wapnem celi. Być może nigdy nie opuściłem domu waria-



tów — i teraz też nie leżałem na świeżej trawie, lecz na zgniłej słomie w izolatce, skuty łańcuchem, majaczący i tylko mój umysł błędził po nierealnym świecie.

— On płacze.

Te słowa musiał wypowiedzieć ktoś stojący blisko mnie. Otworzyłem oczy. Dostrzegłem ciemny kształt na tle wschodzącego słońca. Rozpoznałem w nim szlachcica, który wypytywał mnie minionej nocy. Przykucnął nie dalej jak trzy stopy ode mnie i oparł podbródek na kolanie. Mogłem powalić go jednym ciosem, jego widok zdał mi się jednak owocem mej chorej fantazji. Nie poruszyłem się więc.

— Kim pan jest? — zapytałem.

— Mówi — zdumiał się człowiek — i to ludzkim głosem, tak różnym od wrzasków, które wydawał z siebie przez sen.

### 3.

— Co panu do moich snów?

Usiadłem, by przyjrzeć się lepiej zjawie, jeśli ów człowiek w istocie był duchem.

— O, porusza się — stwierdził. — Jest mocnej budowy, lecz trzęsie się z zimna... to przynajmniej świadczy o jego ludzkiej naturze. Proszę, chłopcze, ogrzej się — odwiązał pasek długiego płaszcza, którym był otulony, i zarzucił mi go na plecy. Strząsnąłem płaszcz z siebie.

— Kimże pan jest? — powtórzyłem mocniejszym głosem. — Dowiem się tego.

Zaśmiał się.

— Spokojnie, mój dzielny rycerzu! Owszem, dowiedz się. Nazywam się Are.

— Jak pan mnie tu znalazł?

— Szedłem za tobą. Tropienie cię nie było trudne. Parskałeś i wrzeszczałeś jak opętany.

— I siedział pan tu przez całą noc?

— Tak.

— Dlaczego?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, taka wściekła istota jak ty mogła być groźna dla szacownych mieszkańców tej dzielnicy.

— A druga przyczyna?

— Potrzebny mi służący. Chcę cię nająć.

Nie widziałem niedorzeczności tej propozycji. Byłem zbyt oszołomiony, by rozumować logicznie. Uderzyło mnie za to dziwaczne zachowanie tego człowieka. Przejaśniało się i dostrzegłem, iż on także drży; podobnie jak ja był mokry od rosy. Jego jasne spodnie przemokły na kolanach od klęczenia przy mnie na wilgotnej trawie. Może to nie ja byłem szalony, lecz pan Are.

— Ach, panie H., marszczy pan czoło i sądzi, iż ja dziwnie się zachowuję. W istocie, jestem osobliwym człowiekiem i istotnie miewam dziwaczne fantazje. Teraz życzę sobie zatrudnić cię u siebie. Cóż ty na to?

— Czemu powiedział pan do mnie: H.?

Milcząc wskazała na moją pierś. Moja dłoń machinalnie powędrowała w ślad za jego palcem. Na sercu miałem medalion, który podarowałaś mi w dniu mych czternastych urodzin, medalion z wrytym napisem „Od K. dla H., 1779” i kamieniem z wizerunkiem dwóch skowronków. Musiał rozpiąć mą koszulę i odczytać inskrypcję. Chwyciłem się za kieszeń, w której trzymałem pieniądze.

— Och, ten diabeł podejrzewa, iż jestem złodziejem! Nie martw się, nie ruszyłem twego złota. Nie możesz ganić mnie za to, że chciałem dowiedzieć się, kogo biorę na służbę. Czy to złoto zdobyłeś uczciwie?

— Należy do mnie.

— Przebiegła odpowiedź, ale dajmy temu pokój. Co potrafisz, panie H.? Ejże, chłopcze, nie spoglądaj tak srogo, pytałem, co umiesz robić? Jak dotychczas zarabiałeś na chleb?

— Pracowałem w polu od świtu do zmroku i zajmowałem się stajnią. Byłem nieokrzesanym, służebnym parobkiem.

— A jednak nie wysławiasz się jak nieokrzesany parobek. Ukrywasz jakąś tajemnicę. Potrafisz czytać?

— Tak.

Wyjął z kieszeni książkę i podał mi ją. Bardzo dobrze: otworzyłem ją na chybił trafił i przeczytałem:

Serce strumieniem światła tego przeszyte

Nie jest już jałową ziemią

Rozsiewa słodką woń łaski

Tam gdzie czaiły się węże.

Dusza, niegdyś posepna prowincja

Królestwa szatana,

Czuje...

Pan Are uniósł dłoń.

— Wystarczy. Nie czytasz pięknie, mimo to poprawnie. Kto cię nauczył?

— Wikary, w domu gdzie służyłem.

— Najęto wikarego, by uczył forysia? Nie chce mi się wierzyć. Zbyłem tę uwagę milczeniem. Nie miałem zamiaru opowiadać o sobie nieznanemu.

— A owa „K”? Kimże była, mój uczoney H.? Służącą, z którą romansowałeś pośród zagonów kapusty? Rozkwitającą młódką, której kradł całusy chłopak od pluga? Ach, nie, zapewne pomywaczką. Stać ją było na to, by kupić ci ten łańcuch, jest przecie złoty. A może lubieżną wdową, płacącą młodzieńcom za rozkosze?

Uniosłem się i uderzyłem pana Are. Upadł na trawę.

— Ona tyleż przewyższa pana duchem, wrażliwością i delikatnością, ile ja siłą. Jeżeli jeszcze raz wspomni pan o niej, zetrę ten uśmiech z pańskiej twarzy.

Pan Are potrzebował dłuższej chwili, żeby dojść do siebie, a potem ryknął, nie wiem czy z rozbawienia, czy ze złości:

— Ha! Tak uczynisz, drogi H.? Coś w twym dzikim spojrzeniu przekonuje mnie, iż nie łżesz. Zobaczmy, zobaczmy...

Byłem prawie gotów dokończyć dzieła i na zawsze pozbawić tego człowieka błogosławieństwa oddechu. Dostrzegłem jednak, że jego rozbawienie jest tylko maską. Głos załamał mu się i niemal przeszedł w szloch. Wstałem.

— Stój! — tym razem szloch zmienił się w śmiech. — Czy nie znasz się na żartach, człowieku? Pozwoliłem sobie tylko pożartować z ciebie.

— Ze mnie nie można kpić. Odwróciłem się.

— Tak... to prawda — odezwał się. — Nie można kpić sobie z H. Nie wolno stroić sobie z niego żartów. Nie zrozumie dowcipu i nie stać go na ciętą ripostę. Nie, nie... fraszki z nim kończą się krwią i łzami. Ach... odwróciłeś się. Wykrzywiłeś wargi, zacisnąłeś pięści i znów chcesz mnie pokarać za zuchwałość! Cóż, nikt rozumny nie zaprzeczy, iż brak ci siły, by to zrobić. A już z pewnością nie ja. Siedzę tu, na mokrej ziemi, ogłuszony twym poprzednim ciosem, zeszytniały z zimna i wilgoci... w ciągu pół minuty możesz pogruchotać mi wszystkie kości. Może jednak pomógłbyś mi wstać? Wtedy udamy się do mej gospody (gdzie, jak wnoszę, mój niewyspany służący wciąż na mnie czeka), wysuszymy się przy kominku, napijemy się kawy, posilimy się chlebem i mięsem i porozmawiamy o interesach.

Wyciągnął ku mnie rękę. Chciałem ją odtrącić i rozstać się z tym niesympatycznym osobnikiem, puszczając w niepamięć jego głupią propozycję, mój żołądek domagał się jednakże czegoś innego. Cóż zaszkodzi przyjąć jego zaproszenie na śniadanie?

— Poradzi pan sobie sam — rzekłem, krzyżując ramiona na piersi. — Ale pójdę z panem.

Pan Are westchnął sarkastycznie i podniósł się z wysiłkiem.

— Oto i podzięka. Niechże tak będzie. Sam wyciągnę cierni i zaliżę ranę.

Dziewczyna, która otworzyła drzwi gospody, krzyknęła i cofnęła się na mój widok. Gdy jednak poznała pana Are'a, wpuściła nas do środka. Potem zakryła usta dłonią i uciekła.

— Ach, drogi panie H., przestraszyłeś ją pan. Robisz na ludziach niebywale wrażenie. Jesteś niczym ów król, który obracał w złoto wszystko, czego dotknął. Najpierw jednakowoż porozmawiamy o ważniejszych sprawach.

Strzelił palcami przy uchu człowieka drzemiącego w fotelu, najwyraźniej swego służącego. Kazał mu napalić w kominku oraz przygotować kawę i śniadanie dla dwóch osób.

Pan Are ożywił się, kiedy tylko usiedliśmy przy ogniu.

— Doskonale, doskonale — powiedział, zacierając dłonie. — Ciepło wygoni wilgoć z naszych kości, czyż nie tak, H.?

— Proszę przestać nazywać mnie w ten sposób.

— Chętnie, skoro tylko podsuniesz inne rozwiązanie.

— Wołają na mnie Heathcliff.

Dżentelmen wydawał się wstrząśnięty tym, co posłyszał, w każdym razie zamilkł na jakieś dziesięć sekund, czyli na bardzo długo — jak na niego.

— Heathcliff... Heathcliff! Cóż za niespotykane, niecodzienne imię...  
Imię czy nazwisko?

— Służę za oba.

— Przypuszczam więc, że będę zmuszony się nim zadowolić. Sługa przyniósł kawę, pieczywo i mięso. Rzuciłem się na nie jak wilk.

— Spokojnie, panie... Heathcliff. Nikt ci tego nie odbierze. Czy jadłeś coś wczoraj, chłopcze?

Nie zwracałem uwagi na jego gadanie. Przeciwnie, odwróciłem się plecami do Jego Wysokości, by nie widział, jak pochłaniam chleb i mięso i nie czynił dalszych uwag. Usłyszałem, jak powtórnie strzela palcami.

— Johnie, czy widzisz tego chłopca?

— Widzę, sir.

— I co o nim sądzisz? Tylko szczerze, człowieku.

— Proszę mi wybaczyć, sir, ale on jest brudny!

— Brudny? Brudny? Zdziwiasz mnie! Brudny? Nigdy jeszcze nie widziałem kogoś równie nieskalanego... toż to chłopiec niczym lilia. Skoro jednak uznaleś, Johnie, iż jest brudny, to musimy go umyć. Wiem, że dobrze opiekujesz się swym chlebodawcą. Zajmij się więc tym wędrowcem, Johnie.

— Dlaczego, sir?

— Ponieważ życzę sobie tego. Chcę, byś doprowadził go do porządku. Kiedy tylko otworzą sklepy, musisz kupić mu nowe ubranie. Najporządniejsze, jakie uda ci się zdobyć. Najlepiej zaciągnij kredyt, spłacimy go we właściwym czasie. Kiedy wrócisz, przygotuj dla niego kadz gorącej wody z mydlinami i mieszaj ją przez kwadrans, póki się nie spieni. Zobaczysz, że po kąpieli ów stwór okaże się człowiekiem.

John spoglądał nań niepewnie. Wstałem i schowałem nieco chleba za koszulę.

— Niech się pan nie trudzi, panie Are — powiedziałem. — To zbyt ciężkie. Odchodzę i życzę dobrego dnia.

Skloniłem się ironicznie panu Are'owi, który rzucił Johnowi ostre spoj-

rzenie. Służący skoczył ku drzwiom i zamknął je. Pan Are wsunął dłoń do kieszeni i wyjął wypchaną sakiewkę.

— Usiądź, Heathcliffle. Skończmy z tymi bzdurami i pogadajmy jak ludzie. Szukasz zajęcia, a ja potrzebuję służącego. Powiedzmy, iż zapłacę ci złotem za to, byś czasem znosił moje wybryki... lub żarty, jak sam wolałbym je określić. Powiedz no, ile chciałbyś za rok pracy?

Zerknąłem na pełną sakiewkę. Uprzednio zauważyłem na podwórzcu wspaniałą powóz z nazwiskiem Are wymalowanym na drzwiczkach, a teraz moje uszy podrażnił brzęk złota. Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś tak bogatego; dotychczas szczytem elegancji wydawała mi się posiadłość Lintonów. Czy straciłbym, gdybym miał pracować dla kogoś znacznie bardziej zamożnego? Mógłbym się przekonać, czy potrafię ujarzmić tego dziwnego jegomościa. Czemu nie skorzystać z jego kaprysu? Chyba odpowiadało mu to, iż nie byłem zbyt służalczy, ale nie zamierzałem tego dociekać. W żadnym razie nie mogłem liczyć na nic lepszego. Ów człowiek wyglądał na ekscentryka daleko posuniętego w swych dziwactwach, lecz czy ja byłem normalny? Rozważywszy to wszystko doszedłem do przekonania, że powinienem trzymać się blisko niego. Oznajmiłem, iż chcę pięćdziesiąt funtów rocznie — dwukrotnie więcej, niż Hindley płacił Józefowi. Pan Are wybuchnął śmiechem.

— Ach, zachłanny Heathcliffle! Uważaj, byś nie zabił kury, która znosi złote jaja! Zmarszczyłeś czoło, spochmurniałeś... Widzę, że umiesz się targować. Lecz ja także, nie zwiedzisz mnie. Dojdźmy do porozumienia... podwoimy tę sumę. Sto funtów, zgadzasz się czy nie?

Przypuszczam, iż ze zdumienia opadła mi szczeka.

— Ha! Otwarłeś swą nienasyconą gębę, by mnie pożreć... Jestem jednak przebiegły i oszczędny. Odzywa się we mnie szkocka krew: nie można za nadto podbijać stawki. Co powiesz na dwieście funtów? Dwieście funtów i ani pensa więcej.'

Na to tylko roześmiałem się głośno. Panu Are'owi wydłużyła się twarz.

— Ach... widzę, iż w końcu pojąłeś, że rozmawiamy poważnie. Pojąłeś to jednak zbyt późno. Nie wytargujesz nic ponad dwieście pięćdziesiąt gwi-nei rocznie, nie licząc ubioru i utrzymania.

— A teraz, Heathcliffle, ciesz się ze swojej „straty”. Uściśnijmy sobie

dłonie i nie żyw do mnie urazy.

Wyciągnąłem rękę ku panu Are'owi. Za taką zapłatę zniosę jego żarty. Powiedziałem sobie jednak, że za zniewagi będzie musiał zapłacić dodatkowo.

## 4

Wyruszyliśmy powozem pana Are'a, tym samym, który widziałem przed zajazdem, ku jego wiejskiej posiadłości. Jego dom znajdował się jakieś siedemdziesiąt mil za Londynem. Oddalałem się coraz bardziej od Gimmertonu. Przedstaw sobie, Katy, me uczucia, uczucia, jakie miały mną podczas tej podróży — z każdą milą byłem coraz dalej od Ciebie; jednocześnie wiedziałem, iż każda godzina przybliży mnie do upragnionego celu — naszego połączenia na zawsze.

Nie zdążywszy się nawet zapoznać z moimi przyszłymi obowiązkami służącego, znalazłem się w powozie razem z panem Are. Taki obrót rzeczy najbardziej stropił Johna, który musiał załadować bagaże i zająć się powożeniem. Co chwila jego zaczerwieniona twarz zaglądała do wnętrza karety — John bez wątpienia obawiał się, iż oto ujrzy mnie chłepącego krew jego pana. Odpowiadałem na jego rozgorączkowany wzrok chłodnym spojrzeniem. Nie zamierzałem niczego uczynić panu Johna, obserwowałem go tylko, siedząc wygodnie. Pan Are drzemał naprzeciwnko, wyczerpany czuwaniem nade mną przez całą noc, i chrapał cicho.

Był średniego wzrostu, lecz krzepkiej budowy. Miał szeroką pierś i wąskie łądzwia, ciemne włosy i śniadą cerę. Jego twarz, zwykle surowa czy kąpiąco uśmiechnięta, teraz — gdy odpoczywał — zdawała się nieskończenie smutna. Spał bardzo niespokojnie. Podskoki powozu to wytręcały go z drzemki, to wprawiały w dziwny stan -raz krzyknął nieświadomie, chyba imię jakiejś kobiety, lecz nie zadałem sobie trudu, by się przysłuchiwać.

Miałem zamiar dowiedzieć się wszystkiego później, jeżeli cokolwiek rzeczywiście wzbudzi mą ciekawość.

Ubrał się jak dandys. Gdy ja siedziałem w kadzi pełnej gorącej wody, on wziął chłodną kąpiel, skropił się obficie perfumami, założył świeżą bieliznę i przyodział niezwykle strój — żółtą pelerynę i rękawiczki, zielonkawą kamizelkę, aksamitną szarfę. Całości dopełniała zdobiona złotem laska. I wcale nie dbał o swą drogą garderobę — gdy John przez nieuwagę ochlapał mu rękaw czerwonym winem, otarł go tylko haftowaną chusteczką, nie przestając nawet na chwilę rozmawiać ze mną.

Obserwowałem jego maniery — żarty, dowcipy, wyniosłe gesty — nie wiedziałem, czy starać się je naśladować, czy okazywać pogardę dla przesady. Miałem przecie stać się dżentelmenem i dlatego musiałem wzorować się na kimś szlachetnie urodzonym. Teraz przekonałem się, że szlachcice także chrapią i krzyczą przez sen. Czy zdołam przedzierzgnąć się w kogoś takiego jak pan Are? Moje instynkty buntowały się przeciw temu. Postanowiłem jednak bacznie przyglądać się wszystkiemu, rad, iż uśmiech losu nie przewrócił mi w głowie.

Choć na zewnątrz byłem spokojny, w środku kipiałem. Rozwahałem korzyści płynące ze spotkania z panem Are'em, nie mogłem jednak otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarły na mnie wypadki poprzedniego dnia. Cienie wspomnień, niejasnych reminiscencji z dzieciństwa, okazały się strzępami koszmarnej prawdy. Cóż takiego uczyniłem jako dziecko, że uwięziono mnie w domu dla wariatów? Czy tak dawno temu powodowały mną demony? Gdybym ubiegłej nocy wszedł do budynku za murem i zaczął o sobie opowiadać, natychmiast zamknięto by mnie w celi, z której uciekłem jako niedorostek. Pewnie znowu utraciłbym wolność, gdyby ktoś zgłębił tajemnicę mego pochodzenia, chociaż było to mało prawdopodobne, jako że ja sam tak niewiele wiedziałem o swej przeszłości. Mimo wszystko odsunąłem się od okna, kiedy przejeżdżaliśmy przez miasto.

Zmierzchało już, gdy dotarliśmy do posiadłości pana Are'a. Wszedłem za nim do wielkiego domu. Świat za frontowymi drzwiami mienił się ciepłymi barwami; w połyskliwym brązie misternej boazerii przeglądały się plamy światła połyskującego na wypolerowanych powierzchniach mebli. Schłodnie odziana starsza kobieta, zapewne gospodyni, wyszła do holu z bocznych



drzwi i skłoniła się grzecznie. Za nią pojawili się inni służący. Pan Are polecił Johnowi zaprowadzić mnie do sypialni na piętrze; ruszyłem za nim szerokimi schodami ku imponującej galerii.

W mrocznej komnacie John bez słowa wskazał na szeroki, ciemny kształt — łóżko. Słyszałem, jak na dole pan Are dudniącym głosem wydaje rozkazy służbie. Położyłem się i postanowiłem na razie nie dziękować za nic niebiosom ani nie przeklinać za nic piekieł. Na rozpacz przyjdzie czas w godzinie śmierci, teraz musiałem przygotować się, by stawić czoło życiu.

Obudził mnie zgrzyt poruszonej klamki. Przez chwilę sądziłem, iż to Józef przyszedł łąć mnie i sprawić mi cięgi, zaraz jednak uprzytomniłem sobie, że jestem z dala od ciężkich rąk Józefa. Niestety, równie daleko od pieśczot twych delikatnych dłoni. W pokoju nie było nikogo, na stoliku obok łóżka znajdował się jednak talerz z jadłem.

Posiliłem się, ubrałem i wyszedłem z sypialni. Nie usłyszałem ani nie dostrzegłem żywej duszy. Na galerię, przez olbrzymie okno nie opodał schodów, sączyło się światło dnia. Zobaczyłem szereg drzwi, bliźniaczo podobnych do tych, które wiodły do pokoju, gdzie spałem. Domyśliłem się, że to inne sypialnie. Zszedłem do holu.

Odwrociłem się gwałtownie, słysząc jakiś szelest. To otwarły się ciężkie, zdobione, dębowe, frontowe drzwi. Podbiegłem i wyjrzałem na zewnątrz, lecz nie spostrzegłem nikogo. Być może stworzył je podmuch wiatru. Nie mógł tego zrobić nikt z domowników. Gdzież podziła się służba?

Zajrzałem do wszystkich komnat, każda była wspaniała i pusta. Wysokie okna jadalni (sięgające prawie do sufitu) zakryte były purpurowymi, obrętionymi barwnymi frędzlami, zasłonami, które powiewały poruszone delikatnymi podmuchami porannego wiatru. Podobne purpurowe kapy kryły dwanaście foteli ustawionych przy długim stole. Dostrzegłem mnóstwo porcelanowych przedmiotów: wazy na kominku, barwne ozdoby na ścianach, pozawieszane na gwoździach półmiski. Zdjąłem jeden z nich i postawiłem na błyszczącym blacie stołu, lecz ześlizgnął się i spadł na podłogę. Część skorup wyrzuciłem przez okno, resztę upchałem po kieszeniach.

Salon, połączony z jadalnią, wyglądał podobnie. W jego wystroju przeważała jednak biel i ciemna czerwień. Tu także ktoś pootwierał okna. Słyszałem owady brzęczące wśród kwiatów w ogrodzie; wyjrzałem i zobaczyłem

dwa bure koty majestatycznie spacerujące po murze. Wciąż jednak nie widziałem żadnej ludzkiej istoty.

Przypominały mi się różne historie; Nelly opowiadała niegdyś o dzumie, która zdziesiątkowała ludność Anglii — wszyscy: piekarze, browarnicy, rolnicy padali tam, gdzie dopadła ich zaraza — a ci, co przetrwali, grzebali w ziemi ich rozkładające się zwłoki. Być może teraz w każdym łóżu w tym domu leżały zwłoki, być może wszyscy tu umarli i nikt nie przetrwał, by stanąć przed żywym — przede mną. Może tajemne siły przeniosły mnie w krainę czarów, gdzie bohater wędruje przez krainę skutą lodem, gdzie ludzie trwają — niczym rośliny wczesną wiosną — zamrożeni, lecz wciąż żywi, unieruchomieni na wieki — czekający na kogoś, kto zdejmie z nich piekielne zaklęcie.

Wiedziałem, że to baśń — rzeczywistość mogła być gorsza. Może ozwały się trąby zwiastujące koniec świata, jak przepowiadał Józef. Może w mgnieniu oka (w chwili, gdy obudziłem się w sypialni) zły los sprawił, iż pozostałem sam na ziemi podbitej przez zastępy szatana, legiony zrodzone z piekielnego ognia. Lub też (co zdało mi się najbardziej prawdopodobne) ja sam pogrążyłem się w obłędzie i opuszczone komnaty były tylko wytworem mej chorej wyobraźni. Pan Are mógł być tutaj i szydzić ze mnie, John mógł mnie karcić, kiedy ja, opętany, nie słyszałem ani nie widziałem żadnego z nich.

Zdecydowałem, iż sam siebie poddam próbie. Rzekłem sobie, że jeśli następny pokój, do którego zajrzę, okaże się pusty, podetnę sobie gardło. Podszedłem do najbliższych drzwi i otworzyłem je raptownie.

Usłyszałem skrzywienie. Ze zdumieniem ujrzałem gospozię czyszczącą miedzianą kratę kominka. Pobladła na mój widok. Krzyknąłem i pośpiesznie ruszyłem dalej.

A więc zwiodyły mnie własne fantazje. Odchyliłem kotarę i wyszedłem do ogrodu. Postrzegłem coś białego — ludzką nogę w pończosze, która zaraz zniknęła za płotem. Gdybym przyjrzał się baczniej, być może rozpoznałbym Johna stojącego nieruchomo wśród zarośli. Czy mnie obserwował?

Straciłem cierpliwość — ta zabawa przestała mi się podobać. Niechże szpieg ma o czym donosić. Podniosłem ze ścieżki kamyczek i cisnąłem go w stronę pustych doniczek ustawionych na murze. Koty rozbiegły się, szukając jakiegoś schronienia — lecz nie stało się nic ponadto. Przeklinałem się za to,

że dałem się wciągnąć w tę głupią grę. I wówczas przypomniałem sobie wspaniałe konie, zaprzężone wczoraj do powozu pana Are'a. Chciałem przyjrzeć się im dokładniej.

Nasłuchiwałem rżenia rumaków i udało mi się w końcu odnaleźć stajnię; znajdowała się za ścianą cierniowych krzewów, tak gęstych, iż nie mogłem się przez nie przedrzeć. Musiałem je obejść.

Stajnia była niemal tak wielka jak dom pana Are'a. Ogromne wrota stały rozwarte na oścież; mrok rozprasało światło wpadające przez dwa rzędy niewielkich okien. Zwierzęta poruszyły łbami, kiedy wszedłem do środka. Dzisiejszego poranka ktoś zdążył je już oporządzić, nakarmić i napoić, lecz — podobnie jak w domu — nie spostrzegłem tu nikogo. Miałem wrażenie, że konie stojące bliżej wejścia wyczuwają obecność jeszcze innego człowieka.

Pomyślałem ze złością, że wciąż jestem obiektem czyichś igraszek. Przeszedłem do spizarni, w której znajdowały się również wszelkie narzędzia służące do podkuwania koni, a ściany wprost uginały się pod wspaniałymi, hiszpańskimi siodłami. Wziąłem najlepsze z nich i zarzuciłem na grzbiet gniadej kłaczy, najdoskonalszego wierzchowca w stajni (może z wyjątkiem niespokojnego rumaka rżącego cicho w ostatnim boksie — błyszczące oczy świadczyły, iż w jego żyłach płynie gorąca krew). Jeszcze raz rozejrzałem się, czy nikt mnie nie obserwuje, wyprowadziłem kłacz ze stajni, dosiadłem jej i ruszyłem przed siebie. Teraz szpieg musiałby rzucić się za mną w pogoń.

Rozpędziłem wierzchowca na łące za budynkiem, przesadziłem kamienny płot i pogalopowałem ku wzgórzu porośniętemu jałowcem i dostojnymi dębami. Na jego szczycie ściągnąłem cugle. Otaczała mnie kraina tonąca w świeżej zieleni traw. Tylko na horyzoncie dojrzałem dymy wznoszące się nad miasteczkiem, które stanowiło tutejsze centrum targowe. Nieco bliżej leżała, wciśnięta pomiędzy dwa łagodne wzniesienia, mała wioska (zwana Hay, jak dowiedziałem się później), parę samotnych farm oraz jeden czy dwa dworki, równie imponujące jak posiadłość pana Are'a. Co za uroczy widok: żywopłoty, zagajniki i łąki — jakże odmienne od naszych bagien, wrzosowisk i poszarpanych skał!

Starałem się zorientować podług słońca, gdzie jest Gimmerton i Wichrowe Wzgórze. Naraz opuściła mnie cała złość, a moje myśli popłynęły ku Tobie, Katy — ponad pagórkami, dymiącymi kominami fakterii i targowymi

rynkami, nad trzęsawiskami i strumykami. Zateśniłem za Twym promiennym uśmiechem. Jak mogło dojść do naszego rozstania? Ileż to razy przysięgaliśmy sobie na wszystko, co najświętsze, iż żadna moc nie zdoła nas rozdzielić? Ile razy tuliłaś się do mej piersi i nasze serca były jak jedno, i szeptaaliśmy sobie, że na zawsze pozostaniemy razem?

W rzeczy samej, ileż razy! A jednak znalazłem się tutaj, tak daleko od Ciebie, nie widziałem Cię, nie słyszałem, nie czułem. Już parę dni temu wiedziałem, że muszę opuścić Wzgórza. Twe okrutne słowa tak bardzo mnie zraniły. Teraz jednak, siedząc na grzbiecie konia i spoglądając na odległy horyzont, który skrywał Twój wizerunek, nie byłem już pewien, czy postąpiłem właściwie. Uznałem, że mnie zdradziłaś i nie pozwoliłem Ci się wytłumaczyć. Uczyniłaś mi krzywdę słowami, lecz ja dopuściłem się ucieczki. Co było gorsze?

Nagle ogarnęło mnie przemożne pragnienie, by spać konia i jechać bez wytchnienia do miejsca przesłonionego chmurami, do miejsca, gdzie byłaś Ty, ku Wichrowym Wzgórzom. Przemknąć przez wrota i wbiec do Twej komnaty.

Niemal to uczyniłem: klacz czekała tylko na sygnał. Ruszyła, lecz powściągnąłem ją. Spojrzałem na swe dłonie — stwardniałe, poszarzałe od ciężkiej pracy — i uświadomiłem sobie, co czeka mnie po powrocie. Harówka, mozolny wysiłek przerywany krótkimi chwilami wytchnienia, kiedy spotykam się z Tobą. A może nie chciałaś mnie już widzieć? Może nawet teraz trzymasz delikatną, bladą dłoń Lintona i przyciskasz do niej swe usta, które niegdyś należały do mnie...

Nie mogłem znieść tej myśli. Zjechałem po zbocz, wielkim łukiem okrążyłem pagórek i przejechałem po głównej ulicy miasteczka (jakże ludzie umykali z drogi!), by wreszcie skierować klacz ku stajni. W pobliżu domostwa cierniowy kolec drasnął bok zwierzęcia. Gdy się zatrzymałem, klacz spływała krwią. Bez kłopotu ją zatamowałem (pamiętałem, jak zbawczo działa na skaleczenia pajęczą sieć), uspokoiłem narowistą, spoconą bestię i odprowadziłem ją na miejsce.

Wróciłem do domu; domyślałem się, iż prędzej czy później ktoś dowie się o mojej eskapadzie. Pokoje na parterze były wywietrzone i pełne słonecznego światła, lecz puste jak poprzednio. Na końcu wielkiego stołu w jadalni

spozrzegłem talerze z rozmaitym jadłem. Nie znałem nawet nazw niektórych potraw. Zasiadłem do obiadu. Nikt nie próbował innie powstrzymać.

Zwiedzanie domu zakończyłem na wielkiej bibliotece, do której prowadziły drzwi z jadalni. Odkryłem, iż przeszkłone drzwiczki jednego z regałów pełnych książek pozostawiono uchylone. Przeglądałem jego zawartość przez resztę owego letniego dnia.

Jak wiesz, od dawna nie zajmowałem się studiowaniem książek. Miliony czarnych liter zdały mi się początkowo podobne do roju wściekłych mrówek, lecz krok po kroku wracały do mej pamięci lekcje wikarego Shieldera i stopniowo zaczęła docierać do mnie ich treść. Wiedziałem, iż mogę dowiedzieć się z nich bardzo wiele. Wiedziałem też, że potrzebuję tej wiedzy. Być może niewidoczny szpieg i teraz wystawiał mnie na próbę, lecz jeśli i w przyszłości spoczywałoby tu na mnie tak niewiele obowiązków jak tego dnia, to miałbym okazję spędzić wiele chwil w bibliotece. I zawsze mógłbym ukryć tom lub dwa za koszulą, by poczytać w nocy. Siedziałem tam, dopóki po zachodzie słońca nie dał znać o sobie głód.

Przez całe popołudnie nikt nie zaszczycił mnie swą obecnością, dobiegały mnie tylko oddalone odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi i stłumione strzępy rozmów. Zdumiałem się więc, kiedy ponownie znalazłem się w jadalni. Stoł oświetlały świece, a puste talerze, które zostawiłem, zastąpiono nowymi, pełnymi jada. Wzdrygnąłem się na myśl o wyrafinowaniu, z jakim bawiono się tu ze mną. Posiliłem się w samotności, wziąłem świeczkę i poszedłem do łóżka, dumając, że czekają mnie tu osobliwe chwile, jeśli oczywiście miniony dzień miał być podobny do następnych.

W sumie wszystko wydawało mi się fantazją, złudzeniem. Mój oszołomiony umysł powinien był jednak podpowiedzieć, iż to zbyt piękne, by było prawdziwe. Utrudzony natłokiem wrażeń, dręczącymi myślami o Tobie, ciszą, w jakiej spędziłem dzień, i owym niewidzialnym nadzorem, nie umiałem myśleć rozsądnie.

Lecz kolejny poranek rozpoczął się zupełnie inaczej. Zbudziło mnie brutalne szarpnięcie.

— Wstawaj — rzekł John — i to szybko. Pan Edward pragnie ci coś oznajmić.

Gdy odziewałem się, stał obok niecierpliwie; parszkając ironicznie pomógł

mi zawiązać dziwny krawat, który zwał fularem.

— Ręczę, iż pochodzisz z gniazda złodziei — rzekł, szorstko poprawiając sztywny kołnierz na mej szyi. Przez chwilę chciałem zacisnąć mu na gardzieli jego krawat, ale powstrzymałem się, zgrzytając tylko zębami. Nadaży się jeszcze niejedna okazja, by odegrać się na tym psie.

John zaprowadził mnie do słonecznej komnaty, w której widziałem wczoraj gosposię. Pan Are jadł skromne śniadanie, a służba parzyła dlań kawę.

— Heathcliffie, chcę cię poinformować o twych obowiązkach. Czy będziesz tak łaskawy i zechcesz mnie wysłuchać?

Wzruszyłem ramionami. Moja odpowiedź nie miała znaczenia — pan Are mógł przecież powiedzieć i zrobić wszystko, co mu się żywnie podobało. Mówił dalej, popisując się na użytek widowni, której płacił pieniądze.

— Przez dwadzieścia trzy godziny na dobę będziesz szwendał się po domu i stajni jak nawiedzony mnich, uganiał się za zwierzętami i stroił miny do kamiennych figur. Będziesz galopował na grzbietach mych najbardziej ognistych koni, aż przekonają się, że dosiada ich sam diabeł. Będziesz wytrwale wgłębiał się w me najlepsze książki, aż rozlecą się w twych grubiańskich łapach. Będziesz obrzucał kamieniami koty i kłął psy i zachowywał się jak bestia, a nie jak człowiek. Czy to jasne?

Kiwnąłem głową. Zrozumiałem, że kpi ze mnie, lecz czekałem na dalsze słowa. To był bowiem jedynie wstęp.

— To dobrze. Każdego poranka musisz odwiedzać ten pokój. Będę tu na ciebie czekać, oddzielony złotą barierą, która jednocześnie ochroni mnie przed złą energią, jaką promieniujesz i sprawi, iż zacznę czerpać z niej pożytek.

— Będę służył, dokąd nie zbraknie pańskiego złota — odparłem.

— Wyśmienicie! Podziwiam twą roztropność! Skoro udzieliłem ci pouczenia, pozwól, że okreśłę twe obowiązki. Ach...!

(Tu zwrócił się do Johna, który zdawał się nie wierzyć własnym uszom.)

— Trudno mieć duszę... Zwłaszcza taką duszę, nieprawdaż? Czy nie sądzisz, iż służba ucieszy się z pomocy człeka tak niebywałego, Johnie?

— Nie mam niczego do powiedzenia w tej sprawie, sir.

— A ja jestem pewien, że masz, ale mniejsza o to. Teraz musimy ustalić plan zajęć dla naszego geniusza. Czy mnie słuchasz, Heathcliffie? Bardzo

dobrze. Popołudniami pomożesz Danielowi w stajni. Ostrzegam cię, że ma on swoje zaklęcia, podobnie jak ja. Wieczorami... jeszcze nie wiem... możesz obcować ze swymi bóstwami, powiadają, że w cierniowych gąszczach odbywają się sabaty czarownic. Ale powtarzam: dwudziesta czwarta godzina należy do mnie.

— Zapłacił pan za to, by dysponować mną przez całą dobę.

— Przez tę dwudziestą czwartą godzinę będziesz zachowywał się jak cywilizowany człowiek. Zegar wybije tę godzinę i ty staniesz się układny niczym kukielka. Uniesiesz swą pochyloną głowę, wyprostujesz kark, porzucisz nikkczemną, zgarbioną postawę złoczyńcy i przyjmiesz pozę Antoniusza wykutego w marmurze. Musisz patrzeć prosto w oczy, gdy będę do ciebie mówił, musisz odpowiadać uprzejmie, jasno i mądrze. Musisz zetrzeć tę marsową chmurę z czoła. I masz się uśmiechać, Heathcliffie. To rozkaz.

Odróciłem się. Nie mogłem zdzierżyć naigrwania się ze mnie. Chyba czytał w moich myślach:

— Pojmij, spostrzegłem, że masz w sobie niszczyielską siłę i jesteś z niej dumny, ja jednak postanowiłem wyprowadzić cię na ludzi i zmienić twą postawę. Mam wymagania. Moi służący muszą prezentować się godnie. Nie mogę utrzymywać kogoś, kto wygląda, jakby chciał skoczyć mym gościom do gardeł, zamiast podawać im kolację. Musisz stać się podobny do chrześcijanina. Co powiedziałbyś, upiorze, na zmianę skóry?

Spojrzałem w bok i zobaczyłem uśmiechniętego Johna i spłoszowaną gospozię (która, jak się później dowiedziałem, miała na imię Leah). Oboje byli najwyraźniej poruszeni atakiem obłędu, jaki spadł na ich pana. Stali jednak nieporuszeni, jakby na ich oczach rozgrywała się najzwyczajniejsza codzienna scena.

Odpowiedziałem na tę część wyводу pana Are'a, która miała w sobie coś konkretnego:

— Dwudziesta czwarta godzina, kiedy mam się uśmiechać... Czy chodzi dokładnie o ostatnią godzinę dnia? Od jedenastej do północy.

— Uważasz, że ta godzina należy do czarownic? Tak, oddzielę cię od tajemnych sił, które tobą władają. O jedenastej w nocy, Heathcliffie. Będziemy wieczerzać razem, ty i ja.

— Wieczerzać?

— Owszem. Będiesz mym gościem, Heathcliffie. Wpatrywałem się w kunsztowną zastawę przed tym szlachcicem

odzianym w jedwabie, w kryształowe kielichy i srebrne talerze. Pan Are wielce subtelnym ruchem podniósł do ust porcelanową filiżankę. Promienie słońca oblały jego sylwetkę różowym blaskiem. Jakże te dłonie różniły się od moich, co prawda już obmytych — żadna woda nie była jednak w stanie zmienić ich kanciastych kształtów, tak jak nic nie mogło sprawić, bym znalazł uciechę w rozgrywającym się właśnie przedstawieniu. Lecz naraz wybuchnąłem śmiechem i śmiałem się bardzo długo. Pan Are uniósł palce do podbródka.

— Coś mówi mi, że śmiech wydobywający się z twej przepastnej gardzieli nie jest wesoły, tylko ironiczny. Zastanawiam się, dlaczego? Nie podobają ci się moja propozycja?

W odpowiedzi podsunąłem mu pod sam nos swą prawą dłoń. Twarde odciski i głębokie, ziemiste bruzdy każdego zmusiłyby do cofnięcia się z odrazą. Jednakowoż on przez dłuższą chwilę przyglądał się jej z niezmaconym spokojem, a następnie zmierzył mnie wzrokiem od stóp po czubek głowy.

— Przypuszczam, że to istotnie niedorzeczny pomysł — stwierdził w końcu. — Jadać przy jednym stole z niedźwiedziem w kagańcu? Nie, dostosuję się do ciebie.

— Cóż to znaczy?

— Będziemy jeść i pić każdej nocy, ale to ja będę twoim gościem! Teraz już Johnowi drgnęły mięśnie na twarzy — a ja splotłem

ramiona na piersi i oczekiwałem dalszych wyjaśnień. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Postanowiłem poczekać, aż zegar wybije jedenastą.

Przerwałam na chwilę lekturę, by rozprostować kości i narzucić na ramiona jeszcze jeden szal. W przedziale robiło się coraz chłodniej. Pan Lockwood spał już na dobre. Wyglądał starzej, jego rysy utraciły regularność. Dłoń wysunęła mu się spod koca i spoczęła na zimnym siedzeniu. Delikatnie przykryłam ją pledem.

Spojrzałam na rękopis i zobaczyłam nie zapisane słowami stronicę, lecz coś ponad nimi. Twarz. Przyglądałam się jej długo, to z zainteresowaniem, to z rozdrażnieniem.

Czyją twarz, drogi czytelniku, mogłam ujrzeć w przytłumionym świetle



w przedziale? Zapewne sądzisz, że zdołałam wyobrazić sobie oblicze autora manuskryptu — zarysy srogiej, szyderczej, cygańskiej twarzy zbrukanej błotem. Albo raczej skłaniasz się ku przypuszczeniu, iż opanowała mnie nie fantazja, ale wspomnienia i że przed oczyma miałam roześmianą lub wykrzywioną złośliwym grymasem twarz pana Hegera, którego opuściłam wbrew swemu pragnieniu i którego obraz tak zazdrośnie przechowywałam w pamięci. Mógłbyś także rzec:

— Nie. Ta twarz nie wywodzi się ani z fantazji, ani ze wspomnień. To oblicze żywego człowieka, opatulonego w koce, śpiącego w przeciwnym kącie przedziału.

Mógłbyś pomyśleć, że zraniona, osamotniona osoba jak ja łatwo skłania się ku nieprzychylnym sądom i obarcza nimi niczego nie podejrzewającego towarzysza podróży.

To wszystko nieprawda. W mroku widniała twarz mej siostry Emilii.

Jednakże inna niż ta, jaką zapamiętałam. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegłam niczego nadzwyczajnego: tak, to Emilia, jej pełne usta, uniesione brwi, gładka cera, przenikliwe, jakby głęboko zamyślane spojrzenie. Wzrok, zarówno wesoły, jak i przepojony wzburzeniem. Powabne oczy, patrzące przyjaźnie tylko na kilka wybranych osób, które znała — a i to nie zawsze.

Zaliczałam się do owej grupki wybranych, lecz nie z powodu więzów krwi, jakie nas łączyły. Czasami byliśmy dla siebie kimś bliższym niżli siostry, czasami wręcz przeciwnie. Mogłyśmy spędzać razem dnie i noce, całe tygodnie, rozmawiając na wspólne, sekretne tematy. Zgadzałyśmy się we wszystkim. I naraz coś się zmieniło — trzaskały drzwi i Emilia odsuwała mnie od siebie na pewien czas. Na szereg dni, czasem na miesiące. Wówczas, w niepewnym zawieszeniu, zbliżałam się do brata, Branwella, pragnąc jakoś wypełnić tę pustkę.

Nie wiedziałam, jak nazwać ten łączący nas związek, który umykał uwagi dorosłych: ojca i gosposi. Gdyby coś dostrzegli, pomyśleliby, że to dziecięce wybryki. Emilia i ja, a także Branwell i trzecia siostra, Anna — wszyscy zmyślaliśmy niestworzone historie, uwielbialiśmy naszych wyimaginowanych bohaterów i kazaliśmy im przeżywać tajemne historie. Przedkładaliśmy to ponad rzeczywistość, ponad plebanię, kościół i otaczające nas bagna. Gdy podrośliśmy, wszystko stało się bardziej wyrafinowane. Zaczęliśmy spisywać

nasze sztuki, tak jak innym zdarza się prowadzić diariusze. Stopniowo nasze dramaty nabierały rozmachu. Ich akcja była coraz żwawsza, bohaterowie nie dzielili się już — jak w bajkach — na dobrych i złych. Tworzyliśmy dzieje i opisywaliśmy zwyczaje narodów, nie istniejących w realnym świecie.

Prym wiodła Emilia, choć to ja byłam najstarsza. Wszyscy byliśmy pełni pomysłów, lecz talent Emilii polegał na czymś innym. Spieraliśmy się o szczegóły opisów uciezek kochanków, katastrof okrętów, starć wielkich armii. Wtedy Emilia mówiła: powinno być tak i tak i jakimś cudem wszystko układało się w doskonałą całość. Oniemiali przytakiwaliśmy, nie śmiąc się sprzeciwić, gdyż Emilia mogła obrazić się i wyjść. Lecz przede wszystkim dlatego, że wytwory jej wyobraźni były wspanialsze i bardziej urokliwe niż te, które powstawały w głowach pozostałej trójki.

Z czasem Emilia doskonaliła coraz bardziej swą zdolność do malowania świata za pomocą słów. Mówiła tylko:

— Wy obrażcie sobie...

Istotnie widziałam wszystko przed oczami jak żywe. Im dłużej jej słuchałam, tym bardziej rosło we mnie przekonanie, że to, co ona opisuje, jest prawdziwe i nawet bardziej realne od ścian, które nas otaczały, od foteli, w których siedzieliśmy, od rysów naszych twarzy.

Czasami domyślałam się, dokąd zmierzają niektóre opowieści Emilii, i próbowałam się buntować. Tragiczne rozwiązania historii — śmierć bohatera albo upadek heroiny — wprawiały mnie w rozpacz. Nie mogłam potem spać i jeść. Płakałam i trzęsłam się z przerażenia, jednak Emilia była nieustraszona.

Opowieści rządzą się swymi prawami — mawiała w takich wypadkach — i nie mogę ich zmienić. To nie w mej mocy. Stworzyłam postacie, które czynią to, co im przeznaczone. Nie mają wyboru, tak jak nie mam go i ja.

Nie było rady. Naszych ulubieńców czekała zguba, a ja potem krzyczałam przez sen.

Słyszę, czytelniku, jak mówisz:

Wzruszające, lecz czemu pozwalałaś poddawać się podobnym katuszom? I, co ważniejsze, dlaczego teraz ja muszę je znosić.

Owszem, mogę na to odpowiedzieć:

Otóż Heathcliff, ten sam Heathcliff, którego pożółkły rękopis obecnie

czytałam, był, według Emilii, żywym człowiekiem, mniej więcej w naszym wieku. Opowieść o jego młodości w Wichrowych Wzgórzach była mi znana. Niegdyś już ją słyszałam.

Dotychczas sądziłam, że Heathcliff jest przyjacielem Emilii. Wyłącznie jej przyjacielem, nie dopuściła, byśmy się z nim spotkali. A teraz trzymałam w dłoniach stronicę zapisane przez tegoż człowieka — lecz sześćdziesiąt lat temu. Ten zbieg okoliczności wydawał się zupełnie nieprawdopodobny. Jeśli rękopis był autentyczny, wówczas nie mógł istnieć przyjaciel Emilii i na odwrót. A ja nie żywiłabym wątpliwości co do autentyczności listu.

Latami zastanawiałam się, jaki wpływ miała na życie Emilii jej wyobrażenia. Skoro nawet ja poddawałam się urokowi jej słów, to co z nią samą? Czy odróżniała fikcję od rzeczywistości? A jeśli nie? Czy potrafiła jeszcze trochę spojrzeć na świat?

Jak już wspomniałam, zastanawiałam się nad tym dawniej. Teraz, w pościegu, lękałam się na dobre.

Przypomniałam sobie godziny, kiedy we trójkę — Branwell, Anna i ja — nudziliśmy się siedząc w domu podczas deszczu i ociągaliśmy się z udaniem na spoczynek. Błagaliśmy w takich chwilach Emilię:

— Och, Emilio, prosimy cię! Prosimy, przestrasz nas jakąś opowieścią! Spraw, byśmy drżeli ze strachu.

Najpierw droczyła się z nami, potem godziła się to zrobić.

Odwracała się wówczas na chwilę plecami, a my, słuchacze, przytulaliśmy się do siebie, chcąc w ten sposób dodać sobie odwagi. Zamiast tego przez nasze połączone dłonie przebiegał rozkoszny dreszcz trwożliwego napięcia.

Potem Emilia zwracała ku nam twarz i patrzyła na nas zwyczajnie. Jej pięknego oblicza nie wykrzywił najdrobniejszy nawet grymas. Lecz jej oczy! Nie potrafiliśmy wytrzymać tego spojrzenia, władczego, wzbudzającego grozę. Czaiło się w nim coś niezrozumiałego, nieuchronnego, a jednocześnie obojętnego, coś, czemu nie dało się spokojnie stawić czoła.

Pan Lockwood drgnął. Wróciłam do czytania rękopisu. Mój towarzysz podróży mógłby się zmieszać, gdyby obudził się i spostrzegł, że go obserwuję. Po chwili całą naszą uwagę znów pochłonęła lektura.

## 5

Tego samego dnia zabrano mój wielce skromny dobytek i przeniesiono do lokum dobudowanego nad stajnią. Uprzednio zajmował go najstarszy stajni, Daniel Beck, lecz ożenił się i przeprowadził do stojącego nie opodal domku. Najpierw wspomniałem, jak wygnano mnie z domu po śmierci twego ojca i z niechęcią rozglądałem się wokół. Potem jednak spodobało mi się w schludnym pokoju, gdzie czuło się zapach jabłoni z ogrodu. W kącie stał tu duży kominek, na ścianie wisiał rząd miedzianych patelni, meble były solidne, z dębowego drewna. Pomyślałem, że tu znacznie łatwiej będzie mi opierać się zakusom pana Are'a. Dotąd, od chwili naszego spotkania, wodził mną niby cielakiem na powrozie. , Od złota i srebra w wielkim domu mego pracodawcy mogło zakreć się w głowie, lecz teraz przenieśliem się do izby, gdzie wszystko wydawało się swojskie. Daniel miał pojawić się w stajni za godzinę. Czułem, że stopniowo przywykam do nowego otoczenia.

Kiedy tylko uspokoiłem się, postanowiłem poważnie zastanowić się nad swoim położeniem. Służba zdawała się tu pędzić dziwaczny żywot, a ja dołączyłem przecież do jej grona. Nawet wtedy (w najbardziej niepewnych chwilach mego życia) nie straciłem wewnętrznego przekonania o swej sile i wartości, lecz potrafiłem myśleć realnie i nie sądziłem, by obcy człowiek mógł na pierwszy rzut oka ujrzeć wszystkie me zalety. Pan Are musiałby być jasnowidzem, musiałby cofnąć się ku dobrym dla mnie czasom w Wichrowych Wzgórzach albo ulecieć wyobraźnią w przyszłość, gdy żarzący się we mnie ogień rozbłyśnie jasnym płomieniem. Czy Edward Are posiadał taki dar? Wątpiłem w to. Chociaż potrafił panować niepodzielnie nad swym małym światkiem, to jednak przynajmniej w początkach naszej znajomości przypuszczałem, iż wynikało to z bystrości umysłu i potęgi jego majątku. Wydawało mi się, iż brak mu owej przenikliwości, która pozwalała dostrzec prawdę ukrytą pod pozorami.

Nie zaślepiała mnie miłość własna; wiedziałem, że ma powierzchowność nie wzbudza zachwyty. Podczas rozmów z panem Are'er byłem powściągliwy bądź szorstki. Czemu zatrudnił właśnie mnie — obcego i być może groźnego osobnika — skoro w okolicy mógł znaleźć tuziny stajennych chłopców, ochrzczonych za młodu i mogących liczyć na porękę? Owo pytanie stanowiło jednakże tylko część tajemnicy. Dręczyła mnie następująca zagadka: dlaczego gotów był zapłacić obcemu pięciokrotnie więcej, niż warte były wymagane usługi? No i, przede wszystkim, dlaczego nalegał, by przepłacony sługa spożywał z nim wieczerzę?

Maniery pana Are'a wydawały mi się nadzwyczaj dziwne. Choć o zwyczajach ludzi z wyższych sfer wiedziałem wówczas tyle, ile obecnie wiem o życiu dzikich małp, to jednak orientowałem się, że bogacze nie co dzień poświęcają tyle uwagi ludziom mego pokroju — chyba że mają na uwadze coś specjalnego.

Siadłem na czystej pościeli solidnego łóżka, wyjrzałem przez okno na sad i pastwiska. Słyszałem dochodzące spod podłogi ciche rzenie koni i powoli zaczynałem podejrzewać, jakie to zakusy mogą powodować panem Are'er. Przypomniałem sobie lorda Wathema — pamiętasz, Katy, jak wieczorem w dniu twych czternastych urodzin podkradliśmy się pod jego dom? Był wysoki, miał długi nos i nosił rudą, upudrowaną perukę. Utrzymywał pewnego lokaja, młodzieńca o delikatnej powierzchowności, cienkich brwiach, szczupłego chłopca, który w istocie miał w sobie coś z dziewczęciami. Ów lord wybudował fantastyczny dom z czerwoną wieżyczką i czterema rynnami w kształcie głów chimer, którymi woda spływała z dachu wprost do fosy pełnej złotych rybek. Zakradliśmy się pod zdobione okiennice, aby zajrzeć do środka. I pamiętasz zapewne, co dostrzegliśmy: tyczkowatego Wathema, stąpającego niczym żuraw, wraz w lokajem, który nie zachowywał się jak lokaj, lecz jak zalotna niewiasta. Rozkładał w dłoni wachlarz. Kiedy zaczęli się tulić i całować, odwróciliśmy się i uciekaliśmy, nie chcąc stać się świadkami rozpusty. Nelly wyznała potem, że umizgi pomiędzy tamtymi dwoma były tematem plotek w całej okolicy. Opowiadano, iż dama w masce, z którą lord Wathem tańczył na balu w Whitsuntide — nie była w rzeczywistości kobietą. To tamten lokaj przywdział suknię i udał się na maskaradę.

Czy pan Are ulepiony był z podobnej gliny? Czy czerpał rozkosze z

obejmowania chłopców? I czy nie stałem się przypadkiem obiektem jego żądz? Owa myśl zaniepokoiła mnie ogromnie. Przypuszczenie to zdawały się tłumaczyć wszystkie dziwactwa pana Are'a, jakich byłem świadkiem — podążał za mną owej pierwszej nocy, potem zaproponował mi wysoką pensję, znosił moje grubiańskie zachowanie. Pod wpływem tego odkrycia omal nie wyskoczyłem z łóżka i nie porzuciłem na zawsze tego miejsca.

A jednak nie uczyniłem tego. Wystarczyło, bym przejrzał się w lustrze. Cygan, chochoł, obwieś — tak przecież nazywał mnie pan Are — i każde z tych określeń pasowało do mnie jak ulał. Może jednak wyglądałem na chłopca gotowego spełniać chorobliwe zachcianki? Nie wiedziałem zbyt wiele o tych sprawach, tym niemniej nie mogłem uwierzyć, że inny mężczyzna mógłby obiecywać sobie rozkosze, widząc me toporne ciało. A choć pan Are nosił pstrokate stroje, to ani trochę nie wyglądał na kobietę.

Nie, im dłużej nad tym dumałem, tym bardziej podejrzania względem pana Are'a wydały mi się niedorzeczne. Poczulem niesmak z powodu moich myśli. Nadmieniałem już uprzednio, że pan Are należał do świata bogaczy, których manier zupełnie wówczas nie pojmowałem. On sam był nieodrodnym synem owej, tak egzotycznej (dla mnie) kasty. Czy mógłbym przejrzeć jego zamiary, zamaskowane teatralnymi gestami? Nie. Przeto musiałem nauczyć się tych manier, pozostając tutaj.

Oto z jakiej przyczyny odsunąłem od siebie podejrzania wobec pana Are'a. Czulem ponadto, iż rozpięra mnie ambicja. W domu Lintonów widziałem eleganckie stroje gospodarzy, dostrzegałem grację, z jaką się poruszali, łatwość, z jaką prowadzili rozmowy — lecz nienawidziłem tego wszystkiego, gdyż było mi to obce i zabrało mi Ciebie. Radowała mnie brzydota otoczenia, ponieważ stanowiłem jej część. Teraz jednak miałem niespodziewaną szansę zmienić się — a przynajmniej łudziłem się taką nadzieją. I pragnąłem tego. Początkowo dlatego, iż chciałem Ci dorównać, być Ciebie godny. Potem zrozumiałem, że naprawdę wyjdzie mi to na dobre. Poczulem dumę, iż nie będę już musiał wstydzić się siebie. Ziarno nadziei na odmianę mych przyszyłych losów upadło na podatny grunt. Być może dlatego nieświadomie chciałem zaufać panu Are'owi.

O ile ufności udawało się zagłuszać podejrzania, o tyle jednak podejrzania podkopywały zaufanie. Postanowiłem mieć się na baczności: jeśli pan

Are kiedykolwiek potraktuje mnie tak, jak lord Wathem swego lokaja, to w tej samej chwili zapomni, gdzie jest i jak się nazywa.

Takie myśli zaprzętały mą głowę w ciągu dnia, kiedy pracowałem w stajni. Zawsze jednakże dochodziłem do tego samego wniosku: na razie nic nie wiadomo. Próbowałem wypytać Daniela Becka o pana Are'a, lecz ten rzekł tylko:

— Pan Edward jest dla nas dobry, choć ma swe dziwactwa. Nie zdradził niczego ponadto, z wyjątkiem informacji, iż pan

Edward zachowywał się jeszcze bardziej osobiwie, nim przed kilku laty nie odziedziczył owej posiadłości po śmierci starszego brata. Służący przypuszczali, że ten zgon otrzeźwił go nieco. Nie sądziłem, że można być jeszcze bardziej zdziwiałym, lecz zachowałem tę myśl dla siebie.

Na godzinę przed północą wróciłem do swego pokoju i czytałem przy świecy. Nocne powietrze było świeże i pełne wilgoci, sklepienie nieba mieniło się gwiazdami, a w sadzie skrzeczały rzekotki. Byłem tak pochłonięty treścią dzieła (traktatem pewnego szkockiego filozofa), iż niemal zapomniałem o naznaczonym spotkaniu. Naraz usłyszałem przytłumiony odgłos kroków, skrzywienie otwierających się wrót do stajni. Wychyliłem się ze swej izby i ze zdumieniem spoglądałem na rozgrywającą się poniżej scenę.

Pośrodku stał pan Are i gwałtownie gestykułował, jakby dyrygował gigantycznym wirem.

— Latarnie! Latarnie! — krzyczał. — Prędko, zawieście je wysoko! Wszystko musi być widoczne! Dalej, Fryderyku, pomóż Johnowi dźwigać stół!

Zdaje się, że wszyscy służący znajdowali się teraz w stajni. Za pomocą długiej żerdzi zawieszono latarnię u powały, na środku ustawiono solidny stół i przyniesiono dwa krzesła. Następnie rozłożono na blacie biały, lniany obrus. Konie poruszyły się sennie w swych przegrodach, jeden cicho zarżał, lecz nie zdradzały specjalnego zaniepokojenia. Zapewne widywały już swego pana wyprawiającego dziwniejsze rzeczy. Ja nie miałem jeszcze takiej okazji, więc przypatrywałem się z otwartą gębą.

Stół zastawiono talerzami i pucharami, zapłonęły świece. Pan Are klasnął w dłonie.

— A teraz do domu, tylko żywo i przynieście potrawy zanim wystygną.

Służba rozbiegła się, by spełnić i to polecenie. Pan Are zadarł głowę i spojrzał na mnie.

— Zejdź, Heathcliffle. Jak widzisz, wykopałem tunel pod twymi bastionami. Moja straż przednia wtargnęła do twego obozowiska. Jesteś gotów do walki, czy wolisz układy?

Zszedłem doń bez słowa. Zdawał się czekać na odpowiedź, więc rzekłem:

— Bawi pana igranie ze mną. Najwyraźniej oczekuje pan, że wezmę udział w tej zabawie, być może dlatego, iż nie mogę się panu przeciwstawić. Chce mnie pan wciągnąć w te pojedynki na słówka i wymyślnie ze mnie kpić...

— Brawo, Heathcliffle. Wygrałeś pierwszą potyczkę. Pochylił się nad płomieniem świecy.

— ...powiadam panu jednak, że nie brałem nigdy udziału w podobnych zabawach, a nawet gdyby było inaczej, moja natura odrzuciłaby je ze wstrętem.

— Otóż to, chłopcze. Z tego właśnie musimy cię wyleczyć. No chodź... chodź tutaj — niecierpliwie skinął ręką. — Mamy razem zjeść wiesz, musisz więc być odpowiednio odziany.

Dostrzegłem, iż niesie przewieszane przez ramię stroje: haftowaną pelerynę i aksamitny surdut.

— Chodź i zdejmij tę żalobną bluzę. I nie marszcz tak ponuro brwi. Na każdą okazję należy mieć właściwy strój i odpowiednią minę, by móc się dobrze bawić, dopóki nie nadejdzie nasza pora.

Zdjąłem lnianą roboczą bluzę, którą dostałem od Daniela, i włożyłem rzeczy przyniesione przez pana Are'a. Surdut był nieco za ciasny w ramionach, lecz poza tym leżał całkiem dobrze.

— Zupełnie nieźle — stwierdził pan Are. Dopiął dolne guziki surduta i poprawił fałdy peleryny. — A teraz, zanim powróci służba, musisz przyjąć właściwą postawę.

Wzruszyłem ramionami.

— Czemu miałbym grać przed nimi? Zrobię z siebie głupca.

— Ich mniemanie o tobie nie ma żadnego znaczenia. Liczy się to, co ty pomyślisz, a twa obecna postura zdradza, że nie jest z tobą najlepiej.

Wspomniałem ci, że już uprzednio zwracał mi uwagę, iż się garbię. Wy-



prostowałem się.

— Ujdzie na początek — rzekł — tylko nie machaj łapskami jak małpa.

— A co mam z nimi uczynić?

— Tak... i tak. — Oparł prawą dłoń na wysokości piersi, a lewą zwinął w pięść i ulokował na biodrze.

— Dlaczego właśnie tak?

— Nie wiadomo, jednakże dobrze wychowani ludzie trzymają ręce w ten sposób. Odstąpisz od tego zwyczaju, a znajdziesz się poza wybranym gronem. Bunt nie przyniesie ci żadnych korzyści, możesz tylko stracić. Mimo to znajdą się chwile, gdy będziesz mógł dać upust inwencji i polotowi.

Przybrałem identyczną pozę jak pan Are.

Dobrze, tylko nie tak sztywno! Nie tak sztywno! W trakcie naszej krótkiej znajomości zdążyłem się już przekonać, iż jesteś na tyle zdyscyplinowany, by nad sobą panować. Cieszy mnie to, gdyż zachowywanie równowagi jest pierwszą zasadą szlachcica. Nie powinieneś jednak stać jak posąg, jakbyś nie był w stanie się poruszyć! Wprost trudno na ciebie patrzeć. Nie, nie tylko słowa, manieri i wygląd świadczą o dżentelmenie. Także fakt, iż inni czują się przy nim swobodnie.

Mógłbym go spytać, jak wielu owych innych czuje się swobodnie, widząc jego zachowanie, lecz posłyszałem głosy zbliżających się służących. Gdy weszli do środka, natychmiast umilkli. Pan Are, najwyraźniej rozkoszując się chwilą, podpowiadał, gdzie stawiać kolejne dania.

Pieczone kurczęta tu... śliwki tutaj... gotowane warzywa i wino właśnie tu... sałatki... doskonałe! A teraz zostawcie nas. Dwóch dżentelmenów może obsłużyć się samych. Nie, drzwi niech będą otwarte. Powietrze jest świeże, a gwiazdy wspaniałe. Johnie, wróć za godzinę. Panie Heathcliff, czy zechce pan usiąść?

Usiadłem i czekałem, zastanawiając się, co pan Are robi teraz. Nalał wina do dwóch kielichów. Podniosłem swój do ust, lecz powstrzymał mnie.

- Ach... Nie wolno ci pić w towarzystwie, nie wznosząc pierwszej toastu. Inaczej twoi przyjaciele pomyślą, że pijesz tylko po to, żeby się upić lub nie odpowiada ci ich kompania. W takim razie za kogo albo za co będziemy dziś pili?

Zastanawiałem się przez chwilę.

— Za naszą umowę.

Zaśmiał się i uniósł swój puchar.

— Za umowę. "Wypiję z wielką radością. Gdy spełniliśmy toast, rzekł:

— Chciałbym dowiedzieć się więcej o twojej przeszłości i nadziejach, jakie żywisz na przyszłość.

— Najął mnie pan do pracy w stajni. Czy musi pan zatem znać mą przeszłość?

— Nie muszę, lecz chcę.

Uniósł udko pieczonego kurczęcia. Poczulem delikatny zapach przypraw.

— Popatrz teraz, w jaki sposób dzielę drób, Heathcliffie. Nic nie świadczy tak o dżentelmenie, jak zachowanie przy stole. Nie dopuść, by ktoś spostrzegł cię wbijającego zęby w kość, niczym pijany chirurg. Oddzielaj po kawałku... o tak. I czyń to zręcznie... właśnie tak... byś nie wylał sosu na spodnie twych przyjaciół i nie ochlapał ich tłuszczem. Jutro będziesz podawać mi potrawy. A teraz powiedz: dziękuję, sir. To zwrot, o którym chyba zapomniałeś.

Słowa, których się domagał, pewnie z trudem przeszłyby mi przez gardło. Zdołałem jednak wykrztusić:

— Dziękuję za wieczrę i udzieloną mi lekcję.

Pan Are wydawał się zadowolony, wziął kawałek drobiu i zaczął jeść. Szerokie stajenne drzwi były otwarte na oścież, mogliśmy więc dostrzec rozgwieżdżone niebo. W powietrzu unosił się zapach dojrzałych owoców, kwiatów i ziół, mocniejszy od woni siana ze stodoły. W okrągłych oczach koni odbijały się płomienie świec. Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Potem pan Are odłożył widelec i wykonał gest, jakby chciał wygłosić ważne przemówienie.

— Heathcliffie, nauczę cię zachowywać się jak szlachcic. Cóż ty na to?

Odchrząknąłem, lecz przygotowane słowa uwięzły mi w gardle. Propozycja była właśnie to, czego chciałem. Nie śmiałem jednak powiedzieć tego na głos.

— Milczysz, zapewne urażony. Młodzi zawsze miewają o sobie wysokie mniemanie. Nie unosz się dumą, Heathcliffie. Zmienię cię tylko zewnętrznie. Tego, co tkwi głęboko w tobie, nikt nie tknie i nie pozna.

Wybuchnąłem:

— Nie jestem ani dumny, ani zapatrzony w siebie. Pragnę się zmienić, muszę się zmienić i stać się dżentelmenem, aby mogły spełnić się me nadzieje.

— A jakież to nadzieje, chłopcze? O, nie ufa mi, milczy, odwraca oczy, choć daję głowę, że potrafi odpowiedzieć. Sam przecież wie, czego musi się nauczyć, by odmienić swój los. Tak... Idę o zakład, że kryje się za tym jakaś dama, najpewniej owa K. Nie, nie, nie będę zgadywać jej imienia. Nagły błysk twego oka i mroczna mina przypomniały mi o ostrzeżeniu: zetrzesz uśmiech z mej twarzy, jeśli zacznę snuć domysły o niej. Cóż, może mój uśmiech nie jest szczególnie piękny, lecz ja go lubię i dlatego powstrzymam się od dalszych pytań o twą wybrankę.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem:

— Jednakże twoja reakcja mówi mi, iż się nie mylę. Twoja ambicja wiąże się z panią Bezimienną. Poczekaj, nie chmurz czoła, nie masz powodu do urazy. Kobiety tyleż razy sprawiają, że mężczyźni stają się bardziej godni, ile doprowadzają ich na skraj obłędu. Musisz być dżentelmenem, by zyskać w jej oczach.

Wciąż się nie odzywałem. Uznał me milczenie za potwierdzenie słuszności swych domysłów. Kiwnął głową.

— Wyjdzie ci to na dobre. Heathcliffle, nie bądź taki ponury. Nic nie stoi na przeszkodzie, byś dopiął swego. Natura nie poskaąpiła ci zalet. Jesteś rozumny i pojętny. Twarz zdradza, żeś wciąż w złym nastroju — a więc możesz się zmienić tylko na lepsze. Byłbyś całkiem postawny, gdyby nie te zgarbione plecy. Twoja twarz jest także przystojna, szpeci ją tylko ów marsowy grymas. Zapewne wiesz, iż twe brwi mają kształt błyskawic. Czemu zachowujesz się, jakbyś chciał straszyć ludzi groźnym wyglądem?

Komplementy pod moim adresem i ciągłe poklepywanie po ramieniu sprawiły, iż ponownie ogarnęły mnie uprzednie podejrzenia. I nagle ujrzałem wszystko w innym świetle: elegancja przemieniła się w groteskę, uprzejmość miała w sobie posmak okrucieństwa, zza zachęcających słów wyzierała kpina i ironia. Opętany tą wizją, omal nie zrobiłem z siebie głupca. Nagle na biały obrus spadł z powały obrzydliwy, szarobrunatny pajak i zaczął wędrówkę między talerzami.

Zrzuciłem to paskudztwo na podłogę i zdusiłem podeszwą.

— Ma pan całkowitą rację — rzekłem. — Jestem tylko straszidłem, kreaturą oblepioną błotem i łajnem, na które natknął się pan w Liwerpoolu. Czemu zadaje się pan w kimś tak plugawym? Niech mi pan powie!

Na to on uniósł kielich z winem i uczynił taki gest, jakby chciał odpędzić od siebie to pytanie. Nie zamierzałem jednak ustąpić. I nie chciałem, nie mogłem dłużej znosić tych wykrętów. Chwyciłem go za nadgarstek, kryształowy puchar roztrzaskał się o podłogę. Narowisty rumak w rogu stajni zarżał i wierzgnął niespokojnie.

Zanim uzmysłowiłem sobie, co się dzieje, magiczna siła poderwała mnie z krzesła i rzuciła na barierkę, za którą znajdowała się przegroda dla konia. Poczulem ciepły oddech rumaka na karku i dłonie pana Are'a zaciśnięte na moim gardle niczym żelazna obroża.

— Na Boga, chłopcze, bacz, byś więcej nie podnosił na mnie ręki. Gdybym miał przy sobie pałasz, byłbyś już trupem — powiedział posyłając mi wściekle spojrzenie.

Rzekłem:

—Chcę wiedzieć dlaczego. I dowiem się — odparłem ze srogą miną.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, potem niechętnie zwolnił uścisk.

—Widzisz, Heathcliffie, mimo że jesteś ode mnie wyższy o kilka cali i młodszy o dwadzieścia lat, mógłbym cię pokonać, gdyż jestem mistrzem fechtunku i pięściarstwa. Naukę tych sztuk dołożymy do twego rozkładu zajęć.

—Muszę wiedzieć, czemu wziął mnie pan do siebie.

—Ach, tak, prawda. Dlaczego jednak tak nalegasz, bym ci to wyznał?

—Pragnę upewnić się, że nie wpadnę w pułapkę, z której nie będę się mógł wydostać. Nie chcę zaciągnąć długu, którego nie będę w stanie spłacić.

—A więc bestia pokazuje, że nieobcy jej honor! Honor to cecha godna podziwu. Bardzo dobrze, wszystko ci wytłumaczę. Zdaje się, iż zasłużyłeś na wyjaśnienia.

Podszedł do drzwi i zaczerpnął powietrza, poprawiając wstążkę przy kołnierzyku. Być może układał w myślach odpowiedź.

Sylwetka pana Are'a zdawała się zmieniać kształt na tle rozgwieżdżonego nieba. Staralem się dociec przyczyn tego złudzenia. Otóż w smudze światła jednej z latarni dostrzegłem pająka pożerającego schwytaną w sieci ćmę.

Cienie ofiary i kata drżały na szerokich plecach mego rozmówcy.

—Heathcliffie, wkrótce dostaniesz odpowiedź, której się tak domagasz. Teraz jednakże spoglądam na niezliczone gwiazdy mieniące się na nieboskłonie. Każda z nich jest ogromną, ognistą kulą podobną do naszego słońca, wokół każdej krążą planety takie jak Ziemia i może istnieje gdzieś życie... Przychodzi mi na myśl, że przemijamy tak szybko. Jakże mało liczą się nasze wysiłki i jacyż wszyscy jesteśmy słabi.

Naraz coś błyskawicznie przemknęło przez mrok. wpadło do stajni i natchmiast z niej wyleciało — być może nietoperz lub nocna jaskółka. Na sekundę wewnątrz wypełnił przenikliwy pisk. Potem znów zapadła cisza.

Pan Are odwrócił się ku mnie i powiedział:

— Od pewnego czasu owdądnęło mym umysłem pragnienie stworzenia kogoś na swe podobieństwo: W ten sposób zapewniłbym sobie nieśmiertelność. Co ty na to?

— Mógłby się pan ożenić i mieć dzieci. Pokręcił przecząco głową.

— Nie, to niemożliwe. Nigdy. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Musi ci wystarczyć tyle: są powody, dla których nie mogę się ożenić.

— I na to znajdzie się rada. Mógłby pan przygarnąć jakąś sierotę, wychować ją i uformować podług własnych upodobań. Dziecko przedwcześnie zmarłych ludzi pańskiego stanu.

— Możliwe, możliwe. Ja jednak wybrałem ciebie.

— Wciąż nie pojmuję, z jakiego powodu. Pan Are odwrócił się ku mrokom nocy.

— Heathcliffie, sprawy mają się tak... wybacz, lecz trudno mi o tym mówić... Nadzwyczaj przypominasz kogoś, kto był mi bardzo drogi. Kogoś, kogo utraciłem na zawsze.

Wspomniałem słowa Daniela.

— Pańskiego brata?

Zesztywniał. Odezwał się ponownie po dłuższej chwili:

— Zostawmy na boku imiona. W tej chwili jestem przesądny, tym bardziej, że podobieństwo między tobą a człowiekiem, o którym wspomniałem, jest uderzające, wprost nieprawdopodobne. Kiedy ujrzałem cię w Liverpoolu, pomyślałem... Cóż, mniejsza o to, co pomyślałem. Wiedziałem, iż to los postawił cię na mojej drodze. Ten znak skłonił mnie do działania. Jed-

nak tenże los kazał się nam spotkać u wrót domu dla obłąkanych.

I może głównie to było znakiem.

— Jak mam to rozumieć? Czy uważa mnie pan za szaleńca?

— A ty? Czy sądzisz, że jesteś szalony, Heathcliffie?

— Pan też znalazł się koło tamtego domu. Czy miałbym dlatego przypuszczać, że jest pan wariatem?

— Być może... być może.

Pan Are ponownie zajął swoje miejsce przy stole. Wylał z kielicha wodę na słomę, którą była wyściełana przegroda dla koni, i napełnił go winem.

— Proszę, usiądź i skończ posiłek, Heathcliffie. Dysputy o poważnych sprawach nie wymagają głodowania.

— Powinien pan być ostrożny — powiedziałem, unosząc swe krzesło.

— Zabrzmiało to jak groźba. Zadziwiasz mnie. No, proszę, mów dalej.

— Nie jestem posłuszny ani skłonny do uległości.

— Nie musisz mnie o tym zapewniać. Zdążyłem się już przekonać. Tym niemniej żywię nadzieję, iż czasem będziesz okazywał posłuszeństwo. We własnym interesie. Co jeszcze?

— Brak mi delikatności szlachetnie urodzonych. Ostrzegam, z natury jestem szorstki i surowy. Nie zmienię charakteru. Próżny trud.

— Cóż za obleśny grymas! — parsknął, patrząc na mnie. — Mylisz się w zupełności. To wszystko prostackie odruchy. Dalejże, masz co jeszcze do powiedzenia?

W istocie miałem.

— Zaufałem jednej, jedynej osobie, za to całkowicie i nieodwołalnie. Oddałem całą swą duszę. Krótko mówiąc, nie potrafię zaufać ani panu, ani nikomu innemu. I pewnie nigdy nie będzie inaczej.

— Ach... znowu wyczuwam cię Bezimiennej damy. Cóż, ostrzegałeś mnie, a ja złożyłem obietnicę. Skoro zdołałeś jednak komuś zaufać, to znaczy, żeś zdolny do takiego uczucia.

Wzruszyłem ramionami.

— Może być, lecz w zamian za zaufanie doznałem zawodu (boć to prawda, Katy) i trudno, bym jeszcze raz pozwolił wystawić się na próbę. Pozostanę niezależny i nie zdradzę swych najszczerzych myśli.

— Pojmuję to. Jesteśmy podobni, Heathcliffie. Z natury samotni, skry-

wający wspomnienia, urazy, przysięgi i tajemnice, lecz budujący na nich obraz świata. Czyż możesz zaprzeczyć?

— Nie.

— Otóż właśnie, swój pozna swego. Intuicja podpowiada mi, iż doświadczyła cię ciężka ręka tyrana — podszedł i uściśnął me dłonie, głęboko patrząc mi w oczy. — Nie zaprzeczasz, a więc wiem, iż możemy zrozumieć się lepiej niż dwóch ludzi podobnych do siebie tylko z wyglądu. Czyż nie tak, Heathcliffie?

— Możliwe, lecz teorii trzeba dowieść.

— Dobrze — odparł. — Łączy nas przecie coś głębokiego i prawdziwego.

Raptownie puścił me dłonie i podniósł jeden z talerzy.

— Życzysz sobie galaretki?

Odmówiłem, choć rozsiewała smakowity aromat. Nałożył sobie potężną porcję.

— W takim razie sądzę, iż rozproszyłem twe obiekcje — odezwał się i z zapałem przełknął parę łyżek galaretki. — A teraz porozmawiajmy o przyszłości. Ile... ile masz lat? Siedemnaście? Osiemnaście?

Przytaknąłem, po prawdzie nie wiedząc, ile minęło mi wiosen. Nikt ich nie liczył, zanim nie przybyłem do Wzgórz.

— Jak długo pobierałeś nauki od dobrego wikarego?

— Cztery czy pięć lat.

— Czego cię wyuczył poza czytaniem?

— Pisania i rachunków, nieco łaciny, trochę historii i filozofii.

— Ręczę, że tej ostatniej bardzo niewiele. Zdobyłeś jednak podstawy, na których można budować wiedzę. Jutro rano, po śniadaniu, udasz się do biblioteki i będziesz to czynił każdego dnia. Nie wyjdiesz stamtąd, dopóki nie opanujesz tego, co ci przygotowuję. Co dzień podczas kolacji będę sprawdzał twe postępy i wskazywał braki. Zrozumiałeś?

Kiwnąłem głową i zapytałem:

— Przy kolacji... Tutaj, czy w innym miejscu? — Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, wyobrażając sobie coraz to dziwniejsze otoczenie dla naszych wieczerzy — cmentarz, a może rynek w Hay albo komnatę na poddaszu.

— Przez jakiś czas tu. Podoba mi się to miejsce: powietrze sphywające ze wzgórz jest czystsze niżli w domu (którego, szczerze mówiąc, nie lubię), a wierni druhowie, którzy nas otaczają (tu obrzucił spojrzeniem rząd końskich łbów), są stateczniejsi i bardziej szlachetni od każdej służby.

— Czego żąda pan w zamian? — spytałem. — Nie jest pan głupcem, który daje tyle za nic.

— To prawda, aczkolwiek trudno twą uwagę uznać za komplement. Chcę za to bardzo wiele. Chcę, by ponury, nieokrzesany chłopiec stajenny z radością i ochotą uczył się szlachetnych cnót. Przyznaję, chciałbym doznać próżnego zadowolenia, jakiego doświadczył Pigmalion. Gdy osiągniesz ceł, poczuję się wynagrodzony za swe wysiłki.

— I to wszystko?

— I to wszystko? — powtórzył kpiąco. — Pochlebiasz sobie, myśląc, że to mało. Musisz stawić czoło trudnemu zadaniu zaspokojenia mych wygórowanych ambicji.

Wówczas do stajni weszła Leah, dziewczyna służebna, i stanęła za panem Are'em.

— Proszę mi wybaczyć, sir. John powiedział... że — zaczęła, lecz nie dane jej było dokończyć, gdyż rozległ się ogłuszający hałas. Zerwaliśmy się na nogi. Czarny koń w rogu stajni wierzgał i walił kopytami w deski przegrody.

Bez zwłoki skoczyłem ku bestii. Nie chciałem, by uczyniła sobie krzywdę, próbując wydostać się ze swego więzienia. Słyszałem, jak za moimi plecami pan Are klnie Leah (ten wybuch wściekłości zdał mi się dla jakiejś przyczyny niezwykły) i każe jej wyjść. Znalazłem sznur i zrobiłem pętlę. Zamierzałem zarzucić ją rumakowi na szyję, jednak bez powodzenia. Ujrzałem, jak pan Are bierze żelazny drag, którym zapewne chciał ogłuszyć zwierzę.

Odsunąłem go na bok.

— Niech ja spróbuję.

Zdjąłem z haka drabinę i oparłem ją o ścianę. Pan Are nadal starał się mnie powstrzymać, krzycząc, że to niebezpieczne, lecz ja wspiałem się już na żerdź wiszącą nad oszalałym zwierzęciem. Stąd mogłem zarzucić pętlę na szyję rumaka, który natychmiast przestał wierzgać i prze-



krzywił głowę, chcąc się przekonać, kto go usidlił.

Wykorzystałem tę chwilę i zeskoczyłem na grzbiet wierzchowca. Przygnałem doń i zacząłem gładzić spoconą sierść. Uspokajałem go szeptem, jak przed laty dzikie kucyki na wrzosowiskach, kiedy chciałem się na nich przejechać. Choć koń wciąż brykał, dopiąłem jednak swego — przestał szaleć. Może dlatego, że znikła przyczyna jego wściekłości, a może dzięki słowom starej ballady, które podziałały niczym czarodziejska różdżka. Po dwóch minutach zupełnie się uspokoił. Wówczas zsunąłem się z jego grzbietu i, wciąż głaszcząc i szepcząc ciche zaklęcia, dałem mu trochę owsa. Potem wydostałem się z przegrrody.

Tym razem pan Are wyglądał na zdumionego.

Przekonałem się, iż masz w sobie coś z diabła. Zobaczyłem na własne oczy, jak udało ci się poskromić Belzebuba. Zeszłego roku omal nie stratował jednego ze służących: biedak dotychczas nie odzyskał pełnej władzy w nogach. Ten koń jest szalony. Muszę się go pozbyć.

— Ależ to wspaniałe zwierzę.

Przyznaję. To główna przyczyna, dla której wciąż odwlekam przykrą chwilę odstawienia go do rzeźnika. Nie mam zeń jednak żadnego pożytku. Przez cały czas muszę trzymać go w stajni. Poza nią staje się niebezpieczny dla ludzi.

— Dlaczego tak nagle wpadł w szal? Nie pojmuję.

— Owszem, miał powód. Leah weszła do stajni.

— Czyżby wzburzył się tak na jej widok'?

W istocie. Ostrzegąłem ją, by nigdy nie pokazywała się w stajni, gdyż ta bestia może uczynić sobie krzywdę. Z jakiegoś niepojętego powodu Belzebub, tak posłuszny Danielowi, nagle wpada w furję na widok kobiecego stroju. Sam mogłeś się o tym przekonać. Podczas ostatniego Bożego Narodzenia, gdy usiłowała go dosiąść panna Ingram, kopnął stajennego, który trzymał wodze. Nie, nie ma sensu trzymać tego rumaka. Daniel rzekł, że na tę dziwną przypadłość niepodobna znaleźć lekarstwa. Ten koń musi zostać zabity.

Pogłaskałem chrapy Belzebuba, który uniósł łeb znad obroku, i spojrziałem w łagodnie teraz oczy zwierzęcia.

— Może go pan zabić, jeśli pan chce. To będzie pańska strata. Ja jednak

potrafię sprawić, by przestał być groźny — rzekłem.

Pan Are popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

— Jak, skoro innym się nie powiodło? Wzruszyłem ramionami.

— Wystarczy, jeśli mi pan uwierzy. Jestem przekonany, że dojdę do porozumienia z tym pięknym wierzchowcem.

— Porozumienie...? To być może. Zdaje się, że wyczuł w tobie bratnią duszę. Belzebub i ty: obaj zrodziliście się z diabelskiego nasienia. Dobrze więc, odroczę jego egzekucję. Narażasz się jednak na niebezpieczeństwo.

— Podejmę to ryzyko.

— Zgoda, ale uważaj. Nie chciałbym pochować cię obok Belzebuba.

Skloniłem się ironicznie. W to byłem skłonny uwierzyć.

Posłyszeliśmy prędkie kroki. To Leah wezwała pomoc z domu. Gdy słuchający przekonali się, iż nie będzie konieczna, zajęli się zbieraniem talerzy. Meble, zgodnie z poleceniem pana Are'a, przeniesiono do komórki pod schodami.

— Do zobaczenia, Heathcliffle — krzyknął pan Are od drzwi. — Jutro ponownie spotkamy się na godzinę przed północą. Zapamiętaj, musisz pilnie uczyć się wszystkiego.

Gdy odszedł, zająłem się sprawdzaniem, czy w stajni panuje należyty porządek. Potem zdjąłem latarnie, zdmuchnąłem płonące ogniki i wspiałem się po schodach do swojej sypialni.

Otwarłem drzwi i naraz jakaś potężna siła cisnęła mnie na podłogę. Uderzyłem nosem o deski. Ktoś wykręcił mi ramię i wbił kolano w plecy. Usłyszałem przy uchu cichy, chrapliwy szept:

— Pan Edward nie wie, ktoś zacz, lecz ja wiem: jesteś brudnym, cygańskim żebrakiem.

Poznałem ów szept. John. W każdej chwili mogłem go z siebie zrzucić, jednak postanowiłem poczekać, dopóki nie dowiem się, cóż ma mi do powiedzenia.

— Nie ruszaj się i posłuchaj — warknął. — Pewnie sądzisz, że wkradłeś się w łaski pana Edwarda. Może i tak, ale mnie nie oszukasz. Pan Edward jest zbyt dobrotliwy i czasem ktoś musi czuwać nad jego sprawami. A więc pamiętaj: nie spuszczę cię z oka. Jeśli pozwolisz sobie na zbyt wiele, podejrzą cię gardło, czyniąc tym przysługę swemu panu i całemu światu.

Puścił ramię, by chwycić mnie za włosy i zadać mi jeszcze dotkliwszy ból. Nim jednak zdołał to zrobić, zepchnąłem go z siebie i uderzyłem jego głową o posadzkę. Teraz ja chwyciłem go za włosy i zmusiłem do wstania. Zamierzałem cisnąć nim o ścianę, panował jednak mrok i usłyszałem, jak jego czaszka rozbija szybę. Odprysk szkła zranił mnie nad okiem, po policzku spłynęła gorąca krew. Napastnik wykorzystał tę chwilę, pokuśtykał ku drzwiom i uciekł.

Wybiegłem za nim, przyciskając chusteczkę do zakrwawionej skroni, jednak na zewnątrz dojrzałem miesiąc malujący bladą poświatę nad jabłoniami.

*Uśmiechnęłam się, kiedy zwróciłeś twarz ku drzwiom, przybrałam maskę, gdy spojrzales w mą stronę.*

*Zachorowałam, kiedy przeszła burza. Słyszałam głosy mówiące, że umrę, że już nie żyję. Pogrążyłam się we śnie. Do naszego łóża podeszła matka, lecz miała na sobie żałobny strój, więc uciekałam od niej.*

*A ty uciekłeś ode mnie, Heathcliffie. Opuściłeś mnie. Zamieniłeś się w jastrzębia i poszybowałeś ku niebu. Zostawiłeś mnie na wrzosowisku i stałeś się czarną plamką na tle słońca. Lecz ja zmieniałam się w rozłożysty dąb, na który sfrunąłeś. Objęłam cię gałązkami, gdy wzeszedł księżyc.*

*Dojrzałeś go jednak przez me liście. Przemieniłeś się w plugawego węża, syczącą zjawę i wypełzłeś z moich ramion...*

*Nie bałam się. Stałam się skowronkiem, śpiewającym słodkie pieśni... Uniosłeś rozkołysaną głowę.*

*A jednak uwolniłeś się znowu, porzucając drgające gadzie truchło. Spojrzałam. Teraz byłeś niezdołanym zamkiem na szczycie wysokiej góry. Zamkiem o setkach okien, a każdego okna strzegł łowczy z lukiem. Napięte luki i strzały gotowe zranić mnie, jeśli do Ciebie dotrę...*

*Nie dałam się zwieść. Zamieniłam się w jasną latarnię na najwyższej wieży i rzucałam blask na krętą ścieżkę wijącą się wśród okrutnych gór, która wiodła cię do domu.*

*I dostrzegłam, jak wracasz. Twój cień bawił się ze światłem, tak samo jak wtedy, gdy widziałam cię po raz ostatni, gdy patrzyłam na Ciebie z mroku oślepiona*

*Wtedy przebudziłam się i Nelly szepnęła:  
Cicho to tylko chmura przesłoniła słońce, tylko gałąź poruszyła się na  
wietrze, ptak usiadł w oknie, cicho, ma najdroższa.*

## 6.

Tak więc okiełznałem Belzebuba i oficjalnie znalazłem się na służbie pana Are. Mówiąc prawdę, czułem, iż ta czworonoga bestia jest mi bliższa od wszystkich ludzi, z którymi zetknął mnie tutaj los.

Rozumiałem Belzebuba. Nikt przede mną nie zdołał okiełznać jego duszy, w żyłach rumaka, tak jak i moich, płynęła gorąca krew. Szarpał pętające go powrozy, potrząsając grzywą i dziko przewracając oczyma. Drżał z niecierpliwości, by pomknąć przez pola. Tak jak ja. Lecz właśnie ja musiałem poskramiać jego pragnienia — choć czułem to, co on.

Ujarzmić bratnią duszę. Muszę to uczynić, uciekając się do tajemnej wiedzy. Pierwej muszę poskromić własną gwałtowną naturę i nauczyć się panować nad sobą. Kiedy rumak rozpozna we mnie druha, poniesie mnie tam, gdzie zapragnę dotrzeć.

Ustaliłem plany na przyszłość. Nie miałem tu aż tylu obowiązków co we Wzgórzach — część ciężkiej pracy spoczywała na barkach parobków, którymi komenderował Daniel. Wymagano, bym pomagał Danielowi w czynnościach, których nie mógł wypełnić pierwszy lepszy: przy żrebnym klaczach, przy trzebieniu ogierów, przy ujeżdżaniu. Sam też zajmowałem się Belzebubem. (To piękny koń, Katy! Kary, szeroki w kłębnie, o mocnych kościach i sprężystych mięśniach!) Przynosiłem mu obrok, czyściłem i jego, i przegrodę, którą zajmował. I nie czyniłem tego ani pośpiesznie, ani ukradkiem. Byłem pewny i spokojny, chciałem, by przywykł do mnie i wiedział, czego się po mnie spodziewać. Chciałem, by mi zaufał.

Każdego dnia, gdy cesałem zgrzeblem jego sierść, nuciłem tę starą baladę, którą z pewnością znasz. Smutna melodia zdawała się pochłaniać uwagę rumaka:

Dziewczę śpiewało taką piosenkę:

Nie mogę poznać ojca swego maleństwa

Ani krainy, z której przybywa...

Pamiętasz jej treść: tuż przed brzaskiem kochanek nawiedza łoże dziewczyny, pyta o dziecko i oznajmia: „Wędruję przez lądy, żegluję po morzach”... przepowiada, iż któregoś dnia zabije ona i jego, i syna. Ponura i niezwykła historia, jednak Belzebub stawał się spokojniejszy, kiedy ją słyszał.

A więc potrafiłem poradzić sobie z rumakiem. Gorzej szło mi trzymanie w ryzach siebie samego. Ileż to razy, powodowany złością, miotałem przekleństwa i zrywałem okowy reguł wpajanych mi przez pana Are’a lub przez wynajętych przez niego nauczycieli, chcąc porzucić swe ambicje i pozostać dawnym prostytutkiem! Czasem dziękowałem aniołom lub diablom za to, że używając mocy czarów, powstrzymywały me gwałtowne zapędy. Dzięki temu osiągnąłem swój cel i po trzech latach wolno mi wreszcie starać się o Twą rękę z podniesionym czołem.

Upłynęło kilka miesięcy i mogłem już prowadzić Belzebuba za uzdę. Dotąd jednak nie galopowałem na jego grzbiecie. Do tego potrzebowałem przeszczeni. Zapytałem, czy w drodze wyjątku mogę ujeżdżać rumaka na niewielkim, ogrodzonym pastwisku, które znajdowało się między dwoma pagórkami. Chciałem wybrać ustronne miejsce, gdzie nie pojawiłaby się przypadkiem żadna kobieta. Gdy służące uprzątały podwórze przed stajnią, Belzebub parskał niespokojnie, dając do zrozumienia, że nie uwolnił się od swego uprzedzenia. Pan Are wyraził zgodę i wydał polecenie, by służebne niewiasty trzymały się z daleka od owej łączki.

Był wczesny październik: nikt nie dosiadał Belzebuba od zimy, kiedy to zrzucił ową damę i stratował stajennego. Jak miałem to zrobić? W końcu postanowiłem, iż pozwolę mu wybiegać się na pastwisku, a kiedy się zmęczy, wskoczę mu nagle na grzbiet.

Rumak swawolił przez godzinę. Teraz i ja ruszyłem z miejsca i biegłem u jego boku. Jakże dziki i wolny poczułem się w tym pędzie! Chciałem tak

gonić bez ustanku, pierś w pierś z wierzchowcem, osiągnąć horyzont i wspiąć się ku chmurom! Miast tego, schwyciłem łąk siodła i zwinnie dosiadłem Belzebuba.

Ścisnąłem uda, oczekując, iż rumak zacznie niemiłosiernie wierzgać, lecz stało się inaczej. Pokierowałem go na skraj poletka i przyszło mi to tak łatwo, jakbym wiódł do obory krowę. Bardzo pięknie, pomyślałem sobie, niech no tylko służąca z sąsiedniej farmy wybierze się na skrót do Hay

— wówczas łagodna krowa zamieni się we wściekłego byka. Zatrzymałem Belzebuba na górze, na środku pastwiska

i zeskoczyłem na ziemię. Stałem obok niego i patrzyłem mu w oczy. Wielkie, czarne źrenice obserwowały mnie zupełnie spokojnie.

— Wyglądasz na wyniosłego i dumnego przedstawiciela szacownego rodu, ale wiem, iż czai się w twym wnętrzu ogień, który zapłonie z całą mocą, gdy dojrzysz wroga. Tak nie może być, przykazuję ci to. Co odpowiesz?

Belzebub zamrugał jedynie powiekami. Nie wiedziałem, cóż może oznaczać ów szklany błysk jego oka. Wyobraziłem sobie, że wnikam do wnętrza jego wspaniałej czaszki. Cóż bym tam znalazł? Echa wrzasków stajennych chłopców, obraz postaci w kobiecym stroju, może trzask bata? Wspomnienie skoków przez ogrodzenie, jeźdźca na grzbiecie, zrzucanie z siodła obcego brzemienia — a może marzenia o galopie i tratowaniu nieprzyjaciół? Te wizje byłyby mi bliskie, sam tłumilem w sobie podobne pragnienia.

Dojrzałem swe odbicie w wypukłym końskim oku: mroczną twarz i ciemne włosy, groteskowo pomniejszony korpus, krótkie nogi, zarys pola i nieba. Tak właśnie Belzebub widział świat: przesłaniałem mu niemal wszystko. Byłem jego panem i druhem, który zmuszał go do poskramiania rozpieszczonej go dzikości. A więc osiągnąłem już niemało. Teraz powinienem zapanować nad nim całkowicie. Sprawić, aby nie wpadał w furię na widok swego śmiertelnego wroga: kobiety.

Stopniowo musiałem oswajać Belzebuba z widokiem niewieścich postaci. Czy powinienem poprosić o pomoc Leah? Nie, to przedsięwzięcie wymagało czasu — godzin, dni, tygodni, a służące miały przecież swoje obowiązki.

Skoro nie mogłem posłużyć się żywą białogłową, to może

— tu nagle zaświtała mi pewna myśl — może stworzyć figurę przypominającą z daleka kobietę. Rozejrzałem się po polu i spostrzegłem kamienną

kolumnę przy ścieżce wiodącej do Hay. Wysokością zbliżona do wzrostu przeciętnego człowieka, przesłonięta nierównościami terenu, tak iż można było ją dostrzec tylko z kilku miejsc na pastwisku. Być może dałoby się

z niej uczynić imitację kobiecej sylwetki. Coś w rodzaju stracha na wróble, tyle że miast przerażać, figura wyleczyłaby rumaka z niepojętego lęku. Kamień ubrany w damskie stroje byłby dla Belzebuba tym samym, co prawdziwa niewiasta. Gdyby przywykł do tego widoku (na co w skrytości liczyłem), wtedy znikłby w nim strach, jakim napawały go wszystkie kobiety.

Początkowo zamierzałem wypożyczyć nieco damskich strojów od pani Fairfax albo od Leah, lecz w takim wypadku musiałbym zdradzić któreś z nich szczegóły swego planu. Po namyśle postanowiłem tego uniknąć. Skoro mogłem korzystać z pastwiska, to utrzymanie wszystkiego w sekrecie nie wymagało wielkich starań.

Ugodziłem się ze szwaczką, która handlowała używanymi ubraniami — starą garderobą zamożnych ludzi. Po reperacji kupowały te fatalaszki żony wieśniaków i córki mieszczan i stroiły się w nie do kościoła w niedzielne poranki. Nabyłem od niej żółty gorset, zdobną błękitną suknię, szkarłatną pelerynkę i płowy kapelusz ze wstążkami (wybrałem go, ponieważ zwykłaś nosić podobny). Gdy odłożyłem tę pstrokaczną, kobieta spojrzała na mnie z ukosa i zapytała, jak ma na imię moja ukochana. Pewnie pomyślała, iż dama, dla której to kupuję, gustuje w przesadnie kolorowych strojach i mężczyźnach o cygańskiej urodzie. Nie odpowiedziałem. Zapłaciłem i zabrałem swój tobołek. Niech szwaczka myśli sobie, co chce.

Wszystkie te stroje wziąłem ze sobą na łączkę. Gdy doszedłem do kolumny, przekonałem się, iż pokrywają ją dziwne ryty. Później miałem się dowiedzieć, że starsi ludzie z okolicy zwali kolumnę kamieniem runicznym. Zapewne fragmenty swej historii wyciosali na niej najeźdźcy z północy, którzy tysiąc lat temu spustoszyli wybrzeża południowej Anglii i dotarli nawet do takich spokojnych zakątków. Niektórzy twierdzili, że ów głaz przynosi nieszczęście. Powiadano, iż kto go dotknie, ten sprowadzi tu śmierć i zniszczenia. Nie wiedziałem jednak tego wszystkiego, kiedy przyozdabiałem kolumnę pełną osobliwych znaków, starając się uczynić z niej ludzką postać.

Wkrótce dokonałem dzieła. Cofnąłem się parę kroków, by ocenić efekt.

Cóż to za gruba, pokraczna, śmieszna dama stała nieruchomo przede mną! A jednak dama, nie ociosany kamień, i to liczyło się najbardziej.

Nie mogłem się doczekać chwili próby. Popędziłem ku stajni po Belzebuba. Przywiódłem go na pastwisko i zatrzymałem w miejscu, skąd widziałem tylko czubek płowego kapelusza.

Ulokowałem się pewniej w siodle, spodziewając się, że koń zaraz stanie dęba i powoli, ostrożnie kazałem iść mu naprzód.

I naraz drgnąłem. Nie dlatego, iż rumak spostrzegł figurę — jeszcze jej nie widział. Lecz ja ją ujrzałem i na chwilę zbrakło mi oddechu w piersi. Zdało mi się (wbrew rozsądkowi), że właśnie ty stałaś na miejscu kukły.

Mimo iż wiedziałem, że to tylko złudzenie, czułem, jak serce wali mi o żebra. Krzyknąłem. Zawróciłem Belzebuba i odprowadziłem go do stajni.

Próbowałem wyrzucić z pamięci owo głupie przywidzenie, jednak wspomnienie nie dawało mi spokoju przez całe popołudnie. Na nowo zadreślał mnie smutek z powodu naszego rozstania. Wypełniałem powinności stajennego, lecz me myśli dryfowały daleko. Przed oczami przesuwały mi się jak żywe sceny z dawnych czasów — znów szukaliśmy razem ptasich gniazd, jeździliśmy powozem do Gimmertonu i na strychu, przy blasku płomyka świecy, czytaliśmy zakazane książki. Potem zdało mi się, iż widzę siebie samego, spętanego nienawiścią, odrywanego siłą od Twych pocałunków i przeklinającego Cię za to, że pragnęłaś spędzić choć godzinę z kimkolwiek, kto nie był takim prostakiem jak ja. Pod koniec dnia, umęczony, zacząłem szukać czegoś, co mogło złagodzić ból i uchronić mnie przed obłędem.

Pogrążony w rozpaczę wziąłem pudełko, w którym przechowywałem kalamarze z atramentem (pobierałem podówcześnie lekcje rysunku), zdjąłem poszewkę z poduszki i namalowałem na niej ludzką twarz. Starąłem się, by możliwie najbardziej przypominała Twe oblicze. Potem zaniósłem tę poszewkę na pole, gdzie wiatr wciąż trzepotał garderobą posągu przebranego za kobietę. Umocowałem obrazek poniżej kapelusza. Przyznaję, nie byłem jeszcze wtedy wytrawnym rysownikiem, lecz gdy spojrzałem z oddali na swe dzieło, ponownie wydało mi się, że widzę Ciebie. I niech to, co powiem, da Ci teraz pojęcie o oplakanym stanie, w jakim wówczas znajdował się mój umysł: zasypałem pocałunkami ten kawałek materii, który miał przedstawiać



Twoją twarzyczkę, i potem czyniłem to każdego wieczora — dopóki nie nastały jesienne deszcze. Na noc ukrywałem Twój wizerunek w swej izbie.

Dzień po tym, jak namalowałem Twój portret, wydarzył się pewien incydent — z pozoru drobny, lecz obfitujący w poważne następstwa, istotę których pojąłem dopiero po pewnym czasie.

Zjadłem samotnie śniadanie (unikałem posiłków przy jednym stole z innymi służącymi i, poza wspomnianymi kolacjami z panem Are'em, posiłałem się w samotności) i udałem się do pokoju, gdzie — jak zazwyczaj o tej porze — siedział pan Are i przeglądał londyńskie gazety.

— Sir... — odezwałem się.

— Bravo! — klasnął w ręce. — Robisz znaczące postępy, Heathcliffie. Nasz mozół przynosi owoce. Wszedłeś do pokoju z podniesionym czołem, pogodną miną, właściwie ułożonymi rękoma i odezwałeś się do mnie tak, jak należy. A upłynęły ledwie dwa miesiące, odkąd wpadałeś przez drzwi niczym młody byk, z rękami zwisającymi jak polcie mięsa u rzeźnika i natychmiast wrzaskiem informowałeś o swych żądaniach. Żądaniach, a nie prośbach.

Skłoniłem się nieznacznie.

— Być może powinienem znów zachowywać się jak niegdyś. Teraz nie może pan już tak często kpić ze mnie, używając gładkich słówek.

— Nic podobnego. Cieszę się, że się zmieniłeś. Pochlebiasz sobie jednak, dobrodziej, twierdząc, iż nie jesteś już narażony na kąśliwe uwagi z mej strony.

— Co ma pan na myśli?

— Heathcliffie, nauczyłeś się przyjmować właściwą postawę i odzywać do ludzi tak, by nie uwłaczać ich godności, lecz niemal niczego ponadto. Brak ci lekkości i wdzięku. Można by cię wziąć za młodszego subiekta w sklepie, proszącego swego pana o pieniądze. Nasz tryumf jest więc na razie tylko połowiczny.

— Liczę na to, iż pod pańskim okiem pozbędę się niedociągnięć.

— Wolnego, mój panie, wolnego... owszem, nie mylisz się. Prawdziwy druh wskaże ci braki. Teraz do rzeczy. Musisz nauczyć się wchodzić do pokoju.

— Nie rozumiem, sir.

— Każdy dureń może przekroczyć próg, ale tylko dżentelmen potrafi uczynić to właściwie. Obserwuj!

Odstawił filiżankę i odrzucił na bok gazetę. Chwycił trójgraniasty kapelusze leżący na stole oraz pogrzebacz z pieca.

— Powiedzmy, że to moja laska, gdyż prawdziwej nie ma w pobliżu. Dajmy na to, iż jestem szlachcicem, który przybył, by złożyć ci wyrazy szacunku.

— Okoliczni szlachcice zwykle mają laski dzierżę w dłoni bat. Nie strój sobie żartów, Heathcliffie. Wyobraź sobie, że

mieszkaś w Londynie. A teraz wyobraź sobie lokaja, który anonsuje ci wizytę pewnego dżentelmena. I oto właśnie pojawia się on w drzwiach. — Tu pan Are stanął w progu. — Na głowie ma kapelusze, w lewej dłoni trzyma laskę, bat, pałasz... wszystko jedno. Prawą wyciąga przed siebie w grzecznym geście. Po to, aby wymienić z gospodarzem uścisk dłoni?

— Naturalnie, że nie. Patrz dalej, a sam się przekonasz. Teraz nasz przybysz przestawia nogę przez próg... o tak. Patrzy uprzejmie, wzrokiem spokojnym i uważnym, na znajdujących się w salonie ludzi... tak... i wchodzi do środka. Swe kroki kieruje ku najważniejszej osobie w pokoju... ku tobie, Heathcliffie! Prawą ręką sięga do kapelusza i chwytając jego brzeg kciukiem i środkowym palcem. Następnie zdejmując go z głowy, opuszcza na wysokość pasa i jednocześnie kłania się. Potem unosi na powrót głowę, lecz kapelusze wędruje pod lewy łokieć... właśnie tak. Przybysz powinien wysłuchać słów powitania, patrząc gospodarzowi w oczy. Cóż to? Dlaczego się śmiejesz?

— Proszę mi wybaczyć, po raz pierwszy widzę pana tańczącego ten mały menuet. Niepodobna, bym się go wyuczył.

Na chwilę zastygł w teatralnej pozycji, którą mi pokazywał, a potem wściekle cisnął pogrzebaczem w stronę kominka.

— Niech cię diabli, człowieku! Gdy byłem młody, musiałem zachowywać się w ten sposób i ty także będziesz czynił podobnie, dopóki nie zyskasz pozycji i majątku na tyle solidnego, by ludzie kłaniali się tobie. Musisz wiedzieć, co do ciebie należy. Musisz oddawać szacunek szlachcicom i bogaczom. Musisz przekonać ich o zaletach swego umysłu i charakteru. I dopiero później będziesz mógł zachowywać się tak jak ja.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz w tej chwili wszedł John. Przybrał

wielce poważną minę i starał się nadać swej masywnej figurze wyniosłą pozę. Początkowo myślałem, że przywiódł go tu huk uderzającego o posadzkę pogrzebacza, ale pomyliłem się.

— Sir — rzekł — w bibliotece zaszło coś niezwykłego.

— Niezwykłego? A cóż takiego?

— Ktoś narobił bałaganu.

No to posprzątaj tam, Johnie. Czemu przychodzisz z tym do mnie?

— Trudno mi to wyjaśnić, sir. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli sam pan zobaczy — urwał i zaraz dodał. — I pan Heathcliff także.

Nie poruszyłem się. Rzucił mi dziwne, ponure spojrzenie. Następnie wszyscy udaliśmy się do biblioteki.

Nie rozmawiałem z Johnem od czasu potyczki o północy, pomijając półsłówka, jakie wymienialiśmy w trakcie wypełniania naszych obowiązków. Wiedziałem jednak, że nadal mi nie ufa, choć starałem się zachowywać nienagannie zarówno w stosunku do niego, jak i do jego pana (któremu służył od dzieciństwa). Było mi trudno panować nad sobą zwłaszcza w chwilach, kiedy dotykałem blizny nad prawym okiem — pamiątki po tamtym spotkaniu. Pan Are upomniął go pewnego dnia, by w przyszłości nazywał mnie panem Heathcliffem. Sprawilo mi to mściwą radość: wiedziałem, iż zwracanie się do mnie w taki sposób sprawia mu większy ból niż najmocniejszy cios, jaki mógłbym mu wymierzyć.

John zaprowadził nas do alkowy, gdzie zazwyczaj przesiadywałem studiując księgi. Upłynęło parę chwil, zanim pojąłem, co zaszło. Początkowo wydało mi się, iż mój kącik przybrany jest wstążkami. Lecz nie — na stoliku, fotelu i dywanie leżały kartki powyrywane z książek. A przecież poprzedniego dnia pozostawiłem je tu nienagannie ułożone. To, co najpierw wziąłem za wstążki, okazało się plamami różnobarwnych atramentów. Nie miałem wątpliwości, że ktoś zrobił to celowo.

Spojrzałem na pana Are'a, spodziewając się wybuchu wściekłości. Miał tego ujrzałem, że uśmiecha się ponuro.

— Tak... — powiedział. Zerknął na Johna i zapytał: — Powiedz mi, komu przypisujesz ten głupi czyn?

John wpatrywał się w czubki swych butów.

— Obawiam się, że nie mogę, sir.

— A ja się obawiam, że możesz. No, mów! Służący popatrzył na mnie przebiegle.

— To atrament pana Heathcliffa.

— Owszem — odparł pan Are — przyznaję. To jeszcze jednak o niczym nie świadczy. Chcesz coś dodać?

— Zeszłego wieczora, około dziewiętej, usłyszałem w holu hałas. Wyjrzałem i zobaczyłem pana Heathcliffa, który z wielką ostrożnością zamykał drzwi biblioteki, rozglądając się na wszystkie strony. Nie zauważył mnie, gdyż stałem w cieniu, a potem wyszedł frontowymi drzwiami.

Odpowiadało to prawdzie. Zdało mi się wówczas, iż przejrzałem grę Johna. W istocie, kiedy namalowałem Twoją twarz, postanowiłem odnieść pudełko z kałamarzami do biblioteki, gdzie zwykle się znajdowało. Oczywiście chciałem uczynić to w sekrecie. Moje zachowanie wzbudziło podejrzenia Johna. Po wszystkich wszedł pewnie do biblioteki, zobaczył, że nic się nie stało i sam dokonał dzieła zniszczenia, by oskarżenie padło na mnie.

Pan Are zwrócił się teraz do mnie.

— Co masz do powiedzenia, Heathcliffie? Wzgardziłem kłamstwem.

— John ma rację. Istotnie, ostatniego wieczora wszedłem do biblioteki — przyznałem, krzyżując ramiona na piersi.

— W jakim celu?

— To moja rzecz. Zaśmiał się cicho.

— Zdziwiająca. Rzeczywiście można by przypisać ci winę. Gdzież jednak motyw?... Toż to czyn osoby dotkniętej szaleństwem!

Nagle przerwał, podniósł dłoń mówiąc:

Gdy znajdę przyczyny, wówczas wszystko stanie się oczywiste. Zostańcie tutaj — i wyszedł.

Pozostałem sam na sam z Johnem. Patrzyłem na niego zimno i twardo, chciałem zgnieść go wzrokiem. Udałem, że nie dostrzegam jego bezczelnego uśmiešku. Tykanie małego chronometru stojącego na kominku współbrzmiało z miarowym dudnieniem zegara z wahadłem, który znajdował się w holu. Wreszcie John odezwał się:

— No i dograłeś się, nie sądzisz? Zobaczymy, który z nas okaże się ważniejszy i mocniejszy.

— Głupcze! — odparłem cicho. — Do jakiej podłej sztuczki się ucie-

kłęś, chcąc mnie pogrzyżyć! Nie spodziewałem się tego nawet po takim durniu jak ty!

Zaśmiał się.

— Jesteśmy sami, panie Heathcliff. I nie musisz udawać. To z ciebie wielki głupiec. Tak skalać ciepłe gniazdko, w którym się cudem znalazłeś!

— Powtarzaj swoje bałamutne kłamstwa — powiedziałem, zaciskając pięści i powstrzymując się ze wszystkich sił, by nie udusić tego tłustego wieprza. — Wkrótce prawda wyjdzie na jaw i wtedy pożałujesz.

Wydał się niebywale zdumiony, słysząc te słowa, lecz w tej właśnie chwili pan Arc wrócił do biblioteki. Oczekiwaliśmy na jego wyrok. No? — powiedział rubaszenie. — Czemu tak patrzycie? Czy to krój mych szat tak was zadziwił? A może części mej garderoby zupełnie do siebie nie pasują?

Johnowi najwyraźniej odjęło mowę, więc rzekłem:

— Tajemnica rozlanego atramentu wciąż oczekuje na rozwikłanie.

— Sądzę, iż przede wszystkim należy go zmyć ze ścian i mebli. Johnie, bądź tak łaskaw i zajmij się tym.

John skłonił się przyjmując polecenie, ociągał się jednak z wyjściem. Nie chciał, by sprawa pozostała w zawieszaniu. Ja również wołałem, by wszystko się wyjaśniło.

— Panie Are — powiedziałem — wysunięto tu wobec mnie zarzut. Chciałbym zostać, zeń oczyszczony.

— Zarzut? Ach, tak... naturalnie. Wiedz, że nikt cię już nie oskarża — niecierpliwie machnął dłonią.

Odpowiedziałem na to lekkim ukłonem. Pozbierałem te książki, które jeszcze nadawały się do czytania, i zamierzałem wyjść. John wyglądał jednakże na niezadowolonego.

— Sir! Przecież widziałem go, jak wychodził z tej komnaty! Widziałem na własne oczy!

Pan Are zmarszczył brwi.

— Nie wątpię w to. Czy możesz jednak przysiąc, że nikt inny nie odwiedził biblioteki. A może jesteś jasnowidzem? Johnie rozkazałem ci coś!

Początkowo twarz Johna zdradzała zmieszanie, ale na dźwięk ostatnich słów ukłonił się nisko i zapewnił:

— Dopilnuję, aby wszystko doprowadzono do ładu. Potem wyszedł.

Najpierw myślałem, że pan Are upomniał Johna, by zwracał się do mnie z większym szacunkiem. Potem jednakże przestałem być tego pewien. John wyglądał na szczerze zakłopotanego. "Wyszedł dopiero, gdy usłyszał słowa: „rozkazałem ci coś". Czy poinformowano go w jakiś tajemniczy sposób, kto był sprawcą zajścia? Służącego i jego pana mogła łączyć zмова, natury której nie potrafiłem zgłębić.

Po tym incydencie znowu nabrałem podejrzeń w stosunku do pana Are'a, wówczas miałem jednak zbyt mało czasu, by to przemyśleć. Nagroda, na którą pracowałem, leżała w zasięgu mych możliwości — musiałem ją zdobyć. I zdobyłem. Chłonałem nauki pana Are'a, wyuczyłem się fechtunku, tańca i muzyki. I daję głowę, lekcje nie poszły na marne, gdyż (Jak powiedział John) pan Are dbał o mnie bardziej, niżli na to zasługiwałem. Czasem, rzecz jasna, spotykały mnie niepowodzenia. Wówczas szukałem pociechy w jeździe konnej, w której byłem prawdziwym mistrzem. Przewyższałem w tej sztuce wszystkich w okolicy.

Ujeżdżanie Belzebuba było najmiłszym z mych zajęć. Uwielbiałem tego konia, cieszyłem się z tego, że stawał się mi coraz bardziej posłuszny. Lecz przede wszystkim, zawsze z drżeniem, oczekiwałem chwili, by wyjechać na łączkę i spojrzeć na Twą podobiznę. Katy — na kamień przystrojony kobiecymi ubraniami, który dla mych zamglonych miłością oczu był TOBĄ. Wyobrażałem sobie, iż widzę pióra kołyszące się na kapeluszu, oceniającym Twe oblicze. I że jak dawniej biegniesz ku mnie przez bruzdy zaoranego ugoru. Takimi to wizjami drażniłem swą wyobraźnię, pozwalając Belzebubowi kłusować po skraju pastwiska (wciąż trzymałem go z dala od figury w damskim stroju) i ludziłem się, że jakimś cudem marzenia stają się rzeczywistością: Hindley zapija się na śmierć, a Ty dowiadujesz się, gdzie jestem, przybywasz tu i na powrót zabierasz mnie do Wzgórz. Albo zatrzymujesz się w Hay podczas podróży do Londynu; wychodzisz rozejrzeć się po okolicy i właśnie przemierzasz tę łączkę. Naraz znajduję się u Twego boku. Patrzysz na mnie i nie możesz się nadziwić. Z radością wyciągasz ku mnie ramiona, biorę cię na siodło i pędzimy przed siebie... dokąd? Niestety przychodziło otrzeźwienie: na Twój widok Belzebub wpadłby w szal i stratowałby nas oboje.

I tak błąkałem się między baśnią i rzeczywistością. A jednak coś odmie-

niło ten stan. Pewnego dnia John krzyknął do mnie ze skraju łąki. Nie chciałem, by odkrył mój sekret, nie zdjąłem więc z kamienia maski z Twym wizerunkiem i posłuszny jego wezwaniu, ruszyłem w stronę domu.

Okazało się, że pan Are ma dla mnie zajęcie — kazał zawieźć się do Millcote, gdzie miał do załatwienia jakiś interes. Spędziliśmy tam resztę dnia. Wieczorem pogorszyła się pogoda, zrobiło się bardzo zimno i wietrznie. Zaczął padać śnieg. Cały czas wracałem myślami do Twojej podobizny smaganej wichrem na wilgotnej łące. Niemal do obłędu przywodziła mnie świadomość katuszy, jakie spotkały... nie Ciebie przecie, a kamienny posąg.

Przy pierwszej sposobności pobiegłem na pastwisko.

Śnieg przestał już padać, wciąż panował jednak przenikliwy chłód. Strzępy ciężkich chmur przesłaniały lśniąca tarczą księżycą w pełni. Poślizgnąłem się na mokrej trawie. Naraz wiatr przegonił chmury i srebrny blask rozświetlił łąkę. Podniosłem głowę.

Jak zawsze pomyślałem, że widzę Ciebie, lecz nie! Nie... Ty nigdy nie mogłabyś tak wyglądać! Stała przede mną kobieta z krwi i kości, ale jej oblicze napawało odrazą: było bezkształtne i obrzmiałe. Patrzący na mnie czarne oczy, a rozedrgane, sine usta wykrzywił ohydny uśmiech. Wicher rozwiewał kosmyki splecionych włosów. Zamarłem ze strachu. Upadłem na kolana i ukryłem twarz w dłoniach. Po chwili wróciłem do zmysłów i znowu otworzyłem oczy. Wierzyłem wtedy i nadal wierzę, że ziemię nawiedzają duchy i zmyry, lecz owa złuda musiała być diabelską sztuczką księżycowego światła.

Podpełzłem bliżej i zrozumiałem, co się stało. Mokry śnieg rozmazał kontury twarzy, którą namalowałem atramentem na białej materii. Wiatr porozrywał tkaninę i nadal wprawiał ją w ruch. To dlatego wydawało mi się, że widzę trzęsące się obleśnie wargi. Odbicie Twojej pięknej twarzy zmieniło się w groteskową maskę.

Wzdragając się, ściągnąłem ją z kamienia i porwałem na setki kawałków. Potem rozrzuciłem je wokół. Pozbywszy się przerażającego wizerunku, postanowiłem zdjąć zeń ostrożnie całą garderobę. Wstrząsnęły mną jednak ryty na kamieniu, tam gdzie uprzednio widniała twarz. Za sprawą zdradliwego blasku księżycy lub mej wyobraźni nacięcia ułożyły się w wizerunek, który przed chwilą zniszczyłem z takim obrzydzeniem.

Naraz kątem oka dostrzegłem biały kształt powiewający nad murem na

skraju pola. Zniknął zaraz w gąszczu cierni. Trzęsąc się z zimna i wrażenia popędziłem w tamtą stronę, ale gdy dobiegłem do ciemnych, poskręcanych krzewów, niczego już nie dostrzegłem. Niczego, poza odciskiem drobnej stopy w topniejącym śniegu przy murze. Potem chmury na nowo przesłoniły księżyc. Niepodobna było nic odnaleźć w ciemnościach, jakie nastąpiły. Wróciłem do siebie.

Tej nocy i przez wiele kolejnych spałem bardzo źle. Nawiedzał mnie koszmar, który widziałem na łące. Śniłem, że tamta straszna zjawia przechadza się utykając po całym domu i otwiera wszystkie drzwi. Miał twarz maska — zniekształcone Twoje oblicze. A może moje własne? Za ostatnimi drzwiami nie znajduje sypialni, tylko rozgwieżdżony firmament nieba. Unosi się ku niemu i znika. Tak kończył się sen.

Następnej nocy przyśniło mi się coś innego: usłyszałem stukot ciężkich kroków o kamienną posadzkę stajni. Owładnął mną okropny strach — serce waliło w piersiach jak oszalałe! Potem odgłos ołowianych stóp przesunął się ku schodom wiodącym do mej izby. Rozległ się zgrzyt klamki. I wówczas ona, skąpana poświęcią księżycą, stanęła u wezłowia mego łóża. Spojrzałem na nią bezgranicznie przerażony i na miejscu twarzy dostrzegłem omszały głaz.

Zmora była kobietą. Pożądała mnie. Zwaliała się na mnie niczym granitowa płyta sarkofagu na nieboszczyka. Ciężki kamień uderzył o me czoło...

Przebudziłem się zlany potem — choć było tak zimno, że woda w dzbanie obróciła się w lód. Zszedłem na dół i resztę nocy spędziłem przykucnięty między końmi.

Następnego dnia było jeszcze gorzej. Bałem się każdego człowieka, jakiego spotykałem. Damskie stroje, w które przebierałem kolumnę na łące, przeniosłem do szafy w stajni. Korzystała z niej cała służba. Liczyłem, iż tym sposobem pozbędę się nocnych koszmarów. Potajemnie, trzęsąc się ze strachu, wyciągałem je stamtąd każdego dnia i szedłem na pastwisko. Na widok kolumny wzdragałem się z odrazą. A jednak nie zaniechałem prób z Belzebubem. Gdybym z nich zrezygnował, przyznałbym się tym samym do szaleństwa. A tego bynajmniej nie pragnąłem. Nie ubierałem już kamienia z dawną pieczołowitością, wprost przeciwnie: każdą część odzieży narzucałem krzywo, byle jak. Lecz kiedy tylko odwracałem się tyłem, ubrania same po-



rządkowały się na kolumnie z obłądną konsekwencją. I — wbrew wszelkiej logice — figura z każdym upływającym dniem bardziej przypominała żywą istotę.

Wiedziałem, że prześladują mnie zwidy. Nienawidziłem ich i opierałem się im z całą mocą. Wkrótce opiszę, co z tego wynikło.

Szkoiliłem Belzebuba przez całą zimę. Koło kwietnia koń przywykł już do widoku kobiecej postaci. Codziennie objeżdżałem wokół łączkę dwadzieścia razy. Przemykaliśmy jakieś dziesięć stóp od nieruchomej, fałszywej niewiasty. I jestem pewien, że obawiałem się bardziej niż rumak, który zdawał się nie zwracać na nią najmniejszej uwagi.

Jednak tylko z pozoru. Wyczuwałem, jak spinał się cały, w każdej chwili gotów stanąć dęba. Zdecydowałem się poddać go próbie. Nie przejadę mimo kukły, lecz skieruję konia wprost na nią i przystanę najbliżej jak się da. Jeśli pozostanie spokojny, wynagrodzę go kilkoma jabłkami, za którymi przepada. Jeżeli nie, pozostanie mi zjeść owoce samemu.

Pamiętam, że zaczęła się już odwilż. Chociaż w lesie i w sadzie było jeszcze trochę śniegu, to wzgórza tonęły w nieśmiałej świeżej zieleni. Grunt rozmiękł, a nad potokami snuła się mgła. Jasno świeciło słońce, na najwyższej gałęzi drzewa śpiewał kos. Lekki wietrzyk niósł zapach wiosny. Jak zwykle ustroiłem kamienny słupek, wróciłem po Belzebuba i ponownie ruszyłem na pastwisko.

Koń zachowywał się normalnie — pewnie i spokojnie stapał ku figurze, którą widział już przecież setki razy. Stała dumnie w promieniach wiosennego słońca, wiatr wprawiał w ruch falbanki jej garderoby. Kamienna kolumna ustrojona w kobiece ubrania.

Nagle, w ułamku sekundy, figura ożyła na moich oczach: poruszyła biodrami i wzniosła ku niebu ramiona. Zaczęła kroczyć w moją stronę.

Rumak podskoczył i zarżał głośno, tocząc pianę z pyska. Chciał zmiażdżyć kopytami nacierającą nań kobiecą postać.

Powściągnąłem go z całych sił. Opierał się: parskał i wierzgał, udało mi się jednak zmusić go do cofnięcia się o parę stóp. Mocno dzierżyłem wodze, by utrzymać się w siodle. Kolanami i piętami starałem się poskromić rozwścieconą bestię, nie spuszczać jednocześnie oka z ohydnej figury, która wciąż

kroczyła ku mnie.

Cofałem Belzebuba krok po kroku. Naraz zarył się kopytami w ziemię, wyrwał do przodu, minął odrażającą, wymachującą ramionami postać i wspaniałym susem przesadził kamienny mur.

Odwróciłem głowę w sekundzie — jeszcze raz musiałem spojrzeć na tę przeraźliwą zjawę.

I wtem napotkałem zaskoczony wzrok Johna. Siedział przyczajony za murem, wciąż trzymając w dłoniach sznurki przyczepione do rękawów i sukni fałszywej niewiasty.

Wyleciałem z siodła i upadłem na ziemię o kilka jardów od Johna. Impet sprawił, że przekoziółkowałem i upadłem na niego. Przycisnąłem go do muru i — zanim zdałem sobie sprawę z tego, co robię — zacisnąłem mocno palce na jego gardle. Zaczął rżęzić i ten dźwięk przywrócił mi świadomość. Musiałem zwolnić uchwyt, w przeciwnym razie pozbawiłbym tego łajdaka życia. Złapałem go za barki i zacząłem nim potrząsać. Wypłuł kilka wybitych zębów.

— Czemuś to zrobił? — zapytałem, dysząc ciężko.

— To był żart. Niech mnie pan puści, panie Heathcliff.

— Nie, to nie żart — zaprzeczyłem. — Wiedziałeś, że koń mógł mnie stratować. Dlaczego więc? Dlaczego mnie nienawidzisz?

— Już mówiłem, to był tylko żart. Wyśledziłem tę maskaradę i postanowiłem się nieco zabawić.

Jeszcze raz nim potrząsnąłem.

— Nie wykpisz się! Nienawidzisz mnie od chwili, kiedy ujrzałeś mnie po raz pierwszy. Mówiłeś, że obawiasz się o swego pana, ale przecież nie uczyniłem mu żadnej krzywdy. Nie zrobiłem mu nic złego. Wprost przeciwnie, ciężko dla niego pracowałem. Ty jednak wciąż mi przeszkadzasz. Dlaczego?

Oczy uciekły mu w głąb czaszki. Pojąłem, że traci przytomność. Puściłem go. Sapiąc i dławiąc się, chwycił się za szyję drżącymi dłońmi. Pomogłem mu poluźnić krawat.

— A teraz — rozkazałem, gdy znowu zaczął oddychać normalnie — mów.

Spojrzał na mnie załzawionymi oczyma i prędko odwrócił wzrok. Dłonią

uczynił znak krzyża.

— O nie, nic z tego! — krzyknąłem, tracąc cierpliwość. — Odpowiadaj! Skrzywił się z odrazą i rzekł:

— Chcesz znać prawdę? Przejrzyj się w zwierciadle.

— Co takiego? Co to znowu za sztuczki?

Ponownie go chwyciłem, lecz natychmiast puściłem, widząc, że się wzdraga.

— Nie skrzywdzę cię, jeżeli mi odpowiesz. Pomyślałem: to moja śniada cera i ciemne, cygańskie oczy

napawają go obrzydzeniem. Zawsze będzie knuł przeciw mnie.

— Nie mogę mówić jaśniej — powiedział błagalnie. — Złożyłem przysięgę i nie mogę jej złamać.

— Jaką przysięgę? — spytałem. — Tajemnice! Zagadki! Cóż twoja przysięga może mieć wspólnego z moją twarzą?

Najwyraźniej obawiał się, że znowu wpadnę w gniew, bo zaczął się trząść.

— W domu tylko z pozoru wszystko toczy się dobrze — rzekł. — A twoje pojawienie się było złą wróżbą... złym znakiem dla pana Edwarda i wszystkich, którzy mu służą.

Wówczas wspomniałem słowa pana Are'a: byłem podobny do jego zmarłego, starszego brata. Nie wiedziałem jednakże, dlaczego miałoby to stanowić zły znak. Gdy zastanawiałem się nad tym, John wstał i otarł usta wierzchem dłoni.

Jeśli jesteś diabłem, na jakiego wyglądasz, wtedy nic nie zdoła cię poruszyć. Lecz jeśliś niewinny, posłuchaj uczciwej rady: opuść to miejsce, bo inaczej doprowadzisz dom i ludzi do ruiny i zagłady — powiedział.

Pozwoliłem mu uciec. Nie był wart tego, by go gonić. W moim umyśle wirowały kamienne kobiety, złowieszczy służący, rżące konie, plamy krwi i atramentu — osoby, posągi, zwierzęta zbite w gromadę i wrogie mi.

Po jakimś czasie — nie wiem, ile minut mogło upłynąć — podniosłem głowę i zobaczyłem Belzebuba spokojnie skubiącego wiosenną trawę. Ani śladu furii, która kazała mu zrzucić mnie z siodła. Wrócił do mnie, wiedziony przyzwyczajeniem lub przywiązaniem. Podniosłem rękę i pogłaskałem jego pysk. Pochylił łeb i zaczął chrupać coś, co znalazł na ziemi. Było to jedno z

jabłek, jakie dlań chowałem. Wyspały się z mej kieszeni w czasie walki z Johnem. Powiew wiatru poruszył rąbkiem sukni sztucznej kobiety. Belzebub drgnął, a potem ponownie zajął się owocem.

Tak więc słup, obwieszony starymi łańchmanami, dręczył zarówno wspa-  
niałego wierzchowca, jak i mnie, krzepkiego człowieka. Czemu na to  
pozwaląłem? Wstałem, odwróciłem się, podszedłem do kolumny i zacząłem  
zdejmować z niej ubranie.

Zebrałem potem wszystko — pelerynkę, suknię, gorset, kapelusz — i po-  
kazałem Belzebubowi. Materiałem peleryny potarłem o jego pysk. Ścierpiał  
to, choć prychnął nieco. Nie przestał żreć jabłek.

A potem zacząłem zakładać zdjęte z kamienia rzeczy na swe własne  
ubranie. Były na mnie za małe i za ciasne, lecz naruszone czasem i słotą  
szywy łatwo się pruły. Jednak nieprędko się i z tym uporałem, gdyż drżały mi  
ręce.

Belzebub obserwował ponuro moje poczynania. Zacząłem nucić starą  
balladę, którą zawsze mu śpiewałem. Chciałem, by pojął, że postać przed  
nim to ja, jego ukochany pan, który teraz przebrał się tylko za wroga.

Gdy miałem na sobie już cały kostium, przestałem śpiewać.

— No — odezwałem się — i co teraz zrobisz? Czy zmiażdżysz mi głowę  
kopytami? A może okażesz się zmyślnym zwierzęciem i pozwolisz mi wró-  
cić na siodło? Nie odpowiadasz, więc trzeba się przekonać, co wybierzesz.

Włożyłem stopę w strzemiono. Suknia sprawiła mi kłopot, lecz jakoś  
usadowiłem się na grzbiecie Belzebuba. Wstrzymałem powietrze w płucach,  
potem odetchnąłem z ulgą. Koń był łagodny jak baranek.

Powiodłem go do stajni. Trzymałem w dłoni damski kapelusz, zniszczoną  
suknię podwinąłem nad kolana. Tego dnia nie dbałem o to, co powiedzą  
domownicy na mój widok. Na podwórzu natknąłem się na pana Are'a. Pew-  
nie napotkał już pokiereszowanego Johna i wysłuchał jego opowieści.

Gdy ujrzał mnie w tym osobliwym stroju, uśmiechnął się szeroko.

— Nigdy nie dałbym wiary, że zobaczę kogoś w sukni na grzbiecie Bel-  
zebuba! — rzekł. — Wiedziałem, iż coś knujesz, ale dopiero dziś dowiedzia-  
łem się co. Wygrałeś!

— Na razie owszem — przyznałem. — Być może w przyszłości czekają  
mnie inne bitwy, ta jednak dobiegła już końca.

Zeskoczyłem z konia, zerwałem z siebie zniszczone, kobiece ubrania i cisnąłem je na stos z odpadkami. Pan Are pogratulował mi i gorąco uściśnął mą dłoń.

— Ale cóż to, Heathcliffie? — spytał, wskazując na moje czoło, na którym najwyraźniej pozostały krwawe ślady po bójce. — Wojenne rany?

Przyglądał mi się bacznie, by — jak sądziłem — porównać moją odpowiedź ze skargami Johna.

— Nic poważnego — odparłem. — Spadłem z konia, gdy przeskakiwałem mur.

Nie chciałem, by John mógł nazwać mnie oszustem. Poza tym podejrzewałem, że pan i sługa zmówili się przeciwko mnie, choć nie miałem pojęcia, co zamierzali osiągnąć. Kiedy czegoś nie pojmowałem, wołałem być ostrożny. A biała postać, która zniknęła pomiędzy cierniami owej zimowej nocy? Wielka stopa Johna nie mogła pozostawić na śniegu tak małego odcisku.

Jedno wiedziałem na pewno: pogrzebałem upiora kobiety z łąki. Już nigdy nie będzie przechadzała się nocami po domu w Thornfield — przynajmniej nie w moich snach.

\* \* \*

Żyję. Wydaje mi się, że będę żyć zawsze. Leżę w łóżku i rozmawiam z Tobą. Zawsze byłeś blisko mego serca i słyszałeś jego wołanie. I teraz także mnie słyszysz, jestem tego pewna.

Czy pamiętasz, jak użyczałeś mi swych nóg? Nagle stałeś się wyższy i silniejszy ode mnie. Twe nogi były dłuższe niż moje, a jednak nie pozwoliłam, byś nade mną zapanował. Wskoczyłam ci na plecy, uszczypnęłam w uszy, a Ty spytałeś tylko:

— Dokąd teraz, Katy?

I biegłam, choć to Ty poruszałeś nogami.

Sam mówiłeś, że czujesz, jak moje myśli kierują Twymi kończynami. Tak, jakby rozkazy biegły z Twego mózgu. Twe stopy, chcąc nie chcąc, zmierzały tam, gdzie pragnęłam, by mnie niosły — za bramę, wzdłuż muru, z powrotem do domu. Śmiałeś się, gdyż Twoje ciało słuchało mnie, a nie Ciebie. I czułam pod swymi stopami piasek, po którym szedłeś.

Kiedy przestaliśmy się w to bawić? Kiedy bawiliśmy się ostatni raz? Dlaczego nie odpowiadasz?

## 7.

Nastało lato. Minęła właśnie rocznica mego przybycia do Cierniowego Pola. Belzebub powrócił do łask pana Are'a, więcej, stał się jego ulubionym wierzchowcem. Ja zająłem się Minerwą, piękną, gniadą kłaczą.

Najpierw muszę jednak napisać o dziwnych następstwach ostatniej bójki z Johnem. W czasie tamtej szarpaniny uderzyłem głową w mur, i to mocniej, niż początkowo mi się zdawało. Rana na czole wyglądała groźnie i dostałem gorączki. Pan Are wezwał medyka, który upuścił mi krwi i nakazał pozostać w łóżku. Buntowałem się przeciwko takiemu zaleceniu i (z powodu gorączki) nie pojmowałem jego przyczyn. Kilka razy próbowałem wstać i wziąć się za pracę w stajni. Lekarz oświadczył, że jeśli przypadkiem doznam jakiegoś urazu, to on nie będzie odpowiadać za jego skutki. Tak więc pilnowano mnie dzień i noc, bym nie wychodził z łóżka, póki nie minie gorączka. Najpierw czuwał nade mną Daniel, a potem przyszła kolej na Johna.

Łatwo wyobrazić sobie, jak zareagowałem budząc się ze snu i widząc Johna siedzącego na krześle przy mym łóżku. Pomyślałem, że znalazł mnie tu, by wykorzystać moje osłabienie i zamordować mnie — zadusić poduszką, a potem powiedzieć, że zmgła mnie choroba. Usiadłem i zacząłem gorączkowo rozglądać się za czymś do obrony, ale John rzekł:

— Nie, panie Heathcliff, proszę tego nie robić. Nie musi się pan mnie obawiać.

Opadłem z powrotem na poduszki. Nie mogłem się niemal poruszyć (jestem pewien, że do mego bulionu dodano opium) i myślałem, że ten człowiek igra sobie ze mną. Rozkoszuje się godziną swego tryumfu, zanim ostatecznie mnie unicestwi. A jednak ilekroć obudziłem się i otrząsałem z majaków, tyleż razy widziałem, że siedzi przy mnie spokojnie. Jedynie świeca wypalała się coraz bardziej, a pokój tonął w mrocznej poświacie jej płomienia.

Po pewnym czasie przyszła mi do głowy inna myśl: być może pan Are nie uwierzył w opowiadanie Johna i pod groźbą zwolnienia ze służby zalecił mu wobec mnie nienaganne zachowanie. Mimo oszołomienia gorączką i lekarstwem, dostrzegłem, że John przygląda mi się z ciekawością, a to nie mogło wynikać przecież z żadnego rozkazu. W jego oczach czaiło się zdumienie — tak jak uprzednio zdawał się dostrzegać coś interesującego w mej twarzy. O ile jednak dawniej drżał na mój widok ze strachu i odrazy, o tyle teraz — chyba się nie myliłem — był najwyraźniej zafascynowany i nie mógł oderwać ode mnie wzroku.

Znowu zapadłem w drzemkę, a kiedy przebudziłem się, poczułem, że John trzyma me dłonie w swoich. Wyrwałem je gwałtownie, niczym człowiek, który włożył rękę do gniazda żmij.

Gdy w pełni wróciłem do zdrowia, doszedłem do przekonania, że John wcale się nie zmienił i że inny był tylko w moim chorym umyśle. Myliłem się jednak! Wciąż czuwał nade mną z niepojętym oddaniem. Znikły gdzieś jego dawna wrogość i pogarda, na ich miejsce przyszła troskliwość, szacunek i coś, co mogę nazwać tylko niebywałym zdumieniem i ciekawością. Baczyl na mnie w najmniej oczekiwanych chwilach: zaglądał do biblioteki, kiedy nauczyciele udzielali mi lekcji, wpatrywał się we mnie, gdy ćwiczyłem z panem Aresem szermierkę. Budziło to we mnie niepokój. [ wkrótce już serdecznie pragnąłem, by John stał się taki jak dawniej.

Przez cały czas pilnie pobierałem nauki. Czytałem już tak szybko, jak w dobrych czasach wczesnej młodości i potrafiłem błyskawicznie pojmować i zapamiętywać nową dla mnie wiedzę. Podobnie działo się ze sztukami innego rodzaju — z boksowaniem, strzelaniem, fechtunkiem. Te również nie sprawiały mi większego kłopotu. Początkowo ustępowałem panu Are'owi w szermierce, lecz pewnego razu udało mi się zręcznym ruchem wyłuskać mu floret z dłoni. Pan Are nie złościł się, że zaczynam go przewyższać w kilku dziedzinach. Przeciwnie, chwalił me postępy, chociaż czasem nieco kąśliwie.

Przez minione miesiące lepiej poznałem charakter pana Are'a.

Lepiej, lecz bynajmniej nie całkowicie. Gdy dowiadywałem się o nim czegoś nowego, natychmiast pojawiały się kolejne zagadki. Mimo wszystko, ujmując rzecz w całości, coraz bardziej lubiłem swego chlebodawcę.

Ludzie służyli mu ze szczerym oddaniem, chociaż czasem bywał kapry-

śny albo despotyczny. Początkowo sądziłem, iż pragnie pokazać swoją władzę i siłę i woli, by nieszczęśnicy, którzy mu służyli, bali się go i nienawidzili, miast kochać i poważać. A jednak wszyscy darzyli go właśnie szacunkiem i uwielbieniem. Daniel, pani Fairfax, Leah i pozostali służący w rozmowach, jakie zdarzało mi się słyszeć, nie przestawali wychwalać swojego pana. (Ze mną nie dzielili się opiniami. Zbyt niejasne miejsce zajmowałem wśród domowników, zbyt dziwaczny im się zdawałem, by uznać mnie za swego!) Czemu jednak miłowali swego napuszonego, chimerycznego pana?

Stopniowo zaczynałem to rozumieć. Choć pan Are czasem używał szorstkich słów, choć często wyrzaskiwał rozkazy i straszył, że wszystkich powyrzuca, to nie zdarzyło się, by kogokolwiek w Cierniowym Polu spotkała kara. Za przykład niech posłuży pewne zdarzenie. John lubił długo wylegiwać się w łóżku i miał zwyczaj ziewać w obecności pana Are'a, kiedy ten spożywał posiłek. Pan Are niezmiennie powtarzał z irytacją w głosie:

— Johnie, powinienem osobiście cię wychłostać. I zrobię to, jeżeli jeszcze raz przyłapię cię na tym oburzającym rozdziawianiu gęby!

Pewnego poranka John znów zachował się nieodpowiednio. Pan Are zerwał się z fotela, przewracając filiżankę kawy.

— Ach! Znowu to zrobiłeś! Miarka się przebrała, musisz dostać nauczkę! Odejdź teraz, lecz staw się w tym pokoju dokładnie o piątej po południu. Wówczas, na oczach wszystkich mieszkańców Cierniowego Pola, zostaniesz ukarany chłostą. Dwadzieścia kijów!

Ku memu zdziwieniu John wyszedł absolutnie spokojny i zamykając drzwi, stłumił jeszcze jedno ziewnięcie. A o piątej wraz z pozostałymi domownikami byłem świadkiem, jak John, zamiast dwudziestu plag, dostaje od swego pana dwadzieścia szylingów oraz upomnienie, by wysypiał się, kiedy na to pora!

Wydawało mi się to zabawne, choć niepoważne. Pan Are codziennie wykpiwał na głos ludzkie słabotki. I zwykle czynił to brutalnie, bezwzględnie. Sam nieraz zaciskałem zęby z wściekłości, wysłuchując napastliwych uwag. Potem zauważyłem jednak, że kiedy pomstował na innych, jego docinki były nie mniej okrutne. Nie chciał nikogo zranić, droczył się tylko, sarkał na ludzkie przywary — a to na fakt, że Leah zbyt często wybuchała chichotem, to znów na sztywną wyniosłość pani Fairfax. Tak więc pan Are roztropnie sta-



rał się utrzymać u siebie wierną służbę, która wybaczała mu pewną nieobliczalność tym łatwiej, że nie był skąpcem.

Pomyślisz zapewne, że pan Are to szlachcic i ziemianin, żyjący dostatnio i rozrzutnie. Człowiek, dla którego życie jest nieustannym karnawałem. Nic podobnego. Słyszałem, jak zaśmiewał się do rozpuku, lecz dobiegały mych uszu także jego rozpaczliwe krzyki, histeryczne wysiłki, by przeciwstawić się... Czemu? Komu? Monstrum, które widział tylko on sam? Nie wiedziałem tego, pojąłem jednak, że coś pchało go ku przepaści.

To śmiał się i żartował, to zapadał w głęboką zadumę. W milczeniu zmagał się z prześladowającymi go demonami. W takich chwilach potrafił nagle porzucić swe codzienne zajęcia, dosiadał Belzebuba i galopował okolicznymi drózkami. Lub bez uprzedzenia porzuczał Cierniowe Pole — wsiadał do powozu i kazał wieźć się do Londynu albo ku swym posiadłościom w innych zakątkach Anglii. Leah powiedziała mi, że domatorem stał się dopiero na kilka miesięcy przed moim przyjazdem. Wcześniej bywał w Cierniowym Polu niezwykle rzadko i nigdy nie zatrzymywał się tu na dłużej.

A więc być może za sprawą mojej osoby pan Are nieczęsto stąd wyjeżdżał? Czy czułem, jak serce rozpiera mi duma? Czy fakt, że wzbudziłem zainteresowanie w innym człowieku, cieszył mnie? Nie wiedziałem, żyłem we mgle nieświadomości, z której wydostałem się całkiem niedawno (o tym opowiem później). Pamiętam jednak myśl, która zaprzętała mój umysł: oto wreszcie wszystko na tym świecie ułożyło się pomyślnie. Wszystko, z wyjątkiem tego, że nie było Cię w pobliżu mnie.

Cały rok jadałem kolacje z panem Are'er w stajni. Kiedy przyszły mroźne, zimowe dni, spożywaliśmy wieczerę w mojej izbie na górze. Jednakże, gdy tylko stopniały śniegi, powróciliśmy do towarzystwa koni i raczyliśmy je swym widokiem.

Pewnej nocy w środku lata ucztowaliśmy jak zwykle: posilaliśmy się szparagami, ostrygami i obranymi granatami. (Pan Are zawsze kazał przygotowywać potrawy, których jedzenie wymagało specjalnej zręczności. Był zachwycony, ilekroć dawałem sobie z nimi radę.) Noc była ciepła, zdjeliśmy kamizelki i wyszliśmy ze stajni, trzymając w dłoniach kielichy napełnione winem. Udaliśmy się do sadu, by pooddychać świeżym powietrzem. Usiedliśmy na chłodnej trawie, rozgwieżdżone niebo sączyło delikatne światło na

wilgotną dolinę. Wokół szeleściły miriady świerszczy.

Wesoły ogień rozświetlił na moment mrok nocy. To pan Are zapalił cygaro. Tytoń napawał mnie odrazą — zatruwał tak umysł, jak ciało.

— Twoja wizja świata opiera się na pewnej sprzeczności — rzekł, wracając do rozmowy, którą przerwaliśmy przed kwadransem. — Chciałbyś czerpać korzyść z ustanowionych praw, jednak sam je lekceważysz.

— Po cóż mnie, człowiekowi bez rodziny i majątku, prawa wymyślone przez innych? Ustanowione, by chronić przywileje i bogactwa ludzi jednej tylko sfery.

— Możesz zdobyć majątek. Zważ, że wówczas te prawa będą ochraniać również ciebie.

— I wtedy prawo nie zda mi się na nic — odparłem. — Jeśli dojdę do bogactwa, będę to zawdzięczać wyłącznie sobie, swej sile i rozumowi. Dzięki temu również nikt nie pozbawi mnie tego, co zyskam. Jeżeli utracę majątność, będzie to oznaczać, że przestałem być mocnym człowiekiem, któremu udało się wzbogacić. W istocie każdy związany jest z tym, co posiada. To pewne.

— Nie zgadzam się — odpowiedział. — Zostawmy jednak na razie ogólne refleksje i zajmijmy się oczywistym błędem w twoim rozumowaniu. Twoja obecna pozycja wynika z nienaruszalnego prawa własności. Gdyby nie ono, wszyscy w okolicy wznicieliby bunt i podzieliliby między siebie setkę moich akrów. I wtedy nie miałby cię kto ubrać i opłacić nauczycieli.

— Utrzymuje pan włości dzięki swej sile. A moja własna sprawiła, że stał się pan moim dobrodziejem.

— Zimna i wyrafinowana riposta, Heathcliffie, w istocie godna ciebie. Nie sposób jednak poważnie rozważać twych teorii. Gdyby wszystko zależne było od siły pojedynczych ludzi, świat pogrążyłby się w chaosie... mistycyzmie... anarchii!

— Bynajmniej. Mój system, rozumnie wprowadzony w życie, zaprowadziłby wszędzie ład i harmonię. Zaraz tego dowiodę. Dlaczego pańskie wspaniałe prawa są takie bezwzględne?

Pan Are zaciągnął się dymem, by zyskać parę sekund na zastanowienie. Wreszcie rzekł:

— Spisano prawa, którymi rządzi się ludzkość, zachowując najwarto-

ściowsze zwyczaje i radząc się głosu sumienia. Przestrzegane i egzekwowane właściwie, pozwalają żyć jednym ludziom obok drugich. Naturalnie, nie może obejść się bez pewnych wyrzeczeń, ale zasadniczo tylko w ten sposób większość istot będzie w stanie zrozumieć, co to szczęście.

Pluję na to pańskie „szczęście”. Dotyczy jedynie tych, których sakiewki pełne są złota. Pracują na nich inni, którzy aż za dobrze wiedzą, jak gorzkie może być życie.

— Lecz niepohamowana, okrutna siła zmiotłaby tak wielu prostych ludzi. Nasyliby się jedynie najmocniejsi.

To właśnie w mocy i sile tkwi istota życia — powiedziałem. — Czy życie osobnika o silnej woli nie jest warte egzystencji setek ludzi słabych, pozbawionych charakteru? Coś musi spajać te niezliczone atomy, z których, jak mnie nauczono, składa się wszechświat. Coś musi wprowadzać je w ruch.

Czerwony ogień przeciął czerń nieba. To pan Are cisnął niedopałek ku zgarbionej jabłoni.

— Twierdzisz tak, bo zdaje ci się, że sam jesteś mocarnym, wspaniałym człowiekiem. I nic cię nie obchodzi, co inni sądzą o tobie.

— Nie. Powiedziałem to, co uważam za niepodważalną prawdę. Tak, ma pan rację. Nie obchodzi mnie pomyślność całej ludzkości. A jednak wierzę, że jeśli będę trzymał się swych przekonań, to moje życie stanie się wspaniałe. Jeśli pojmą to inne dusze, jeśli wszyscy będą zmierzać do tego samego celu, to świat rozkwitnie tak, że wprawi w osłupienie nasze strudzone oczy. Poznamy to, co nieznanne i niemożliwe do objęcia ciasnym umysłem.

Wówczas anarchia, szaleństwo i zbrodnia zniszczą ziemię. Każdy szaleńiec, Heathcliffie, będzie mógł zatruwać mózgi innych swą chorą filozofią. Ludzie opętani obłędem potrafią wywierać wielki wpływ i dlatego są najmniejbezpieczniejsi. Nie, porzuć swe myśli!

Czy w takim razie uważa się pan za ateistę?

— Czemu tak sądzisz?

— Zakłada pan, że wszystko, co nowe, rodzi się w chorych umysłach. W moim świecie istnieje bóg, diabeł oraz duchy, które nas prowadzą. Wpływają na nasze losy. Musimy nauczyć się odbierać ich przesłania, słyszeć ich słowa.

Twój system jest średniowieczny, groteskowy — odrzekł. — Bóg,

prawdziwy Bóg, wiedzie nas drogą dobra, a nie mrocznymi zaułkami, w których czai się szaleństwo, rozpacz, uluda.

— Brak panu wiary — powiedziałem. — I nic dziwnego: pański daleki Bóg nie czyni prawie nic, by nam dopomóc. Mój dopuszcza, by rozkosz i ból istniały tuż obok siebie, doprowadzając tym samym do kulminacji bytu. Jedynie poznając te skrajności można żyć naprawdę.

Pan Are zapalił następne cygaro. Przez ułamek sekundy widziałem jego twarz wykrzywioną w sarkastycznym uśmiechu. Rozkosz i ból — powtórzył. — A więc to uważasz za treść życia. Tak, nie mam najmniejszych wątpliwości, że poznałeś i jedno, i drugie. Nie wiesz jednak, co to znaczy dojść do granic poznania. Są na świecie rzeczy, których istnienia nawet nie podejrzewałeś. To rozumiałe, jesteś przecież o połowę młodszy ode mnie... Nie wiesz, co to absolutna beznadziejność, strach dręczący każdego dnia. Bóg nie powinien być cię tu przywozić...

I tak zwykle kończyły się nasze rozmowy. Zbywał moje argumenty, twierdził, że wynikają z młodzieńczej zapalczywości i są zbyt naiwne, by rozważać je poważnie. Wzruszyłem ramionami. Cóż z tego, że okazywał lekceważenie? Ja wiedziałem, podczas gdy on snuł jedynie domysły.

Pagórek, na którym siedzieliśmy, oddzielał od domu gąszcz ciernistych krzewów. Przesłaniały niemal cały budynek, lecz w tle ciemnego zarysu głowy pana Are'a rysowały się trzy żółtawe prostokąty — w pokoju na poddaszu paliła się lampa. Wiedziałem, że na piętrze izbę zajmuje służąca, która trudni się szyciem. Pomyślałem, że nie zbywa jej pracy, skoro nie śpi o tak późnej porze. Światło pulsowało rytmicznie. Blask w oknach to jaśniał, to znów przygasał. Zapewne kobieta siedziała tuż przy lampie i miarowo wbijała igłę w tkaninę ubrania. Naraz światło zamigotało i zgasło. Masywne kontury domu zlały się z sylwetką jego właściciela.

— A propos — powiedział po chwili pan Are — czy wiesz, co zdarzyło się tej samej nocy przed rokiem?

— Nie — odrzekłem (choć wiedziałem dobrze).

— Dokładnie rok temu pojawiłeś się na moim horyzoncie. Wypijmy za to, co obu nam przyniosło pożytek.

Spełniliśmy toast. Opróżnił swój kielich i ponownie napełnił go winem, które przyniósł ze sobą. Chciał nalać także do mojego, jednak odmówiłem.

Podjął dalej:

— Wiem, że nie dbasz o pochwały, lecz muszę ci coś powiedzieć — zrobiłeś wielkie postępy od chwili, gdy się tu znalazłeś. Pamiętam tę brudną, niezgrabną szkaradę, która włóczyła się po Liwerpoolu, i widzę teraz, choć tylko w wyobraźni z powodu ciemności, tego samego, lecz jakże odmienionego człowieka. Cóż, słowa nie mogą nawet pobieżnie oddać rzeczywistości. Nie, niczego nie mów. Musiałbyś zelgać albo wychwalać sam siebie i w obu przypadkach złamałbyś zasady, jakie ci wpajałem. Zatem zmienmy temat. Pamiętasz pułkownika Denta, który zawitał dziś na krótko w te progi?

Owszem. Wszedłem do biblioteki, gdy pan z nim rozmawiał.

— Skłoniłeś się i przeprosiłeś, kiedy tylko spostrzegłeś, iż nie jestem sam... niczym młodzieniec z książki lorda Chesterfielda. Cóż, oddaliłeś się, a on niezwłocznie zapytał, kim jest ów znakomicie ułożony młody człowiek. Odpowiedziałem, że jesteś moim krewniakiem z Północy, którego rodzice przysłali tu po nauki. Zaproponował zatem, że złoży nam wizytę jego bratanek i poznacie się, gdyż wyglądacie na równych wiekiem. Początkowo zaważałem się, chciałem się sprzeciwić, ale zaraz się rozmyśliłem. Czemu niby mam dłużej trzymać cię w ukryciu? Potrafisz się przecież zachować i wieść dysputy jak džentelmen. Czemu nie poddać cię próbie?

— Próbie? Jakiego rodzaju? Mam konwersować z tamtym młodzianem?

Tak, powinienem jednak coś dodać: zaproszę na tydzień do Cierniowego Pola notabli z okolicy. Postaram się, by miło spędzili czas. Dniami będę zabierać ich na wycieczki, zabawiać i urządzać pikniki. Wieczorami przyjdzie czas na muzykę i tańce. Weźmiesz udział w tym wszystkim jako mój młody kuzyn z Północy. Młodzieniec, któremu zdarzyło się nieszczęście spędzić wiele lat z dala od miast, ale mimo to džentelmen w każdym calu. Będziesz siedział przy tym samym stole, tańczył z damami i rozmawiał z mężczyznami. Jeżeli popełnisz jakąś gafę, jeżeli zapomnisz o pouczeniach, które z takim znojem wpajałem ci przez miniony rok, zrobisz z siebie oszusta, a ja wyjdę na niegodnego zaufania lekkoducha. Jeśli powiesz ci się, udowodnisz, że jesteś džentelmenem. Czy przystajesz na tę próbę?

— Tak — odrzekłem.

— To dobrze. Przyznam, iż oczekiwałem, że zawahasz się, zaczniesz protestować... Wyglądasz jednak na pewnego siebie.

— Istotnie. Sam pan powiedział, że nie ma rzeczy, której nie udałoby mi się osiągnąć.

— Być może zbyt pewnyś powodzenia. Możesz znaleźć się w tysiącu nieoczekiwanych sytuacji i zdradzić się nieostrożnym słowem. Ryzyko wzrosnie, będziesz zmuszony wznieść się na szczyt swych możliwości. Posłuchaj więc: zobaczymy, czy nie stracisz pewności, w którą wbiły cię nieustanne pochwały.

— Proszę mówić, jakaż to herkulesowa praca mnie czeka.

— Herkulesem byłeś w stajni. Nie proszę cię, byś nadal się nią zajmował. Nie, tym razem czeka cię zadanie godne Tantalą. Funduję ci nagrodę, ale będziesz musiał się natrudzić, by ją zdobyć. Oto i ona: jeśli w ciągu tygodnia, o którym wspomniałem, uda ci się przekonać wszystkich, żeś prawdziwym paniczem, jeżeli nikt w zdumieniu nie uniesie brwi na twój widok, jeśli nie będą ukradkiem szeptać na twój temat, jeżeli zaskarbisz sobie szacunek godny mego bratanka, wówczas zabiorę cię ze sobą, gdy w przyszłym miesiącu opuszczę Cierniowe Pole.

— Dokąd pan pojedzie?

— Na kontynent. Odwiedzę Italię, Francję, Hiszpanię, być może także Rosję i Niemcy. Jeśli przejdiesz pomyślnie tę próbę, czeka cię podróż, która jest udziałem każdego z dobrego domu.

— A jeśli nie?

— Cóż, potrzebuję nadzorca w jednej ze swych posiadłości. Przypuszczam, że podołałbyś obowiązkowi. To całkiem zaszczytna funkcja, zdaje się, iż nawet wyższa od twych apetytów. Nieporównywalna jednak z nagrodą, która oczekuje cię, jeśli nie zawiedzie cię szczęście i wykażesz się opanowaniem. Może pójdziemy o zakład?

— Naturalnie, przyjmuję go, przekonany o swym zwycięstwie.

— Ach... uważaj. Przesadna pewność to zdradliwy sojusznik. Lepiej wejdź w komitwę z ostrożnością i rozwagą. Cieszę się jednak, że nie ułękłeś się zakładu, gdyż zaprosiłem już gości na sobotni wieczór.

Nie byłem tym bynajmniej zaskoczony. Spytałem o zaproszonych.

Skorzystałem z okazji i złożyłem propozycję pułkownikowi. Mamy więc jęgo, panią Dent, czyli małżonkę, oraz ich bratanka, pana Lintona.

Linton! Właśnie to nazwisko! Linton... naprawdę rzekł Linton ... bratanek

pułkownika Harolda Denta. Mój umysł natychmiast nadał tajemniczemu bratankowi rysy Edgara Lintona, mego wroga. Jednak, rzecz jasna, krewny pułkownika Denta nie musiał być tym samym Lintonem, którego setki razy zabijałem w swych fantazjach (mimo że ostatni rok uczynił ze mnie innego człowieka), którego piękną twarz nadal pragnąłem okładać pięściami, aż spłynęłaby krwią. W marzeniach rozkoszowałem się okrutnymi obrazami: oto rozprawiam się na różne sposoby z człowiekiem, który chciał odebrać mi ciebie, Katy. Czy mógł być bratankiem pułkownika? Mógł, lecz z pewnością nie był. Linton to popularne nazwisko, w okolicy mieszka zapewne wielu Lintonów. Czemu miałbym napotkać na swej drodze, tak daleko od Wzgórz, akurat tamtego Lintona? Gdybyśmy stanęli teraz ze sobą twarzą w twarz, wtedy czas zatrzymałby się w miejscu, a ziemia zadrżałaby w posadach.

Przez jakieś dwie minuty nie docierały do mnie słowa pana Are'a. Potem wróciłem do świadomości — wspominał ę innych gościach, twierdząc, że znajdą się między nimi także urocze, miodne damy. Mnie jednak interesowało tylko jedno.

— Ten bratanek — zagadnąłem. — Co pan o nim wie? Spytałem o to napiętym głosem, chociaż wielce się starałem, by brzmiał zupełnie zwyczajnie. Całe szczęście, że w ciemnościach pan Are nie mógł dostrzec mej twarzy.

— Czemu pytasz?

Był szybki niczym jastrząb spadający na wróbla. Natychmiast wyczuł, iż coś mnie poruszyło.

— Pułkownik Dent przyrównał mnie do niego. Po prostu jestem zaciekawiony.

— Ach, tak — wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią, upił łyk wina i podjął. — Właściwie dobrze, że chcesz się czegoś o nim dowiedzieć. Ma tyle lat co ty, więc będzie najsurowszym sędzią. Niechże sięgnę pamięcią... Parę lat temu złożyłem wizytę jego wujowi i w tym samym czasie ów młodzieniec także go odwiedził. Nie był podobny do ciebie: szczupły, delikatny, rozkochany w książkach chłopiec, któremu raczej brakowało odwagi. Pułkownik twierdzi jednak, że jego kuzyn zmienił się i w przyszłości nosi się nawet z zamiarem zapisania mu części majątku. Mimo to nie będziesz miał najmniejszego kłopotu, by wykazać, że jesteś odeń silniejszy i zrzęczniejszy. Staraj się bywać w jego towarzystwie w ogrodzie, gdyż w salonie może nie

pójść ci z nim tak łatwo. Pamiętam go jako subtelnego, wyrafinowanego rozmówcę.

— Jakże on się nazywa?

Linton, nazywa się Linton i tak jak ty pochodzi z Północy. Imię ma podobne do mojego, ale nie moje... Edmund... nie... Edgar! Edgar Linton.

Edgar Linton! A więc to on! Jakby za sprawą czarów obiekt mej nienawiści ucieleśnił się i wyszedł z odległego cienia. Dwa różne światy połączyły się i stały jednością - lecz nie tak jak marzyłem. Pragnąłem, byś przyszła do mnie Ty, a nie mój rywal, który czuł do mnie taką odrazę, jak ja ku niemu. Co powstrzyma go od ujawnienia, kim jestem naprawdę? W mojej wyobraźni rozgrywała się już ta scena: Linton wchodzi do salonu wraz z innymi eleganckimi szlachcicami, spogląda na mnie swymi błękitnymi oczyma, lekko unosi brew, wskazuje na mnie szczyptym palcem i oznajmia:

— Ten człowiek jest oszustem, zbiegiem i niewolnikiem. Każcie natychmiast wynieść mu się do komnat dla służby.

Siedząc w ciemnościach u boku pana Are'a, początkowo przeraziłem się tej wizji. Prędko jednak pojąłem, że nic takiego się nie wydarzy. Rozumowałem jak przestępca, choć nie popełniłem przecież żadnej zbrodni. Wolno było mi opuścić Wichrowe Wzgórza i przybyć tutaj. Mimo iż obowiązki, jakimi mnie tu obarczono, są dość niezwykle, to jednak nikt — poza panem Are — nie mógł zabronić mi ich wykonywania. Używałem prawdziwego imienia, w każdym razie jedyne, jakim kiedykolwiek mnie nazywano. I tylko oświadczenie gospodarza, że jestem jego krewnym, minie się z prawdą.

Jak mógłbym jednak powstrzymać Lintona, by nie wyjawiał mojej tajemnicy? Po chwili uświadomiłem sobie, że nie powinno to być tak trudne, jak początkowo sobie wyobrażałem. Choć może przypadkiem wygadać się, kiedy mnie ujrzy, to jednak słowa pana Are'a, który przedstawi mnie jako swego bratanka, na pewien czas zamkną mu usta. Dziedzic Drozdowego Gniazda nie może zaprzeczyć szlachcicowi, gdyż tym samym dałby świadectwo złego zachowania. A wówczas ja zabrałbym głos i przedstawił swą historię w upiększonej wersji. Obawiałem się jedynie naszego pierwszego spotkania — potem wszystko będzie już łatwiejsze. Pamiętałem wspaniałego pana Lintona jeszcze jako chłopczyka. Podniósł wtedy wrzask, kiedy spadła nań kropla



gorącego musu z jabłek. Teraz wyrosliśmy obaj na mężczyzn, lecz mimo to mógłbym uciszyć go bez najmniejszego trudu.

Musiałem odsunąć od siebie myśl, gdyż pan Are wstał i znów coś mówił. Pytał, czy odprowadzę go do pogrążonego w ciemnościach domu. Palila się tylko jedna świeca na progu. Doszliśmy do drzwi i wtedy odwrócił się do mnie i uroczyście ucisnął mą dłoń.

— Dzisiejszej nocy odbyła się w stajni nasza ostatnia kolacja — rzekł. — Zrzucimy nasz stary zwyczaj, bo zasługujesz na odmianę. Od jutra podczas wieczerzy będziesz dotrzymywać mi towarzystwa w domu.

W ten sposób, przez rok, awansowałem o jeden szczebel na drabinie wiodącej od dzikusa do prawdziwego człowieka. Musiałem jeszcze udowodnić, że nie zostałem wyróżniony na wyrost.

Podziękowałem panu Are'owi i ruszyłem ku swej sypialni. W głowie wirowały mi przeróżne sceny, podsuwane przez fantazję. W pewnej chwili zorientowałem się, że nie jestem na ścieżce sam. Podążał za mną John.

— Chciałbym o coś zapytać — zaczął.

— Pytaj — odrzekłem. Nie byłem w nastroju do dysputy, więc nie próbowałem się nawet dowiedzieć, jakim prawem zatrzymuje mnie o tak niezwykłej porze.

— Pan Edward przemówił do nas wszystkich dzisiejszego popołudnia. Powiedział, że jesteś pan jego prawdziwym bratankiem, który dawno temu zaginął, a teraz powrócił na rodzinne łono.

— No i cóż z tego?

— Czy to prawda?

Przystanąłem i odwróciłem się ku niemu, choć nie widziałem go w mroku.

— Johnie, dlaczego mnie o to pytasz? To nie twoja rzecz, czy twój pan mówi prawdę, czy też daje fałszywe świadectwo. W Cierniowym Polu jego słowo jest święte. Skoro tak rzekł, to musi tak być. Nie powinienes zaprzętać sobie tym głowy.

— Nasz pan podjął niebezpieczną grę.

— A jeśli nawet? Każdy prowadzi jakąś grę. Ja i ty również.

— Nasze gry są niczym w porównaniu z tą, którą podjął pan Edward.

Proszę uważać, panie Heathcliffie, by nie postradał pan wszystkiego.

Wtedy położył dłoń na moim ramieniu, lecz zrzuciłem ją i odszedłem. Byłem znużony jego krakaniem. Wszystko, co wiedział albo podejrzewał, nie miało dla mnie znaczenia. Myśli zaprzętała mi tylko zapowiedziana na przyszłą środę 'wizyta pewnego człowieka.

Tak więc miałem przed sobą tydzień oczekiwania. Co mnie potem spotka? Poniżenie? Goście poznają we mnie parweniusza, a mego dobrodzieja wyklną ze swego grona jako zdrajcę? A może wyczekam dogodnej chwili i zabiję człowieka, którego uznałem za największego wroga? Czy też zatrymfuję wreszcie nad sobą i wszystkimi innymi, okażę się lepszy od Lintona i ludzi jego pokroju i stanę się najbardziej poważanym dżentelmenem?

Dziwnym jednak trafem w ciągu następnych dni przestałem zajmować się czczymi domysłami. Porzuciłem rozważania o przyszłym spotkaniu z Lintonem i wróciłem myślami w przeszłość.

Katy, wyznałem, że porzuciłem Wzgórza, ponieważ podsłuchałem, jak mówiłaś, iż przedkładasz towarzystwo Lintona nad moje i że małżeństwo ze mną przyniesie ci ujmę. Te okrutne słowa zmusiły mnie do ucieczki od Ciebie...lecz co powiedziałaś wcześniej?

Drzemałem niedaleko ławki, na której siedziałaś wraz z Nelly. Rozmawiałyście. Zacząłem budzić się, słysząc Twój głos. Powróciłem do świadomości, gdy wymówiłaś moje imię, a potem wyrzekłaś owo zdanie, które przywiodło mnie do czarnej rozpacz.

Lecz co powiedziałaś wcześniej? Teraz, czekając na Lintona, wyteżalem pamięć, by pojąć to, co zdało mi się zbyt straszne nawet w najtrudniejszych godzinach. Odpychałem Twe słowa od siebie, bojąc się, że pęknie mi serce. Wróciły jednak i złowieszczo wzerały się w umysł.

Zamierzałaś wyjść za Edgara Lintona.

Wyznałaś Nelly, że Linton poprosił Cię o rękę. I powiedziałaś jej, że przyjęłaś jego oświadczyzny.

Czy to prawda? Czy rzeczywiście to słyszałem, czy też uczyniłem ze swych lęków wspomnienia? Wiedziałem, że flirtowałaś z Lintonem i przez lata nie dawało mi to spokoju. Czy jednak posunęliście się tak daleko?

Czy to możliwe, czy tylko śniłem? Chwila po chwili przywoływałem tamtą scenę: śmiertelnie strudzony pracą, położyłem się w kryjówce za ławką, w jedynym miejscu, gdzie mogłem znaleźć odrobinę wytchnienia. Zasną-

łem. Potem słyszałem głosy i z radością poznałem Twój... Nelly rzekła, że nie ma mnie w pobliżu... Było tak, czy też nie? A później...

Czyżbyś zaręczyła się z Edgarem tamtego dnia? Wciąż nie zdołałem się o tym przekonać, choć, jak wkrótce przeczytasz, miałem sposobność wysłuchać pewnej opowieści. Wiesz zapewne, że poczyniłem kroki, by małżeństwo między wami nigdy nie doszło do skutku. Jutro Ty i ja połączymy się na zawsze. I cóż z tego, jeśli podczas mej nieobecności zabawiałaś się, budząc w Lintonie płonne nadzieje? On jest nikim, zerem — niepodobna brać go poważnie. Wyszłabyś za kogoś takiego? Owo podejrzenie z pewnością zrodziło się jedynie w mej fantazji.

A jednak fantazja, czy też wspomnienie, przyniosła i pociechę. W złym śnie, w którym powiedziałaś, że wyjdiesz za Lintona, rzekłaś także, iż nie możesz tego uczynić. Buntowała się Twa dusza. A ja ufam Twej duszy, ponieważ należy do mnie.

Tak, bardzo możliwe, że cała ta historia zrodziła się w świecie snów, gdyż stanowią one równie istotną część mych doświadczeń, jak rzeczy, które zdarzyły się na jawie. Lecz jeśli nie, jeśli w istocie oddałaś rękę Lintonowi, to jakimż byłem głupcem, ustępując mu pola. Czy zapobiegłbym jednak czemukolwiek, gdybym pozostał we Wzgórzach? Nie mogłem zapewnić Ci dostatniego życia, stałabyś się żoną nędzarza. Wyjeżdżając, postąpiłem właściwie. Pozostawiłem Cię jednakże bez jednego choćby słowa!

Upłynął rok, odkąd wyjechałem z Wichrowych Wzgórz. Wierzyłem przez cały ten czas w nierozzerwalny, niewysłowiony związek naszych serc. Ufałem, że WIESZ, iż powrócę i że wszystko, co teraz robię, czynię z myślą o Tobie. Czy jednak owe więzy w istocie były takie mocne? Może przestałaś we mnie wierzyć? Może zapomniałaś o mnie? Musiałem dać Ci znać o swym istnieniu.

W końcu, na dzień przed przybyciem gości, miejsce tych i podobnych dręczących myśli zajęło zaskakująco miłe uczucie. Oto spotkam się z Edgarem Lintonem, z kimś, kto dopiero Cię widział i rozmawiał z Tobą. Może nawet trzymał Twą dłoń w swojej. Przywiezie ze sobą odrobinę powietrza, którym oddychałaś, trochę światła, którym promieniały Twe oczy. Linton, fałszywy zwiastun Twej miłości, sprawi, że zacznę tęsknić do Ciebie z jeszcze większym oddaniem.

Niewiarygodne, lecz ta dziwna radość rosła we mnie z każdą godziną. Pomieszała się, a potem wymazała z mego serca nienawiść — uczucie, jakie żywiłem do człowieka, który wkroczył pomiędzy nas. Zniknęła nienawiść, przyszło niecierpliwe, słodkie wyczekiwanie! Co dziwniejsze, gdy przywoływałem w wyobraźni Twoją twarz, wówczas niechybnie obok zjawiało się jego oblicze. Sprawiało mi to udrukę, ale nie potrafiłem rozdzielić obrazu was dwojga.

Tak więc nie mogłem doczekać chwili, kiedy Edgar Linton przekroczy próg domu w Cierniowym Polu. Pragnąłem unicestwić Edgara, lecz nie swymi ciężkimi pięściami. Chciałem — próżno zaprzeczać — by mój duch zatryumfował nad jego duchem.

## 8.

W końcu Edgar Linton przybył do Cierniowego Pola. Podeszliśmy ku sobie w holu, spojrzeliśmy sobie w oczy. Wbrew moim oczekiwaniom nie zgasło słońce ani nie spadły z nieba gwiazdy. Wszechświat nie doznał katastrofального wstrząsu. Wiedziałem jednak, że w chwili, kiedy spotkały się nasze spojrzenia, wkroczyłem w nowy etap życia.

Zanim przyjechał, cały dzień wyglądałem przez okno w bibliotece. Wreszcie usłyszałem skrzypienie kół na podjeździe. Piękny powóz zatrzymał się przed domem. Edgar wyszedł pierwszy. Odziany był w ciemny strój, dzięki któremu jego włosy zdawały się jeszcze jaśniejsze niż zwykle. Odwrócił się do mnie plecami i ostrożnie pomógł wydostać się z karety swemu cierpiącemu na artretyzm wujowi. Następnie podał dłoń kobiecie o blond włosach, ubranej w drogą suknię — zapewne ciotce. Pułkownik Dent rzekł coś, a on odwrócił się i uśmiechnął na te słowa. Zobaczyłem w promieniach słońca jego twarz. Przystojny jak dawniej, złotowłosy, poruszający się z gracją, dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy widziałem go ostatni raz — w dniu, w którym opuściłem Wichrowe Wzgórze. Nic dziwnego, że Ci się podobał. Nawet ja spostrzegłem subtelny, piękny profil jego twarzy, kiedy

prowadził ciotkę do domu. Kiedy tak wpatrywałem się weń, widziałem zamiast Edgara Twoją postać i Twe zgrabne ruchy. Czy jakiś czarnoksiężnik rzucił na mnie urok? Czy może Edgar spędził u Twego boku tak wiele chwil, że przejął Twe gesty, nawet rysy? Lub może za sprawą tajemniczej, alchemicznej transmutacji Twoja dusza znalazła się w męskiej powłoce? Nie umiałem rozstrzygnąć — jeśli były to czary, to podziały na mnie z całą mocą.

Teraz staliśmy obok siebie w holu. Pan Are witał swych przyjaciół. Edgar badawczo, chociaż dyskretnie, rozglądał się po otoczeniu, jak człowiek, który znalazł się w nowym dla siebie miejscu. Nie spuszczałem z niego wzroku. Iłecz w nim Twoich cech, Katy, każdy ruch jego dłoni, każde mrugnięcie powiekami przypominało mi Ciebie! Jak gdybyśmy spotkali się niespodzianie — nie w holu obwieszonym lustrami, pośród szlachciców odzianych w atłasy i mówiących francuszczyzną, lecz w zadymionej, pełnej miedzianych garnków kuchni we Wzgórzach, przy Nelly i Józefie gderających koło pieca.

Początkowo prześlizgnął się po mnie oczyma. Liczyłem uderzenia serca: jedno, drugie... Raptem spojrzał ponownie. Uniósł brew, ale nie odezwał się. Patrzyłem weń uparcie i błagałem w myślach, by nie zaczął mówić.

W ciągu tej pełnej napięcia chwili wyobraziłem sobie, jak muszę wyglądać w jego oczach: czarnowłosa, podobny do Maura dzikus, który przybrał groźną postawę, z niepojętych względów odziany we wspaniałą, aksamitną, purpurową, wyszywaną złotem strój. Ten obraz nałożył się w jego soczewce na wspomnienie zgarbionego, zabiedzonego Cygana w uwalanych błotem spodniach, który miał pilnować kucyka panny Earnshaw, podczas gdy ona zabawiała się flirtowaniem z Edgarem. Stajennego, który zniknął przed rokiem, ku nie skrywanemu zadowoleniu Lintona: parobek był przecie skazą, która psuła uroczę tło zalotów Edgara Lintona do Katarzyny Earnshaw. I nagle młody Linton widzi tę samą wstrętną twarz w wiejskiej posiadłości pewnego szlachcica.

Myślałem, że z początku nie wierzył własnym oczom. Odwrócił wzrok. Próbował przekonać siebie, że ma do czynienia z kimś niesłychanie podobnym.

Jednak się mylił. Spojrzał jeszcze raz ze zdumieniem i niepokojem. Moja postać była mu przecież dobrze znajoma, widywał mnie niegdyś bardzo często, znacznie częściej niż swe wujostwo albo kogokolwiek z pozostałych

gości. Nie mógł opędzić się od myśli, że to ja, Heathcliff, we własnej osobie. Poza tym wpatrywałem się weń niestrudzenie, dając świadectwo, iż także go znam. Jego rysy odmieniły się, chciał już coś powiedzieć, ale pan Are właśnie wziął mnie za ramię i przedstawił Dentom:

— ... i pozwólcie, że przedstawię swego bratanka Heathcliffa... Edwarda Heathcliffa. Jak widzicie, jest mym imiennikiem, więc cała rodzina woła go po nazwisku, by uniknąć pomyłek i zamieszania.

Drobna, uśmiechnięta dama stanęła przede mną i wyciągnęła rękę. Musiałem teraz wykazać się dobrymi manierami, które mi wpojono. Ująłem jej dłoń i pochyliłem głowę. Pan Are przedstawił pułkownika Denta, brzuchatego mężczyznę o owalnej, różowej, pokrytej piegami twarzy i niewielkiej, białej peruce na czubku głowy.

— Ach, widziałem twego chłopaka galopującego polami na wspaniałym ogierze — stwierdził pułkownik, serdecznie poklepując mnie po ramieniu. — Przeskakiwał przeszkody jak nikt, z wyjątkiem Hunta. Powiedziałem sir George'owi Lynnowi, że pewnego dnia twój bratanek poszybuje na rumaku ponad wieżą w Hay.

— Owszem, Heathcliff jest niezłym jeźdźcem — rzekł pan Are. — Przypomnijcie mi, bym kiedyś opowiedział historię o tym, jak udało mu się pokrozić Belzebuba. Zapewniam, nie będziecie posiadać się ze zdumienia. Daję głowę, że Heathcliff radzi sobie w siodle nawet lepiej niż pan.

— Pięknie... pięknie — odpowiedział pułkownik Dent. — Cieszę się, że to słyszę, ponieważ mam ochotę stanąć do zawodów z jakimś wytrawnym jeźdźcem. Jeśli tylko ta przekłeta podagra nie będzie mi dokuczać. Może twemu bratankowi uda się wyciągnąć mego kuzyna...

(Tu poklepał po plecach zmieszanego Lintona.)

— ... z biblioteki i zainteresować konną jazdą. Niemal zrujnował sobie zdrowie ślęcząc nad książkami. Jestem przekonany, że zostawi je przynajmniej na ten tydzień i we dniu zacznie zajmować się sprawami, które przystoją prawdziwemu mężczyźnie. Wieczorami zaś piękne panny Ingram pozwolą mu dotrzymać sobie towarzystwa, co?

Lypnął z ukosa i trącił łokciem w bok zaambarasowanego bratanka. Ten, najwyraźniej zbity z pantafelki obcesowością swego wuja, niespodzianie obdarzył mnie przelotnym, bojaźliwym uśmiechem.

Pani Dent podeszła do męża i ujęła go za ramię.

Haroldzie, przestań zadrezczać Edgara. Z jego zdrowiem wcale nie jest tak źle, a tobie wyszłoby na dobre, gdybyś od czasu do czasu zajrzał do jakiejś książki.

Następnie zwróciła się do mnie:

— W rzeczy samej nasz bratanek potrzebuje odmiany. Zatrószczy się pan o niego w tym tygodniu, prawda, panie Heathcliff?

— Z najwyższą rozkoszą — odrzekłem. — Tym bardziej, że właśnie pani o to prosi.

Miała błękitne oczy Lintona. Uśmiechnąłem się. Odpowiedziała uśmiechem, a na jej twarzy pojawiły się dołeczki.

Teraz nadeszła chwila zawarcia znajomości z Lintonem. Dostrzegłem, że jego oczy płoną, policzki barwi rumieniec, lecz nie otwierał ust: minęło niebezpieczeństwo, że mnie skompromituje.

— Panie Linton — powiedziałem, skłaniając głowę.

— Panie Heathcliff — odparł, nieco mocniej akcentując pierwsze słowo.

Pan Are zajął rozmową starszych gości. Wyglądało na to, że mam pełnię honory gospodarza wobec młodzieży.

Mierzyliśmy się z Lintonem wzrokiem. Stał teraz tuż przede mną, nie potrafiłem jednak poruszyć się ani wydobyć z siebie słowa. Z jego postaci zdawał się bić delikatny blask, oblicze lśniło Twoją pięknnością. Przez chwilę miałem ochotę wyciągnąć dłoń i dotknąć jego policzka, tak bardzo jego rysy przypominały mi Twoje, Katy. Zapierało mi dech w piersi, kiedy patrzyłem w te błękitne oczy.

Chyba zdenerwował go fakt, że tak bacznie mu się przypatruję. Drgnął, a potem powoli, ze zdziwieniem, zapytał:

— Heathcliffie... czy to naprawdę ty? Jak to możliwe?

Otrząsnąłem się z bezruchu. Uścisnąłem jego rękę.

— Edgarze! Jakże raduje mnie twój widok! Tak się cieszę...

Pośpiesznie cofnął dłoń (choć nie tak prędko, bym mógł pomyśleć, że chce mnie urazić) i rzekł:

— To zdumiewające! Tak się odmieniłeś i znalazłeś się w takim towarzystwie... Jak to się stało?

— Opowiem ci... — dotknąłem jego ramienia, lecz cofnął je z obawy, że

zaraz uściskam go ze wzruszenia. Gestem poprosiłem, byśmy przeszli do alkowy, która dawała jakieś schronienie przed czujnym okiem i słuchem pana Are. — Wyjaśnię — powiedziałem cicho lecz nie w tej chwili. Teraz powiem ci tylko, że moi przyjaciele tutaj nic nie wiedzą o latach, jakie spędziłem we Wzgórzach. Pomożesz mi? Nie zdradzisz mego sekretu?

Zapomniałem się i jeszcze raz uściśnąłem jego rękę. Tym razem Linton odpowiedział tym samym.

— Tak, naturalnie, Heathcliffie. Cieszę się, że znalazłeś się w wielkim świecie, jeśli tylko nie kryje się za tym coś złego...

— Oczywiście, że nie — powiedziałem.

W mym umyśle zamajaczyła wizja wspaniałej przyszłości. Edgar i ja staniemy się braćmi — najbliższy tydzień upłynie nam na wspólnych przejażdżkach i rozmowach o Tobie. Opowie mi o wszystkim, czym zajmowałaś się podczas mej nieobecności, a ja jemu — o swych nadziejach. Zostanie posłańcem mej miłości ku Tobie. A po dwóch czy trzech latach, kiedy uzbieram już fortunę, powrócę do Ciebie sam. Edgar będzie nam najbliższym przyjacielem — świadkiem wielkiej miłości.

— Ale Heathcliffie... Jak mogłeś tak uciec bez słowa? Nikt nie wiedział, co się z tobą działo!

— Było mi spieszno. Nie mogłem tracić ani chwili. Wyobrazałem sobie nasze szczęście we troje, lecz zaraz

wspomniałem, jakaż to mordercza zazdrość zżerała mnie, kiedy porzuciłem Wzgórze. Co Cię łączyło z tym człowiekiem? Nie odsunąłem jeszcze od siebie strasznej myśli, że mogliście się zaręczyć. Musiałem dowiedzieć się prawdy, choć doznawałem przyjemnego, acz dziwnego uczucia, stojąc teraz naprzeciw Lintona i patrząc mu w oczy.

Powinieneś był zostawić jakąś wiadomość — powiedział. — Katarzyna ciężko chorowała.

Katarzyna chora! Zadrzałem. Ty, zawsze tak wytrzymała, zachorowałaś! A sny, które mnie nawiedzały...? Odrzekłem coś Lintonowi, nie pamiętam co. Być może pytałem, jak się miewałaś w dniu, kiedy Edgar zawitał w progi Cierniowego Pola, gdyż stwierdził zimno:

— Już z nią lepiej, chociaż obawiam się, że nie doszła jeszcze do pełni zdrowia. Doktor Kenneth ostrzegł wszystkich, by nie rozmawiali z nią o



tobie.

— O mnie? — zapytałem oszołomiony. — By nie mówili o mnie?

Gdy ktoś wspomniał twe imię, wówczas targały nią silne... wzruszenia. Wydaje się, iż ona uważa, że opuściłeś naszą okolicę powodowany złością. Czasem myśli, że ktoś cię zabił. Naprawdę powinieneś być powiadomić rodzinę o zamiarze wyjazdu.

Zdałem sobie sprawę, iż przed rokiem postąpiłem niczym szaleniec. Dlaczego nie uświadomiłem sobie tego wcześniej? Dopuściłem się zbrodni, opuszczając Cię w ten sposób. Teraz jednak mogłem naprawić swój błąd. Zwróciłem się do Lintona:

— Wytłumaczysz jej, powiesz jej, że...

— Tak — Linton uśmiechnął się. — Opowiem jej wszystko, kiedy tylko za tydzień wrócę do Drozdowego Gniazda.

I poczułem wtedy, że wszystko jest możliwe — przebaczenie, odkupienie winy, wybawienie od katastrofy.

— Dziękuję ci — rzekłem. — Dziękuję.

Wówczas posłyszałem donośny głos pana Are'a:

— Heathcliffie! Przyprowadź tutaj Lintona. Ty także jesteś nam potrzebny. Czynimy bowiem plany na jutrzejszy dzień.

Podeszliśmy ku zebrany.

Pani Dent oznajmiła mi, Heathcliffie, iż Linton ma zamilowania podobne do twoich.

— Miło mi to słyszeć — odparłem. — Muszę jednak wyznać, że jestem nieco zmieszany. Nie wiedziałem, iż gustuję w czymś szczególnym.

Och, nie bądź nieszczerzy. Wszyscy dowiedzieli się właśnie o twej skłonności do rzeczy subtelnych i wzniosłych... Tu pan Are mrugnął okiem.

... o twym uwielbieniu samotności. Szukasz zacisznych miejsc, by oddać się tam rozmyślaniom lub czytać swego Osjana...

— Ach, Osjana — odezwał się Edgar — tegoż, który nadszedł ze wzburzonego oceanu niczym mroczna, jesienna chmura?

Edgar przyglądał mi się z ciekawością, więc odrzekłem:

— Tak. Osjana, w którego oczach płonie ogień...! Dałem dowód, iż wiem, o czym mowa. Pan Are podjął:

— Niestety, w okolicy nie ma wybrzeża zalewanego falami ani tajemni-

czych pieczar. Znajdzie się jednak trochę godnych uwagi pamiątek z przeszłości. Jutro, Heathcliffie, zawieziesz pana Lintona do jednego ze swych tajemniczych miejsc.

— I nie tylko Edgara! — powiedziała pani Dent. Sądzę, iż wybierzemy się do opactwa — rzekłem.

— Opactwo! — wykrzyknęła.

— Owszem — stwierdził pan Are. — Zbudowano je w czasach króla Henryka. Konno dotrzemy do murów w ciągu godziny. Widok zaiste godny oczu najzagorzalszych wielbicieli gotyku.

Cudownie! — pani Dent klasnęła w dłonie.

Tak, opactwo oparło się czasowi — dodałem — choć obecnie zamieszkuje ją je tylko sowy i nietoperze. W lochach wciąż znajdują się dawne narzędzia tortur. Być może poddani Henryka chcieli za ich pomocą nawrócić papistów, a może sami mnisi umartwiali swe ciała, by ich dusze łatwiej wzlecieć mogły ku niebu...

— Och! To wspaniałe! — stwierdziła pani Dent. — Nie możecie jechać tam sami! Będziemy wam towarzyszyć, zwłaszcza w lochach. Urządzimy wyprawę do opactwa.

Naturalnie — rzekłem. — Linton i ja pojedziemy przodem. Pan Are przytaknął z aprobatą.

— Linton dosiądzie Belzebuba. Obaj trzymać będziecie przednią straż, by ostrzec nas przed duchami mnichów z czasów Henryka, jeżeli wciąż zamieszkują dawne mury.

— Prędko rozprawimy się z nimi — zapewniłem.

— Wypłoszymy je dzwonekami, książkami i blaskiem świec — zaśmiał się Linton.

— Wyruszymy jutro, jeśli utrzyma się dobra pogoda — rzekł pan Are.

— Polecę pani Fairfax przygotować napoje i zakąski. Teraz jednak chodźcie ze mną. Proponuję krótszą wycieczkę. Ogrodnik wyhodował krzewy róży nie opodal altanki. Chciałbym, abyście je obejrzeeli.

Zabawiliśmy w ogrodzie ledwie parę minut, kiedy zjawił się John i poinformował, że przybyli Ingramowie. Pan Are i ja pośpieszyliśmy na powitanie. Reszta została, podziwiając kwiaty. Kiedy szliśmy do domu, pan Are z radości poklepał mnie po plecach.

— Cóż, Heathcliffie — powiedział — na razie nieźle sobie radzisz. Nasi goście wielce cię polubili. Pani Dent podziwia two „urocze czarne oczy” i nie przestaje na ciebie spoglądać. Pułkownik sądzi, żeś mocny człowiek i że jego Linton nabierze u twego boku hartu.

— Wielce mnie raduje to uznanie.

— A sam Linton zachowuje się co najmniej osobliwie... to blednie, to znów paśowieje, śmieje się i żywo oddaje rozmowie... Zupełnie inny młodzieniec niż ten, którego zapamiętałem. Zdążyliście się zaprzyjaźnić, jak się zdaje. Czy rzuciłeś na niego jaki urok?

— Jedyne powitałem go tak, jak mnie pan uczył.

— Hmm... Tu chodzi o coś więcej. Gdybym baczniej spojrział w two źrenice, potrafiłbym wyczytać z nich co nieco. Jednakże porozmawiamy o tym później. Oto i Ingramowie.

Weszliśmy do holu. Upłynęła dobra chwila, nim mój wzrok przyzwyczał się do mroku i mogłem rozróżnić szczegóły. Spostrzegłem, że pan Are wita się z wyniosłą damą o kruczoczarnych włosach, jak wnosiłem z wieku, starszą panią Ingram. Rozparty na ławeczce młodzieniec wachlował się kapeluszem. To młody lord Ingram porzucił wielkowiejskie przyjemności i przyjechał, by przekonać się, co ma mu do zaoferowania angielska wieś.

Pani Ingram, wdowa, przywiodła ze sobą również dwie córki, bardzo jednak do siebie niepodobne. Obie były piękne — wyższa i nieco starsza emanowała spokojem i opanowaniem, lecz ja pomyślałem, że to tylko pozory. Jej ciemne oczy kryły oceany zabójczego jadu.

Ta myśl zdała mi się niemal natychmiast niestosowna, jedynym przeciw grzechem tej uroczej, młodej damy był nadmiar wstążek u słomkowego kapelusza. Stłamsiłem ją więc w sobie i ceremonialnie przywitałem pannę Blankę Ingram — ów czarujący obiekt mych uprzedzeń — nie pozwalając sobie na najmniejsze uchybienie. Poczułem jednak ulgę, słysząc kroki na ścieżce. To wracali pozostali goście, niosąc świeżo ścięte róże. Pułkownik Dent, podobnie jak jego małżonka, znał od dawna Ingramów, lecz Edgar nie. Musiał zostać przedstawiony.

Linton, piękny niczym Apollin, stanął w promieniach słońca, sączących się do holu przez półkoliste okienko nad drzwiami. W dłoni dzierżył bukiet róż. Teraz, niczym w pantomimie (patrzyłem na wszystko jak zaczarowany),

panna Ingram podeszła do drżącej plamy słonecznego blasku i wyciągnęła dumnie rękę. Linton ujął ją delikatnie skłaniając głowę (pukiel jasnych włosów musnął jej ramię) i ofiarowując pannie Ingram wonne kwiaty.

Mogłabyś rzec, że podobna scenka zauroczyłaby każdego widza, ale naraz doświadczyłem przeciwnego uczucia: w chwili kiedy ujrzałem tych dwoje razem — przepięknych, bogatych i pewnych siebie — ulotniła się gdzieś cała sympatia dla nich, jak i dla wszystkich rozprawiających wesoło gości. Nie podziwiałem już nawet słonecznych promieni, igrających na zwierciadłach zawieszonych w holu. Gniewnie spojrzałem na Lintona.

Do tej pory jego widok przypominał mi o Tobie i dlatego jego twarz zdała mi się przyjazna. Napelniła mój świat obietnicą przyszłego szczęścia. Teraz czułem się tak, jakby ktoś zdmuchnął tę wspaniałą wizję. W jego obliczu nie dostrzegałem już Twych rysów. Twarz Lintona stała się chłodna i wroga. Wciąż był podobny do bożka, ale jego uroda i nienaganne maniery budziły we mnie tylko wstręt i pragnienie zemsty. Gdyby raczył wyciągnąć ku mnie dłoń, uznałbym to za zniewagę.

Pojąłem, jakże naiwne były me marzenia o przyjaźni z nim — próżne tęsknoty zrodzone z samotności. Tylko jeden z nas mógł poślubić Katarzynę Earnshaw — ten fakt czynił z nas rywali, a nawet wrogów. Tak bardzo byliśmy różni: dzieliło nas urodzenie, dzielił temperament i charakter. Jego serdeczność była tylko maską, skrywającą najprawdopodobniej szczerą ku mnie niechęć. Musiałem mieć się na baczności.

Pojawił się John i przyniósł list swemu panu. Ten, przeczytawszy go, odwołał mnie na bok i poprosił, bym niezwłocznie udał się do prawnika w Millcote. Pewna sprawa wymagała załatwienia jeszcze tego dnia. Z przesadną skwapliwością podjąłem się tej misji. Dawało mi to możliwość grania na zwłokę i pozwalało stłumić złe uczucia, które na powrót zagnieździły się w mym umyśle. Kilka godzin samotnej jazdy było darem niebios. Liczyłem, że odnajdę utracony spokój ducha. Miałem powrócić dopiero wieczorem, kiedy towarzystwo będzie miło spędzać czas w bawialni.

Istotnie, gdy po wykonaniu zadania wróciłem z powrotem, zapadał już zmierzch. Przechodziłem właśnie koło pogrążonego w mroku zagajnika ciernistych krzewów, gdy posłyszałem, że ktoś z wielką wprawą wygrywa gry na fortepianie. Zbliżyłem się do domu i dostrzegłem światło przenikające na

zewnątrz złotawą poświatą przez okno bawialni. Jedno z okien otwarte było na oścież. Cienkie zasłonki, poruszane leniwymi podmuchami wiatru, zdawały się mnie przyzywać. Ktoś skończył grać i usłyszałem wybuch śmiechu. Nie wszedłem do domu, tylko podkradłem się ku zarośłom i zajrzałem do środka.

Zasłona uchyliła się i zobaczyłem scenkę w bawialni.

Nie wiem, może za sprawą światła rzucanego przez kryształowy żyrandol uległem złudzeniu, iż widzę przed sobą bóstwa sunące po deskach teatralnej sceny. Goście podzielili się na dwie grupki (w żadnej z nich nie było Lintona). Pierwsza grała przy stoliku w karty, druga — bliżej mnie — stała wkoło fortepianu. Panna Blanka Ingram siedziała przy instrumencie. Śmiała się do pana Are'a, odsłaniając wspaniałe zęby. Skóra jej odkrytych ramion była biała niczym mleko. Pan Are stał z głową przekrzywioną na bok i zagadkowym wyrazem twarzy — zwykle przybierał taką pozę, kiedy rad był z dowcipu, który sam opowiedział. Wzruszył ramionami, a całe towarzystwo zgodnie jeszcze raz wybuchło śmiechem.

— To jednak pański bratanek, spodziewaliśmy się więc, że będzie pan dlań bardziej despotyczny — rzekła panna Ingram. — Spędza całe dnie w siodle i nie musi słuchać pańskich poleceń. Nie musi troszczyć się o to, czy odgadnie pański następny rozkaz.

— Pragnąłbym rozkazywać wielu ludziom — stwierdził pan Are — lecz teraz zależy mi szczególnie na jednym.

— Na czymże to, sir? — spytała panna Ingram, pochylając głowę. We włosach miała róże, które wyglądały tak, jakby wyrzeźbiono je w marmurze.

— Aby zagrała panna utwór, który przysłano mi wprost z Wiednia... Chciałbym zaśpiewać tę oto arię, lecz brak mi akompaniatora.

— Ach... to Mozart. Spełnię pańskie życzenie z niekłamaną radością.

Przejrzała nuty i przećwiczyła trudniejsze fragmenty utworu.

Wtedy pułkownik Dent nachylił się i rzekł coś panu Are'owi. Nagły podmuch wiatru sprawił, że nie usłyszałem pierwszych słów. Zasłona poruszyła się gwałtownie i drgnął płomień świecy skwierczącej w kandelabrze na fortepianie.

... poza tym — mówił pułkownik — twój zuch mógłby zajrzeć do nas pewnego dnia i rzucić okiem na Cromwella. Ten przeklęty koń jest zbyt

narowisty.

— I pan Heathcliff z pewnością w cudowny sposób wyleczy zwierzę za pomocą wystrojonych słupów — dodała panna Ingram, nie odwracając głowy od nut.

Cóż to! Czyżby szydziła panna ze zdolności mego bratanka? — wykrzyknął pan Are, udając oburzenie.

— Nic podobnego... Pański krewny bez wątpienia daje sobie radę z końmi, ale rumak pułkownika to prawdziwa bestia. Przekonałam się o tym sama: zeszej zimy zrzucił mnie z siodła. Nikt i nic nie zdoła go odmienić.

Nigdy bym temu nie zaprzeczył, a jednak widziałem na własne oczy Belzebuba naszego drogiego gospodarza — wtrącił pułkownik Dent. — Wierzchowiec jest teraz łagodny jak jagnię. Ten chłopak to cudotwórca. Niebawem... wyleczy konia ze strachu przed kobietami za pomocą kukły. Być może powinienem ustroić coś podobnego dla swego bratanka!

Teraz pułkownik spojrział, jak mi się zdało, wprost na mnie. Cofnąłem się zaniepokojony, lecz w pokoju niemal natychmiast rozbrzmiał kolejny głos. To Edgar — musiał siedzieć na krześle przy ścianie, tuż obok okna.

— Wuju, nie masz powodu, by mówić w ten sposób!

— Owszem, owszem, słyszałem, iż podoba ci się pewne piękne dziewczątka z sąsiedztwa. Teraz jednak jesteś tu z nami i nie widzę przyczyny, dla której miałbyś siedzieć taki osowiały na uboczu. W twoim wieku nigdy nie uciekłbym pod okno, gdyby w pokoju znajdowały się młode, śliczne damy. Wstyd, Edgarze, wstyd!

Edgar zwrócił się do pana Are'a, chcąc zapewne jak najszybciej zmienić temat rozmowy:

— Sir, pan Heathcliff istotnie znakomicie daje sobie radę ze zwierzętami. Jego jeździeckie umiejętności powinny wkrótce stać się sławne. Czy pański bratanek zawsze przepadał za końmi?

— Tak. Heathcliff wychował się na wsi, muszę jednak wyjaśnić, iż zwę go bratankiem przez grzeczność i dlatego, że bardzo go lubię. W rzeczywistości jest synem moich krewnych. Edgar wstał (tył głowy znajdował się ledwie kilka cali od mej twarzy) i podszedł do fortepianu. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

— Czy mógłbym się czegoś dowiedzieć o pańskich krewnych, sir? —

spytał tonem, który zdał mi się dobrotliwy.

— Mieszkają daleko na północy i nie utrzymuję z nimi bliższych związków — przebiegle odparł pan Are. — Czy jest pani gotowa, panno Ingram?

W odpowiedzi zabrzmiała muzyka. Gracze odłożyli karty na stolik i podnieśli głowy. Pułkownik usiadł w fotelu z wyrazem zrezygnowania na twarzy, Edgar oparł się o ścianę, a pan Are zaczerpnął powietrza i zaczął śpiewać.

Śpiewał pięknym barytonem. Ani jemu, ani pannie Ingram nie brakło talentu. Słuchałem arii z prawdziwą rozkoszą i zauważyłem, że pułkownik także zaczął kiwać głową w rytm muzyki. Linton zdawał się całkowicie upojony utworem. Gdy pan Are wziął najwyższą nutę, Edgar bez wahania przyłączył się do śpiewu. I uczynił to wspaniale. Tenor Lintona doskonale współbrzmiał z niższym, pełnym głosem pana Are'a i finezyjnym akompaniamentem fortepianu.

Obserwowałem to ze swej kryjówki i znowu poczułem narastające przygnębienie. Zazdrośnie spoglądałem na ludzi wewnątrz — muzyków i ich widownię. Gdzież mnie, tak przyziemnemu, prostemu człowiekowi do ich wyrafinowania. Potrafiłbym nie bez wysiłku naśladować ich gesty, ukłony i nawet konwersować jak oni. Czy mogłem jednak nabrać ich wdzięku, beztrockiego polotu? Nauczono mnie, w jaki sposób przekraczać progi salonów, jak pomóc damie wyjść z powozu. Zapamiętałem setki komplementów, które czyniły rozmowy przyjemniejszymi. Choćbym nawet tysiące razy powtórzył grzeczne słówka, to na zawsze pozostanę uwięziony w swej roli. Nie urodziłem się ani nie wychowywałem tak jak oni. Jak mogłem marzyć, że Edgar Linton uzna mnie za równego sobie i uściska niczym brata? Dźwigałem na swych plecach brzemień — garb prawdziwego Heathcliffa, skulonego przy pługu, kryjącego głowę przed spadającymi nań razami.

— Czemu spogląda pan z ukrycia, miał wejść między nich? Posłyszałem za sobą cichy szept Johna. Byłem tak zatopiony w ponurych myślach, iż nie usłyszałem, jak się zbliżał. Uniosłem pięść, chcąc skarcić go za to, że mnie szpiegował. Pohamowałem się jednak, gdy ujrzałem jego twarz. Czekał na odpowiedź.

— Być może odnalazłem właściwe miejsce dla siebie.

— O nie. W mroku miejsce dla nietoperzy, kretów i ludzi takich jak ja.

Pan winien znaleźć się w świetle wśród szlachetnych.

— Jest pan wspanialszy od każdego i każdej z nich. Ów Linton wygląda przy panu niczym krucha niewiasta. Poczułem, jak topnieje we mnie złość.

Nie sądz ludzi po pozorach. Myślisz, że wspanialszy od Lintona, lecz jego maniery są z czystego złota, podczas gdy moje tylko pozłacane. Ta cienka powłoka pękłaby przy pierwszym wstrząsie. Jestem przekonany, że gdybym wszedł tam, popełniłbym zaraz jakąś niezręczność i przegrał zakład — powiedziałem, chcąc zapewne, by John zaprzeczył.

— Proszę tak nawet nie myśleć! — John skrzywił się pogardliwie.

Zaśmiałem się gorzko.

— Nie umiesz ocenić ludzi.

— Owszem, potrafię bardziej, niżli się panu zdaje. Obiecałem, że będę miał na pana oko i dotąd tak się działo. Obserwowałem wszystko i słyszałem obawy pana Edwarda. Pan Edward robi to, na co ma ochotę, i nie ma w tym nic godnego potępienia. A jednak śmiem twierdzić, że czasem posuwa się za daleko.

John pokręcił głową i dodał:

— Myślałem nad tym ostatnimi dniami. Nasz dobrodziej tak pragnie, by się panu powiodło... A co się tyczy manier... cóż... trzeba było widzieć pułkownika, jak siedział dzisiejszego wieczora rozparty na taborecie, z łokciami na blacie stołu. Tłuszcz kapał mu z podbródka na kamizelkę. Zaśmiewaliśmy się w kuchni i powiadaliśmy, że wszyscy ci goście nie dorównują panu.

Popatrzyłem nań ze zdumieniem. A więc służba trzyma moją stronę? John ciągnął:

I proszę się nie obawiać o wielką podróż, którą planuje pan Edward. Z pewnością nie pozostawi tu pana. Podróż planował od dawna. Miesiące temu napisał listy do swych przyjaciół na kontynencie. E)ają głowę, że nie powiedział panu o tym.

— A ty czemu mi o tym mówisz?

— Widzę, że bierze pan wszystko z nadto poważnie. Przykro patrzeć, jak ktoś się męczy, kiedy wszystko idzie po jego myśli.

Obaj zapomnieliśmy, jakże blisko okna prowadzimy naszą rozmowę. Gdy przebrzmiała muzyka, Linton musiał usłyszeć głosy, gdyż niespodzianie podszedł do okna. Prędko odciągnąłem Johna w zarośla. Wstrzymałem od-



dech. Linton wychylił z bawialni swą piękną głowę, spojrział w jedną, potem drugą stronę, nie dostrzegł jednak niczego. Było już dosyć ciemno. Naraz, wiedziony impulsem, wkroczyłem w smugę światła. Edgar cofnął się raptownie. Spojrzałem mu w oczy. Jego rysy wyrażały zarówno rozbawienie, jak i wzgardę. Uśmiechnął się słabo i odszedł. Nie wrócił jednak do grupy stojącej koło fortepianu. Miał tego usiadł obok swego wuja.

— Nie darzycie się sympatią — szepnęła John z boku.

— Pisane nam być nieprzyjaciółmi — odrzekłem. Drżałem na całym ciele. Nie chciałem się już okłamywać. Linton mógł uśmiechać się w towarzystwie, ale była to tylko fałszywa maska. W istocie gardził mną — tylko gardził, ponieważ nie byłem godzien nienawiści. Czemu miałby nienawidzić kogoś, kto w ogóle nie zaprzętał jego myśli? Był bezpieczny z tym, co miał: bogactwem, pozycją wśród ludzi, urodą i — jak mniemał — cieszył się Twymi względami. Katy. Pewnie wyobrażał sobie, że nie zdołam mu niczego wyrwać. Musiałem przekonać go, że się mylił.

— Niech pan sobie nie zaprzęta nim głowy — rzekł John. — To mięczak, niewart nawet, by go zdeptać. Niechże pozostanie w swej skorupce.

— Dostanie jeszcze za swoje — powiedziałem przez zaciśnięte zęby. I nie czekając dłużej, wszedłem do domu.

Gdy minąłem drzwi salonu, pan Are i panna Ingram kończyli właśnie swój popis. Rozległy się oklaski. Panna Ingram dostrzegła mnie, wstała i, klaszcząc w dłonie, zwróciła się w moją stronę. Skłoniłem się jej, a wtedy rzekła:

— Rozmawialiśmy głównie o panu, panie Heathcliff. Teraz musi pan ponieść karę za swą nieobecność.

Przeszedłem pokój i ująłem jej dłoń.

— Nagana z pani ust to dla mnie zaszczytna nagroda, panno Ingram. Jestem do pani usług.

— Bardzo pięknie — stwierdziła — lecz nam się zdało, żeś pan niczym sługą. Jak nasz gospodarz, lubi pan władać ludźmi oraz końmi.

— Ach, wuju, więc opowiedziałeś tę starą historię — powiedziałem.

— Czyni pan cuda ze zwierzętami, sir — zagrzmiał pułkownik.

— Doprawdy cuda.

— Serdeczne dzięki, lecz nie zasłużyłem na takie pochwały — zaprote-

stowałem. — Poskromiłem zapędy bestii. Nie ma w tym cudu.

— Cóż, byłby to dla mnie wielki zaszczyt, gdyby pewnego dnia przyjechał pan do mnie i nauczył niego stajennego panować nad rumakami — rzekł pułkownik Dent. — Tej umiejętności bardzo mu trzeba.

— Uczynię to z radością — odpowiedziałem. — Czyżby stajnia stała się przyczyną pańskich trosk?

Pułkownik zamierzał coś odrzec, ale wtrąciła się panna Ingram, bojąc się zapewne, że rozmowa zejdzie na końską uprząż. - O nie, panie Heathcliff, nie zgadzam się z panem. To nic umiejętności pozwoliły panu okiełznać zwierzęta, lecz siła pańskiego charakteru. Na pierwszy rzut oka widać, żeś pan stworzony do wydawania rozkazów.

Uśmiechnąłem się.

— Cóż, dotychczas rozkazywałem głównie wierzchowcom, nie mogę więc powiedzieć, ile jest prawdy w tym stwierdzeniu.

— Och, wewnątrz pana czai się coś jeszcze, coś nieprzeniknionego i głębokiego. Pan Are kazał nam dziś wierzyć, iż wysłał pana z pewną misją. Przypuszczam, że miał pan i inne powody, by porzucić nasze towarzystwo. Domyślam się, że jesteś pan prawdziwym Dickiem Turpinem, rozbójnikiem i człkiem, który uciekł spoci szubienicy. W ciągu tych paru godzin ograbił pan zapewne dwa zajazdy, a złoto i kosztowności ukrył w swym lokum ponad stajnią.

Starsza pani Ingram nachyliła się do córki.

— Blanko, moja droga, posuwasz się chyba za daleko ze swymi żartami — oświadczyła. — Pan Heathcliff nie zna ciebie i może je opacznie zrozumieć. Poczuj się dotknięty twymi swawolami.

Panna Ingram zbyła napomnienie matki machnięciem wachlarza, który właśnie rozłożyła.

— Nie, matko. Pan Heathcliff pojmuje mnie bardzo dobrze. Jak mógłbym oburzyć się, słysząc słowa prawdy? — spytałem z uśmiechem. — Panna Ingram ma szósty zmysł.

Spojrzałem na Lintona i dorzuciłem:

— Istotnie jestem rozbójnikiem. Dzisiejszego popołudnia stałem się bogatszy o trzy naszyjniki z brylantami i być może nie skończy się na tym. A więc, drogie panie, nie zapomnijcie zamknąć się na klucz w swych sypial-

niach.

Słyszając to, pani Dent oraz panna Mary Ingram zaśmiały się, Edgar Linton zerknął spode łba, a starsza pani Ingram uniosła głowę i parsknęła, ale chyba i ona była rozbawiona.

— Cóż — rzekła do córek — wreszcie ktoś dotrzymał wam kroku w drwinach!

Owszem — powiedziałem — bezlitosny i zdesperowany człek ze mnie. Jeśli ktoś, kobieta czy mężczyzna, ma coś, czego pragnę, lepiej, bym dostał to bez słowa. W innym wypadku... cóż...! W żartobliwym geście przesunąłem palcem po swym gardle.

Kątem oka dostrzegłem, że Linton skrzywił się z niesmakiem. Wydawało mi się — a w każdym razie żywiłem taką nadzieję — iż moje kpiny przypominały mu niektóre zdarzenia z naszego dzieciństwa.

— Mniemam — podjął lord Ingram, podnosząc się z sofy — że dzięki Dickowi Turpinowi zaprzyjaźnimy się wszyscy na dobre.

Wówczas Linton, przygryzając wargę, również wstał i powiedział, że jest zmęczony i wcześniej uda się do łóżka. Jego wuj zaprotestował i stwierdził, iż Edgarowi potrzebny nie sen, lecz zabawa i zaproponował szarady. Pani Ingram rzekła, iż zbyt późna pora na to. Ktoś rzucił pomysł gry w karty.

— Tak! Zagrajmy w wista!

Tak też się stało. Spędziliśmy przy kartach resztę wieczora.

Dopisywało mi szczęście w grze, podobnie jak pannie Ingram i pani Dent. Nie przestawałem twierdzić, że jestem zbójcą, a lord Ingram (który, jak się okazało, był ode mnie starszy ledwie kilka wiosen) przedstawił się jako Jonatan Wild, inny rzezimieszek, napadający wędrowców na odludnych gościńcach. Cały wieczór zabawialiśmy damy, bacząc jednak, by nie uwłaczać ich godności. Przy drugim stoliku pan Are otwarcie flirtował z młodszą panną Ingram (co prawda nie tak piękną jak siostra, lecz za to pogodniejszą), a pułkownik przekomarzał się bez ustanku z dziewczętami, drażniąc tym panią Ingram. Nie szczędził też złośliwości swemu bratankowi, który — choć strudzony — dotrzymywał nam towarzystwa, siedząc w kącie z książką. Panna Ingram nie mogła znieść, by ktoś — jak teraz Linton zbyt długo pozostawał obojętny na jej wdzięki. Rozkazała Dickowi Turpinowi wykraść Edgarowi książkę. Linton był całkowicie pochłonięty czytaniem,

więc musiałem z przykrością odmówić — Turpina interesowały przecież złote monety, a nie książki. Wówczas poleciła to samo Jonatanowi Wildowi, którego łatwiej było zmusić do posłuszeństwa. Ingram z nożem do owoców w dłoni podszedł do fotela, w którym siedział Linton i kazał natychmiast oddać sobie książkę. Jednak żart się nie udał. Linton z uśmiechem wręczył tom Ingramowi, mówiąc, iż jest szczęśliwy, mogąc oderwać się od zajmującej lektury, skoro ktoś równie gorąco pragnie poznać jej treść. Ingram spąsował, a potem się zaśmiał.

— Bravo! — rzekł do JLintona. W dłoni dzierzył teraz mój oprawiony w skórę tom lorda Chesterfielda.

Wreszcie pani Dent przypomniała zebrany, że jutro musimy wstać wczesnym rankiem, ponieważ czeka nas wycieczka do ruin opactwa. Pułkownik zapewnił, iż pogoda z pewnością dopisze. A jak szlachetnie urodzeni przyjęli mój debiut w ich gronie? Edgar Linton pożegnał się ze mną ukłonem, lecz lord Ingram uściśnął mi dłoń i oświadczył, że wspinały ze mnie kompan. Jego starsza siostra dyskretnie podała mi różę, którą przez cały wieczór nosiła we włosach. Pan Are serdecznie poklepał mnie po plecach, kiedy skierowałem kroki ku stajni. Nie będę rozwodził się nad myślami, w których zatopiłem się, znalazłszy się w łóżku. Wystarczy, że wyznam, iż nikt z gości nie mógł wiedzieć, co nie dawało mi spać. Nikt, z wyjątkiem Edgara Lintona.

\* \* \*

Kiedy czytałam te stronicę, światło w przedziale poczęło przygasać. Z każdą chwilą musiałam trzymać rękopis bliżej oczu. W końcu nie byłam w stanie odróżnić poszczególnych wyrazów, zlały się ze sobą w czarne plamy. I wydało mi się, że dostrzegam pośród nich mroczny zarys twarzy. Jakaś ręka chciała odebrać mi poźółkłe kartki.

Ze strachem uzmysłowiłam sobie, że zapadam w dziwny sen. Oderwanie wzroku od manuskryptu kosztowało mnie wiele wysiłku. Lampa w przedziale dawała coraz mniej światła. Należało wymienić knot. Wydostałam się spod okrywających mnie koców i natychmiast poczułam, jak bardzo zimno jest w pociągu. Po paru chwilach płomień lampy rozbłył pełnym blaskiem, lecz przez ten krótki czas ręce zeszytywniały mi z zimna.

Prędko zawięłam się znowu w mój wełniany kokon, bacząc jednak, by nie przebudzić zatopionego w głębokim śnie pana Lockwooda. Położyłam rękopis na kolanach, lecz nie powróciłam jeszcze do lektury. Czułam, że muszę najpierw uporać się z pewną dręczącą myślą.

Choć to wbrew rozsądkowi, musiałam przyznać, że mój uprzedni wniosek był błędny. Teraz nie miałam wątpliwości: Heathcliff— autor tego długiego listu i Heathcliff— przyjaciel Emilii to jedna i ta sama osoba. Podpowiadał mi to instynkt, chociaż nigdy nie widziałam tajemniczego znajomego Emilii. Był jedyną osobą spoza rodziny, która cieszyła się względami mej siostry, więc nic dziwnego, że chcieliśmy go poznać. Osobliwym zbiegiem okoliczności nigdy nie doszło jednak do takiego spotkania. Annie, a także mnie, wydawało się niezwykle, że córka pastora z Haworth spaceruje po wrzosowiskach ze stajennym. Drażniło nas także to, iż nie pozwalała, by spotykał się z nami. Nie dzieliłyśmy się tymi wątpliwościami z Emilią — ona i tak zawsze postępowała według własnego uznania. Rozmawiałam naturalnie o tym w cztery oczy z Anną, zachowując tajemnicę przed ojcem i ciotką, a i sama Emilia czasem wspominała o swym niezwyklej towarzyszu. Znane były mi niektóre wypadki, jakie miały miejsce w Wichrowych Wzgórzach, słyszałam o mieszkających tam ludziach, a obecnie — szczęśliwym trafem — mogłam poznać dokładniej całą historię. I to dzięki nieznanomemu, spotkanemu w pociągu człowiekowi. Tak, byłam pewna — chodziło o tego samego Heathcliffa.

Mógłbyś przypuścić, drogi czytelniku, że padłam ofiarą wyrafinowanej mistyfikacji. Mógłbyś sądzić, że śpiący naprzeciw mnie człowiek jest autorem tego ponurego żartu. A jednak nie. Nie podejrzewałam, by pan Lockwood ukrył coś przede mną. Był dżentelmenem w każdym calu.

Emilia miała klucz do rozwiązania zagadki, ale bardziej poruszyło mnie coś innego — jakimż monstrum była owa pani Dean, która ukryła list Heathcliffa przed Katy? Gdyby uczyniła tak jak powinna, wówczas dwoje kochanków z pewnością wzięłoby ślub i długie lata żyłoby w szczęściu. A tak zawarto inne małżeństwo — uciekając się do oszustwa i podstępu. Jak ta kobieta ośmieliła się odwrócić los i oczekiwać jeszcze przebaczenia? Nic nie mogło wyrównać krzywdy! Dla takiej winy nie ma odkupienia!

Tak trudno pogodzić się z myślą, że gorące uczucie Heathcliffa nie spo-

tkąło się z wyrozumiałością niebios. Kochał przecież Katy tak niezłomnie i z takim uporem starał się być jej godny! Rozpacziwa miłość kruszy wszelkie przeszkody, dwa gorące serca zawsze w końcu się odnajdują wiedzione tajemniczą siłą. Wierzyłam w to nadal mocno, choć życie udzieliło mi gorzkiej lekcji — nie ma reguł bez wyjątków.

Mój towarzysz podróży poruszył się. Prędko przeniosłam wzrok na rękopis.

— Cóż, panno Bronte — powiedział pan Lockwood, sprawdzając czas na swym kieszonkowym zegarku. — Przespałem pół nocy, kiedy pani czytała. I co sądzi pani o mym przyjacielu Heathcliffie?

— Jeszcze nie skończyłam lektury, lecz na razie przekonałam się, iż został potraktowany gorzej, niż na to zasługiwał. Skrzywdzono go.

Pan Lockwood spojrział na kartki leżące na mych kolanach.

— Ach... rozumiem. Przeczytała pani dopiero połowę. Nie chciałbym wpływać swoją opinią na werdykt, jaki pani wyda, ale wkrótce może pani zmienić zdanie.

— Zobaczmy — powiedziałam, sądząc w skrytości ducha, że on z pewnością nie jest w stanie sprawić, bym zmieniła swój osąd. — Ten Heathcliff wzbudza moją sympatię i współczucie zarazem. Co stało się potem? Czy Katy istotnie wyszła za Edgara Lintona?

— Owszem. I żyli razem w szczęściu u boku Nelly, dopóki nie powrócił Heathcliff.

— Kiedy się to stało?

— Około pół roku po tym, jak przywiózł ze sobą ów list. Pół roku po weselu Katy.

— Jak zachowywał się przy ponownym spotkaniu? Czy był rozgoryczony?

— Bez wątpienia, lecz nie zdradzał się ze swymi uczuciami. Miał przecież sześć miesięcy na to, by w samotności rwać włosy z głowy i zgrzytać zębami.

Nie przypadła mi do smaku ironia, jaką wyczułam w głosie pana Lockwooda, i dałam mu to odczuć:

— Jeśli tak, to zachował się bardzo uprzejmie w stosunku do ludzi, którzy wyrządzili mu krzywdę.

— Tak... zapewne.  
— Cóż zaszło później?  
— Zaczął się umizgiwać do panny Linton, siostry Edgara.  
— Miał prawo pokochać inną, skoro jego pierwsza miłość wyszła za  
mąż.

— Tyle że bynajmniej nie kochał panny Linton, a swymi uczuciami  
wciąż darzył Katy. W końcu go pokochała... choć oboje poślubieni byli in-  
nym.

Słyszac to, zamilkłam na chwilę. Potem rzekłam:

— Powiedział pan „w końcu"... Czy to znaczy, że odwzajemniła miłość  
Heathcliffa zanim umarła?

— Owszem. Zanim umarła... — tu pan Lockwood odchrząknął

— lecz także po swej śmierci. Nawiedzała go przez dwadzieścia lat jako  
zjawia i wreszcie zaciągnęła go za sobą do grobu...

— Zadrżał i dokładniej okrył się kocami. — Drzwi i okna domostwa za-  
bito deskami po śmierci Heathcliffa. Powiadają jednak, iż ten dom wcale nie  
stoi pusty. Mówią, że zamieszkali w nim oboje.

Poczułam się nieswojo. Pragnęłam, by rozmowa dotyczyła jedynie spraw  
ziemskich.

— Myślałam, że mieszka tam wciąż pani Dean ze swą chlebobawczynią  
i że ów dom jest właśnie celem pańskiej podróży.

— Nie, rodzina żyje w Drozdowym Gnieździe, starym majątku Lintonów,  
który należy obecnie do córki Katarzyny i Edgara. Nelly zaczęła jej  
służyć po śmierci rodziców.

— Och... a więc spotka się pan z córką Katy.

— Tak, zobaczę ją po tylu latach już jutro, ściślej już dziś. To dziwne...  
musiała się zmienić, jest niemal w moim wieku, a mimo to zdaje mi się, że  
ujrzę ją taką jak dawniej. Jak w dniu, kiedy widziałem ją ostatni raz, na  
wrzosowiskach w poświacie zachodzącego słońca. Ach! Była taka piękna i  
delikatna. Miała cudne, ciemne włosy, ciemne oczy...

Pan Lockwood zadumał się i spojrzął w bok, jakby wpatrywał się w odle-  
gły punkt na horyzoncie. Ostatnie słowa wypowiedział głosem przepelnio-  
nym czułością i tęsknotą. Nie mogłam powstrzymać się od przypuszczenia,  
że odwiedzenie umierającej pani Dean nie było jedynym celem jego wypra-

wy. Pragnął pewnie także odnaleźć echa młodości.

Potem zamknął oczy, uśpiony miarowym kołysaniem pociągu. Pozostałam sama ze swymi myślami. Przesunęłam się ku oknu i wyjrzałam przezeń. Mknęliśmy przez mrok wśród nieustannie padającego śniegu.

Podróże koleją żelazną z każdym rokiem stawały się bezpieczniejsze i wygodniejsze. Nie było mowy o hałasie, brudzie i innych utrapieniach, na jakie narażeni byli podróżni jeszcze dziesięć lat temu. Mimo to przemierzanie ogromnych przestrzeni w ciągu kilku godzin nadal wydawało się czymś niezwykłym. Obojętna na me myśli lokomotywa, sapiąc i buchając parą, ciągnęła kruche wagony przez tunele wydrążone w skałach, ku mrocznej przyszłości przez mgły i burze.

Potrząsnęłam głową. Chciałam znaleźć zapomnienie w stronicach zapisanych ręką Heathcliffa, choć ulegałam teraz złudzeniu, że rozsiewają wokół siebie zimną, grobową atmosferę.

## 9.

Przebudziłem się z postanowieniem, że jeśli nie zdarzy się nic nadzwyczajnego, spróbuję się w końcu dowiedzieć, co łączy Cię z Edgarem Lintonem. Jeśli istniała między wami jakaś więź, wówczas musiałbym uczynić wszystko, by ją zerwać. Nie myślałem, jak to zrobić, lecz wiedziałem, że będę dążyć do celu zawzięcie i że nic mnie nie powstrzyma. Wyszedłem ze stajni i ruszyłem w stronę domu, postanawiając czekać cierpliwie i wykorzystać okazję, jeżeli się nadarzy.

Zebrani w jadalni goście rozmawiali o pogodzie. Pułkownik Dent twierdził zeszłego wieczora, iż dzień będzie słoneczny, jednak poranek najwyraźniej sztychł z jego optymizmu. Wiatry przygnały ciężkie, deszczowe chmury, przez które z trudem przedzierały się nieliczne promienie, chociaż pani Dent zaklinała się, że do południa chmury znikną i zrobi się ciepło.

— Jestem pewna, że się pani myli — powiedziała na to pani Ingram. — Chmury, które wiszą tak nisko nad ziemią, zawsze zwiastują deszcz i chłód.



Ze swej strony nigdy nie zaryzykowałabym wystawienia na szwank zdrowia w imię zwykłej rozrywki, choć niektórzy postąpiliby zapewne inaczej.

Wówczas pułkownik, który szczególnie interesował się kapryсами pogody, rzekł, że wyjdzie przed dom i przedstawi nam swą prognozę. Damy wyglądały przez okno, gdy przechadzał się między drzewami. Poślinił palec, wznosił go na chwilę nad głowę i wrócił do domu.

— Będzie padać — oznajmił zaniepokojonym zebraniem. — Wycieczkę trzeba będzie przełożyć.

Pani Ingram uśmiechnęła się i z uznaniem pokiwała głową, lecz żona pułkownika przycisnęła dłonie do piersi.

— Och, Haroldzie! — krzyknęła. — To niemożliwe! Błagam, nie wydawaj pochopnego sądu!

— Moja droga, mam całkowitą pewność. Życzeniami nie zmienisz praw natury!

— Taka sama pogoda była w dniu mych urodzin. Wszystko wskazywało na nadciągającą burzę, więc wyprawę do normañskich lochów przesunęliśmy na następny poranek. A jednak wcale nie padało, po południu wyjrzało nawet słońce, a wieśniacy wrócili do sianokosów. Następnego dnia dostałam gorączki i lochy zwiedziłam dopiero jesienią.

— Sama pani widzi! — odezwała się pani Ingram, jakby ktoś potwierdził właśnie jej zdanie. — Tak łatwo zachorować! Zdrowie moje, a także mych córek, jest ważniejsze niż jakaś tam wycieczka.

— Mów za siebie, mamo! — powiedziała panna Blanka Ingram, która zbiegała właśnie po schodach. Miała na sobie strój do konnej jazdy i kapelusz strojny piórami. — Nie dbam o to, czy będzie padać, czy nie. Mam zamiar zwiedzić ruiny opactwa!

— Ależ moja droga! A jeżeli się zaziębisz? Pomyśl o mnie albo przynajmniej o tym, co powiedziałaby, gdyby żył, twój biedny ojciec.

— Mój biedny ojciec rzekłby to co zawsze, czyli nic! — odparła panna Ingram i wyzywająco spojrzała na matkę.

— To pewne, iż pogoda niebawem zmieni się na lepsze — wtrąciła nieśmiało pani Dent, zerkając na wzburzone twarze.

— Nie, ciociu, obawiam się, że będę zmuszony cię rozczarować

— powiedział Edgar Linton, wchodząc do salonu. — Zrobiłem sobie wła-

śnie małą przechadzkę i ponad wszelką wątpliwość przewiduję deszcz.

Wyciągnął rękę ku ciotce, by pokazać ślady po deszczu na rękawach żakietu. Blanka Ingram zbliżyła się do Edgara.

— Och! — rzekła. — Też mi coś. Jak udało się panu dostrzec tak małą kroplę?

— To nie jest mała kropla — odrzekł Edgar z oburzeniem.

— Rękaw jest całkiem mokry. Niemal mógłbym go wyżyć.

— Nonsens! — ucięła krótko Blanka, a Edgar spąsował.

— Nie straszny mi taki deszczyk! A pan jesteś zbyt cikliwy, jeśli podobna błażostka powstrzymuje go przed wyprawą.

— Edgar łatwo się zaziębia — powiedziała pani Dent.

— Powinieneś chyba zostać w domu, mój drogi. Tak będzie dla ciebie lepiej.

— Letycjo, zanadto rozpieszczasz tego chłopca — zagrział pułkownik. — Jeżeli pogoda poprawi się, pojedzie ze wszystkimi. Chyba że... — rozłożył ręce i spojrzął w okno — ... pogoda się NIE poprawi!

Potem zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w okno. Do pokoju weszli lord Ingram i jego młodsza siostra. On ziewał, a ona szczebiotała. Przystanąli, widząc ponure miny zgromadzonych.

— Wszyscy są smutni, ponieważ dla zachcianki mamy musimy zostać w domu — mruknęła Blanka.

— Moja kochana, nie twierdź, że to mój kaprys. Przecież pada deszcz! — odrzekła pani Ingram.

— A więc podziękujmy łaskawej opatrności, że wybawiła was od nudnej i męczącej wycieczki! — stwierdził lord Ingram, siadając na sofie w kącie pokoju. — Mam okropną migrenę.

Nozdrza panny Ingram drgnęły, a jej źrenice rozbłysły złością.

— Wy dwaj dobraliście się w korcu maku... pan Linton i przeziębieniem, a Teodor ze swoją migreną! Brakuje tylko, by pan Heathcliff wyznał, że cierpi na melancholię i również musi zostać w domu. Cóż, panie Heathcliff, proszę dołączyć do tych nieszczęśników!

— Pod jednym warunkiem — odpowiedziałem, widząc, że starsi wciąż debatują przy oknie.

— Słucham.  
— Pani podejmie się roli medyka.  
— Wykluczone. Potrafię stawiać diagnozy, ale nie leczyć.  
— Ach... być może nie będzie pani w stanie wyleczyć ich, jednak mnie z pewnością postawi na nogi.

— A więc, czy istotnie coś panu dolega?

— To powinna pani wiedzieć sama. Czyż nie specjalizuje się pani w diagnozowaniu? A poza tym, znając przyczyny...

Ku mej uldze, tę czczą paplaninę przerwało nagłe wtargnięcie do salonu pana Are'a, który sam przecież nauczał mnie, jak zabawiać rozmową szacowne damy (kupił nawet stosowny podręcznik!). Zebrani zwrócili twarze ku gospodarzowi. Ten zaś oznajmił:

— Wyprawę należy odłożyć. Nadciąga burza...

— Ależ, panie Are, czy te kilka chmur ma nam popsuć dzień? Pan Are wzniosł dłonie.

— Gdybym tylko posiadał nadludzką moc wpływania na pogodę... — rzekł z uśmiechem. — Niestety, nie mam jej i jesteśmy zmuszeni czekać, aż niebo wypogodzi się samo. W tym czasie służący zajmą się przygotowaniami i wyruszymy, kiedy tylko słońce pokaże swe jasne oblicze!

— O! — krzyknęła nagle Blanka Ingram. — Mamo, popatrz tylko!

Tryumfalnie zawiódła matkę ku oknu, a potem nie zwlekając chwyciła za rękę siostrę i obie wybiegły na dwór. Wszyscy spojrzeli na lady Ingram.

— Słońce istotnie zaświeciło — stwierdziła w końcu, jakby ją samą zdumiała kategoriyczność tego stwierdzenia.

— A więc nie czekajmy dłużej — przyklasnęła pani Dent. Pan Are zaczął wydawać rozkazy służącym. Wzięliśmy szale, parasolki, szkicowniki i inne rzeczy, które mogły się przydać. Powozy miały być gotowe za kwadrans. Lord Ingram jęknął, przyciskając pluszową poduszkę.

W godzinę później goście i służba zebrali się na podwórzu, gdzie oczekiwały już gotowe powozy. Naraz rozległ się grzmot pioruna, który wszyscy zignorowali. Ale gdy lunął deszcz, nawet szanowna Blanka Ingram nie mogła udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Uciekła wraz z pozostałymi do holu, a pióra na jej kapeluszu wyglądały jak mokre małpie ogony. Trzęsła się z zimna i złości.

Całe popołudnie deszcz spływał strugami p© szybach i sączył się do środka kominem. Mimo rozpaczliwych wysiłków Johna, ogień w kominku nieustannie przygasał. Towarzystwo ogarnął minorowy nastrój. Pan Are, rzecz jasna, proponował różne zabawy, lecz żaden pomysł nie wzbudził entuzjazmu. Szarady zdawały się zbyt kłopotliwe — wszyscy dopiero co zmienili zmoczone stroje i nie mieli ochoty na maskaradę. Zaczęliśmy grać w fanty, lecz wkrótce panna Ingram wdała się w spór z matką, dotyczący stosowności i niestosowności pytań, na które mogli pozwalać sobie gracze. Zrezygnowaliśmy więc z fantów. Padł pomysł wspólnego śpiewania, okazało się jednak, że pan Are ma chrypkę, a lady Ingram wcale nie dopisuje głos.

Z trudem ukrywałem rozbawienie: oto ośmioro niewyobrażalnie bogatych przedstawicieli angielskiej szlachty, ubranych w drogie, wspaniałe stroje, nie potrafiło znaleźć niczego, co wywołałoby cień uśmiechu na ich nieskazitelnych obliczach. Jakże zaśmiewałabyś się na ten widok, Katy!

Po obiedzie (który zmuszeni byliśmy spożyć w ciepłarni) udaliśmy się do biblioteki, gdzie udało się nareszcie rozpalić w kominku. Ciepło sprawiło, że zapanował lepszy nastrój. Ktoś zaproponował, by — tak jak poprzedniego wieczora — urządzić turniej w wista. Pomysł spodobał się wszystkim. Nikt nie sprzeciwiał się też, aby tym razem zagrać na pieniądze.

Nikt — z wyjątkiem pana Are'a. Wiedziałem, że nie cierpi hazardu. Często przypominał, ile zła kryje się w grze na pieniądze. Niejedna rodzina została zrujnowana w ciągu kilku zaledwie godzin — ludzie przegrywali majątki warte tysiące funtów. Ja jednak byłem przekonany, iż tym razem gra potoczy się o stawkę zgoła symboliczną.

W myślach obiecałem sobie, że nie będę zbyt ryzykować. Zdołałem uzbierać już całkiem pokaźną sumę — zapłatę, jaką otrzymałem od pana Are'a oraz złoto Hindleya ulokowałem za radą jednego prawnika w banku w Millicote. Dzięki temu stałem się posiadaczem czterystu i pięćdziesięciu funtów, prawdziwej — dla mnie — fortuny, która już wkrótce pozwoli mi wrócić do Ciebie, Katy. Tym niemniej były to pieniądze, które pozostali mieli w kieszeniach, zasiadając do stołu. Pamiętałem o tym i postanowiłem, że jeśli stracę pięć funtów, pójdę w ślady Lintona — wezmę książkę i usiądę przy kominku.

Moje obawy okazały się płonne. Po kilku godzinach gry udało mi się wy-

grać ponad dziesięć tysięcy funtów. Pamiętasz pewnie, jak we Wzgórzach ograłem Hindleya. Nelly powiedziała wtedy, że sprzyja mi szczęście. Hindley zaklinał się, że oszukiwałem albo rzucałem jakiś urok, a jednak grał dalej. Nawet Ty droczyłaś się ze mną, powiadając, że oznaczyłem karty. Nie zrobiłem niczego podobnego — tak samo jak Ty zdumiałem się, iż ciągle jestem górą. Przykro mi było tylko patrzeć na Hindleya. Potem przez kilka lat trzymałem się z dala od hazardu. Teraz przekonałem się, że szczęście nadal mnie nie opuszcza... wygrywałem przez całe popołudnie.

Podano herbatę, a potem pani Ingram, nieco zde gustowana krotochwilami pana Are'a, stwierdziła, że pannie Mary Ingram także dokuczka chryпка. Kazała jej pójść na górę i położyć się do łóżka. Przywołała Edgara Lintona, by zajął zwolnione przez córkę miejsce przy stoliku obok Blanki, lorda Ingrama i mnie.

Muszę przyznać, że Linton uprzednio całkiem zrećcznie wymówił się od gry. Powiedział, że chętnie zrezygnuje (na dziewięć osób tylko osiem mogło zasiąść do wista przy dwóch stolikach), gdyż nie chce sprawić nikomu zawodu: niestety, nie potrafi grać zbyt dobrze w karty. W tej chwili jednak wyraził swe obiekcje w sposób bardziej zdecydowany:

— Obawiam się, iż nie przepadam za spędzaniem czasu przy kartach. Sprzyjają, co prawda, lepszemu poznaniu się ludzi, lecz sama gra pochłania zbyt wiele uwagi. I pobudza do niezdrowej rywalizacji. Poza tym, namiętność do kart czasem wiedzie ku występki.

— Mniejsza o to, panie Linton — rzekła pani Ingram.

— Ręczę, że w twoim przypadku to niemożliwe. Masz pan za silny charakter.

Linton nie wyczuł ironii, jaką podszyte były jej słowa, uśmiechnął się i usiadł na krześle Mary.

Czyniąc to, przypadkowo trącił mą nogę. Obaj drgnęliśmy gwałtownie, niby dotknięci rozgrzanym do czerwoności żelazem. Sądzę, iż przez krótką chwilę nie potrafiłszy ukryć poruszenia. W każdym razie wyglądał na wstrząśniętego. Prędko skrył jednak prawdziwe uczucia pod maską opamowania i powiedział cicho:

— Przepraszam.

Lord Ingram zajęty był akurat przywoływaniem służącego: prosił o nową

talię kart i niczego nie zauważył. Blanka Ingram przeciwnie — przyglądała nam się uważnie. Czyniłem starania, by moja twarz przybrała dobrotliwie ironiczny wyraz (z taką właśnie miną zwykł spoglądać na otoczenie Edgar Linton). Z jakim skutkiem — nie wiem. Panna Ingram zdała się dostrzegać coś w naszych twarzach, ale nic nie rzekła.

Przyniesiono talię i przystąpiliśmy do gry. Panna Ingram od razu podjęła na nowo temat z zeszłego wieczora. Powiedziała, że jeśli ja ze swoim tajemniczym dzikim spojrzeniem miałbym zostać Dickiem Turpinem, a jej brat Tedo brakiem posłuszeństwa przypominał Jonatana Wilda, to pan Linton — prawdziwy obraz uprzejmości i moralności — zasłużył na miano drugiego pięknego Nasha. Nash był przecież wzorem ogłady — NIEZRÓWNANYM wzorem ogłady — i nigdy nie oddawał się hazardowi. Mimo to, każdy wiedział, że swój majątek zbudował na rozboju. Nie zaprzestał owego procederu, choć cieszył się opinią najbardziej sprawiedliwego w całej Anglii. Niech więc pan Linton nie sądzi, że zwiódą kogoś jego doskonale maniery. Wszyscy wiedzą, iż w każdej chwili może zakrzyknąć: „Ręce do góry, oddawać złoto!”.

— Gdybym w istocie był Nashem — rzekł Linton — z pewnością wiedziałbym, co począć z kartami, które trzymam w dłoni! Muszę wyznać, iż zupełnie nie mam pojęcia, cóż teraz uczynić.

— Och, panie Nash, wznosi się pan na szczyty przebiegłości! — krzyknęła panna Ingram. — Naturalnie, wśród oszustów nie miał on przecież równego sobie. Potrafił najmędrszych zapędzić w koziego róg, udając przy tym głupiego, by ukryć swój szatański spryt!

Linton pokręcił głową.

— Znowu schlebia mi pani bardziej, niż na to zasługuję, panno Ingram. Nie potrafisz udawać. Jestem szczerym człowiekiem, który nie skrywa swych wad, a może i zalet. Zdumiewani się tylko, widząc, do jakich podstępów uciekają się inni.

Tu obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem.

Lord Ingram, partner Lintona w grze, wyjaśniał mu zasady wista. Panna Ingram nie mogła się więc przez chwilę naigrawać z Edgara i zwróciła się do mnie.

— 1 cóż, panie Turpin, ileż to złota i srebra padło wczoraj pańskim łu-

pem?

— Nie zdobyłem ani złota, ani srebra, lecz posiadam coś nieskończenie cenniejszego. Mógłbym pozbyć się bogactw, ale ów skarb zachowam na zawsze. Wart jest każdych pieniędzy.

Mówi pan tak zagadkowo... Nie umiem odgadnąć, co jest tym skarbem?

— Róża.

(W rzeczy samej nic dla mnie nie znaczyła. Wyrzuciłem ją przez okno zaraz po tym, jak dostałem ją od panny Blanki). Uśmiechnęła się.

— Róża? Czyliż kwiat może być bezcenny?

— Chodzi o dłoń, w której uprzednio była.

— A pewnie dzierzył ją Midas i zamienił w złoto? — powiedziała panna Ingram i wyciągnęła ku mnie swą, raczej pokąską, rękę. Ująłem ją i pocałowałem.

O nie, nie król Midas... To chyba Kupidyn trafił mnie jedną ze swych strzał.

Panna Ingram cofnęła swą rękę (zdążyła jednak przedtem delikatnie uściśnąć moją) i lekko uderzyła mnie złożonym wachlarzem.

— Jest pan zuchwały, sir. Zranieni strzałą Kupidyna zwykle wykrwawiają się na śmierć!

— Podejmę ryzyko dla kogoś tak uroczonego. Nie będzie pani chyba tak okrutna i nie pozwoli, bym umarł?

Lord Ingram usadowił się wygodniej w krześle. Posłyszał moje ostatnie słowa.

— Proszę na to nie liczyć. Blanka nikomu nie oszczędzi swego okrucieństwa. Adoratorów nabija na długie szpile, jak niegdyś czyniła z pająkami. Znajdowała przyjemność w wrywaniu im nóżek.

Też coś! — krzyknęła jego siostra. — Czy wszyscy zaczniemy opowiadać osobliwe historie z dzieciństwa? Mam zdradzić, jak skępowałeś szelkami nadgarstki Mary i przywiązałeś ją do nogi łóżka, by wysmagać ją batem?

— Skoro już wypaplałaś, to nie muszę dawać ci pozwolenia. Tym niemniej, o ile przypominam sobie całe zajście... Szelki istotnie mogły należeć do mnie, lecz bicz był twój i to właśnie ty robiłaś z niego użytek.

— Skończ z tymi ordynarnymi kłamstwami — powiedziała Blanka. —

Wprawiasz pana Lintona w zakłopotanie. Panie Linton, czy potrafiłby pan podobnie obejść się ze swoją siostrą?

Edgar wyraził przypuszczenie, że żaden brat nie mógłby potraktować rozdanej siostry w opisany sposób. Panna Ingram skrzywiła się na to, a lord Ingram podjął:

— Ile lat liczy sobie panna Linton?

— Izabela ma szesnaście lat. O dwa mniej niż ja sam. Panna Ingram stwierdziła, że siostra Lintona jest bardzo piękna.

— Wielu ją podziwia — przyznał Edgar.

— Czyli nie brak jej adoratorów.

— Cóż... jest jeszcze bardzo młoda. Poza tym rzadko kto odwiedza naszą okolicę. Mieszkamy z dala od uczęszczanych dróg. I co najważniejsze: od roku nie żyją nasi rodzice. Jeszcze do niedawna nosiliśmy po nich żałobę.

Drgnąłem, słysząc te słowa. Teraz wyjaśniło się, dlaczego Linton był wciąż taki pośpny.

Złożyliśmy mu kondolencje i rozpoczęliśmy w milczeniu grę. Po chwili Blanka ponownie podjęła rozmowę:

— Powiedział pan, że w sąsiedztwie pańskiej posiadłości zamieszkuje niewielu ludzi. Wnoszę więc, że nie ma tam młodych dam, które zaszczycałby pan swymi względami. Same tylko wieśniaczki, niegodne pańskiego towarzystwa.

— W rzeczywistości — odpowiedział Linton ciepłym głosem — żyje tam pewna osoba, godna najlepszego nawet towarzystwa. Podziwiam ją... to znaczy wszyscy ją podziwiają.

Spojrzał na mnie zmieszany.

— Oho, Blanko, tknęłaś czule miejsce! — krzyknął lord Ingram. Potem, widząc, że Linton milczy, powiedział do siostry szeptem:

— Czy ty nigdy nie potrafisz zostawić nikogo w spokoju?

— Przestań, Tedo, po prostu jestem dobrze ułożona. Pan Linton wie, że przez moje zainteresowanie przebija sympatia i nie znalazł niczego zdrożnego w moim przypuszczeniu. Nieprawdaż, panie Linton?

— Och, tak, naturalnie...

— Cóż to więc za osoba? Jak ma na imię?

Lord Ingram załamał ręce w teatralnym geście, słysząc abcesowe pytanie,



zadawane przez siostrę Edgarowi. Ona nie namierzała jednak ustępować:

— I kiedyż będziemy mogli złożyć panu gratulacje? Linton odparł obojętnym tonem:

— Och, nie chciałem dać do zrozumienia, że ową damę i mnie łączy coś szczególnego. Jesteśmy po prostu znajomymi.

Wstyd, panie Linton, toż to wierutne kłamstwo! Wczoraj pański wuj wyznał wszem i wobec, że jakieś młode dziewczę z sąsiedztwa nie jest panu obojętne...

A nawet jeśli to prawda? — rzekł rozdrażniony Linton. — Mam chyba prawo lubić kogo chcę!?

— Spokojnie! I po cóż się unosić? — wtrącił Teodor Ingram. — Naturalnie, że masz pan prawo. Blanka po prostu uwielbia się droczyć. Nikomu jeszcze nie udało się wyperswadować jej tej skłonności, najlepiej więc nie zwracać na nią większej uwagi. To najlepszy sposób.

— Tedy, jesteś niepoważny — powiedziała Blanka. — Przepraszam, panie Linton. Nie powinnam tak natarczywie pana wypytywać. Zachowałam się jak impertynentka. Teraz wiem, iż nie lubi pan niedyskrecji.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Linton powiedział:

— Dziękuję, panno Ingram, ale nie chcę, by rozumiała mnie pani opacznie. Nie splamiłem honoru damy, o której wspomniałem. Nie mam powodu niczego ukrywać.

Panna Ingram przez chwilę patrzyła nań w milczeniu, jakby czegoś oczekując. Wreszcie powiedziała:

— Niczego, poza jej imieniem...

Edgar zerknął na mnie, następnie dumnie uniósł podbródek.

— Katarzyna Earnshaw.

— I mieszka nie opodal pana?

— Owszem. Jej rodzice mają duży ziemski majątek.

— Zna ją pan od dawna?

— Od lat przyjaźni się z moją siostrą.

— A obecnie także z panem?

— Tak jest.

— Lecz nie jesteście zaręczeni? Spojrzałem na Lintona. Odwrócił wzrok.

— Nie.

Panna Ingram ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Pojmuję jednak, że w przyszłości pragnąłby pan...?

W tejsze chwili wszedł John i oznajmił, że za kwadrans podadzą kolację.

— A więc czas na cygaro! — krzyknął pan Are. Odłożyliśmy karty. Damy zaczęły poprawiać swe toalety. Starsi dżentelmeni oraz lord Ingram oddalili się, by zapalić cygara. Niespodziewanie pozostałem sam na sam z Edgarem Lintonem.

Kiedy rozejrzał się wokół i uświadomił sobie, że prócz nas nie ma w pokoju nikogo, szybko wstał od stolika. Chciał również wyjść, lecz pchnąłem go na tyle silnie, że na powrót opadł na krzesło.

— Jedno słówko, sir, jeśli pan tak łaskaw — powiedziałem. Edgar jeszcze raz spróbował się podnieść, ale przycisnąłem stolik do poręczy krzesła i uwięziłem go w ten sposób.

— Będę wołać o pomoc! — ostrzegł histerycznym głosem.

— O nie. Nie uczynisz tego — odrzekłem.

— Nie mara zamiaru rozmawiać z tobą!

— A ja nie zamierzam wyrządzić ci krzywdy... na razie — powiedziałem bardzo cicho.

Zbladł i zdusił w sobie następne protesty.

— A teraz — podjąłem — musimy wyjaśnić pewne sprawy. Czy obrażasz siebie, że poślubisz Katy?

Odpowiedział z zawziętością, jakiej nigdy bym się po nim nie spodziewał:

— Co CIEBIE to obchodzi? Porzuciłeś ją bez słowa pożegnania.

— Słyszałem to już wczoraj, sir. Lord Chesterfield twierdzi, iż nie należy się powtarzać. Daruję ci jednak tę gafę i odpowiem. Katy i mnie niepotrzebne są słowa.

— Tak, to prawda, tak właśnie jest. W końcu zapomniała o tobie. Nie musi znosić już dawnych udręk.

— Bacz na słowa! Chyba odebrało ci rozum. Prędzej zapomniאלaby o sobie niż o mnie.

— Powiadam: już o tobie zapomniאלa! — krzyknął.

— Sam rzekłeś przecież, iż tak martwiאלa się o mnie, że zapadła na zdrowiu.

— To minęło. Daję ci słowo, że nigdy nie wymieniam twego imienia. Nie uczyniła tego ani razu od sześciu miesięcy lub dłużej. Zniknąłeś i nic już dla niej nie znaczysz.

— Kłamstwo. Chowa mnie w najskrytszych myślach, tak jak ja pielęgnowuję jej obraz.

— Ach, naturalnie. Dzisiejszego wieczora okazało się, jak bardzo jej oddany.

Chwyliłem go za kołnierz.

— Objasnij to!

Daremnie starał się uwolnić. Wreszcie pojął, że na nic się zdadzą jego wysiłki. Zwolniłem uścisk na tyle, by mógł odpowiedzieć.

— Twoje umizgi do panny Blanki Ingram zadają kłam miłości, którą rzekomo darzysz Katarzynę.

— Te umizgi, by użyć twych słów, powodowane są zwykłą grzecznością. I dobrze o tym wiesz.

— Zabierz rękę z mojej szyi, bo inaczej naprawdę zacznę krzyczeć. Korytarz pełen jest służby.

Puściłem go, ale wciąż mierzyłem wzrokiem. Odezwał się znowu, głosem drżącym ze strachu i emocji:

— Może sądzisz, że flirtowanie z panną Ingram to nic szczególnego... Może to dla ciebie nic złamać kobiece serce... Katarzyna pomyśli jednak inaczej. Gdy usłyszysz o wypadkach tego wieczora, przekona się, że już ci na niej nie zależy. A dowie się o wszystkim. Sam jej opowiem.

Uderzyłem go niechybnie, ale w holu rozległy się głosy. Panowie skończyli już palić cygara. Mogli tu wejść w każdej chwili. Musiałem zadowolić się słowami — szczerymi, płynącymi z głębi duszy:

— Niczego jej nie opowiesz. Od dzisiaj nie będziesz mieć z nią nic wspólnego.

— Cóż za niezwykle oświadczenie! — głos Lintona naraz stał się bardziej pewny. Bliskość przyjaciół dodawała mu otuchy. — Jakim prawem ty, bękart, wydajesz mi rozkazy? Postąpię naturalnie tak, jak uznaję za stosowne. Nie powstrzymasz mnie. Poślubię Katarzynę, kiedy tylko będę mógł to uczynić.

— Twe zaślubiny odbędą się w piekle, przeklęty! Pókim żyw, nie do-

puszczę, byś pojął Katarzynę za żonę!

Nie odpowiedział ani ja nie dodałem niczego więcej, gdyż do salonu zajązwał pan Are. Był w tak dobrym nastroju, iż nie pojął, że przerwał właśnie gwałtowną kłótnię. Powiedział, byśmy wraz z nim udali się na kolację. Głęboko skłoniłem się Lintonowi.

— Z pewnością dotrzymam swej obietnicy, sir — obiecałem mu wychodząc.

\* \* \*

Powiadają, że tak naprawdę nigdy nie widzisz swego oblicza — ani na portrecie, ani nawet w zwierciadle. Ja doprawdy nie widziałam Ciebie, póki nie ujrzeli cię Edgar i Izabela. I czułam, że płonę ze wstydu, jakbym była zupełnie naga.

Lecz kiedy zostaliśmy sami, wszystko na powrót stało się piękne. Tak piękne, że nie chcieliśmy o tym mówić. Jakby zbrakło nam słów.

Słowa nie były nam potrzebne. Gdzie nie ma słów, tam wszystko dostrzeże oko. Twe oczy były wciąż tak ciemne, jak moje. Kiedy jednak spojrzął w nie Edgar, zrozumiałam, że coś je odmieniło.

To przepeliło mnie strachem. Czyżbyś potrafił żyć beze mnie? A jeżeli tak, to kimże byłam?

Wśród Lintonów czułam się lekka niczym piórko. Unosiłam się ponad wirem, który wyciągnął po mnie dłonie, gdy spojrzeliśmy sobie w oczy. A jednak odpływałam od Ciebie, czując dreszcze i mdłości.

A co stało się w nocy?

Nie to, czego pragnęłam.

Nie to.

Czy jednak wiedzieliśmy to następnego dnia, gdy ponownie spotkały się nasze spojrzenia? Może nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy?

Czy to się stało?

A gdyby nawet, to jak mogłabym uciec od Lintonów? Jak wydostać się na brzeg z rwącej rzeki?

Lecz to się nie stało.

## 10.

Linton nie zjawił się na kolacji (nic nadzwyczajnego — towarzystwo było tak pochłonięte hazardem, że zapomniało o takich drobiazgach jak jedzenie i picie), więc zdumiałem się, widząc go w bibliotece, gdzie przygotowano dla graczy wielki stół. Miał na sobie nowy, atlasowy strój. Wyglądało na to, że odzyskał animusz, jakim tryskał, przekraczając pierwszy raz próg tego domu — rzecz jasna, nie odezwał się do mnie słowem, zwrócił się za to ku Mary Ingram. Ujął jej dłoń i poprowadził ku fotelowi po drugiej stronie stołu. Pytał o wrażenia z pobytu w Cierniowym Polu i raczył ją własnymi obserwacjami. Byłem rad, że unikał rozmowy ze mną — na razie powiedziałem mu wszystko, co chciałem. Poza tym zauważyłem, iż przy Lintonie przestają nad sobą panować. Kiedy nie docierały doń słowa, miałem ochotę uciec się do przemocy.

Usiadłem więc możliwie najdalej od niego. Panna Blanka Ingram uśmiechnęła się przyzwalająco, widząc mnie obok, lecz przebiegle poprosiła pana Are'a, by zajął miejsce pomiędzy nami. Pan Are dobrze wiedział, że uciekła się do podstępu. Trącił mnie łokciem w żebra. Ja z kolei domyśliłem się, iż wziął pozory za prawdę: wyobrażał sobie, że istotnie adoruję pannę Ingram. Cóż, konsekwencje tej pomyłki mogły sprzyjać memu planowi. Odpowiedziałem mu podobnym gestem. Zaczęła się gra.

Szczęście, które popołudniem uśmiechało się do mnie, skierowało swe kapryśne oblicze ku lordowi Ingramowi. Wygrywał rundę za rundą, za każdym razem zgarniając całą pulę. Graliśmy teraz o większe pieniądze, gdyż — dziw nad dziwami! — domagał się tego Edgar Linton! Przestał zajmować się Mary Ingram i skupił całkiem na kartach. Oczy błyszczały mu niezdrowym blaskiem, kiedy rzucał coraz więcej złota na środek stołu. Złota, które niezmiennie wędrowało do kieszeni Ingrama.

Czy widziałaś kiedyś pięknego Edgara pochłoniętego hazardem, Katy? Czy widziałaś pot, spływający z jego szlachetnego czoła, jego jasnoblękitne

oczy płonące niczym pochodnie? Bóg mi świadkiem, z pewnością na długo zapamiętałabyś ten niezwykle obraz.

Naturalnie pan Are sprzeciwił się podbijaniu stawki, choć grzeczność nie pozwalała mu kategorycznie zakazać owego procederu. Hamował jednak szaleńcze zapędy Lintona, który nie zdawał sobie sprawy, jak wysoko przyjęto obstawiać w tym towarzystwie. Do czasu kiedy damy udały się na spoczynek, udało mi się odrobić straty i wygrać ponadto kilka sztuk złota.

John przyniósł wyborny, arakowy poncz. Pan Are życzył nam dobrej nocy, wznosząc toast w imię Morfeusza.

— Przecież nie wybiła jeszcze północ — rzekł Edgar Linton. — Mam ochotę na następną rozgrywkę!

— Co takiego? — odezwał się pułkownik Dent. — Czy mało ci tego, coś już roztrwoniał?!

— Cóż, wuju, skarżyłeś się, kiedy nie grałem... A teraz, gdy gram, narzekasz znowu.

— I nie ustane, póki nie pojmiesz, że nie masz dziś szczęścia. Nie kładź dłoni na kolanie Fortuny, kiedy ona całuje właśnie kogoś innego!

Na lico Edgara wystąpił rumieniec.

— Gdyby każdy tak uważał, to nikt nie zasiadłby do gry. Ktoś musi wygrać, a kto inny przegrać!

Pułkownik odstawił kielich na stół i powiedział:

— Graj lub nie, chłopcze, mnie wszystko jedno. Bacz tylko, byś się nie zagalopował. Nie licz, że będę spłacać twoje długi.

Uniósł do oczu szkła, chcąc przekonać się, jaki efekt wywrze na spadkobiercy ta groźba. Linton w istocie — po chwili wahania — skłonił się wujowi, zdając się przyznawać mu rację. Nie był na tyle naiwny, by narażać się pułkownikowi. Pan Dent, usatysfakcjonowany tą oznaką posłuszeństwa, wstał i oznajmił:

— Idę spać.

— Ja także — powiedział pan Are. — Zostawmy młodzików z ich szaleństwem, Dent. My, starsi, musimy odpocząć, by mieć siły na jutro.

Zanim gospodarz wyszedł, przywołał mnie na stronę pod jakimś błahym pozorem. Odwrócił się plecami do pozostałych i palcem wskazał butelkę wina, lecz szepnął:

— Uważaj na Ingrama. I uniósł brew.

To mi wystarczyło. Ja także podejrzewałem, że lord Ingram pomaga szczęściu w zdobywaniu złota. W istocie byłem niemal pewien, że gramy znaczną talią kart. Ingram kazał przecież służącemu przynieść ją ze swego kufra.

Wziąłem butelkę wina i przesunąłem paznokciem po rogu etykiety, pozostawiając ledwie widoczny ślad. Spojrzałem na pana Are'a. Niemal niezauważalnie przytaknął ruchem głowy. Uśmiechnął się i wyszedł. Obiekt naszych podejrzeń ruszył za nim, powiadając, że przyniesie coś, co zainteresuje takich namiętnych graczy jak Linton i ja.

Drugi raz tego wieczora pozostałem sam na sam z Lintonem. Siedzieliśmy w milczeniu. On podniósł swój pusty kielich, najpierw obracał go w palcach, a potem popatrzył przez szkło na ogień płonący w kominku. Suche szczapy trzaskały i sypały iskrami. Bez słowa podniosłem butelkę wina i napełniłem kielich Lintona. Wypił bez słowa, przyglądał mi się przez chwilę, po czym wyciągnął ku mnie dłoń dzierżącą kryształowy puchar. Napełniłem go ponownie po brzegi, nie roniąc ani kropli.

Teodor Ingram powrócił z czymś, co przypominało okazałe pudło na kapelusze. Drugą ręką podniósł swój kielich i wzniósł toast:

— Za piękną pogodę, za uroczę damy, za wspaniałą grę! Spełniliśmy go wszyscy, lecz ja ledwie umoczyłem usta w winie,

podczas gdy Edgar wypił jednym haustem. Nie chciałem, by cokolwiek uszło mej uwagi, lord Ingram także był powściągliwy. Zapewne równie gorąco pragnął zachować jasny umysł. Postawił pudło na kredensie.

— Jak przypuszczacie: co znajduje się w środku? — zapytał.

— Ludzkie głowy, jak sądzę — odrzekłem.

— Tak... i to nawet sześć. Szybkim ruchem zdjął pokrywę.

Linton aż podskoczył. W środku było sześć twarzy-masek, z czapkami lub perukami. Ustawione na obrotowym stojaku, zerkwały w sześciu kierunkach. Zapłakany Pierrot, złowrogi Arlekin, zraniony żołnierz w czerwonej czapce, skrzywiony, ciemnoskóry Indianin z długimi, czarnymi włosami, tygrys o zakrwawionej paszczy oraz stwór przypominający ni to motyla, ni człowieka o obliczu pokrytym piórami.

— Cóż to...? Czy czas na szarady? — spytał Edgar.

— O nie, przywdziejemy je, zanim zaczniemy grać — odrzekł Ingram. Zakręcił stojakiem. Wirujące maski zlały się w barwną tęczę. — To ostatni krzyk mody w Londynie. Ukrywacie twarze za maskami i nikt nie pozna waszych uczuć. Możecie się skrzywić, gdy wyciągniecie dwójkę, albo uśmiechnąć, kiedy weźmiecie do ręki treflowego waleta... Wszystko jedno, nikt nie zdoła dostrzec waszych min.

— Wybieram żołnierza — stwierdził Linton i wyciągnął rękę.

— Nie, nie tak prędko. Zaraz wszystko objaśnię. To maski do hazardu, więc trzeba o nie zagrać. O tu... połóżcie dłonie na jednym z miejsc na podstawce...

(Na czarnym metalu wymalowano sześć kościstych dłoni.)

— ... dostaniecie tę maskę, która zatrzyma się nad waszą ręką. Linton tak właśnie uczynił. Kołowrót przestał się obracać.

Edgar wylosował Pierrota.

— Dobrze — powiedział lord Ingram. — Pierrot przynosi szczęście, zwłaszcza podczas pełni księżyca. Oczywiście nie mam najmniejszego pojęcia, czy dziś jest pełnia. Pada przecież deszcz i chmury zazdrośnie strzegą tajemnicy księżyca. Teraz Heathcliff!

Mnie przypadł tygrys, a Ingramowi — motyl. Nappełniłem kielichy winem, przywdzialiśmy maski i zasiedliśmy do gry.

Choć Ingram istotnie mógł chcieć zapoznać nas z najmłodniejszą dziś grą, to już po chwili pojąłem, że kierował się raczej innymi powodami — teraz znacznie trudniej było przyłapać go na oszustwie! Wyostrzyłem jednak wzrok, zdecydowany mieć na niego baczenie.

W pierwszym rozdaniu obstawiłem nisko. Wygrałem, choć miałem wrażenie, że Ingram oznaczył paznokciem jedną kartę. Spojrzałem na swoje i przekonałem się, że na odwrotnych stronach upstrzone są dziwnymi wzorami. Ten, kto znał ich układ, bez trudu mógł odgadnąć walor. Katy, pamiętam, jak zaśmiewałaś się, kiedy Hindley uciekł się do podobnej sztuczki. Grał ze swymi kompanami, lecz upił się i szybko pogubił we własnym oszustwie. Ingram nie był takim fuzerem, ale i on musiał zapłacić za nieuczciwość.

Nie spieszyłem się, chcąc nabrać całkowitej pewności. To nie przelewki oskarżyć dżentelmena o szalbierstwo. Dostrzegłem, jak Ingram przesuwają



palcami po wierzchniej stronie kart. A potem obstawił bardzo wysoko. Najwidoczniej zamierzał nas oskubać do cna.

Nie zwlekąłem dłużej. Potrąciłem swój kielich i wino rozlało się na rozłożone karty.

Pospieszyłem z przeprosinami:

— Tak mi przykro! Przypuszczam, że to była pańska talia, Ingramie?

Zadzwoiłem na Johna. Zacząłem ścierać wino z kart i robiłem to tak, by Ingram nie zdołał zebrać ich ze stołu. Rubinowy płyn ściekał cienkimi strużkami z blatu na spodnie Lintona, ale ten nie od razu to spostrzegł.

— Tutaj, Johnie — powiedziałem. — Obawiam się, że byłem bardzo niezręczny. Proszę, wytrzymaj te karty i zanieś do mojej komnaty, by wyschły.

Wręczyłem mu mokrą, bezładną masę kartoników.

— Nie, nie! — krzyknął Ingram. — Jestem pewien, że nic im nie będzie. Oddaj mi je, przyjacielu... niech no zobaczą!

John był na równi zmieszany widokiem masek na twarzach, jak i sprzecznymi poleceniami. Popatrzyłem mu w oczy i rzekłem do Ingrama:

— Mimo wszystko nalegam. Zniszczyłem pańskie piękne, odręcznie malowane karty. Powinienem zapłacić za swoją niezgrabność.

— Och, to godne uznania — powiedział Ingram. — Niepotrzebny jednak zbytek troski. Czy twój człowiek mógłby pofatygować się do mego służącego i kazać mu zjawić się tutaj z nową talią?

Tu ospale kiwnął dłonią w stronę swej sypialni.

— To niepotrzebne — odrzekłem. — W tym domu z pewnością znajdują się jakieś karty. Johnie, bądź tak łaskaw i przynieś je.

John uklonił się i odwrócił, by wyjść.

— Och, John... — dodałem jakby po namyśle. — Upewnij się, byś dostarczył nam zwykłą talię... Taką, której karty nie będą poznaczone na grzbietach.

John strzelił obcasami i oddalił się.

Ingram zdjął maskę i przez minutę obracał nią w dłoniach, nim znów się odezwał.

— Cóż, panie Heathcliff, obawiam się, że mnie pan podejrzewa!

— Podejrzliwość cechuje chyba wszystkich w naszym gronie. Spojrzałem na Lintona. — Bez trudu będzie mi pan mógł udowodnić, że się pomyli-

łem — dodałem.—Obiecuję, iż odtąd porzucę wszelkie sztuczki! Czy jesteś pan doświadczonym graczem?

Bynajmniej. Miewałem jednak okazje, by podejrzeć nieuczciwe praktyki innych.

Teraz Edgar, na którego najwyraźniej podziałał nadmiar wypitego wina, wybełkotał słowo, które zabrzmiało jak „Hindley...!” Przeszyłem go jednak natychmiast wzrokiem. Zamilkł i zajął się czyszczeniem swych poplamionych spodni.

Ingram nałożył z powrotem maskę i wówczas zza uchylonych drzwi dobiegł nas wybuch śmiechu — kobiecego śmiechu. Z mroku wyłoniła się Blanka Ingram. Dłonią zasłaniała usta, starając się powstrzymać rozbawienie. Była bosa, miała na sobie luźną suknię narzuconą na nocną koszulę. Linton spojrział na nią, lecz szybko odwrócił głowę. Wstałem i skłoniłem się.

— Przepraszam, iż się roześmiałam — powiedziała — ale, daję słowo, wyglądacie tak komicznie... zwłaszcza ty, Tedo! Piękny z niego motylek, prawda, panie Heathcliff?

Stała za krzesłem brata i pomachała wstążkami swej sukni niczym skrzydełkami. Poirytowany lord Ingram przegnał ją ruchem ręki.

— Zdaje się, Blanko, iż gdzieś się wybierasz? Jak ci nie wstyd paradować w nocnej koszuli?

— Nie zamierzałam nikogo gorszyć!

Zdjęła z oparcia krzesła surdut lorda Ingrama i buńczuczny gestem rzuciła sobie na ramiona.

— Już może pan patrzeć, panie Linton. Teraz jestem równie przyzwoita jak pan.

— Blanko — rzekł Ingram bardziej zdecydowanym tonem — zaprzestań tej komedii i zostaw nas samych.

— Ach tak? Pijecie i gracie, ukrywając twarze za maskami. Nie wiem, kogo prędzej można by posądzić o komedianstwo.

— Nie możesz tu zostać.

— Czemuż to?

— Jesteś dziewczyną. Powinnaś wrócić do łóżka.

— Mylisz się. Nie ma tu dziewcząt.

Przesunęła palcem po brzegu kominka i uczerniła go sadzą. Potem ponad

górną wargą namalowała sobie zawadiackie wąsy.

— Lord Ingram rzekł, iż w tym pokoju znajduje się dziewczyna. Czy widzi pan jakąś, panie Heathcliff?

— Nie — odpowiedziałem. — Ów dżentelmen musi dowiedzieć się, że jest w błędzie. Jest tu jednak osoba, której imienia nie znam. Młodzieniec, którego pragnąłbym poznać i zaprosić go do naszej biesiady.

Zerknąłem na Lintona. Osunął się, jakby stracił przytomność. Być może w istocie nie był niczego świadom.

— Proszę jej nie zachęcać, Heathcliffie — powiedział łagodnie Ingram, sądząc pewnie, iż przypadł mi do gustu żart jego siostry.

— Blanko, nie możesz jednak usiąść przy naszym stole.

— Tedo! — jęknęła żałośnie i wykrzywiła usta.

— Och, dobrze już — ustąpił. — Skoro już tu jesteś, to możesz także z nami zagrać, jak sądzę.

Pocałowała brata (wycierając następnie chusteczką jego policzek) i podeszła do kredensu.

— Wezmę tę! — oświadczyła, biorąc maskę żołnierza.

— Nie! — krzyknął Ingram. — Musisz zdać się na los, tak jak my! Inaczej nie dopisze ci szczęście!

— Już tknęłam maskę i spotka mnie pech, jeśli odłożę ją z powrotem.

Ingram rzucił się w jej stronę, ale zręcznie odskoczyła.

— O, nie oddam ci jej... — powiedziała. — Aby uspokoić cię jednak, założę tylko czapkę.

Odłożyła maskę na miejsce, zdejmując zeń futrzaną, żołnierską czapkę. Przykryła nią swe gęste, upięte włosy. W blasku świec, w męskim surducie i z domalowanymi wąsami, istotnie wyglądała na młodzieńca. Była bezsprzecznie urodziwa tak w kobiecym stroju, jak i przebrana za mężczyznę.

Ingram wzruszył ramionami.

— I po co ci to? Dziewczęta nijak nie pojmują, na czym polega uczciwa gra.

Odwróciła się do brata plecami. Oparła bosą stopę o moje krzesło, ugięła kolano i wzywająco wysunęła podbródek.

— Czy dostanę cygaro? — spytała.

Wyjąłem jedno z pudełka, przyciąłem i wsunąłem w jej usta. Podałem jej

świecę — zapaliła, przytrzymując ją dłoń. Z pewnością nie pierwszy raz paliła cygaro.

— Nadszedł twój służący, Heathcliffie — powiedziała. John istotnie wrócił z nową talią kart. Położył ją na stole i nieznacznie mrugnął do mnie okiem.

Gestem wskazałem mu pannę Ingram.

— Johnie, podaj temu młodemu dżentelmenowi kielich wina. A potem możesz udać się na spoczynek.

John spełnił polecenie, skłonił się i wyszedł. Panna Ingram bez wahania opróżniła cały kielich.

— A teraz... — rzekła — przystąpmy do gry.

— Gramy na pieniądze, Blanko — powiedział jej brat. — A ty już ich nie masz. Przegrałaś wszystko po południu.

— Tak więc musisz postawić za mnie, Tedo. To złoto należy do ciebie, nieprawdaż?

— Jak mi się odplacisz?

— Och, zwrócę ci pieniądze, kiedy wygram. A jeśli będę mieć pecha, zapłaci za mnie mama. Wiesz przecież, że zawsze robi to, o co ją poproszę.

— Owszem, zawsze wodzisz ją za nos — westchnął. — Cóż, usiądź więc... proszę.

Odliczył dla niej kilkanaście monet. Usiadła naprzeciw mnie, opierając stopy na krześle, aby nie zmarzły.

Ingram popatrzył na mnie i skinął głową w stronę Lintona.

— Czy on...?

Linton w samej rzeczy wyglądał na niezdolnego do gry. Maskę zsunęła mu się z twarzy i raczej chrapał niż oddychał. Lecz kiedy dotknąłem jego ramienia, natychmiast drgnął. Zachował więc czujność.

— Proszę mnie nie tykać, niepotrzebna mi pomoc. Jestem gotów do gry. Wzruszyłem ramionami i przetasowałem karty. Rozpoczęła się gra.

Teraz lord Ingram nie mógł już sobie pomagać tajemnymi znaczkami i nie szarżował z pieniędzmi. Ja również obstawiałem raczej nisko. Natomiast brawura panny Ingram nie miała granic. Całe szczęście, iż ustaliliśmy, że grać będziemy tylko o złoto, które leżało na stole — inaczej Blanka straciłaby swój zegarek, szmaragdowy naszyjnik, wszystkie książki, jakie posiadała,

i spaniała swej siostry.

Nie zniechęcała się bynajmniej faktem, że wciąż przegrywa. Grała prędko i niedbale, rzucając bez przeliczania monety na środek stołu, znajdując w tym nieustanną uciechę.

Edgar Linton również przegrywał, choć nie pozwalał sobie na takie ekstrawagancje jak Blanka Ingram. Może upomnienie wuja pohamowało go i przygnębiło, może i nadmiar wina uczynił swoje. Obstawiał w ponurym milczeniu. Nie przestawał pić, a każdy kolejny kielich pogarszał jego nastrój... pewnie tym bardziej, że teraz ja zacząłem wygrywać.

Wyszła na jaw ma zadziwiająca umiejętność: gdy skupiałem się na grze, wówczas dostawałem najlepsze karty. Zawsze sprzyjało mi szczęście w grach, lecz nigdy dotąd nie uprzytomniłem sobie, że mogę wpływać na los siłą własnej woli. Lub też owa zdolność zrodziła się właśnie tej nocy w niepowtarzalnych okolicznościach — było późno, za oknami szalała burza, obok mnie siedział mój wróg, blask świec połyskiwał na groteskowych maskach. To wszystko musiało zbudzić we mnie ukrytą moc.

Dodało uśpionej części mego umysłu śmiałości, by przeniknęła z tego, co nieznanne i niepoznawalne, do realnego świata.

Zauważyłem teraz, że mój mózg pracuje szybko i bezbłędnie. Ujrzałem wszystko z niezwykłą ostrością: stół, kielichy, maski, karty i dłonie, które je trzymały. Każdy szczegół nabrał nagle znaczenia i poczułem siłę, jaka we mnie tkwiła. Wiedziałem z całą pewnością, że jeśli rozkażę, by treflowy walet trafił przy rozdaniu do mych rąk, tak właśnie się stanie. Westchnąłem. Bynajmniej nie byłem zaskoczony. Pojąłem, że spotkało mnie coś nieuchronnego. Niegdyś bałem się nawet myśleć o sprawach, które obecnie zdały mi się oczywiste.

— Niedobrze, Lintonie — odezwał się Ingram, przesuując ku mnie złoto ze środka stołu. — Fortuna uśmiecha się teraz do Heathcliffa. Płochą to jednak panna. Kto wie... może polubi i ciebie, nim nastanie brzask.

— Nie — odparł Linton. — Nie uczyni tego, dopóki Heathcliff i ja siedzimy przy tym samym stole. Zawsze wolała jego, nawet w czasach, kiedy obaj byliśmy chłopcami.

— On bredzi — powiedziałem szeptem Ingramowi, a ten z pewnością w to uwierzył. Przez szpary w masce widziałem oczy Lintona. Odbijał się w

nich blask świec. Po szyi spływał mu pot.

— Tak, ona sprzyja Heathcliffowi — stwierdziła Blanka Ingram, zaciągając się dymem z cygara. — Jakże wkradł się pan w jej łaski, sir?

— Sprzyja jemu, ale poślubi mnie — wybelkotał Linton. — Wyjdzie za mnie na wiosnę, jeśli, tylko on będzie trzymać się od niej z dala. Wina!

Ingram spojrział na mnie znacząco i zasłonił swój kielich dłonią.

— Wybacz, Lintonie — powiedziałem — ale obawiam się, że już się skończyło. Zobacz, butelka jest pusta.

Obróciłem opróżnioną butelkę szyjką w dół.

— Łajdak! Skąpiec! Oszust!

Linton stanął na chwiejnych nogach, wywracając krzesło na podłogę.

— Widziałem jak przesuwałeś nogą za przepierzenie pełną butelkę. Jakim prawem...!? Prawdziwy z ciebie nikczemnik! Daj... Ręce precz ode mnie! — ostatnie słowa wykrzyknął do Ingrama, który usiłował go uspokoić.

— Sir, jest pan pijany — rzekł Ingram — i czyni obelżywe uwagi. Proszę pozwolić, bym pomógł panu udać się do łóżka, zanim znieważy pan naszego gospodarza.

— Naszego gospodarza? Naszego gospodarza? Pyszny dowcip! Szarpiąc się z Ingramem, Linton trącił nogą butelkę (którą istotnie ukryłem za przepierzeniem). Potoczyła się z hałasem po podłodze. Wybuchnął dzikim śmiechem i powiedział:

— A to dopiero żart! Taki z niego gospodarz, jak z pomywaczki dama. To Cygan, odmieniec, kłamca...

— Zamilcz, Lintonie, bo inaczej możesz pożałować swej zuchwałości — stwierdził Ingram. — Co masz przeciwko Heathcliffowi? To porządny człek. Nie wyrządził ci krzywdy.

— Porządny człek! Myślisz, że on jest dobry? Czy nie widzisz, że to czart?

— Pomieszało ci się w głowie, człowieku. Idź spać.

— To oszust. Oszukiwał przy kartach cały wieczór.

Ingram przyjrzał mu się, wybuchnął śmiechem, lecz prędko spoważniał.

— Lintonie, na mój honor, zapewniam cię, że gdyby Heathcliff oszukiwał, z pewnością bym to dostrzegł.

— Tak jednak było. Daję słowo, on potrafi okradać ludzi ze złota.

— Milcz, Edgarze — powiedziałem.

— W jaki sposób mógł oszukiwać? — spytała panna Ingram.

— Skąd mam wiedzieć? Nie jestem przecież graczem... może miał inne karty w kieszeniach. Przeszukajcie mu kieszenie.

Ingramowi udało się wreszcie chwycić Lintona za ramiona.

— Lintonie, czy nie pojmujesz, jak poważne wysuwasz oskarżenia? Heathcliff mógłby wyzwać cię za nie na pojedynek... W samej rzeczy, jeżeli się nie pohamujesz, będzie do tego zmuszony. I stanę po jego stronie.

— Jeśli rzucisz mu wyzwanie, drogi przyjacielu — zwróciła się do mnie panna Ingram — to zostanę twoim sekundantem. Nie mam, co prawda, zbyt-niego doświadczenia, ale proszę wierzyć, iż nie brak mi odwagi... inaczej niż Tedowi.

Spojrzałem pogardliwie na Lintona.

— Walczyć z nim? Z taką mimożą? Prędzej skrzyżowałbym szpady z panią, panno Ingram.

Słyszając to, Edgar Linton wyrwał się Ingramowi, schwycił ze stołu pustą butelkę i zamachnął się nią na mnie. Nie trafił jednak — utracił jedynie ucho tygryziej masce. Ingram ponownie przytrzymał Lintona, a Blanka rzuciła się, by mnie powstrzymać (w tej sekundzie naprawdę zamierzałem zgnieść Edgara niczym robaka), lecz coś sprawiło, że zastygła jak skamieniała. Patrzyła gdzieś poza mnie.

— Mary? — spytała.

Odróciłem się. W mroku koło kredensu stała kobieca postać z ciemnymi włosami, ubrana w białą suknię, podobną do tej, jaką miała na sobie panna Ingram. Postąpiła krok naprzód i zauważyłem wówczas, że na twarzy ma czerwoną maskę Indianina. Musiała przywdziać ją, kiedy my szamotaliśmy się z Lintonem.

— Mary? Dlaczego nałożyłaś maskę? Czemu nic nie mówisz? — spytała Blanka.

— To któraś ze służących stroi sobie żarty — odezwał się Ingram, lecz nikt w to nie uwierzył. W ruchach kobiety było coś przerażającego.

— Mary, przestań mnie straszyć — powiedziała Blanka drżącym głosem.  
— Rozkazuję ci zdjąć tę maskę!

Postać wciąż się zbliżała. Znalazła się w kręgu światła wokół stołu.

Blanka krzyknęła:

— To nie Mary! To nie Mary!

Blanka, Teodor i Edgar cofnęli się, pozostawiając w oświetlonym tle tylko mnie i tajemniczą kobietę. Ta powoli zbliżyła się do mnie. Nie wiem, dlaczego się nie cofnąłem ani nie zerwałem maski z jej twarzy. Czas stanął w miejscu, przestałem cokolwiek słyszeć. Wyciągnęła rękę, zdjęła moją maskę i spojrzała mi głęboko w oczy.

Kontury pokoju rozmyły się nagle, zmienione mocą tego spojrzenia. Naraż maska zaczęła zmieniać swe rysy. Rozpłynęły się rzeźbione policzki i drapieżne wargi Indianina — i tuż przed sobą zobaczyłem oblicze... kamiennej kobiety z łąki!

Ktoś nagle wskoczył pomiędzy mnie i tajemniczą postać... to była Blanka Ingram.

— Zerwę jej maskę! — krzyknęła, usiłując wprowadzić w czyn swe słowa. Wywiązała się chaotyczna walka, a potem coś — maska Indianina — spadło na podłogę. Nieznajoma rzuciła się do ucieczki — mignął tylko rąbek jej nocnej koszuli i rozległ się piskliwy, przeraźliwy chichot. Panna Ingram ruszyła za nią ku drzwiom, lecz potknęła się o podnózek stolika i upadła na posadzkę. Zasypały ją drobiazgi z blatu przewróconego mebla.

Pomogliśmy Blance wstać i upewniliśmy się, że nie stało jej się nic złego. Pościg za tajemniczą postacią był bezcelowy — z pewnością zdołała już pierchnąć z domu. Ponadto w pokoju zjawili się zaniepokojeni hałasem John i Leah i zaczęli porządkować poprzewracane rzeczy. Potem nadszedł pan Are, ale nim Ingram zdążył opisać mu przebieg zajścia, raptownie obrócił się na pięcie i zniknął na powrót w mrocznym holu — zdeglustowany zapewne naszą pijacką biesiadą.

— Któż to był? — zapytałem cicho Blanę, strzepującą wosk z surduta, który miała na sobie.

— Na pewno nie Mary — odrzekła i pokręciła głową, gdy chciałem dowiedzieć się czegoś więcej. Wymknęła się z pokoju, unikając pełnego oburzenia wzroku Leah.

Edgar Linton usiadł ciężko na sofie i ukrył twarz w dłoniach.

— Trzeba go zaprowadzić do łóżka — stwierdził Ingram. Obaj podnie-



śliśmy Lintona i zawlekliśmy go po schodach ku jego sypialni. Gdy doszliśmy do drzwi, rzekłem do Ingrama:

— Ja się nim zajmę.

Ingram z niedowierzaniem pokiwał głową.

— Poczciwy z ciebie człowiek, Heathcliffie. Darowałaś mu wszystkie zniewagi. Widywałem już ludzi ginących za to w pojedynkach. Choć, z drugiej strony, był bardzo pijany. Dobrej nocy!

Trzeci raz tego dnia znalazłem się sam na sam z Edgarem. Leżał na plecach w łóżku i patrzył na mnie mętnymi oczyma. Odbijał się w nich ognik świecy, którą trzymałem w dłoni. Usiadłem przy nim.

— Edgarze... czy jesteś przytomny? Czy słyszysz, co do ciebie mówię?

— Tak — odrzekł jak zahipnotyzowany.

— Starzy z nas przyjaciele, nieprawdaż?

— Nigdy nie byliśmy sobie przyjaźni.

— Lecz łączy nas coś głębokiego i niezwykłego. Próbował zakryć oczy ręką.

— Odejdź — rzekł.

Przysunąłem płomień bliżej jego twarzy.

— Upiłeś się i zawodzi cię pamięć. To zrozumiałe.

— Nic nas nie łączy. Jesteś dla mnie nikim. Ująłem jego delikatną dłoń.

— Przeciwnie. Bardzo wiele dla ciebie znaczę.

— Nie.

— Tak.

Uszczypnąłem go, by wrócić mu świadomość, i dodałem:

— I z tego właśnie powodu zatroszczę się o ciebie jutro.

— Zatroszczysz?

— Tak jest. Wybierzemy się sami na konną przejażdżkę. Jak wiadomo, ludziom przemierzającym pustkowia przytrafiają się czasami wypadki. Pełno tu zapomnianych ścieżek i zakamarków, gdzie nieostrożny jeździec może spaść z wierzchowca i roztrzaskać sobie czaszkę o głaz.

Edgara zaczął ogarniać niepokój. Zająknął się:

— Och, ja zwykle podróżuję powozem.

— Twój wuj nie pozwoli ci na to. A pragniesz mu się przecież przypodobać. Zależy ci, by nie zapomniał o tobie w swym testamencie, prawda?

Dziedzic z Drozdowego Gniazda nie pogardzi chyba posiadłością Dentów?

— Nie masz prawa...

— Nie mam prawa tak mówić. Wiem. Nie mam prawa kochać Katy. Nie mam prawa zachowywać się jak dżentelmen. Nie wolno mi czynić uwag pod twoim adresem. Czyż nie to miałeś na myśli? No, odpowiadaj! — wrzasnąłem i ponownie go uszczyptałem.

— Nie...! Tak! Zostaw mnie w spokoju!

— Jednakże nie usłucham twych rozkazów. Nie pozostawię cię samego... zwłaszcza jutro.

— Jutro?

— Nie troszcz się o jutrzejszy dzień. Będzie, co ma być. Nie spuszczę cię z oka, by nie zdarzył ci się jakiś fatalny wypadek.

— Fatalny... ale...!

— Tak jest. Katy z pewnością nie chciałaby tego, a my obaj jesteśmy niewolnikami jej życzeń, nieprawdaż?

Twarz Lintona stała się zupełnie szara, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Dotknąłem jego policzka i wstałem.

— Dobrej nocy — rzekłem. — I niech twe sny będą tak słodkie jak przyszłość, którą dla ciebie planuję.

A potem zostawiłem go samego.

## 11.

Nie dotykaj kotar — rzekł pan Are. Sypialnia pana Are'a pogrążona była w głębokim mroku. Słoneczne światło przeciskało się do wnętrza cienką szparą między ciężkimi zasłonami, które zamierzałem właśnie rozchylić. W najciemniejszym miejscu pokoju znajdowało się łóżko gospodarza. Z trudem dostrzegłem wśród poduszek jego twarz. Zostałem tu wezwany przez Johna. Spytałem go, dlaczego pan Are chce mnie widzieć o tak wczesnej porze. John pokręcił wówczas tylko głową i dodał:

— Nasz pan prowadzi niebezpieczną grę. Cofnąłem rękę od zasłon.

— Co się stało? Czy jesteś pan chory? — zapytałem. Nigdy przedtem nie kazano mi stawić się w sypialni pana Are'a.

— Nie — odrzekł. — To znaczy...

Tym razem chwyciłem za kotarę i odsłoniłem okno. Słońce rozświetliło całą komnatę, także kąt, gdzie stało łóżko.

— Niech cię diabli! — wykrzyknął, zasłaniając oczy ramieniem. — Stokrotne dzięki!

— Pan jest chory! — rzekłem. Zobaczyłem, że twarz miał bardzo bladą, a włosy w nieładzie. Uczyniłem krok czy dwa w jego stronę i dostrzegłem na pościeli krew. — Cóż się panu stało?

Nachyliłem się nad łóżkiem, aby lepiej się przyjrzeć panu Are'owi. Gdy tknąłem jego ramienia, odepchnął mnie poirytowany.

— Co mi się stało? — powtórzył. — Powiedz raczej, coś ty wyczyniał! Grałeś w karty, piłeś i hulałeś pół nocy! Na swoje nieszczęście otoczyłem opieką skończonego nicponia.

— Przecież pan krwawi — powiedziałem, nie zważając na jego zrządzenie. — Z jakiej przyczyny? Gdzie pana zraniono?

Nie odpowiedział, tylko wyswobodził dłoni z pościeli. Obwiązana była chusteczką. Pan Are skrzywił się, gdy ją odejmował. Brunatny skrzep natychmiast pękł i zaczęła sączyć się krew. Ostrożnie podtrzymałem zranioną dłoń.

Dłoń została skaleczona czymś ostrym. Kciuk rozcięty aż do kości — stwierdziłem. — Mało brakowało, a postradałby go pan na zawsze.

Przypomniałem sobie o tajemniczej kobiecie.

— Kto pana zaatakował?

— A czemuż to sądzisz, że zostałem zaatakowany?

Ktoś musiał trzymać nóż, którym zadano panu ranę. A nie wierzę, by okaleczył się pan sam. Ponadto, w nocy jakaś osoba wtargnęła do domu. W oczach pana Are'a pojawił się nagły błysk.

Widziałeś kogoś?

— Kobietę w bieli.

— Kobietę w bieli, powiadasz. Istotnie, kobietę w bieli. Bez wątplenia zjawę, wywołaną przez nadmiar trunków tytoniowego dymu!

—Owa zjawa miała dość sił, żeby powalić pannę Ingram. Naraz na jego twarzy miast złości zagościł uśmiech.

— Powaliła pannę Ingram? O tym nie słyszałem. Straciłem cierpliwość.

— Nie czas na żarty. Zeszłej nocy zawitała tu osoba, która darzy pana nienawiścią i chciała pana zranić. Na Boga, uczyniła to! Napadła na pana i poraniła!

—Zamilcz! —ryknął pan Are, zrywając się z poduszek zaraz, wyczerpany, opadając na nie z powrotem. — Nikt na anie nie napadł — wyznał prawie szeptem.

— Po co zaprzeczać, sir. Zostawmy to jednak na razie. Muszę wezwać lekarza.

— Nie, nie! — powstrzymał mnie zdrową ręką. — Nie. To ty musisz być moim medykiem.

Chciałem wstać, sądząc, że majaczy, ale nie puszczał mnie. Mówię poważnie, Heathcliffie. Mam powody... wcale niebłahe... by prosić cię o to. Dzisiejszego poranka nie wpuściłem tu nawet Johna. Nie, jedynie ty... i nie możesz wydać nikomu, co widziałeś w tej komnacie. Przysięgasz?

— Nie traćmy czasu na rozmowy. Musi pan pozwolić mi przyprowadzić tu Cartera.

— Najpierw musisz przysiąc.

— Dobrze. Przysięgam. A teraz udam się po...

— Nie bądź nudny. Przecież powiedziałem, że właśnie ty musisz być moim chirurgiem. Towarzyszyłeś Danielowi, kiedy leczył rany koniom, nieprawdaż?

— Owszem.

— A więc znasz się na tym trochę.

— Niewiele.

— Cóż, Daniel twierdził, że bardzo dobrze, lepiej od niego. W każdym razie, teraz pozszywasz mnie. Nie, nie przesłyszałeś się. Sam widziałeś, że mój kciuk ledwie trzyma się dłoni: musisz przytwierdzić go mocniej. No, chłopcze, igła równie łatwo przenika ciało ludzkie, jak i końskie. Idź i przynieś ze stajni odpowiednie przybory. Dopiero świta, nikt cię nie spostrzeże. A jeśli nawet ktoś cię zobaczy, to pomyśli, iż wracasz z miłośnej schadzki... sypialnia panny Ingram jest tuż obok.

Pan Are znacząco łypnął okiem.

Ten żart nie przypadł mi do gustu. Wyszedłem. Kiedy wróciłem po kwadransie ze swą torbą, pan Are drzemał. Zerwał się nagle słysząc odgłos mych kroków.

— Czy spotkałeś kogoś?

— Nie. Chyba wszyscy jeszcze śpią. Wyjąłem najmniejszą igłę i kleszcze.

— To będzie bolesne — stwierdziłem. — Czy przynieść z jadalni trochę brandy?

— Mam tu coś lepszego. Otwórz środkową szufladę toaletki... o, właśnie tę... i wyjmij z niej flakonik i szklanę.

Uczyniłem to. We flakoniku znajdował się ciemny płyn. Połyskiwał rubinowo, kiedy spojrzałem nań pod światło.

— Dobrze. A teraz nalej wody do połowy szklanki i dodaj miarkę eliksiru.

— Czy to opium? — zapytałem, przygotowując miksturę.

— Nie... to znaczy: sądzę, że nie. Tyle w tym opium, co w uchu myszy albo w skrzydłach nietoperza. Kupiłem to lekarstwo od pewnego zielarza z Italii. Nie okazało się wówczas potrzebne, lecz, kierowany dziwnym przesądem, nigdy się go nie wyżyłem. Ten lek jednocześnie uśmierza ból i wzmacnia serce. No... zdaje się, iż zaczynam odczuwać jego zbawienne działanie.

Przełożył nogi przez krawędź łóżka i oparł rękę na blacie stolika. Rozkazał:

— Zaczynaj!

Przemyłem ranę i rozpocząłem zabieg. Skaleczenie było głębokie. Operacja musiała być wielce nieprzyjemna, nawet dla kogoś, kto zażył cudowny, włoski środek na ukojenie bóleści. Już sama myśl, że ktoś zszysza tak rozplątana dłoń, musi być bardzo przykra. Postanowiłem więc zająć myśli swego pacjenta najlepiej, jak potrafiłem — wzbudzając jego złość.

— Co za paskudna rana — powiedziałem. — Ostrze noża ześlizgnęło się po kości. Kim była ta zamaskowana kobieta? I dlaczego pana napadła?

Lico pana Are'a nabrało koloru. Ściągnął brwi.

— Przecież powiedziałem: nikt mnie nie napadł...!

— Nonsens!

— ... przynajmniej żadna śmiertelna istota. Wyrzuć tę myśl ze swej głowy lub przynajmniej ukryj ją głęboko. Jeżeli ktoś się o tym dowie, to jestem skończony. Ale zaraz... rzekłeś, że miała na twarzy maskę?

Opowiedziałem mu, w jakich okolicznościach odbyło się to przedziwne spotkanie. Przeciągałem historię, by w tym czasie skończyć zszywanie rany. Wspomniałem o oszustwach Teodora, nadejściu panny Ingram i oskarżeniach miotanych przez Lintona — pomijając naturalnie swój tryumf w grze i obietnicę, jaką złożyłem Lintonowi.

Twarz pana Are'a ożywała z każdą upływającą chwilą. Ulga zastępowała tłumiony dotąd strach. W końcu zaczął się nawet śmiać. Lek sprawił, iż stał się jeszcze bardziej gadatliwy niż zwykle. Schowałem przybory do torby.

— No, no, Heathcliffie, przechytryłeś ich wszystkich! Bardzo przebiegle podszedłeś Ingrama. Odtąd masz w rękę tego fircyka. A z Lintonem postąpiłeś roztropnie i wspaniałomyślnie. Muszę przyznać, że niemiło zaskoczyło mnie jego zachowanie. Co za brak manier i ponuractwo! Miałem»go za roztropniejszego młodziana. A jeśli chodzi o pannę Ingram... cóż, Heathcliffie, podbiłeś jej serce! Bądź jednak ostrożny, ona nie jest branką z haremu. Szybko może okazać się, że to ty jesteś ofiarą!

Wzruszyłem ramionami.

— Ona nic dla mnie nie znaczy.

— Godne pochwały. Dochowujesz wierności swej bezimiennej oblubienicy. Lecz panna Ingram ma jedną zaletę: jest tu obecna swym rozkosznym ciałem, podczas gdy jej rywalka oczekuje gdzieś bardzo daleko.

Nie miałem ochoty rozmawiać o tym.

— Słyszę poruszenie na dole — powiedziałem. — Jeżeli chce pan, by moja wizyta pozostała nie zauważona, to muszę się oddalić.

Ruszyłem do drzwi.

— Nie...! Zaczekaj chwilę... Słyszę kroki za drzwiami.

— Mogę wymknąć się tędy. Wskazałem okno.

— Bystry chłopiec. Można zeskoczyć z okna na daszek nad portykiem. Często korzystałem w tej drogi dwadzieścia lat temu, kiedy ja i mój brat byliśmy równie młodzi, jak ty teraz. Dziś nikt tędy nie ucieka... Weź tę zakrwawioną pościel... o, właśnie... schowaj ją w swej torbie, a potem spal

gdzieś po kryjomu. Tak, Heathcliffie, musisz wziąć na siebie powinności gospodarza... na pewien czas. Powiedz wszystkim, że jestem niedysponowany. Lady Ingram prorokowała to przecież. Należy się jej jakieś zadośćuczynienie. Wczoraj chyba zanadto sobie z niej dworowałem. Być może później popsuję jej humor, kiedy niespodzianie pojawię się u twego boku.

Skłoniłem się, podszedłem do\* okna i zrzuciłem torbę na porośnięty dzikim winem daszek. Wystawiłem już na zewnątrz jedną nogę, kiedy pan Are ponownie mnie zatrzymał.

— Ach, jeszcze jedno, Heathcliffie — zaczął beztrzesko. — Czy słyszałeś, że wczoraj przyłapano tu złodziejaszka?

Zrozumiałem, że mój chlebowadca przekazał mi właśnie oficjalną wersję nocnych wypadków. Miałem podzielić się nią z gośćmi.

— Kimże miałyby być ten złodziejaszek?

— Kobietą w białej sukni... aktorką z wędrownego trupy, znachorką, Cyganką... Przerwała na krótko waszą biesiadę, potem pobiegła do kuchni, skąd, po szamotaninie z kucharzem, zdołała umknąć.

— Czy nic nie skradziono?

— Zamierzała ukraść pewien przedmiot należący do lorda Ingrama, maskę. Jednak porzuciła ją uciekając.

— I nic poważnego się nie wydarzyło... Owa dziewczka znajdowała się na skraju rozpacz. Oszałała z bólu albo z wściekłości. A obłęd w jej oczach odebrał mowę graczom i poranił miłego gospodarza.

Pan Are wpatrywał się we mnie przez chwilę, potem nagle porzucił swe dobre maniery.

— Wynoś się! Wynoś się! Rozsiadłeś się na parapecie niczym kruk. Wielkie czarne ptaszysko, które przynosi złą wróżbę. Nie ścierpię tego ponurego krakania! Powiedz wreszcie coś weselszego albo...!

I z niespodziewaną werwą wyskoczył z łóżka, chcąc zepchnąć mnie z parapetu. Zdążyłem jednak uskoczyć na daszek.

Dwie godziny później wszedłem do pokoju, gdzie spożywano śniadanie. Już z dala słyszałem szmer podnieconych głosów. Z pewnością roztrząsano wypadki ubiegłej nocy. Kiedy uchyliłem drzwi, Ingram spojrzał na mnie ponad głową swej matki. Jego siostra Mary oraz pani Dent przysiadły blisko

niego.

— Doszły nas, Heathcliffie, nadzwyczajne nowiny! Nieznajoma, która nawiedziła nas w nocy, okazała się Cyganką. Jej tabor rozbił się zapewne w pobliżu Hay, a dziś, jeszcze przed świtaniem, wyruszył w dalszą drogę.

Pani Ingram załamała rękę.

— Ta dzikuska mogła nas wszystkich wymordować! Pułkownik Dent odstawił filiżankę z kawą i skierował wskazujący palec na swą chorą nogę.

— Pani, lady Ingram, nie groziło z jej strony niebezpieczeństwo. Znam sztuczki tych ludzi. Dziewkę wysłali na przeszpiegi zbóje ukryci w zagajniku. Miała ukradkiem przekonać się, ile bogactw znajduje się w domostwie i jak czujna jest służba. Potem rabusie wyskoczyliby z krzaków i wzięli dom szturmem. Na szczęście Cyganka przeraziła się i poradziła hersztowi bandy, by jak najprędzej się stąd wynosić.

— A ja jestem przekonana, że była sama — rzekła Blanka Ingram. Stała przy uchylonym oknie, z dala od innych gości i popijała kawę. — Bynajmniej nie próbowała kryć się po kątach przed domownikami. I nie interesowała się błyskotkami, lecz panem Heathcliffem.

Lady Ingram popatrzyła przez szkła na córkę.

— Moja droga, chyba nie wdzielaś tego na własne oczy? Czy weszłaś w środku nocy do mężczyzn grających w karty!?

— Owszem, mamu. Był tam przecież Tedo, a któż mógłby być lepszym opiekunem niż on? A młodszy z naszych gospodarzy, en wzór przyzwoitości, zdobył się nawet na to, by zaprosić mnie do stołu.

Tu skłoniła mi się figlarnie.

Byłem zmuszony potwierdzić, że gra w karty odbywała się bardzo honorowo (nie zważając na mrugnięcia Teodora Ingrama), potem pośpiesznie zmieniłem temat, wspominając o niedyspozycji pana Are'a. Wszyscy wyrazili współczucie dla właściciela cierniowego Pola. Wówczas zaproponowałem, by poczynić przygotowania do wycieczki. Należało rozstrzygnąć problem, tak rozlokować gości w powozach. Okazało się, że pani Ingram na nowy powód do niepokoju — szlachetna panna Blanka uparła się, żeby jechać do opactwa konno. Wdowa wolała jednak mieć baczenie na swą nie utemperowaną córkę. W końcu znalazło się rozwiązanie: obie miały dostać do swej



dyspozycji lekką, odkrytą dwukółkę. Tak więc postanowiliśmy, że Blanka sama zawiezie matkę do celu naszej wyprawy.

— Cóż jednak stanie się z panami Heathcliffem i Lintonem? — spytała Mary Ingram. — Zabraknie dla nich miejsca w powozie!

— Linton i ja pojedziemy konno — oświadczyłem. — Pan Are użyczył mu swego wierzchowca, Belzebuba.

— Na Boga — rzekł pułkownik z nagłym zapałem — gdyby nie ta przekłeta noga, również wskoczyłbym na siodło!

— Och, nie — odezwała się do mnie pani Dent. — Obawiam się, że to niemożliwe. Edgar źle się dziś czuje. Powiedział, że zostanie w domu.

— Źle się czuje? — powtórzył pułkownik gromkim głosem, a jego twarz nabrała purpurowej barwy. — Źle się czuje? A to szczeniak! Zważcie tylko: nie ma sił, by nam towarzyszyć, lecz pewnie zdoła w tym czasie przeczytać pięć czy sześć książek!

Parsknął i podjął wysiłki, aby wstać z fotela. Użyczyłem mu swego ramienia. Skorzystal z mej pomocy, a potem wsparł się na lasce.

— Ja mu pokażę — dodał.

— Proszę cię, Haroldzie, opamiętaj się! — powiedziała zaniepokojona małżonka. — Edgar jest wielce wzburzona wypadkami minionej nocy! Tamta Cyganka...

— Czyżby? Przestraszył się jakiejś kobiety, czy tak? I ty chcesz, by kimś takim był spadkobierca Dentów? Jeszcze zobaczymy!

Pułkownik odtrącił rękę pani Dent i wyszedł z pokoju. Słyszeliśmy miarowy stukot jego laski o posadzkę w holu.

Stało się więc tak, jak przewidywałem — Edgar Linton i ja wyruszyliśmy konno na czele wyprawy. Nie rozmawialiśmy jednakże o Tobie. Nie, w ogóle nie odzywaliśmy się do siebie. Edgar milczał i trzymał się ode mnie z daleka. Zdaje się, że istotnie nie czuł się najlepiej. Zeszłego wieczora wypił przecie mnóstwo wina, a poza tym miał pewnie w pamięci naszą rozmowę. Nie wiedziałem, czy zapamiętał każdy jej szczegół — jednak był na tyle ostrożny, by nie jechać zbyt blisko mnie. Starał się nie oddalać od powozu, w którym zasiedli jego krewni.

Mogłem się dobrze przyjrzeć, jak radzi sobie z koniem. W siodle był sztywny i jakby bojaźliwy: kolana przyciśnięte do boków rumaka, stopy wsu-

nięte w strzemiona, dłonie kurczowe zaciśnięte na wodzach. Belzebub potrząsał grzywą i lypał na mnie oczami, niby pytając — cóż to za czleka niosę na swym grzbiecie? Nasza procesja posuwała się naprzód bardzo niemrawo, dostosowując się do ślimaczego tempa Lintona.

Nie obchodziło mnie to zbyt. Minionej nocy poczułem, iż pewnie dzierżę w rękach swe przeznaczenie i że mogę kierować nim tak samo, jak tą gniadą klaczą, której dosiadałem. Po cóż spieszyć się ku nieuchronnemu?

Lecz pannę Ingram rozpierała niecierpliwość. Skoro nie pozwolono jej galopować na wierzchowcu, rozpędzała dwukółkę, pomimo ostrzeżeń Lintona i próśb matki. Nie zważając na skargi lady Ingram, smagała konia batem i kilka razy wyprzedziła mnie na prostej drodze, sądząc chyba, że stanę z nią w zawody.

Nie podjąłem jednak wyzwania. Lady Ingram histerycznie zaklinała córkę, by powoziła wolniej. Panna Blanka usłuchała jej wreszcie i zaczęła szukać innej rozrywki. Początkowo starała się strącić batem kapelusze z głowy Lintona. Potem znalazła się blisko mnie i zaczęła rzucać mi owoce (na okoliczność wycieczki przebrała się za pasterkę i — jak każda pasterka — wzięła ze sobą kosz pełen jabłek i gruszek). Przez chwilę bawiło mnie odrzucanie owoców ponad głowę oburzonej lady Ingram, lecz wkrótce znudziłem się i przynagliłem Minerwę do galopu, udając, że chcę zbadać drogę przed nami; pozostawiłem grupę daleko za sobą. Była to jedynie wymówka, gdyż całą drogę znałem wybornie. Uprzednio wiele razy jeździłem do ruin opactwa, chociaż zazwyczaj wybierałem inną trasę — wąską ścieżkę, zbyt wąską dla każdego powozu.

Dzień był z takich, które uwielbiałaś, Katy. Chłodny, psotny wietrzyk dokuczał kolorowym liściom. Kołysał gałązkami, a wysoko na złocistym niebie przeganiał białe chmury, które chwilami zasłaniały słońce, by po chwili znów zwrócić światu jego jasną tarczę. W takie dni, gdy byliśmy jeszcze dziećmi, biegaliśmy na porośniętą trawą zbocze w pobliżu Wzgórz i staczaliśmy się z niego (jakże Nelly denerwowała się, widząc zielone plamy na twym fartuszk!). A gdy nieco podrośliśmy, galopowaliśmy tam na kucykach.

Pogrążony we wspomnieniach dotarłem ku brzegowi stromej pochyłości. W dole dojrzałem mostek wiodący do opactwa, widocznego tuż nad czubka-

mi drzew po drugiej stronie rozpadliny. Postanowiłem sprawdzić, czy powozy zdołają bezpiecznie przejechać po kładce na drugi brzeg.

Gdy tylko zjechałem w dół, natychmiast poczułem, że oddycham zupełnie innym powietrzem. Drzewa rosły tu gęściej. Ich pnie pokładały się niemal na stromym zboczu, gałęzie przesłaniały światło dnia. Wydawało mi się, że w tym mroku trudno też oddychać — opary mogły być szkodliwe dla ludzkich płuc. Poczulem, że jeżą mi się włosy. Pospiesznie ruszyłem dalej.

Nie było tu wiatru. Nie słyszałem nawet szelestu liści. Chyba właśnie ta cisza szczególnie mnie poruszyła. Przyszło mi do głowy, że gęstwina zarośli powstrzymuje najdelikatniejszy nawet podmuch. Jednak powietrze zdawało się tu jakby martwe: nie śpiewał ani jeden ptak. Po chwili me ucho wyłowilo szmer wody. Na dnie otchłani płynął strumień.

Powoli ruszyłem w dół krętą drogą. Im bliżej potoku, tym powietrze stało się coraz wilgotniejsze.

Spojrzałem na kamienne łuki mostku wyrastającego ponad, wciąż ukrytym przed moim wzrokiem, potokiem i wspomniałem starą historię, związaną z tym miejscem. Widywano tu zjawę — ale nie ducha kogoś z zamęczonych mnichów, lecz upiora zwanego Krwawym Panem Wzgórza. Krwawy, odziany w czarne, lśniące futro, niczym kot, choć bardziej był czarny niżli czerwony. Tyle, że miał stóp miał podkute kopyta, czerwone jak sama krew.

Krwawy Pan zamieszkiwał tę okolicę od niepamiętnych czasów, nim chrześcijanie wzniesli opactwo i zanim je zburzono. Mówiono, że kamienna budowla obróciła się w ruinę, ponieważ postawiono ją na tym wzgórzu — którego wewnątrz obrał za swą siedzibę upiór.

Wedle legendy pod powierzchnią wzgórza znajdowało się mnóstwo sal, w których — na ścianach i sufitach — wisiały olbrzymie, kryształowe zwierciadła. Złożone fotele obito drogimi atlasami, a nieznanne soczyste owoce powbijano na lodowe, lśniące niczym srebro kolce. Żaden pałac na ziemi nie był równie ogromny, lecz mieszkał tam jedynie samotny i zgorzkniały Krwawy Pan, którego jedyną rozrywką było okrucieństwo.

Zwykł wabić ludzi do swej wspaniałej siedziby, kusząc obietnicami wiecznego życia w zbytku i rozkoszy. Stawiał tylko jeden warunek — nie wolno było przeczyć jego słowom. Zdawało się to wymogiem na pozór łatwym do spełnienia. Nieszczęśnicy słuchali opowieści Krwawego Pana

Wzgórza, spijając cudowny nektar z owoców, a kiedy wypowiedzieli sakramentalne „tak”, wówczas wspaniałe owoce gniły, zwierciadła zasnuwały się mgłą i naiwny człowiek zapadał w nieprzenikloną wieczystą ciszę i mrok, mącone jedynie tryumfalnym chichotem Pana Wzgórza i iskrami wydobywającymi się spod jego podkutych kopyt.

Słyszałem też, choć zdać Ci się to może osobliwe, że opactwo wzniesiono w tym miejscu właśnie z uwagi na Krwawego Pana.

[Dawno temu sądzono, iż najkrótsza droga do świętości i wiecznej szczęśliwości wiedzie przez cielesne udręki i opieranie się niecnym pokusom. Wielu ludzi uległo jednak przebiegłym namowom demona i tych spotykał straszny los.

Czy upiór wciąż tu przebywał? Czy, gdybym go przywołał, wyłoniłby się spośród skał i wciągnął mnie pod ziemię?

Radosne rzenie Minerwy wróciło mnie do rzeczywistości. I oto dotarliśmy do samego dna rozpadliny. Przez chwilę siedziałem jeszcze bez ruchu w siodle, potem odegnałem od siebie ponure myśli, zeskoczyłem z konia i podszedłem do mostu.

Szybko uzmysłowiłem sobie, że trudno będzie przedostać się wwozem na drugi brzeg. Kamienne łuki mostu, choć zapewne pamiętały jeszcze starożytnych Rzymian, przetrwały przez wieki N dobrym stanie. Znacznie gorzej miały się ułożone dębowe belki. Z jednego krańca zupełnie już przegniły. Ponadto na samym środku widniała przepastna dziura.

Podszedłem ku niej i spojrzałem w dół. Pięćdziesiąt stóp niżej — może nawet nieco więcej — pieniały się wśród skał wody strumienia. Wciąż trzymałem w ręku jedną z gruszek od panny Ingram. Cisnąłem owocem w dół. Odbił się od krawędzi jednego ł łuków, a potem roztrzaskał się o głaz na dnie, pozostawiając po sobie jedynie zieloną plamkę.

Powóz nie mógł tędy przejechać. Sąsiednie belki trzymały się jednak mocno. Pakunki bez trudu uda się przenieść na końskich grzbietach. Dla bezpieczeństwa ludzie będą zmuszeni przejść na drugi brzeg piechotą.

Kiedy znowu dosiadałem Minerwę, czułem, jak drzę na całym ciele. Powietrze było tu wilgotne i bardzo chłodne. Pospieszyłem ku nadciągającej wyprawie.

Tak więc pozostawiliśmy powóz i dwukółkę wśród cichej, mrocznej gę-

stwiny. Drugi brzeg przepaści oświetlony był słońcem. Gdy towarzystwo ujrzało ruiny, aż westchnęło z zachwytem. Żaden architekt nie uczyniłby tego, co zrobili z opactwem oddziały Cromwella. Ocalały tylko małe fragmenty dachu. Opatrzność uchroniła jednak przed zniszczeniem większość murów, podczas pożogi zsyłając z niebios ulewę. Owszem, niektóre ściany leżały w gruzach, lecz dzięki temu widok stał się jeszcze bardziej urokliwy, mniej uporządkowany. Śmiertelnicy mogli wędrować po labiryncie korytarzy, oczekując niezwykłych spotkań z tymi, którzy przed wiekami opuścili ziemski padół.

Z dachu pozostały ledwie szczątki, lecz dzięki temu natura odarła się do wnętrza budowli. Dzikie róże kwitły tam, gdzie niegdyś mnisi oddawali się modlitwom. Ptaki śpiewały tam, gdzie dawniej ludzie oddawali na kolanach cześć Stwórcy. Kamienne posadzki przykryła warstwa ziemi. W komnatach i salach trawa ścieliła się niczym wspaniałe dywan. Latem wieśniacy wypasali w ruinach owce. Tylko tu i ówdzie pozostałości po malowidłach — wizerunki głów otoczonych aureolami albo krzyży — przypominały zwiedzającym, gdzie się znaleźli.

Czas nie oszczędził także stojącej w pobliżu kaplicy—jej dach spłonął niegdyś i runął. Ostały się ledwie dwie ściany, a w jednej w nich — okno z kolorowym witrażem. Panna Ingram pobiegła właśnie tam i przywołała nas do siebie.

— Tedo! Panie Heathcliff! Proszę przynieść tutaj koszyki. Znalazłam wyborne miejsce. Zobaczcie, jest nawet poselstwo gotowe nas powitać!

— Chyba nieco strudzone, nieprawdaż? — odezwał się Ingram. — Nic jednak dziwnego. Czekali od tak dawna.

Dostrzegliśmy nadzwyczajną scenę. W promieniach słońca leżało na trawie kilka ludzkich figur. Zdawały się drzemać — miały zamknięte oczy i złożone na piersiach ręce. Żadna z nich nie poruszyłaby nawet powiekami, słysząc nasze kroki. I nie uczyniłaby tego, nawet słysząc trąby zwiastujące koniec świata. Owa uśpiona grupa zdawała się zastygnąć i oczekiwać nadejścia aniołów.

Ludzie ci byli wykuci w kamieniu. Marmurowe wizerunki rycerzy i ich dam, śpiących na masywnych podestach. Podesty obłożone były kamieniami i ziemią — dlatego właśnie miało się wrażenie, iż rzeźby leżą na trawie.

— A to będzie nasz stół! — krzyknęła Blanka, stukając swym pasterskim kijem w wielką, okrągłą tarczę, która spoczywała na piersi dzielnego rycerza. — Sir Wilfred de Parmelee! — odczytała inskrypcję i zażartowała: — Będziemy zachwyceni, jeżeli zaszczyci pan swą obecnością nasz posiłek, sir! — I powiesiła kosz z owocami na wystającej, odzianej w kolczugę stopie sir Wilfreda.

Sprawowałem obowiązki służącego (panna Ingram rozkazała Johnowi i pozostałym lokajom zostać przy powozach, mówiąc, że dość ma ich wścibskich spojrzeń), rozkładając obrus i wiktuały, kiedy nadbiegła podekscytowana pani Dent.

— Odnalazłam lochy! Wszystko tam jest: różne narzędzia tortur i... przedstawcie sobie tylko — szkielet przykuty łańcuchami do ściany!

Te nowiny ożywiły utrudzoną grupę. Nawet lady Ingram wstała i podążyła za panią Dent ścieżynką, która wiodła ku sali tortur. Mnisi umiejscowili ową osobliwą komnatę tuż pod absydą.

Wiele razy widziałem już stertę kości, która tak zaintrygowała uczestników wycieczki, więc spokojnie kończyłem przygotowania do pikniku. Blanka Ingram także pobiegła za innymi.

(Katy, doszedłem w swej opowieści do miejsca, które może wprawić Cię w zdumienie. Może z wściekłością podrzesz te stronicę i wdpczesz je w ziemię... lecz ostrzegam Cię i błagam zarazem — nie czyni niczego pośpieszenie. Pamiętaj, że gdy je pisałem, myślałem tylko o Tobie.)

Wokół pełno było dzikich kwiatów, które rosły szczególnie obficie między marmurowymi posągami. Dzikie róże, goździki, stokrotki ocalały przed żarłocznymi stadami owiec obok zwalonych murów, pod łokciami kamiennych rycerzy i w zagłębieniach między ich stopami. Blanka Ingram zerwała najpiękniejsze kwiaty i przystroiła nimi nasz stół, na brzegach którego rozkładałem właśnie talerze i srebrne sztuce. Pod naszymi stopami skrzypiały żołędzie z samotnego dębu stojącego nie opodal.

Uśmiechnąłem się do siebie. Wiedziałem, że tego dnia przeznaczenie uległe jest mej woli.

— Pan się uśmiecha — rzekła Blanka. Kieszeń fartuszka miała wypełnioną kwiatami. — Czyżby sir Wilfred szepnął panu na ucho jakiś żart?

(W owej chwili chowałem właśnie gąsiorek wina w ocienionym zagłę-

bieniu pod głową rycerza.)

— Nie żart, lecz spostrzeżenie, z którym mam zaszczyt się zgodzić. Jest pani najpiękniejszą kobietą w Anglii i nareszcie mam okazję rozmawiać z panią na osobności.

Przyklęknałem przed nią.

— Och, sir! I cóż więcej? Czy śmiały rycerz podpowiedział panu, jak zachować się w tych okolicznościach?

Spojrzała na mnie psotnie i zjów zajęła się układaniem kwiatów.

— Nie. On milczy, ale ja nie potrafię uciszyć swego serca. Chwyciłem jej dłoń i przycisnąłem do ust. Wyszarpnęła ją natychmiast.

— Mój panie...! Sam ukarał się pan za zuchwałość. Zranił się pan cieraniem. Krwawi pan.

— Mówiłem, że być blisko pani, to narażać się na strzały Kupidyna. Jak teraz uleczy mnie pani?

Wyciągnąłem ku niej rękę. Ujęła ją w swe dłonie i przyglądała się uważnie przez chwilę. Potem musnęła wargami skaleczone miejsce.

— Już! Zagoiłam ranę. Teraz nie ma pan już powodu, by się uskarżać.

Na jej dolnej wardze pozostała kropla krwi. Otarłem ją kciukiem, nim zdążyła spaść i poplamić biały gorset, który unosił się gwałtownie i opadał. Nachyliłem się ku jej twarzy.

Nasze oddechy spotkały się na moment, lecz odwróciła głowę, gdy niemal dotknąłem jej warg.

— Panie Heathcliff! Cóż powiedziała by na to mama?

— Łatwo dać odpowiedź na to pytanie. Natychmiast zażądałaby, bym oświadczył, jakim dysponuję majątkiem.

— I cóż rzekłby pan wtedy? — spytała panna Ingram ze zdumiewającą bez troską w głosie.

— I to pytanie nie należy do trudnych. Odparłbym, że moja fortuna jest niepomierna.

— Czyżby?

— Tak jest. Nie da się jej wymierzyć, gdyż składa się wyłącznie z nadziei i domysłów.

Wyjęła z kieszeni fartuszek kwiatek.

— Nie sądzę, by mama była zachwycona, słysząc podobną odpowiedź.

- A ja nie sędzę, aby naraziła pani swą matkę na taką przykrość.  
Kolejny kwiat powędrował na obrus.
- Przyznaję, to prawda, chociaż nie brak panu tupetu. Każdy sam jednak powinien troszczyć się o własne przyjemności.
- Właśnie.
- Wyjąłem kwiat z jej fartuszka i zacząłem obrywać zeń płatki.
- Cóż jednak począć — podjęła — jeśli przyjemności kłócą się z interesami?
- Wówczas trzeba wszystko rozważyć. Rozkosz okazać się może cenniejsza od skromnej miarki złota.
- Odrzuciłem ogołoconą łądźkę, ująłem w palce wstążkę pasterskiego stroju panny Ingram i przyciągnąłem ku sobie młodą damę.
- Lecz jak się o tym przekonać?
- Jest tylko jeden sposób. Należy spróbować. Musnąłem ustami jej policzek.
- Spróbować...?
- Przyjdź do mnie dziś w nocy, kiedy wszyscy będą już spać. Cofnęła się nieco.
- Do pańskiego pokoju nad stajnią? A po cóż to? By odbyć nocną przejażdżkę na Belzebubie?
- Jeśli takie będzie pani życzenie — rzekłem i pocałowałem ją.
- Nie mogę — szepnęła. — Ktoś mnie pilnuje.
- Kto taki? Pani matka?
- Tak. Ona myśli, że pan i ja... Przerwała, gdyż ponownie ją ucałowałem.
- A więc musi ją pani zmylić — powiedziałem.
- Jak?
- Pani matka spostrzegła, iż staram się o względy jej córki. Wielkość mego majątku wzbudza jej obawy, więc ma się na baczności i nieczęsto spuszcza panią z oka, to rozumiałe. Lecz Edgar Linton jest bez wątpienia bogaty i stanie się jeszcze zamożniejszy, gdy umrze jego wuj. Trzeba nakierować uwagę lady Ingram na Lintona. Zalotami Edgara pani matka nie będzie przerażona. Tą drogą uspiemy jej czujność i rozwiejemy podejrzenia.
- Blanka roześmiała się. Dobrze wiedziałem, że lubuje się w takich intry-



gach.

— Pojmuję. Mam szeptać miłe słówka do ucha pana Lintona na tyle głośno, by posłyszała je mama. A potem mogę czynić, co mi się żywnie podoba.

— Takóż i ja. Ale teraz muszę panią opuścić. O ile się nie mylę, zbliża się ku nam pani tajemniczy kawaler.

Istotnie, po paru chwilach zza murów opactwa wyłoniła się sylwetka Lintona. Wiódł za uzdę Belzebuba, który dźwigał na swym grzbiecie pułkownika Denta.

Panna Ingram mrugnęła do mnie i zasypała mnie płatkami kwiatów. A potem pozdrowiła Edgara oraz jego wuja. Podbiegła ku nim z wyciągniętymi rękami. Wkrótce siedzieli we troje na jednym z posągów. Pułkownik nie krył ukontentowania, lecz bratanek był więcej niż zadziwiony.

Z kolei zjawiła się lady Ingram i pozostali. Wszyscy głośno rozprawiali o szkielecie, oglądanym w lochach. Starsza pani, widząc córkę u boku Lintona, podniosła do oczu lorgnon. Zdawała się wielce rada. Tak, więc mój plan wchodził w życie.

Teraz zasiedliśmy do jedzenia. Nakładałem na talerze pieczeń i nalewałem do kielichów wina. Zaśmiewałem się w duchu, wyobrażając sobie, jakże zdumieni byłiby uczestnicy wycieczki, siedzący wokół tarczy sir Wilfreda, gdyby potrafili przejrzeć moje myśli.

Przyszwał czas na pudding. Blanka i Mary Ingram nazbierały więcej kwiatów i kiedy przelykaliśmy ostatnie kęsy, każdy miał na skroni pachnący wianek. Panna Blanka kazała zbliżyć się ku sobie Lintonowi. Powiedziała, że musi poprawić jego olimpijski wieniec. Potem zwróciła się do siostry i matki:

— Błękit bławatków wśród złotych włosów... Czyż to nie wspaniałe?

Edgar uśmiechnął się i zarumienił. Zaczynał tańczyć na sznurku Blanki Ingram. Nikt nie podejrzewał jednak, kto podaje melodię.

Nawet głowę sir Wilfreda przyozdobiliśmy kwiecistym diademem. Młode damy zaczęły pleść wianki także dla innych posągów. Wkrótce jednak wino, jak i ciepłe promienie słońca podziały na nas rozleniwiająco. Rozmowa stopniowo zamarła. Ociężałe, zwieńczone kwiatami głowy osunęły się na piersi. Nieustępliwa pszczoła brzęczała nad resztkami puddingu. Wszyscy, prócz mnie, zapadli w drzemkę.

Podszedłem do samotnego dębu i wspiałem się po jego konarach. Pan Are miał rację mówiąc, że często odwiedzałem to miejsce. Nie czyniłem tego jednak po to, by czytać Osjana.

Ze szczytu drzewa mogłem na odległym, północnym horyzoncie dostrzec wieżę osobliwego kształtu. Byłem pewien, że to ta sama wieża, w którą dawniej oboje wpatrywaliśmy się z Peninstońskich Turni. Pamiętasz, miała kształt podobny do litery „h”. Zwaliśmy ją krzesłem olbrzyma. Wyobrażaliśmy sobie, że ów olbrzym siada na nim i wpatruje się w morze. Teraz czerpałem otuchę z myśli, że może w tej samej chwili także przyglądasz się tej wieży — nasz wzrok dotyka jednocześnie tego samego, dalekiego punktu.

Usiadłem na gałęzi i przez poruszane wiatrem liście wypatrywałem znajomego kształtu. Naraz zdało mi się, że słyszę głos, szept raczej, echo dawnego -wspomnienia:

— Tak... Bądź tego pewien.

— Katy? — spytałem, nie chcąc uwierzyć, że to tylko złudzenie. — Katy?

Lecz odpowiedzi nie było. Nie usłyszałem już niczego więcej, choć długo patrzyłem w daleki horyzont. Sylwetka wieży zniknęła, zapewne przesłonięta przez mgłę. Śpiący powoli zaczęli budzić się z drzemki. Bezszelstnie zszedłem z dębu i — nim ktokolwiek zdążył otworzyć oczy — przemknąłem obok i pobiegłem ku lochom. Miałem tam naznaczone spotkanie: z braciszkiem Nieboszczykiem i jeszcze jedną osobistością.

Usiadłem na ociosanym kamieniu, przyglądając się szkieletowi i czekając na Edgara Lintona. Wiedziałem, że przyjdzie — po prostu wiedziałem. Powiedziałaś mi to sama, częśćka Ciebie ukryta w moim sercu. Rzekłaś przecie, bym był pewien. Wiedziałem, że los ponownie sprawi, by Linton stanął ze mną twarzą w twarz.

W komnacie, rzecz jasna, panował mrok, lecz przez szczeliny w murze docierało tu trochę światła. Widziałem zielen traw porastających nieodległy stok. Być może właśnie tutaj narodziła się legenda Krwawego Pana. Krzyki dręczonych heretyków wzięto za wrzaski demona albo jego ofiar. Lub też, jak głosiły opowieści, och, w którym zadawano wymyślne cierpienia, celowo umiejscowiono w pobliżu wejścia do podziemnej siedziby Pana Wzgórza. Tak, to mogło trafić do mej wyobraźni. Dawne narzędzia tortur majaczyły w

mroku, szkielet zwiisał z łańcuchów w smudze bladego światła. Na ten widok każdego mógł przeszyć dreszcz odrazy. Od czasu do czasu wiatr przynosił tu także odgłosy spoza Tiurów. Słyszałem wdzięczne dźwięki gitary (wzięła ją ze sobą Wtary Ingram), rozpoznałem pieśń, której słowa opiewały rozkosze miłości i udręki tęsknoty. Po chwili gdzieś w pobliżu rozległy się kroki. Człowiek — Linton! — stanął w progu, wahając się jakby, czy wejść do środka. Jasne włosy tworzyły aureolę wokół jego głowy.

— Tylko słóweczko, mój panie — rzekłem. Mocno przytrzymałem go za ramię, nim zdołał się poruszyć. — Tym razem damy nie przybędą ci z pomocą. Możesz liczyć jedynie na niego.

Wskazałem niemego świadka, wpatrującego się w nas pustymi oczodołami. Edgar próbował mnie odepchnąć.

— Heathcliffie, nie musisz mnie trzymać. Właśnie ciebie szukałem. Zaprześtań tych głupich sztuczek i zabierz ode mnie ręce.

— Sądzisz, że to sztuczki, tak?

— Nie sposób brać cię poważnie. To właśnie pragnąłem ci powiedzieć. Straszysz, ale twe pogróżki są czcze. Nie jesteś w mocy wprowadzić ich w czyn. Stracisz tylko, jeśli uczynisz mi krzywdę. Postradasz nawet to, co zyskałeś do tej pory. Nie chcesz chyba na powrót stać się stajennym chłopcem?

— A to dopiero dylemat! — powiedziałem. Szarpnąłem nim i pchnąłem na ścianę obok umrzyka. — Jednak jestem tylko stajennym i być może nie potrafię cię pojąć. Ty, szlachcic i uczoney, będziesz mógł wytłumaczyć mi to i owo. Tak więc nadal twierdzisz, że ożenisz się z Katy.

— Owszem, poślubię ją. I ona nie odtrąci mej ręki.

— Zostawmy to. Skąd możesz wiedzieć, jaka będzie jej wola? Na razie załóżmy jednak, by nadać tej konwersacji barwy, że zamierzacie się pobrać.

— Tak jest.

Aby przekonać mnie, jak bardzo pewny jest swego, Linton usiadł na kamieniu, skrzyżował nogi i plecami oparł się o ścianę, na której wisiał szkielet. Jakby był we własnym domu.

— Nie dopuszczę do tego. Ale jak to uczynić? Poucz mnie. Linton parsknął lekceważąco.

— Oto jedyna rozumna rada: powróć do Wichrowych Wzgórz i zapytaj o zdanie samą Katarzynę. Jednak ty oczywiście nie słuchasz głosu rozumu.

— Właśnie... Dla mnie i dla ciebie rozum znaczy całkiem co innego. Pojmij tyle tylko, że niemożliwe, bym wrócił już teraz do Wzgórz. A więc sprawę musimy rozstrzygnąć my dwaj, i to jak najprędzej.

— W ten sposób wracasz do pierwotnego dylematu, czyż nie? — stwierdził Linton.

— Owszem. I aby go rozstrzygnąć, żądam, żebyś zerwał swe związki z Katy. Jeśli nie uczynisz tego z własnej woli, zmuszę cię do tego.

Dostrzegłem, że spojrzał na rozrzucone w mrocznym pomieszczeniu przyrządy do łamania kości i miażdżenia stawów. Nie tracił jednak zimnej krwi.

— Nie możesz tego zrobić. Nie zdołasz mnie także przekupić. Nie masz niczego, co mógłbyś tmi ofiarować. I nie próbuj mnie straszyć. Jeśli posuniesz się wobec mnie do przemocy, stracisz na tym podwójnie. I co wtedy stanie się z twymi nadziejami?

Milczałem, a on ciągnął uprzejmym tonem:

— Za swe groźby mógłbyś trafić do więzienia, lecz zapomnę o nich z uwagi na naszą dawną znajomość. A teraz złożmy obietnice: ja nie wydam cię przed twymi nowymi przyjaciółmi, a ty zaprzestasz tych groteskowych napaści na mnie. Zgoda?

Nie odpowiedziałem wprost, lecz uderzyłem pięścią w szkielet. Wysuszone kości rozsypały się z traskiem. Linton drgnął i cofnął się z odrazą, a jednak nie rzucił się do ucieczki. Patrzył na ludzkie szczątki rozrzucone na posadzce. Odgarnąłem je na bok i przysiadłem obok Lintona. Delikatnie ująłem ręką jego kolano.

— Edgarze, chcę, byś bardzo uważnie wysłuchał tego, co mam ci do powiedzenia. Nie odpowiadaj pospiesznie. Postaraj się zrozumieć, że stałem się człowiekiem, z którym trzeba się liczyć. I uczynię wszystko, by dopiąć swego celu. Czy to pojmujesz?

— Tak... owszem.

Nie mógł oderwać wzroku od mej dłoni, choć usilnie starał się to zrobić.

— To dobrze. A teraz chcę usłyszeć z twoich ust uroczyste zapewnienie, że przestaniesz starać się o Katarzynę Earnshaw.

I zmuszę cię do tego, choćby miało się to okazać dla ciebie bardzo przykre, a może wręcz bardzo bolesne.

— Czy zamierzasz mnie zabić?

Linton pobladł, chociaż jego głos nadal brzmiał bez trosko.

— Jakiś niepojęty kaprys każe Katy cię lubić, więc zabójstwo będzie ostatecznością. Jeżeli jednak nie złożysz mi obietnicy, pozostanie mi posunąć się do ostateczności, nieprawdaż?

Ścisnąłem jego kolano.

— I cóż? Jak brzmi twa odpowiedź? Lintona przeszył nagły dreszcz.

— Bądź przeklęty razem ze swymi groźbami! — krzyknął. (Twój piesek, Katy, potrafi czasem kąsać!)

— Powtórzę wszystko wujowi i wówczas będziesz skończony.

— Nie sądzę. Twój zacny wujaszek, bogaty, lecz cierpiący na podagrę, nie jest w nastroju, by słuchać niedorzecznych skarg. Poza tym ja wyśmieję każde twoje słowo. Nikt ci nie uwierzy.

— W takim razie jeszcze dziś napiszę list, który trafi do rąk wuja, jeśli przydarzy mi się coś złego. Opiszę w nim dokładnie nasze niespodziewane spotkanie. Twój sekret wyjdzie na jaw.

Przebiegłe to obmyślił. Jednak jego słowa uświadomiły mi tylko, że nie ma chwili do stracenia. Musiałem zrealizować swój plan, zanim Linton zdąży napisać swój list.

— Czy to cała odpowiedź?

— Tak jest.

Poklepałem go po nodze i wstałem.

— Dobrze więc. Spodziewałem się tego, musiałem się jednak przekonać.

Kopnąłem na bok pogruchotaną czaszkę heretyka i pozostawiłem Lintona sam na sam z jego myślami.

\* \* \*

To nie Ty przyszedłeś do mnie z kwiatami. Nie Ty szeptałeś mi czułe słowa i czytałeś mi swe poematy. Z nim jestem spokojna. Nie drzę, kiedy wchodzi do pokoju i gdy patrzy w me oczy.

Ach, kiedyś zimą biegaliśmy po lodzie jak żrebięta. Ty i ja. I wiedzieliśmy, dobrze wiedzieliśmy, gdzie nasze bezpieczne schronienie.

Coś się zmieniło.

Wiatr wiał, a chmury przesłoniły księżyc. Bałam się, kiedy odwróciłeś się ku drzewom. Przybyło nam lat. Narysowałam damę z wielką peruką na głowie, przepasaną atlasową szarfą. Jej suknię zdobiły brylantowe spinki. Narysowałam jasnowłosego mężczyznę w złocistym powozie. Zajrzałeś mi przez ramię i położyłeś na papierze swą uwalaną biotem dłoń. Znienawidziłam Cię.

Gdy on mnie dotyka, czyni to delikatnie, jakby głąskał kota. Ty byłeś kiedyś bezpieczny, lecz już nie jesteś.

Nie, nigdy nie byłeś bezpieczny. Nigdy nie pragnęłam Twego spokoju. Chciałam, by pochłoniął Cię świat.

## 12.

Obaj — Linton i ja — udawaliśmy wobec gości, że nic między nami nie zaszło. Byliśmy dla siebie tak uprzejmi, jak wymagały tego obyczaje. Nadszedł czas na herbatę, lecz pannom Ingram i pani Dent nie obmierzyły jeszcze zabawy. Najpierw graliśmy w ciuciubabkę, potem chcieliśmy odbijać raketami piłki, ale wiatr okazał się za silny. Przy anagramach lord Ingram usnął ze znużenia. Cóż zatem? Kręgle! Kule do gry pozostały jednak w powozie.

— Nic nie szkodzi — rzekłem wstając. — Przyniosę je w ciągu pięciu minut. Lecz zaraz! Skrzynie są nieporęczne... lepiej przenieść je na końskich grzbiętach. Lintonie, czy pójdziesz ze mną?

Linton stwierdził, iż pierwaj powinniśmy napić się herbaty, nikt jednak nie podzielił jego zdania. Później słońce mogło schować się za chmurami, a i ludzie stracą zapał do zabawy. Panna Blanka Ingram oświadczyła, że z chęcią sama uda się po skrzynie, lecz jej matka zareagowała na to z oburzeniem, ostrze którego wymierzone było w istocie w Lintona. Edgar w końcu ustąpił.

— Nie sądz, iż nie przejrzałem twych zamiarów — powiedział, kiedy prowadziliśmy konie ku rozpadlinie. — Wiem, co planujesz, dlatego mam się na baczności. Pójdziesz pierwszy, a ja będę kroczyć za tobą w bezpiecznej odległości. Jeśli zbliżysz się do mnie, wtedy dosiędę rumaka, zawrócę i

wszystko wyjawię. I mniejsza, co stanie się potem.

— Jak sobie życzysz — odparłem na to uprzejmie. Poklepałem bok Minerwy i raźnie ruszyliśmy w dół zbocza. Liście i kępy torfu wylatywały w powietrze spod końskich kopyt. Przemierzyliśmy gęste zarośla na dnie kanionu i pędem ujechałem na mostek. Przeskoczyłem dziurę — zdała mi się większa niż poprzednio. Poczułem lekki skurcz w żołądku. Na drugim stoku ściągnąłem cugle i czekałem na Edgara.

Ukryłem się w cieniu między gęstymi drzewami i przez obsypane listowiem gałęzie patrzyłem, jak Linton bardzo powoli zbliża się do mostu. Ostrożnie omijał leżące głazy. Belzebub dziwacznie zadzierał łeb — podenerwowany Edgar najwyraźniej zbyt mocno ściągał wodze. Rumak w każdej chwili mógł stanąć dęba.

I wówczas zaświtała w mej głowie pewna myśl. Czyż nie mogłoby zdarzyć się to właśnie tutaj? Człek, który spadłby w tę czeluść, z pewnością pożegnałby się z życiem. Przypomniałem sobie ciśniętą z mostu gruszkę: pozostała po niej tylko mokra plama. Co prawda pasmo bolesnych doświadczeń, które zaplanowałem dla Lintona, miało się tu zacząć, a nie skończyć. Tyle że Linton siedział tak niepewnie na Belzebubie. Gdyby koń zerwał się nagle do galopu, Edgar niechybnie spadłby z siodła, a upadek mógłby okazać się fatalny. Wystarczyło unieść rękę w chwili, gdy Belzebub znajdzie się na moście i byłoby po wszystkim!

To jednak nie takie proste. Gdyby służący, którzy zostali przy powozach, patrzyli akurat w stronę mostu, wówczas całe zajście nie uszłoby ich uwagi. Lecz czy każdy szczegół? Ujrzeliby zapewne tylko biegnącego rumaka i spadającego człowieka — mnie zasłaniają gęsto zbite drzewa.

Być może świadkowie okazaliby się nawet przydatni. Gdyby jednak wynikły wątpliwości? Z pozoru Edgar i ja pozostawaliśmy w niezgorszej komitywie. Sprawcą nieszczęść, które pojawiły się ubiegłej nocy, był Edgar. Ingram potwierdziłby to z pewnością.

A jednak, co rzekłabyś na to Ty, Katy? Między nami nie mogą istnieć żadne sekrety. Pewnego dnia musiałbym wyznać Ci prawdę. Jak gwałtowna byłaby wtedy Twa złość, jak głęboki smutek?

Ale oto koń i jeździec zatrzymali się na skraju mostu. Linton niezgrabnie szedł z siodła, trzymając się kurczowo łęku! Przepuszczałem, że Edgar

będzie ostrożny, lecz to przeszło me oczekiwania. Katy, Twój pluszowy niedźwiadek bał się przejechać niewielki mostek na końskim grzbiecie, choć miał pod sobą wspaniałego wierzchowca. Zapewne dostał zawrotów głowy!

Wybuchnąłem śmiechem — przekonałem się na własne oczy, jak bojaźliwy jest Linton.

Edgar spostrzegł mnie i lekceważąco kiwnął mi ręką. Zaczął prowadzić konia. Znalazł się na środku mostu. Liczyłem jego kroki. Jeszcze kilka i natrafi na dziurę. Jeśli Belzebub wierzgnie, wówczas Linton runie w otchłań.

I naraz wypadki potoczyły się z niebywałą szybkością. Dojrzałem poruszenie na przeciwległym zbocz — coś zbliżało się ku kładce od strony opactwa. Osoba na rumaku — białe szaty powiewające na tle zieleni stoku. To Blanka Ingram jechała na jednym z koni ze stajni w Cierniowym Polu! Przez sekundę błysnęła mi jeszcze myśl, że pan Are, zgodnie ze swą obietnicą, postanowił dołączyć do gości, wybierając okrężną drogę do opactwa. A Blanka, tak tęskniąca za jazdą konno, nie usłuchała matczynych lamentów i teraz, na jego wierzchowcu, pędziła ku mostkowi, chcąc sprawić nam niespodziankę.

Edgar odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje. Nie wypuścił jednak z rąk cugli, więc Belzebub także musiał odwrócić łeb.

Myślałem, że potrafię pokierować losem, lecz sam nagle znalazłem się w jego kole. Blanka Ingram zniknęła na moment między drzewami i za chwilę dostrzegłem, jak galopuje wprost na mostek. Podkowy jej rumaka uderzyły o deski. Naraz ujrzała przeszkodę na swej drodze i raptownie pociągnęła za wodze. Koń nie usłuchał rozkazu. Zakłęła i smagnęła pejcem zad zwierzęcia, które zatrzymało się tuż przed Edgarem (ów cofnął się przerażony i znalazł na samej krawędzi pułapki). Wierzchowiec zarżał i wzniosł przednie kopyta.

Belzebub dostrzegł suknię Blanki, usłyszał jej przekleństwa i świst bata. Jego dawny wróg wynurzył się z przeszłości. Wyrwał cugle z dłoni Edgara i pomknął obok mnie, jakby niósł na swym grzbiecie samego Krwawego Pana. Edgar zachwiał się, przez dłużącą się w nieskończoność chwilę starał się utrzymać równowagę, a potem, krzycząc, runął w przepaść.

W mgnieniu oka znalazłem się na mostku. Nie zwracając uwagi na Blankę Ingram, wciąż mocującą się ze swym rumakiem, spojrzałem w dół.



Zapamiętaj dobrze, Katy, to, co teraz opiszę, i miej to na względzie, kiedy dowiesz się o późniejszych wypadkach. W owej chwili wystarczyło, bym stał spokojnie lub nawet działał, lecz wolniej aniżeli to uczyniłem i pozbyłbym się Edgara Lintona. Co więcej — nikt nie zarzuciłby mi, iż przyczyniłem się do jego zguby. Jednakże, za sprawą nadzwyczajnego cudu, zdołał chwycić się podpory w miejscu, gdzie stykały się masywne, kamienne łuki. Dzieliło mnie od niego jakieś dziesięć stóp. Jego tułów i nogi zwisały nad przepaścią — przynajmniej czterdzieści stóp pod nim majaczyły groźne, poszarpane skały.

Spojrzał na mnie. Jego twarz była całkiem biała. Przerażony, nie potrafił wypowiedzieć słowa.

Zdjąłem z siebie płaszcz i położyłem się na brzuchu. Wychyliłem się w dół, trzymając w dłoni szorstki materiał. Linton, rzecz jasna, nie dosięgnął mego płaszcza. Nawet gdyby mógł to uczynić, nie miał dość siły, by chwycić go wystarczająco mocno.

Musiałem do niego zejść.

Jak jednak miałem dostać się do niego i nie spaść samemu? Zwiesiłem się z krawędzi szczeliny. Edgar kurczowo trzymał się podstawy podpory uformowanej w kształcie litery „W”. Teraz podeszwy mych butów dzieliło od niego kilkanaście cali. Gdybym skoczył jednak, to swym ciężarem zmiażdżyłbym jego dłonie. Musiałbym, niczym mucha, przyłgnąć do bocznej powierzchni kamiennego łuku.

Nie było czasu na wahanie. Widziałem, że mięśnie na przedramionach Edgara zaczynają drżeć. Wyraźnie tracił siły.

Dostrzegłem -szczelinę w kamieniu i zaczepiłem się o nią dłońmi. Nie zdołałem jednak znaleźć oparcia dla stóp. Rozejrzałem się szybko wokół siebie i dostrzegłem omszałą kłodę wzmacniającą nawierzchnię mostu. Szum spienionej wody był tu bardzo głośny. Każdy dźwięk dochodzący z dołu odbijał się po wielekroć od omszanych głazów. Pomyślałem o skałach pod mną i poczułem, że na czoło występuje mi lodowaty pot.

Chwyciłem się kłody, lecz natychmiast poczułem, że spróchniałe drewno zaczyna trzeszczeć i pękać. Musiałem działać.

Naprężyłem mięśnie i skoczyłem ku jednemu z ramion podpory. Objąłem ją mocno rękoma i nogami, przywierając do kamienia całym ciałem. Zsuną-

łem się nieco, bacząc, by nie trącić stopą słabnących dłoni Lintona. Nierówności kamiennej powierzchni boleśnie darły mój brzuch.

— Nie wytrzymam — jęknął Linton.

— Wytrzymasz — stwierdziłem. Zapałem się między ramionami podpory i pochyliłem się nieco. Chwyliłem obiema rękami ramię Lintona, a raczej jego rękaw. Upłynęło mnóstwo czasu, nim zdołałem przyciągnąć go ku sobie. I przez każdą z tych straszliwych chwil musiałem patrzeć na jego pobladłą twarz lub — co było jeszcze gorsze — na skały na dnie rozpadliny. Z tej wysokości zdawały się ledwie kamykami, ale obaj wiedzieliśmy, że czeka nas śmierć, jeśli na nie spadniemy.

Zrozumiałem, że Linton boi się, iż celowo chcę go zepchnąć w czeluść. Aby temu zapobiec, uczepił się mego ubrania. O mało nie straciłem przez to równowagi. Niewiele brakło, by jego przerażenie przywiodło nas obu do zguby. Wreszcie jednak zmusiłem go do postawienia stopy na kamieniu. Dostrzegłem, iż wciąż drży. Schyliłem się jeszcze bardziej, by mógł się na mnie wesprzeć. Jego spodnie były rozdarte, a z rany na udzie sączyła się krew. Zapewne spadając skaleczył się o jakiś wystający gwóźdź.

— Najgorsze za tobą — rzekłem. Przez chwilę nie groziło nam niebezpieczeństwo. Trwaliśmy w groteskowych objęciach na wąskim, kamiennym skrawku. Oszołomienie zdało się odebrać Edgarowi władzę nad ciałem i umysłem. — Edgarze — odezwałem się, chcąc, by oprzytomniał. — Weź rękę z mego karku i chwyć się belki.

Ścisnął mą szyję jeszcze mocniej. Niemal zacząłem się dławić.

— Nie! Jeżeli cię puszcze, zepchniesz mnie w przepaść! A tak, jeśli spadnę, spadniesz i ty!

— To prawda, lecz przestań mnie dusić, bo wówczas nie ręczę za to, co się z nami stanie!

Te słowa zrobiły na nim wrażenie. Uspokoił się nieco. Puścił mnie i chwycił się kamiennego dźwigara.

Usłyszałem głosy i uniosłem głowę. Blanka Ingram, pobladła ze zdenerwowania, spoglądała przez wyrwę w moście. Obok niej zjawił się John.

— Mam linę, panie Heathcliff! — krzyknął. Rozkazałem mu przywiązać jeden koniec powrozu do barierki, a drugi rzucić mnie. Opasałem nim Lintona. John, wspomagany przez innych służących, którzy przybiegli na most,

ostrożnie podciągnął Edgara. Wkrótce rozległy się wiwaty i okrzyki radości — prócz służby i panny Ingram zjawił się pan Are, zapewne zaniepokojony faktem, że tak dużo czasu zabiera nam dostarczenie kregli i kół.

Zastanawiałem się, jakże dumna panna Ingram wytłumaczy wszystkim, iż to ona spowodowała całe to zajście. Wkrótce miałem się o tym przekonać: nim John rzucił mi po raz drugi linę, ona dwa czy trzy razy opowiedziała zgromadzonym przebieg wypadków. Z jej relacji wynikało, iż była raczej niosącą pomoc bohaterką niż sprawczynią wypadku.

W końcu stanąłem bezpiecznie na twardym gruncie i zacząłem odbierać gratulacje oraz podziękowania (acz nie doczekałem się ich z ust tego, który najwięcej mi zawdzięczał).

Odciągnąłem pana Are'a od ludzi skupionych wokół Edgara.

— Nie trzeba niepokoić reszty towarzystwa — powiedziałem. — Odwiozę Lintona dwukółką do Cierniowego Pola. Gdyby pani Dent dowiedziała się teraz o wszystkim, dostałaby ataku hysterii.

— Linton jest ranny. Krwawi.

— Tym bardziej należy zabrać go stąd jak najprędzej. Gdybyśmy wszyscy wyruszyli z powrotem, wówczas niepotrzebna zwłoka mogłaby go wiele kosztować.

Pan Are zawahał się.

— Cóż, to prawda. A nadmiar czułości ze strony ciotki i pań Ingram może sprawić, iż wyzionie ducha, nim dotrzemy do cierniowego Pola. Co jednak będzie z jego raną?

— Z łatwością ją opatrzę.

— Słusznie, przecież zdolny z ciebie chirurg. — Uniósł dłoń owiniętą bandażem i mrugnął. — Lecz jego rana może okazać się głębsza — dodał.

— Wówczas zawiozę go do medyka.

— Być może powinienem wam towarzyszyć. Mógłbym go doglądać, kiedy ty będziesz powozić.

— Owszem, być może... lepiej jednak, by pozostał pan tu uspokoił resztę towarzystwa. Jeśli zajdzie potrzeba, Lintonem zaopiekuje się pani Fairfax, a ja sprowadzę doktora Cartera.

Pan Are wynalazł jeszcze kilka trudności, lecz za każdym razem potrafiłem rozwiązać jego obawy. Ustaliliśmy, że on uspokoi gości, ja natomiast do-

wiozę Edgara do Cierniowego Pola. Pokrótce opowiedziałem swemu dobrodziejowi o wypadkach, które zaszły na moście, i nie omieszkalem również przestrzec, iż zauważyłem dziwne wyszczerbienie na zatrzasku skrzyni z kregłami.

W trakcie naszej rozmowy spoglądałem ukradkiem na Blankę Ingram. Władczym gestem oddaliła służących, sama zaś sprowadziła Lintona z mostku i pomogła mu spocząć na murku obok ścieżki. Przyłożyła chusteczkę do jego zranionego uda i zaczęła wachlować go swym kapeluszem. On, pobladły i niepewnie uśmiechnięty, gestami rąk i głowy dawał do zrozumienia, iż nie wymaga aż tak pieczołowitej troski.

Naraz coś się odmieniło. Oboje przestali gestykulować, z ich twarzy znikły uśmiechy. Nachylili się ku sobie i Linton wyszeptał jej coś do ucha. Blanka zeszczywniała, a Edgar chwycił jej dłoń, najwyraźniej nalegając, by wysłuchała go do końca. Spojrzał w nią stronę. Blanka cofnęła rękę i powiedziała mu coś wielce stanowczym tonem (podkreślając swe słowa ruchami głowy).

Wstała, popatrzyła na mnie i rzuciła Edgarowi ostatnią uwagę, która wstrząsnęła nim jak policzek. Ruszyła ku nam. Edgar zwiesił głowę, jakby naraz zrobiło mu się słabo. Jeden ze służących podbiegł, by mu pomóc.

— Wygląda na to, że Lintona spotkało kolejne niepowodzenie — zaśmiał się pan Are. — Być może jeszcze gorsze niż poprzednie. Lepiej odwieź tego biedaką do Cierniowego Pola. Tutaj czyhają nań jedynie nieszczęścia.

Panna Ingram podeszła do nas z wysoko uniesionym podbródkiem.

— Proszę zaopiekować się panem Lintonem, sir — rzekła chłodno do pana Are'a. — Obawiam się, że na skutek wypadku ucierpiała również jego głowa.

Pan Are odszedł od nas z uśmiechem i wówczas zwróciła się do mnie:

— W dziwny sposób pan Linton składa panu podziękowanie za ocalenie życia.

— A cóż takiego pani powiedział? Wzruszyła ramionami.

— Rzeczy godne obłąkańca.

Pragnąłem, by moja twarz wyrażała tylko współczucie.

— Być może istotnie uderzył się w głowę. Muszę zawieźć go do lekarza.

Uśmiechnęła się.

— Sądzę, że to jego miłość własna doznała uszczerbku. Lecz i owszem, zabierz go pan, zabierz stąd czym prędzej. On mnie dręczy. Ujęła mnie pod ramię i zmusiła, byśmy się obrócili i nie widzieli, jak pan Are prowadzi Edgara do powozu. — Natomiast pańska obecność jest mi bardzo miła — dodała.

Pochyliłem się ku niej.

— A więc dziś w nocy? — zapytałem.

— Dziś w nocy.

Ucisnęła me ramię i odwróciła się, by dosiąść wierzchowca. Podałem jej strzemień, gdy wskakiwała na koński grzbiet. Potem podszedłem do Lintona i pana Are'a.

Zdaje się, że Linton — za sprawą całego zamieszania — nie pojął, iż to właśnie ja mam odwieźć go do Cierniowego Pola. Zrozumiał to dopiero, kiedy dwukółka ruszyła i pan Are zeskoczył z niej, machając nam dłonią na pożegnanie. Linton chwycił się drzwiczek, jakby chciał podążyć w jego ślad.

— Nie bądź śmieszny, Edgarze — powiedziałem poganiając konia. — Jeśli wyskoczysz teraz, narazisz się tylko na kpiny. Ponadto możesz złamać nogę.

— Zawracaj natychmiast, łajdaku! — żądał Linton.

— Co! To tak nazywasz swego wybawcę, który nadstawił karku, żeby cię uratować? Słyszałem, że coraz mniej wdzięczności na tym świecie, lecz dopiero teraz sam się o tym przekonałem.

Edgar uniósł się dumą.

— Pamiętając twe uprzednie groźby, wnoszę, iż knujesz jakiś niegodziwy postępek. Żądam, domagam się, abyś natychmiast zatrzymał powóz i pozostawił mnie na drodze, skoro rzeczywiście nie zamierzasz zawrócić.

Z każdą chwilą rosła w nim wściekłość. Pomyślałem, że najlepiej uspokoić go nieco. Zwolniłem i rzekłem opanowanym tonem:

— Posłuchaj sam siebie, Edgarze! Owszem, przyznaję, że usłyszałeś ode mnie trochę nieprzyjemnych słów... przecież obaj staramy się o względy Katarzyny. Gdybym jednak istotnie pragnął twej krzywdy, to popatrzyłbym sobie, jak spadasz w przepaść i na jej dnie znajdujesz śmierć. Lecz ja narazi-

łem się na niebezpieczeństwo, niosąc ci ratunek. Zapewniam cię: ryzykowałem bardzo wiele! — Dostrzegłem, że te słowa wywarły na nim wrażenie. Zatrzymałem powóz. — Nie jesteśmy przyjaciółmi i nigdy nimi nie będziemy, lecz obiecałem panu Are'owi, że zabiorę cię do Cierniowego Pola. Zobacz, teraz jestem gotów zawrócić konia i z powrotem zawieźć cię pod ruiny opactwa. Wybieraj!

Na obliczu Lintona malowało się wahanie. Nie przestawał mnie podejrzewać, zdawałem się jednak mówić szczerze. Pomyślał, jak niezręcznie byłoby mu wytłumaczyć wszystkie powody, dla których zdecydował się wrócić do opactwa, i zapewne dlatego rzekł:

— W takim razie jedź naprzód. Niech droga jednak upłynie nam w milczeniu. Nie mam cienia do powiedzenia, nie pragnę też ciebie słuchać.

Tak więc ruszyliśmy ku ciemniejszemu na wschodzie niebu. Wiatr dał coraz silniej, niosąc ze sobą burzowe chmury znad Morza Północnego. Tylko za naszymi plecami, tam gdzie zachodziło słońce, niebo było jeszcze czyste i zalewało ziemię niesamowitym blaskiem. Dotarliśmy do cierniowego zagajnika koło domu — krzewy tonęły już w gęstniejącym mroku. I właśnie wtedy spadły pierwsze krople deszczu.

Wjechaliśmy na podwórze. Zatrzymałem się bliżej stajni niż domu i zerknąłem na Lintona. Dopiero po chwili zrozumiał, w jakim znalazł się położeniu. W jego oczach dostrzegłem strach. Chciał uciekać, lecz lewą ręką schwyciłem go za kołnierz.

— Nie tak prędko — powiedziałem. — Jeszcze nie mam dosyć twego towarzystwa.

— Nie... puść mnie! Heathcliffie, co to ma znaczyć? Bełkotał tak, przeżony, kiedy wlokłem go do stajni. Nie trudziłem się, by mu odpowiadać.

Wciąż dopisywało mi szczęście. Wrota stajni były otwarte na oścież, tak jak je pozostawiłem. Służący znajdowali się przecież daleko stąd. W Cierniowym Polu była tylko pani Fairfax i kilka służebnych dziewczek. Wprowadziłem powóz pod dach, drugą ręką ciągle trzymając szarpiącego się Lintona. Pchnąłem go do stajni, zamknąłem odrzwia i przekręciłem klucz w kłódce.

Teraz Linton nie mógł się już stąd wymknąć. Słyszałem, jak miotał się i krzyczał. Powiedziałem:

— I po cóż to, Edgarze? Stąd nie ma ucieczki. Zadbalem o to. Powoli

kroczyłem za nim w półmroku.

Nagle wymacał dłonią klamkę od drzwi pomieszczenia, w którym składowano końską uprząż. Otworzył je i wpadł do środka. Pomknąłem za nim. Próbował przytrzymać drzwi, lecz ustąpił, kiedy szarpnąłem gwałtownie. Potknął się i uderzył o półkę, na której stały puste butelki. Na zwykłym miejscu odnalazłem latarenkę (w pomieszczeniu znajdowało się ledwie jedno niewielkie okienko, tak więc wszystko tonęło w nieprzeniknionym mroku). Potarłem draskę fosforową zapałką i przytknąłem płomień do knota. Dojrzałem Lintona skulonego w kącie obok starej szafy. Otwarłem szufladę, wyciągnąłem z niej kłódkę i klucz i zamknąłem za sobą także te drzwi.

— Wyśmienicie — rzekłem. — Teraz nie musimy obawiać się niepożądanego gościa. Nie chcę, by ktokolwiek nam przeszkadzał, Edgarze.

Rozpaczliwie rozejrzał się wokół, szukając wyjścia, którym mógłby pierzchnąć, lub czegoś, czym mógłby się bronić.

— Jak widzisz, bardzo tu przyjemnie. Żadnych przeciągów ani niezdrowych oparów. Z pewnością nie zaziębisz się. Nie, nie szukaj... Są tylko te jedne drzwi i małe okienko tam, na górze. No tak, zbyt wysoko, aby przez nie wyrzucić. To jedyny mankament naszej zacisznej kryjówki. Spędziłem tu mnóstwo czasu. Ta izdebka była moją kwaterą i warsztatem. Czyżbyś nie pamiętał, Edgarze? Ach, przecie tak bardzo pragniesz mi przypomnieć, że jestem tylko stajennym. A miejsce stajennego jest w pobliżu zwierząt. A więc znalazłem się tam, gdzie moje miejsce.

Gorączkowo otwierał kolejne drzwi szafy, licząc, że któreś prowadzić mogą na zewnątrz. Nie przeszkadzałem mu w tym.

— Pojmuję — zakpiłem. — Zainteresowało cię moje zajęcie. Jak to dobrze. Oto rozmaite medykamenty: buteleczki zawierają mazidła na rany. Ostrożnie! Musisz uważać... nie stłucz szkła! Patrz jednak dalej. Tak, tu znajdziesz bandaże, skręcone kocie elita, którymi zszywa się skaleczenia, i żelazo do przyżegania. Wszystko na miejscu, nie brak niczego. No dalejże, otwórz następne drzwi. Ręczę, że to, co ujrzysz, wyda ci się nadzwyczaj ciekawe.

Otwarł je, krzyknął i natychmiast zamknął. Podeszedłem otworzyłem je ponownie.

— Nie spiesz się tak. Widzisz najciekawsze! Oto i moje narzędzia. Nie

wiedziałeś, na czym właściwie polega praca, którą wykonuję, prawda? W rzeczywistości tychże kleszczy, igieł noży używałem nawet dzisiejszego poranka. Patrz, jak błyszczą! Co dnia ostrzę je na kamieniu... To jest lancet do przecinania wrzodów (koni i ludzi trapią podobne dolegliwości), kleszcze, którymi pomaga się źrebiętom przyjść na świat... takie same, jakich używają lekarze podczas trudnych porodów, tyle że większe... Spójrz na to: ogiery drżą na ten widok. — Wziąłem pudełko pełne ostrych instrumentów. — Czy wiesz, do czego służą? Linton zaprzeczył ruchem głowy i cofnął się pod samą ścianę. Ruszyłem za nim.

— Nie wiesz? Nigdy tego nie widziałeś? — Podsunąłem mu pudełko pod nos, by przyjrzał się dokładnie błyszczącym szczypcom. — No...? Czy ich osobliwy kształt nie nasuwa ci ładnych myśli? Pewna część męskiego ciała nie jest wiele mniejsza od ozdoby, którą nosi każdy zdrowy ogier, choć w twoim przypadku może być inaczej.

Wówczas Linton zaczął krzyczeć.

— Wrzeszcz — powiedziałem. — Jeśli ktoś zjawi się w pobliżu, wówczas pomyśli, że strasznie wyje dziś wiatr.

Na dworze istotnie rozszalała się burza. Wicher i deszcz smagały bezbronną ziemię. Skrzypiały belki podtrzymujące dach. Wiedziałem, że muszę się spieszyć. Pogoda z pewnością wypłoszyła już rozbawione towarzystwo spod opactwa i wkrótce wszyscy mogli zjawić się w Cierniowym Polu.

Edgar nie cierpiał, Katy — w każdym razie nie wtedy. Muszę wyznać, że zebrał się w sobie i parokrotnie mnie uderzył. Trafiłem go jednak pięścią w podbródek. Cios odebrał mu przytomność. Wtedy do nozdrzy przytknąłem mu pewien specyfik, którym zwykle uspokajałem konie. Linton jęknął cicho, a potem głowa opadła mu bezwładnie na bok.

Nie traciłem czasu. Skrępowałem mu stopy i nadgarstki, rzemieniami przywiązałem do wbitych w ścianę haków — na wypadek gdyby przebudził się zawczasu. Potem obnażyłem go i używając przyborów do trzebieńki koni, przeprowadziłem skomplikowaną operację. Kastrowanie ogierów (którym zajmowałem się razem z Danielem) nie wymagało takiej precyzji i ostrożności.

Wkrótce było już po wszystkim. Linton nie krwawił zbyt wiele. Bliznę posmarowałem leczniczą maścią, a szew był ledwie dostrzegalny. Każdy chi-



rurg byłby dumny z tak przeprowadzonego zabiegu. Pozostało jeszcze prze-  
myć i owinąć bandażem ranę na jego udzie. Uczyniłem to, po czym zapiąłem  
spodnie Lintona, rozciąłem więzy i podsunąłem mu pod nos trzeźwiące sole.

\* \* \*

Raptownie odłożyłam rękopis na kolana. Czułam, że goreją mi policzki.  
Spod przymkniętych powiek spójrzałam na pana Lockwooda, obawiając się,  
że mógłby się przebudzić właśnie teraz. Nie chciałam, by spostrzegł, jak  
bardzo byłam wstrząśnięta i zmieszana. On jednak, opatulony kocami, nie  
poruszył się nawet.

Heathcliff! Okrutnik! Diabeł! Szaleniec! Przejrzałam na oczy. Wreszcie  
zrozumiałam, jaki był naprawdę. Zaiste zasługiwał, by los pokrzyżował jego  
wszystkie plany! Tak, nie był godzien niczyjej miłości!

Czułam się wzburzona. Jakże ten człowiek potrafił przyznać się do takiej  
potworności? Jak mógł postąpić tak podle, tak nikczemie? Och, gdybym  
tylko miała sposobność przemówić do niego! Lecz on mnie nie słyszał, za to  
ja czytałam stronicę zapisane jego ręką.

Mogłam odłożyć manuskrypt. Nikt nie zmuszał mnie do czytania. Nie  
powinnam czytać dalej. Nie potrzebowałam więcej świadectw, aby wydać  
werdykt: Nelly Dean uczyniła właściwie, chroniąc swą panią przed tym sza-  
leńcem.

I nic nie skłoniłoby mnie do zmiany osądu.

A mimo to... mimo to...

Wydawało mi się, że słyszę głos mej siostry Emilii, krzyczącej na mnie  
tak samo jak niegdyś, gdy bałam się służyć do końca jej przerażającej opo-  
wieści:

— Tchórzysz! Odwracasz wzrok od tego, co jest? Godzisz się tylko z  
pięknym fałszem, nie dostrzegając tego, co prawdziwe, acz straszne? Jeśliś  
za słabowita, by żyć na własny rachunek, poznaj choć życie innych. Pamię-  
taj: życie jest dla silnych. To fakt i pochyl przed nim czoło!

Podjęłam z kolan poźólkę kartki. Wróciłam do lektury.

\* \* \*

Linton zatoczył się i upadł na słomę. Zrozumiałem, że jest osłabiony i oszołomiony środkiem znieczulającym. Nie pojmował, co się z nim stało, moje słowa nie docierały do niego. Wówczas przypomniałem sobie o eliksirze, który rano tak dopomógł panu Are'owi. Zabrałem ze sobą flakonik, przeczując, iż może okazać się przydatny. Teraz wlałem kilka kropli w usta Lintona. Zaczął wić się, jakby wstrząśnięty mdłościami, lecz po paru chwilach usiadł przy ścianie. Był całkiem spokojny, chociaż nadal nie mówił ani słowa.

Przyklęknałem obok niego z latarnią w rękę.

— Czy wiesz, co ci uczyniłem, kiedyś był nieprzytomny? Przecząco pokręcił głową.

Rzekłem:

— Bądź zatem dzielny i posłuchaj.

Przez chwilę zdawał się nie wierzyć własnym uszom, a potem zaczął krzyczeć. Krzyk zamienił się w szloch, kiedy ukrył twarz w dłoniach.

— Przestań rozpaczać — powiedziałem. — Nie masz tylko jednego, pojmujesz? W połowie wciąż jesteś mężczyzną.

Zmusiłem go, by przełknął jeszcze raz nieco eliksiru. Stopniowo się uspokoił. Spojrzał na mnie.

— Powiedz — czy odczuwasz ból? Zaprzeczył.

— I nie będziesz, przynajmniej przez następne godziny, a i potem niewiele. Prawie nie będziesz cierpieć... a po kilku tygodniach całkiem powrócisz do zdrowia.

Edgar przestawał panować nad swą wściekłością.

— Jak mogłeś...! Jak śmiałeś...!? Powieszą cię za to! Powieszą! Tym uczynkiem podpisałeś na siebie wyrok! Jeszcze tej nocy znajdziesz się w więzieniu!

— Nie sądzę.

— Nie sądzisz!? Przypuszczasz, że jakiś sędzia w Anglii zechce cię uniewinnić?

— Nie — odrzekłem. — Nie przypuszczam, abym w ogóle stanął przed sądem.

Linton zaniemówił z oburzenia, więc podjąłem:

— Zraniłeś się, spadając z mostu. Wszyscy mogą to poświadczyć. Podobnie jak to, że pospieszyłem ci na ratunek. Przynajmniej pół tuzina godnych zaufania osób widziało krew na twych spodniach. Potem pan Are, jeden z najszacowniejszych obywateli w okolicy, rozkazał mi odwieźć cię do domu i opatrywać twe rany. Jeżeli nie będziesz milczeć, wówczas oznajmię, że po raz drugi ocaliłem cię od zguby: krwawiłeś okrutnie, więc bez zwłoki musiałem dokonać zabiegu. Nie było czasu na przywiezienie chirurga... Pan Are potwierdzi, że znam się na rzeczy.

Linton trząsał się cały.

— Tym razem nie uda ci się wykpić. Powiem wszystkim, że łiesz jak pies. Jeśli nawet nie zatrymfuję od razu, to doprowadzę do tego, by sądzono cię ponownie. Prawda wyjdzie na jaw.

— Może i masz rację — odpowiedziałem — choć sędzę, iż raczej do tego nie dojdzie. Jestem przekonany, że nie powiesz nikomu o tym, co tu dziś zaszło.

— Jak to? Dlaczego tak uważasz?

— Pamiętaj, że nie wytrzebiłem cię całkowicie.

Linton spojrział mi w oczy przerażony i zdumiony zarazem.

— I uczyniłem tak nie bez przyczyny — wyjaśniłem. — Jeśli okażesz się gadatliwy, wtedy dokończę dzieła, które właśnie rozpocząłem.

Przebiegł go dreszcz i odsunął się nieco ode mnie.

— Tak jest — dodałem. — Im bardziej będziesz się szamotać, by wydstać się z sideł, tym mocniej będą cię krępować. Jeśli zdołasz przekonać ludzi, że jestem złoczyńcą, to nie będę miał już nic do stracenia i udowodnię, że miałeś rację.

Milczał.

— Rozważ swą sytuację. Wciąż możesz być ojcem, możesz założyć rodzinę. Znajdź sobie jakieś ckliwe dziewczę... na przykład pannę Ingram. Zdobądź ją i pojmij za żonę choć do tego trzeba siły i odwagi, a tych zawsze ci brakowało. Jeśli jednak oskarżysz mnie, wówczas będziesz ostatnim z rodu Lintonów. Odejdiesz Edgarze, i nikt nie zachowa cię nawet w pamięci.

Siedział nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Słuchasz mnie, prawda? — spytałem. — To dobrze, gdyż przechodzimy właśnie do sedna sprawy. — Poczekałem, aż spojrzy na mnie, i po-

wiedziałem: -\*- Musisz przestać starać się o Katarzynę Earnshaw.

Ciałem Lintona ponownie wstrząsnął dreszcz.

— Ach, pojąłeś więc już, że musisz to uczynić, nieprawdaż? Owszem, przyznaję, stoisz przed trudnym wyborem. Albo zrezygnujesz z towarzystwa Katy, z rozmów z nią, z uprzejmości i czułych słówek — choć nie wiesz, co to namiętność — z pewnością cię to nie uraduje albo też, jeśli będziesz uparty, w czasie poślubnej nocy okaże się, żeś nie jest już mężczyzną... Nie, nie odwracaj się ode mnie, poznaj swój los. Tak właśnie stanie się, kiedy poślubisz Katarzynę Earnshaw. Dopadnę cię i wykastрую z rozkoszą... Nie powstrzymasz mnie i nigdzie się przede mną nie skryjesz. Już teraz dobrze o tym wiesz. Powtórzę dzisiejszy zabieg, tyle że będziesz świadom wszystkiego, co się będzie z tobą działo. A potem przywiodę do ruiny twój dom, twój majątek, twą rodzinę. Odbiorę wszystko, co ci najdroższe, i na koniec rozegram ci się prosto w twarz. Rozumiesz?

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę i powoli pokiwał głową.

— Lecz nic podobnego się nie stanie, jeżeli będziesz milczał i trzymał się z dala od Katarzyny. Wówczas przestanę cię dręczyć. Przeciwnie: zatańczę na twym weselu... gdy wybierzesz już sobie miłą pannę, wzniosę serdeczny toast na cześć małżonki i złożę ci w prezencie znaczny podarunek.

W końcu Edgar Linton przystał na me warunki, acz w jego sercu z pewnością płonął dziki ogień nienawiści.

W każdej chwili oczekiwałem, że usłyszę stukot końskich kopyt i głosy ludzi na podwórzu. Wyciągnąłem zza koszuli pewien dokument, który przygotowałem wcześniej, i zerknąłem na Lintona. Siedział bez ruchu w kącie. Potrząsnąłem nim i kazałem złożyć na papierze podpis. Potem otworzyłem kłódki i wymknąłem się ze stajni, by przynieść z domu jego kufry. To był najstabszy punkt mego planu — mogłem przecież natknąć się na panią Fairfax. Jakże niezręcznie byłoby odpowiadać na jej pytania. Nie napotkałem jej na szczęście.

Gdy wracałem do stajni z bagażami Lintona, ujrzałem przed wrotami Belzebuba. Krople deszczu sływały po jego sierści. Przybiegł sam, czy też przyniósł kogoś na swym grzbiecie? Nie wiedziałem. Zaprząłem go do niewielkiego, krytego powozu, wsadziłem doń bagaże Edgara, a w końcu i jego samego i ruszyliśmy ku Millcote. Linton był tak osłabiony, że powoził

mogłem tylko jedną ręką — drugą musiałem go podtrzymywać. Ach, jakież czuły byłem dla Twego pięknego Edgara, Katy!

Zdażyłem na czas: nocny dyliżans do Leeds jeszcze nie odjechał. Usadowiłem Lintona w środku, a potem zamieniłem słówko z woźnicą. Poinformowałem go cicho, że ów markotny, młody dżentelmen, którego właśnie owinąłem kocami, przeżył zawód miłosny i pogрузzył się w głębokiej melancholii, topiąc rozpacz w czerwonym winie. Woźnica mrugnął okiem i obiecał mieć baczenie na młodziana. Rzekł, iż dopilnuje, by w Leeds Edgar znalazł miejsce w powozie jadącym do Gimraertonu.

Rumak znał powrotną drogę do Cierniowego Pola. Wiatr przegnał na zachód deszczowe chmury. Niewiarygodne — zdawało mi się, że minione godziny trwały całą wieczność, a jednak niebo wciąż jaśniało słabym, lazurowym blaskiem. Samotna gwiazda świeciła nad widnokregiem na wschodzie. Mokra trawa rozsiewała ożywczą woń. Chłodne powietrze studziło mą rozpaloną głowę. Gdy przejeżdżałem pod drzewami, z liści spadały na mnie pojedyncze krople. Wypełniłem dotychczas ledwie część mego planu i gotowałem się, by dokończyć dzieła.

Tak jak oczekiwałem, w Cierniowym Polu panowało niebывałe zamieszanie. Służący z pochodniami w dłoniach biegali po podwórzu. Światło sączyło się również ze wszystkich okien. Pan Are, a tuż za nim pani Dent wybiegli ku mnie, nim zatrzymałem powóz. Z domu wyłonił się też pułkownik. Utykał i podpierał się laską. Zeskoczyłem z koła, a służący pochwycili konia.

— Hej! — zawołał pan Are. — Cóżeś uczynił z młodym Lintonem? Domyślam się, iż zawiozłeś go do doktora w Millcote?

— Och, proszę mi powiedzieć, że on żyje! — zaszlochała pani Dent, szarpiąc me rękawy. — Nigdy nie darowałabym sobie, gdyby stała mu się krzywda!

Skłoniłem się im.

— Proszę się nie obawiać. Nic mu nie będzie — powiedziałem pospiesznie. — Oto, madame, list, który kazał pani doręczyć.

Podąłem jej papier, lecz pułkownik natychmiast wyrwał go z jej dłoni. Niebawem jednakże oddał list małżonce, gdyż uświadomił sobie, że pozostawił w kufrze okulary. Pan Are strzelił palcami na sługę z pochodnią.

— Czemuż... to niemożliwe! — krzyknęła pani Dent czytając. — On pojechał do domu!

— Do domu? Naszego domu? — zapytał pułkownik z niedowierzaniem.

— Nie! Do swego domu koło Gimmertonu. Do Drozdowego Gniazda!

— Musiałaś coś przeinaczyć! — wrzasnęła pułkownik. — Robercie, przynieś moje okulary!

— Ależ nie, Haroldzie — powiedziała pani Dent, trzymając papier o dwa cale od oczu. — Nie mogłam źle odczytać. Edgar wyjaśnia tylko, że „pewne okoliczności zmuszają go do wyjazdu” że „przykro mu z powodu, iż czyni to tak nagle i nie-podziewanie”. Przesłała nam także wyrazy miłości i szacunku.

— No nie, tym razem przekroczył granice przyzwoitości!

— zagrzmiał pułkownik. — Letycjo, wmawiałem sobie, że nasz bratanek nie jest skończonym durniem, lecz teraz widzę, że jednak się myliłem. I owszem, on jest durniem! Gdyby miał choć zdziebko honoru i rozumu, nie pożegnałby się z nami w ten sposób!

Słyszając to pani Dent ukryła twarz w dłoniach i pobiegła do domu. Tam otoczyli ją Ingramowie, pocieszając i uspokajając.

— Heathcliffie — rzekł pan Are. — Czy możesz coś dodać w tej kwestii? Odwoziłeś przecież Lintona. Czy powiedział ci coś?

Poprosiłem obu dzentelmenów, by odeszli ze mną na bok— damy nie powinny słyszeć moich wyjaśnień. Zobowiązałem eh do dyskrecji i opowiedziałem im wymyśloną przez siebie historię. Nie oczerniałem Lintona, Katy. Przeciwnie, pułkownik Dent zdawał się być wręcz dumny z bratanka. Przyznał, iż wstyd mu, że przez chwilę źle o nim pomyślał.

Pan Are także nie wysunął obiekcji. Opowieść potwierdziła tylko jego własne przypuszczenia. Pułkownik stwierdził:

— Młodzi sami muszą uporać się ze swymi kłopotami.

I ruszył w stronę domu. Pan Are wciąż jednak trwał u mego boku. Potem powiedział, że gdy nie znalazł Lintona, wówczas udał się do stajni, by mnie odszukać. Zobaczył dwukólkę, lecz brakło jednego z powozów. Pomyślał, że — nie bacząc na burzę — zawiozłem Lintona do doktora. W stajni natknął się jednak na buteleczkę swego eliksiru i to odkrycie nadzwyczaj go zaniepokoiło. Po cóż wziąłem go, skoro Linton miał się całkiem dobrze? Powiedziałem przecież, że nawet się nie zranił, drasnął zaledwie. Czy ukryłem coś

z uwagi na Dentów? Czy stała mu się jakaś krzywda i postanowiłem ulżyć mu w cierpieniach?

Teraz myślałem bardzo szybko.

— Owszem, dałem mu kilka kropel. Lecz to jego dusza, a nie ciało, potrzebowała wsparcia. Zdawał się wielce zgnębiony, jednak nalegał, byśmy wyruszyli bez zwłoki. Pomyślałem, że eliksir doda mu sił.

Pan Are spojrział na mnie ponuro.

— Obawiam się, że źle postąpiłeś. Ten medykament nie dla wszystkich jest bezpieczny, a czasem przynosi nieoczekiwane skutki. Należy używać go tylko po to, by uśmierzyć fizyczny ból. Jak czuł się Linton, kiedy się z nim żegnałeś?

Odpowiedziałem, że woźnica powozu do Leeds obiecał troskliwie opiekować się Edgarem.

— Ach, tak. Cóż, uspokoiłeś mnie nieco. Szczęściem, nieświadomie nie skrzywdziłeś Lintona.

Nie powiedział nic więcej. Uścisnął mą dłoń i odszedł w stronę domu. Nim jednak przekroczył próg, odwrócił się ku mnie jeszcze raz. Wydawało mi się, że dostrzegłem w jego oczach cichy wyrzut.

Zamieniłem jeszcze słowo z Johnem i udałem się do swego lokum ponad stajnią. Pozostało mi tylko oczekiwać wizyt} panny Ingram.

Zdjąłem surdut i położyłem się na łóżku. Wziąłem do ręki londyńską gazetę, lecz choć przebiegałem wzrokiem zadrukowane stronicie, nie mogłem zrozumieć nawet jednego zdania. Wybiła północ. Ponownie zmieniła się pogoda — siał teraz drobny deszczyk. Za dnia powiedziałem pannie Ingram, by podeszła do stajni od strony sadu. W końcu usłyszałem pukanie. Otworzyłem drzwi.

Weszła, owinięta szarym, fałdzistym płaszczem. Chwyciłem ją za ramię i obróciłem ku sobie. Jej twarz oświetlał teraz płonący w kominku ogień, wilgotne policzki błyszczały. Rozpiąłem spinkę szarej peleryny i zsunąłem okrycie z jej ramion. Miała nt sobie tę samą powłóczystą nocną koszulę co wczorajszej nocy lecz tym razem nie narzuciła na wierzch sukni. Przyciągnąłem Blankę do siebie i ucałowałem ją.

Z początku się nie opierała, po chwili jednak zaśmiała się położyła dłonie na mej piersi i odepchnęła mnie od siebie.

— Tracę przez ciebie oddech, panie Heathcliff! Gdy dama składa wizytę mężczyźnie, ten winien powiesić jej płaszcz; i poprosić, by spoczęła.

W odpowiedzi rzuciłem wilgotną, szarą pelerynę na obramowanie kominika. Krople spadały na gorące palenisko i znikwały z sykiem. Zdziwiona panna Ingram popatrzyła na mnie uważnie. Nim zdążyła coś powiedzieć, wziąłem ją w ramion; i niezbyt delikatnie rzuciłem na łóżko. Stałem nad nią i zapytałem:

— Czyżby?

Leżała bez ruchu i uśmiechała się do mnie.

— Być może pan Linton mówił prawdę?

— A co takiego powiedział Linton? — spytałem, siadając na skraju łóżka.

— To mianowicie, że bynajmniej nie chciałeś go pan uratować ale zabić!

— Nadzwyczajne! Przypisał to mej szatańskiej krwiożerczości czy też zdradził powody, dla których miałbym go unicestwić.

Spod falban koszuli wyzierał jej biały bucik. Położyłem na nim dłoń.

— Niczego nie wyjaśnił, lecz przejrzałam jego myśli.

— O boska wyrocznio! Jakie to były myśli?

Zdjąłem aksamitne, przemoczone pantofelki i ująłem dłońmi jej stopy.

— Nie mogę tego rzec z całym przekonaniem, lecz sądził zapewne, że zazdrościsz mu pan powodzenia... na pewnym polu — powiedziała, przebie-  
rając palcami nóg.

Pochyliłem się ku niej.

— Ach...! W czymże mógłby okazać się lepszy ode mnie?

— Panie Heathcliff! Wiesz pan to sam najlepiej! Zaśmiała się. Droczyła się jeszcze przez chwilę, lecz potem  
poddawała się moim pieścizdom.

Wówczas rozległo się głośne pukanie do drzwi i ktoś nacisnął klamkę. Oboje usiedliśmy na łóżku. W progu stanął John.

— Czy życzy sobie pan czegoś, panie Heathcliff? — zapytał.

— Nie, dziękuję, Johnie. Zbudź mnie wczesnym rankiem. Uczyniłeś wszystko, co należało.

John uklonił się i wyszedł równie nagle jak się zjawił. Panna Ingram krzyknęła rozpaczliwie:



— Wszystko, co należało? Co to miało znaczyć? Dlaczego on tu wszedł?

— Kazałem mu.

— Co takiego? Czy jesteś szalony? Urządziłeś przedstawienie, by mnie pohańbić!

— Uspokój się. Nie masz się czego obawiać, jeśli tylko będziesz rozsądna. John to lojalny sługa i nie zrobi niczego bez mego przyzwolenia. Będzie milczeć... chyba że rozkażę mu inaczej.

— Chyba że mu rozkażesz! — powtórzyła wzburzona. — Rozkażesz mu!? Wielkie nieba, czy ośmieliłbyś się to uczynić?

— Jedynie wówczas, kiedy nie usłuchasz mej prośby.

— Och, ty nikczemniku... — Wpatrywała się we mnie. Jej oblicze powoli zmieniano swój wyraz. — Jesteś nie tylko łajdakiem, ale i głupcem!

— Naprawdę?

— Tak jest, głupcem! Nie musiałeś tego robić! Nie musiałeś zastawiać tej ohydnej pułapki! Kochałam cię albo przynajmniej tak mi się zdawało.

Po policzku spłynęły jej łzy.

— Ach... — odezwałem się. — A więc sądzisz, że pragnę tego? Mylisz się. Zależy mi na czymś zupełnie innym.

Słyszac te słowa, zamilkła na dłuższą chwilę. Potem z wysiłkiem przybrała dumną postawę i opanowana spojrzała mi prosto w oczy.

Muszę przyznać, iż doznałem wówczas przykrego uczucia — nie tyle wyrzutów sumienia, co podejrzenia, że być może posunąłem się za daleko. Pannie Ingram z pewnością nie brakowało odwagi. Musiałem jednak uciszyć skrupuły. Nie mogłem już niczego zmienić ani odwołać.

— Co chcesz, bym uczyniła?

— Posłuchaj: zaszły tu pewne wypadki. Byłaś ich świadkiem lub sama brałaś w nich udział. Opowiem ci wszystko, co powinnaś zapamiętać. I jeśli ktoś cię zapyta, wówczas odpowiesz słowami, które za chwilę ode mnie usłyszysz. Jeśli zadręczają cię wątpliwości, zapomnij o nich.

— Brzmi to wielce tajemniczo! Słucham.

— Od pierwszego dnia ty i Linton zaczęliście ze sobą flirtować. Poświęcałaś mi co prawda uwagę, lecz tylko dla zmylenia matki. W istocie wpatrzona byłaś jedynie w Lintona. Dostrzegłem to i skrycie sprzyjałem wam obojgu...

— Dobry Boże... ależ to odrażające! Mów jednak dalej.

— Poprosił cię o rękę. Nie odrzuciłaś jego oświadczyn ani też ich nie przyjęłaś. Dzisiejszego popołudnia namiętność Edgara ku tobie zapłonęła żywym ogniem. Otarł się o śmierć, lecz został wyratowany. Uznał to za dobry znak. Nabral odwagi i gdy rozmawialiście przy moście, nakłaniał cię, byś oznajmiła wszystkim, że jesteście zaręczeni. Nalegał ponadto, byś jeszcze tej nocy dała mu dowód swych uczuć. To, rzecz jasna, wzburzyło cię niepomniemnie. Na swoje nieszczęście jednak Linton stawał się natarczywy. Nie tylko nie uległaś jego namowom, ale także powiedziałaś mu, że zrywasz z nim całkowicie. Przeżył to bardzo mocno... Przypuszczam, iż właśnie dlatego wyjechał stąd tak niespodziewanie. Jakże inaczej można by wytłumaczyć jego ucieczkę?

Wpatrywała się we mnie bacznie.

— Ciekawam, co zrobiłaś Lintonowi. Być może istotnie go zgładziłaś. Któż to wie?

— Wkrótce cały i zdrowy dotrze do swego domu na Północy.

— Zdajesz się o tym przekonany, więc pewnie to prawda. Czemu jednak wplątałaś mnie w tę historię? Tak podle, tak złośliwie!

Wzruszyłem ramionami.

— Zapewne jestem podły i złośliwy. Może nawet szalony. A może tylko znudzony.

— Czy wiesz, jak bardzo cię nienawidzę?

— Czy wiesz, jak bardzo mi to obojętne? Chwyliła me ramiona.

— Kłamiesz. Nie jestem ci bynajmniej obojętna. Zawsze >oznaję prawdziwe uczucia, jakie targają ludźmi. A ciebie przejrzałam na wskroś!

— Powiadają, że nawet boginie mogą się mylić, gdy burzy się w nich krew.

— Jesteśmy do siebie podobni. Nie zaprzeczysz! Odepchnąłem jej rękę.

— To teraz nieistotne. Musisz przystać na moje warunki. )powiesz wszystkim tę historię z Lintonem. Nikomu nie stanie się krzywda, a ty dzięki niej zdołasz nawet podreperować swą reputację.

— Ach..! — krzyknęła oburzona i zerwała się z łóżka. — Tak, opowiem wszystkim tę historyjkę. Nie dałaś mi wyboru. Pierwej jednak powiem ci, co o tobie myślę.

Stanąłem przed nią.

— Cóż takiego myślisz o mnie?

— Myślę, że gdybyś tylko chciał, stałbyś się dziś najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Lecz wszystko zaprzepaściłeś.

Złość wykrzywiła jej twarz.

Musiałem się uśmiechnąć, gdyż zaczęła mnie wściekle szarpać, ale przeskadzałem jej w tym. Poczekałem, aż się zmęczy. Wreszcie pojęła zapewne, że z równym skutkiem mogłaby nocować się z marmurowym posągiem. Miast pocałować mnie na pożegnanie, uderzyła mnie w pierś. Potem włożyła pantofle płaszcz i uchyliła drzwi. Naraz zatrzymała się i powiedziała, nie odwracając głowy:

— Och... jeszcze jedno, panie Heathcliff... Ja widziałam twarz tamtej kobiety.

— Jakiej kobiety?

— Wcale nie była Cyganką — rzekła i trzasnęła drzwiami. Zostałem sam. Rozebrałem się i poszedłem do łóżka.

Tę noc, jak i wszystkie pozostałe, spędziłem samotnie. otaczała mnie tylko ciemność. Mogłem krzyczeć, mogłem śnić — lecz gdy wyciągałem ręce, Ciebie nie było u mego boku. Nigdy.

## 13

Heathcliff w istocie musiał być szaleńcem! Nie tylko znieważył pannę Ingram, ale także nie dochował wierności Katy. Dał dowód, iż nie bez powodu podejrzewa wcześniej, że nie jest przy zdrowych zmysłach. Wzięłam do ręki kolejną kartkę, zastanawiając się, z jakimiż to groteskowym przemyśleniami Heathcliffa przyjdzie mi się teraz zaznajomić. Ku swej uldze ujrzałam, że następna stronica zapisana została; dłonią Nelly Dean:

Sir,

W tym miejscu brak kilku kart. Zniszczyłam je sama. Gdy państwo Lintonowie wrócili z podróży poślubnej, uznałam, iż to nieroztropne przecho-

wywać ten list. Pani czasem miała dziwni obyczaje i pewnego dnia mogła natknąć się na ten rękopis. Tak więc postanowiłam go zniszczyć.

Zebrałam się na odwagę, wzięłam pudełko, w którym trzymałam list, do kuchni, pragnąc spalić go w kominku. Ciągłe płonął w nim ogień, choć mieliśmy tego roku ciepłą wiosnę. Rzuciłam nieco kart na palenisko i zamierzałam to samo uczynić z następnymi, lecz akurat w owej chwili weszła pani.

Ukryłam stronicę pod połą fartucha i pomyślałam, że powinnam była być ostrożniejsza. Jednak pani Linton była tak zajęta swymi troskami, że nie obeszły jej moje sekrety. Rzekła tylko:

— Nelly, przeżyłam wstrząs.

— Wstrząs, proszę panienki? — spytałam. (Wolno było mi jak dawniej, tytułować panią Katarzynę „panienką”.)

Zaśmiała się niespokojnie i dotknęła ręką szyi.

— ... Zupełnie nie wiem, jak ci o tym opowiedzieć... Czy czułaś kiedyś, że lodowata dłoń przenika twą pierś i ściska twe serce?

Uśmiechnęłam się, słysząc te słowa.

— Nie, panienko. Czy podobna trafić się takimi myślami? Przecież dopiero powróciła panienka z Londynu razem ze swym uroczym mężem.

— Ależ mnie się to zdarzyło. Otworzyłam pudełko, które przywiozłam ze sobą ze Wzgórz. Pudełko ze skarbami... pamiątkami. Izabela uznałaby je pewnie za liche drobiazgi śmiałyby się z nich, lecz dla mnie są niezwykle cenne, znalazłam to.

Otworzyła dłoń. Ujrzałam lok grubych, czarnych włosów, przewiązany szkarłatną nicią.

— To jedyna rzecz, jaka pozostała mi po nim. Była w naszej dawnej skrytce... Nim uciekł, zostawił tam pukiel swych włosów. Nelly, czasem zastanawiam się, czy nie uczynił tego, chcąc dać ni znak, że wróci. Jak sądzisz, Nelly?

— Myślę, że to niemożliwe, panienko — powiedziałam. — Cóż może oznaczać pukiel włosów?

— Tak... — westchnęła pani Linton. — W każdym razie, kiedy go tknęłam, przebiegł mnie zimny dreszcz, choć mamy taki ciepły dzień. Przeraziłam się okropnie. Pomyślałam, że Heathcliff nie żyje i wstał dziś z grobu, by popsuć mi chwilę szczęścia.

— Nie, panienko — rzekłam, czując w sercu niepokój. — Nie wolno myśleć w ten sposób, gdyż wróci gorączka, która dręczyła panią trzy lata temu. Proszę wyrzucić z pamięci towarzysza dziecięcych zabaw. On nie uczynił w życiu niczego dobrego. Jeśli naprawdę umarł, nie będzie przynajmniej rzucał na innych złego uroku.

Pani Katarzyna nie broniła tym razem swego dawnego druha, pokręciła jedynie głową i powiedziała:

— Niegodziwy! Uciekł ode mnie bez słowa i teraz pragnie zburzyć mój spokój!

Spojrzała nieprzytomnie, a potem wyszła, nie pytając nawet, co skryłam pod fartuszkim. Chciałam wrzucić w ogień cały rękopis, ale pomyślałam wtedy, że jeśli to zrobię, wówczas klątwa Heathcliffa spaść może na Drozdowe Gniazdo i przynieść :gubę nam wszystkim. Tak więc na powrót ukryłam resztę w swoim pudełku.

Upłynęło przeszło pół wieku, odkąd spaliłam część listu Heathcliffa, przedtem jednak przeczytałam wszystko po wielokroć, a i pamięć mnie nie zawodzi. Sądzę, że najlepiej będzie, jeże! pokrótce opiszę treść brakujących stronic.

Przedtem jednakże muszę wyrazić swe oburzenie na Heathcliffa Jak on śmiał potraktować tak mego drogiego pana? Nie tylko haniebnie go okaleczył, lecz także bezczelnie nakłamał wujostwu Edgara Lintona. Znałam dobrze pana Lintona, panie Lockwood służyłam mu przez dwadzieścia lat i jestem święcie przekonana iż nigdy samolubnie nie opuściłby swych przyjaciół. Owszem uwielbiał spędzać całe godziny na czytaniu i z czasem zamyka się w swej bibliotece coraz częściej, lecz nigdy nie było na świecie lepiej ułożonego i delikatniejszego człowieka nad mego pana.

Wracając jednak do rzeczy... Przez następne kilka tygodni Heathcliff bał się, że wyjdzie na jaw jego okrucieństwo. Nic takiego się nie stało. Pan Linton wrócił cało do Drozdowego Gniazda i zaczął stronić od ludzi. Wielce nas to wtedy zadziwiło Czytał swe książki i nie chciał nikogo widzieć, nawet panienki Katy. Panna Izabela wiele razy wzywała zanego doktora Kennetha, ale pan Linton nie pozwolił mu się nigdy zbadać Byłam wówczas przekonana, że pan Edgar wciąż przeżywi rozpacz z powodu śmierci rodziców. Być może istotnie wspomnienie pogrzebu przygnębiło go jeszcze bardziej.

Najgorsze było jednak to, że pan Linton nie wyznał Katarzynie jakiego to występku dopuścił się Heathcliff. Zataił tym samym wszystko, co wiedział o losach jej przybranego brata. Przykro te mówić, lecz Katarzyna mogła wybaczyć Heathcliffowi okrucień stwo prędzej niż memu panu zatajenie prawdy.

Heathcliff mógł więc spokojnie tkać swoje sieci, choć w końcu okazało się, że jego wysiłki spełzły na niczym. Gdy Linton opuścił Cierniowe Pole, Heathcliff wysłał kilka krótkich listów do swej ukochanej, a także do mnie, bym miała na nią baczenie. Obiecywał powrócić za rok jako księżę w złotej karcie i rzucić swe bogactwa do stóp panienki.

Napisał o tym w rękopisie, lecz muszę wyznać, że nigdy nie dotarł do mnie wspomniany list. Żadnego nie otrzymała te: panienka — och, gdyby było inaczej, z pewnością dowiedziałabym się o tym. Katarzyna nie umiałaby zachować w sekrecie takie nowiny!

Bez trudu mogłam odgadnąć, dlaczego nie doszły jego listy. Otóż w naszych stronach niejeden Linton był wrogi Heathcliffowi. Ktoś nienawidził go jeszcze mocniej niżli mój pan i pokrzyżował jego zamiary.

Niegdyś listy do Wichrowych Wzgórz przynosił ze sobą wikary Shiel-ders. Przychodził dwa albo trzy razy na tydzień, by uczyć Katy. Lecz z czasem to się odmieniło, podobnie jak wiele innych rzeczy. Długotrwała choroba, na jaką zapadła Katy po wyjeździe Heathcliffa, spowodowała, że wikary przerwał lekcje i już nigdy ich nie podjął. Poczcie należało podejmować w Gimmertonie. Hindley jeździł tam niemal co dzień, niby w interesach, ale w istocie po to, by pić i wyprawiać brewerie w gospodzie. Odbierał też pocztę i przeglądał ją wracając, jeśli nie był kompletnie zamroczony trunkami. Każdy list od Heathcliffa znikał w jego kieszeni albo też od razu ginął wśród szuwarów na bagnach.

Na stronicach, które pochłonął ogień, Heathcliff rozpisywał się o swych nowych przyjaciółkach i zdarzeniach, jakie miały miejsce w Cierniowym Polu. Zawsze też potrafił wszystkich przechytryć, osiągnąć cel — choćby musiał uciec się do podłości. Muszę wyznać, Panie Lockwood, że nieczęsto miałam okazję czytać albo słyszeć, by ktoś tak wychwalał samego siebie. Nawet politycy bywają bardziej powściągliwi w swych publicznych przemówieniach.

W końcu goście rozjechali się do domów, a Heathcliff i jego pan zaczęli

sposobić się do podróży. Pan Are uznał, że Heathcliff wybornie, niczym najlepszy aktor, wywiązał się ze swego zadania, więc wkrótce obaj wyruszyli na kontynent.

Wyprawę Heathcliff opisał pobieżnie. Zapewne dlatego, że nie mógł skupić się li tylko na ulubionym temacie — to jest na sobie. Najpierw udali się do Francji. W kraju tym pędzi żywot wielu fireykowatych pochlebców i staroświeckich arystokratów. Pan Are przedstawił pana Heathcliffa swym przyjaciołom — zdarzenia tego ów drugi nie omieszczał opisać z całą pieczołowitością.

Spędzili kilka miesięcy na dworach tamtejszej szlachty. Pan Are napotkał też owoc swych dawnych szaleństw: nieślubną córkę, pięcio- czy sześćioletnią, porzuconą przez trudniącą się aktorstwem matkę. Świeżo upieczony ojciec, któremu nie brak było —jak miemam — sumienia, uznał poniewczasie dziecko i odwiózł je z pomocą Heathcliffa do Cierniowego Pola. Poleciał też zatrudnić dla dziewczynki guwernantkę oraz niańkę.

Dzielni panowie ponownie udali się na kontynent, tym razem do Italii. Tam wplątali się w pewną intrygę, szczegółów której nie pomnę. Pamiętam jedynie jej zakończenie: w czasie maskarady Heathcliff, przebrany za biskupa, zranił rapierem jakiegoś księcia.

Zwiedzili także inne kraje — byli w operze w Wiedniu, a w Szwajcarii spotkali starego znajomego, lorda Ingrama, którego leczono tam z syfilisu. Na Heathcliffie jednak największe wrażenie wywarły Niemcy.

Dawniej, podczas pierwszych miesięcy spędzonych w Cierniowym Polu, Heathcliffowi wielce przypadły do gustu dzieła pewnego niemieckiego filozofa. Ogromnie pragnął poznać go osobiście. Razem z panem Are'er udał się więc do miasta, gdzie ów myśliciel wykładał na uniwersytecie. Tam Heathcliff wpisał się na listę słuchaczy i z wielkim zapalem zabrał się do studiowania metafizyki.

W tym samym czasie pan Are uwikłał się w romans z hrabianką, która — jeśli dobrze pamiętam — nazywała się Klara. Lecz w Anglii czekały nań pilne interesy i musiał wracać. Było to w styczniu 1783 roku.

Bardzo pragnął, aby Heathcliff pojechał razem z nim, ale ów odmówił, uparcie próbując zgłębić tajemne nauki. Pan Are poczuł się urażony. Odmowa Heathcliffa rzuciła cień na ich przyjaźń.

Heathcliff nie chciał, czy też nie mógł oderwać się od swych studiów i opuścił Niemcy dopiero u schyłku lata. Do tego czasu wiele się zmieniło w Cierniowym Polu. Heathcliff nie był już oczkiem w głowie pana Are'a. Na ołtarzu zajął miejsce ktoś inny — ona. Młoda guwernantka, najęta po to, b> udzielać lekcji Adeli, córce pana Are'a. Wkrótce jednak stała się dla pana Cierniowego Pola osobą droższą sercu niżli dziecko.

Heathcliff opisał guwernantkę jako bladą dzierlatkę, zasmarkaną sukę, łasicę o ostrych zębach... Och, tak szczerze obrzucił ją w swym rękopisie rozmaitymi wyzwiskami. Nikt dziś się już nie zdoła dowiedzieć, czy czynił to z zawiści. Mniemam, iż właśnie tak. Pan Are być może kochał Heathcliffa tak jak dawniej, lecz okazywał to zapewne znacznie rzadziej. Starał się teraz o względy najętej nauczycielki, która widząc to, zapragnęła zostać jego małżonką. Odmawiała mu swych łask, powodując, iż pragnął jej jeszcze bardziej.

Tak widział to Heathcliff. (Dobrze Pan wie, Panie Lockwood, iż z łatwością przeinaczał fakty, jeśli mogło to dopomóc jego planom.) Tak czy owak, był przeświadczony, że guwernantce zależy głównie na majątku pana Are'a (który Heathcliff prawdopodobnie uznał już za swój). Doszedł do przekonania, że panna Eyre to hipokrytka i awanturka i należy przekonać o tym pana Are'a — dla jego własnego dobra.

Heathcliff zauważył również, że guwernantka nie lubi jego. Lecz jakże miała go lubić, skoro obdarzał ją nienawistnym pojrzeniem za każdym razem, gdy mijali się w korytarzu lub pili herbatę przy jednym stole? Podejrzewał, że to za sprawą sączonego przez nią jadu pan Are odwrócił się od niego, twierdził, iż to przez nią gospodarz Cierniowego Pola zwątpił w jego przywiązanie i miłość.

Owe podejrzania tliły się w jego głowie, aż pewnego dnia :zapłonęły jasnym ogniem. Zdarzył się bowiem w Cierniowym Polu dziwny wypadek — ktoś zniszczył kilka surdutów pana Are'a.

Heathcliff natychmiast zarzucił guwernantce ten szalony czyn. Co nią powodowało? To oczywiste — chciała oczernić -Heathcliffa. Niedługo ktoś próbował tego samego, rozlewając w bibliotece atrament.

Miała miejsce taka oto przykra scena — Heathcliff oskarżał guwernantkę, a pan Are słuchał tego w ponurym milczeniu, nie chcąc przyjąć tych zarzutów, lecz odmawiał także wyjaśnienia, kto wyrządził szkodę. Potem prze-



szedł do sedna rzeczy:

— Nie wolno mi zakochać się, Heathcliffie? Czy tak?

— Ależ oczywiście, że wolno panu — odrzekł Heathcliff. — Lecz pańscy przyjaciele muszą wiedzieć, iż obdarzył pan uczuciem damę, która na to zasługuje!

— A któż bardziej od niej może być godzien mej miłości!? — wybuchnął pan Are. — Ona jest taka skromna, taka niewinna... czysta niczym kryształ. I taka rozumna i odważna zarazem! Gdzież ja znajdę inną, równie cudną niewiastę?

Heathcliff, jeśli dać wiarę jego słowom, stłamsił w sobie zgryźliwą odpowiedź na to pytanie.

— Milczysz. Myślisz o niej źle — podjął pan Are. — Myślisz, że masz ku temu powody. Chcesz mnie chronić. Heathcliffie, uwierz więc, że ona tego nie uczyniła. Wiem, kto jest sprawcą, ale dla jednej przyczyny... och, jakże ważnej!... nie mogę ci tego ujawnić. Musisz mi zaufać...

— Tak samo miałem wierzyć panu, gdy mówił, iż są powody... nadzwyczaj istotne powody, dla których nie może pojąć za małżonkę żadnej kobiety!

Na te słowa pan Are uderzył pięścią w stół tak mocno, że stłukł pokrywające go szkło.

— Pohamuj się, Heathcliffie! Nie bądź okrutnikiem i nie okładaj w me usta rzeczy wypowiedzianych tak dawno! Wszystko się zmieniło. W mym życiu zjawiła się ona i, na Boga, poślubię ją! Nic mnie nie powstrzyma. A skoro nie zdoła uczynić tego nawet Pan w niebiosach, to i ty, stwór, którego ja uczyniłem człowiekiem, nie powinienesz karmić się takimi nadziejami!

Heathcliff poczuł się dotknięty do żywego. Stosunki między nim a panem Are'em stawały się coraz chłodniejsze. Całkiem popsuły się po dwóch albo trzech tygodniach — w dniu tajemniczego pożaru w sypialni pana Are'a, który w jego wyniku omal nie postradał życia. Oczywiście było, że ktoś celowo podłożył ogień.

Tym razem, ku przemożnemu zdumieniu Heathcliffa, okazało się, że gubernantka zrzuca winę na niego. Kiedy on wskazywał na nią palcem, mówiąc: „To zrobiła ona”, panna Eyre nie pozostała mu dłużna i także obciążyła go oskarżeniem! I wówczas Heathcliff, nie posiadając się z oburzenia stwierdził, że pan Are nie zamierza nawet bronić go przeciw absurdalnymi zarzutami.

Jego, Heathcliffa, jeszcze niedawne wszechmocnego faworyta! Nie potwierdził ich, co prawda, lecz cóż to miało za znaczenie? Heathcliff sam poprosił, by przenieść go do Ferndean, jednej z mniejszych posiadłości pana Are'a, na stanowisko nadzorcy, którym wzgardziłby z pewnością w innych okolicznościach. Teraz jednak zdawało mu się to zbawiennym wyjściem.

Przeniósł się więc do Ferndean. Obowiązki, które spoczęła tam na jego barkach, uznał za niezbyt uciążliwe. Otrzymywał godziwą zapłatę. Jego nowa siedziba znajdowała się niedaleko domu Ingramów. Lord Ingram powrócił właśnie z długiej kuracji w Szwajcarii. Razem oddali się teraz nowej pasji — hazardowi. Każdej nocy grali z miejscowymi hulakami o wątpliwej reputacji... Heathcliff nie stracił dziwnych zdolności. W jego sakiewce przybywało złota.

Choć Heathcliff nie napisał tego wprost, to jednak można było wyczuć wdzięczność dla pana Are'a, jego dobroczyńcy. Tęsknił za nim na swoją modłę, chociaż cały czas myślał przed-wszystkim o mej pani.

Ale zapędziłam się nieco, jak to i wcześniej nieraz mi się zdarzało. Ocalały przecież stronicie, na których Heathcliff pisał o tym już własną ręką. Chcę tylko dodać jeszcze jedno: sanie przekonałam się, że człowiek ulega własnym myślom, dobrym czy złym. A pan Are cały czas uważał, że Heathcliff jest dobrym człowiekiem.

To w ogólności zawierały spalone kartki. Proszę czytać dalej sir, i ocenić, czy nie uczyniłabym właściwiej niszcząc i resztę.

## 14

Ingram i Boy Ferrick rzucili na stół pieniądze i wstali. Ten drugi wyszedł z izby bez słowa, z wielce ponurą miną, lecz Ingram zbliżył się do mnie i

położył mi rękę na ramieniu.

— Daruj mu, Heathcliffle. Ferrick zachowuje się niczym gbur, kiedy przegrywa. Zapewniam cię jednak, iż stara się powściągać swą złość. Poza tym to dobry kompan. Przywiodę go tu z powrotem, dobrze?

— Jak sobie chcesz.

Mogłem grać nawet z tym obrażonym knurem, dopóki miał sakiewkę pełną złota.

Razem z Ingramem wyszedłem z zadymionego wnętrza na świeże, poranne powietrze. Jego sługa stał przy powozie, do którego wsiadł właśnie Ferrick, odziany w różowy surdut. Lecz wtem na podwórze wjechała inna karetka. Poznałem ją — należała do pana Are'a.

— Oho, Heathcliffle! — odezwał się Ingram. — Pozwól, że cię opuszczę, zanim zaczniesz się tu prawdziwa zawierucha!

Powóz zatoczył krąg i stanął. Ingram podszedł doń, pokłonił się przybyłym, a potem wsiadł do karety Ferricka i obaj po chwili odjechali. Stałem w progu, oczekując dalszych wypadków.

Pan Are wysiadł i przez minutę rozmawiał z kimś w powozie (dostrzegłem kawałek jej bladej twarzy). Następnie przybrał wyniosłą postawę i ruszył ku mnie. Z niejakim zdumieniem skonstatowałem, że wygląda wspańiale: jego twarz promieniała, miał na sobie odświętne ubranie. Tak więc miłość służyła mu jednak.

— I cóż, Heathcliffie — zapytał z uśmiechem — czyż nie zaprosisz nas do siebie?

— Pana witam z radością — rzekłem na to. — Lecz co się tyczy pańskiej towarzyszki... Nie zwykłem przyjmować wizyt osób, które uważają mnie za niegodziwca i wandalę!

Uśmiech zniknął z oblicza pana Are'a.

— A więc zostaniemy tutaj.

— Bardzo dobrze.

— Nadal podtrzymujesz swe zarzuty? Zobacz, przybyła tutaj ze mną, gotowa przebaczyć i zapomnieć.

— Łatwo przebaczyć i zapomnieć, gdy dopięło się swego.

— Dopięło swego? Jak to? Przecież opuściłeś Cierniowe Pole z własnej woli.

— Kiedy podzieliłem się z panem swymi podejrzeniami (które, po prawdzie, przeznaczone były jedynie dla pańskich uszu), wówczas zapewnił mnie pan o niewinności panny Eyre i ponadto powiedział, iż sam wie, kto uczynił szkodę. Przyjąłem to do wiadomości. Ucieszyłem się. Jednakże kiedy ona obwiniła mnie, wówczas nie rzekł pan słowa. Milczał pan ponuro, rozparty w fotelu, dając wszystkim obecnym do zrozumienia, że wierzy jej pan!

— W takim razie powinieneś być rozeźlony na mnie, a nie na nią!

— I tak też jest, lecz cóż jeden pański niezbyt chwalebny uczynek znaczyć może przy dawnej wspaniałomyślności? Poza tym pojmuję, że zaślepiony był pan miłością. Ale nie oznacza to bynajmniej, że panna Eyre także wysunęła swe zarzuty, nie wiedząc, co czyni.

— A więc przypuszczasz, że moja Jane nie kocha mnie, a w każdym razie nie kocha do szaleństwa?

— Już niegdyś mówiłem, co o tym myślę.

— Tak, istotnie, niech cię licha... powiedziałaś to, rzuciłaś prosto w twarz okrutne słowa. Ach, Heathcliffie, gdybym tylko mógł sprawić, byś zrozumiał... Ona musi sądzić, iż uczyniłaś to właśnie ty.

— Niczego nie pojmuję. Po cóż te tajemnice, po cóż ten fałsz?

— Gdybyś wiedział, z czym się borykam — rzekł pan Are w zadumie.  
— Gdybyś wiedział, jakie trudności muszę przewyżczać, jakież niebezpieczeństwo mi grozi...!

— Gdybyś wiedział, gdybyś wiedział...! Czemu mi pan nie powie? Pan Are potarł podbródek.

— Czy powinienem? Kusi mnie... o, jakże mnie kusi! Z ulgą pozbyłbym się tego brzemienia! Wtedy jednak mógłbym utracić ją, utracić ciebie, utracić wszystko...

— Nie ufa mi pan?

— Owszem, ufam ci, lecz nie wiem, czy potrafiłbyś spojrzeć na rzeczy tak, jak ja je widzę.

— Przecież to pan stworzył mnie na swe podobieństwo — odpowiedziałem nie bez ironii.

— Nie schlebiaj mnie ani sobie! Twa dusza jest twarda i lodowata. Nigdy nie zdołałem jej odmienić. Głęboko w tobie tkwi okrucieństwo. Brak ci miłosierdzia. Nie odważyłbym się...

Skrzywiłem się niecierpliwie, słysząc te wywody.

— Och, dosyć już tego! Niechże pańska wybranka myśli sobie, że to ja dokonałem tych szalonych uczynków. Niech sądzi, że tnę na strzępy garderobę swych przyjaciół, że próbuję zgładzić ich, gdy śpią. Być może pewnego dnia okaże się, że ma rację!

— Lecz ona wierzy już, że nie uczyniłeś tego. Przykro jej, iż źle cię osądziła.

— Czyżby? A co takiego odmieniło niewieście serce? Pan Are jakby się zawahał.

— Cóż...powtórnie wydarzył się osobliwy wypadek...

— Wypadek? Czy tym razem coś zostało pocięte, uwalane atramentem czy spalone?

— Pana Masona, który przyjechał w odwiedziny, zraniono nożem.

Przypomniałem sobie tajemnicze zdarzenie, w wyniku którego pan Are omal nie postradał kciuka.

— Kimże był napastnik? Czy ta sama kobieta w bieli...?

— Owszem, kobieta. Mason nie wspomniał, jakiego koloru miała suknię. Uciekła, nim z-nalazłem rannego.

— Kto jeszcze był wówczas w domu?

— Panna Eyre... Ona właśnie pomagała mi opatrywać Masona. Poza nią, znajomi tobie Dentowie i Ingramowie.

— Zdziwiałem, że Ingram w ogóle nie napomknął mi o tym. Sprawa wzbudzić musiała sensację.

— Wcale się o tym nie dowiedział. Zdecydowałem, iż najlepiej zachować całe zajście w sekrecie.

— Tak jak i wtedy, gdy napadła pana ta kobieta! Tajemnica za tajemnicą, oszustwo za oszustwem!

— Czy skończyłeś już obrażać mnie, mój panie? Pomyśl tylko o własnych uczynkach. Czyś zawsze zachowywał się jak święty?

Na chwilę cofnąłem się myślami wstecz. Nawet jeśli pan Are podejrzewał, że wyrządziłem jakąś krzywdę Lintonowi, nie mógł tego dowieść.

— Wnosi pan, iż mam na sumieniu coś haniebnego?

— Niczego nie wnoszę. Nie potrzebuję tego robić, gdy widzę ciebie w towarzystwie dwóch największych nicponiów i darmozjadów w okolicy. I

dają głowę, że czas nie upływał wam na subtelnych dysputach. O nie, przez całą noc graliście w karty na pieniądze. Czy zaprzeczysz?

— Nie.

— Jak mogłeś upaść tak nisko? Heathcliffie, człowiek winien przecie budzić szacunek.

— Tak jest, uczył mnie pan tego, lecz mówił także, bym zwał Ingrama przyjacielem.

— Oto i dziecinna wymówka. Obaj widzieliśmy, że niegdyś był tylko słabeuszem, lecz potem opętał go zły duch. Nie odwracaj się ode mnie! Musimy o tym porozmawiać. Doniesiono mi, iż wpadłeś w niewłaściwe towarzystwo i nie wiesz uczciwego życia. Łudziłem się, że to nieprawda.

— A czy doniesiono także, jak zajmuję się farmą?

— Nie, ale ośmielam się przypuszczać, że rozrywki nie pozostawiają ci czasu na pracę.

— Kiedy przybyłem tu dwa miesiące temu, zastałem... nie, nie farmę, tylko zapuszczone pustkowia. Nie dom, ale zaniedbany chlew z dwiema jedyne izbami godnymi miana pokoju. Pozostałe były puste, rowy wokół pól pełne błota, stajnie zamienione w jatki. Napisałem do pana list, prosząc o polecenia, lecz nie dostałem odpowiedzi. Domyśliłem się, że to pańskie zajęcia pochłaniały pana w zupełności...

(Spojrzałem w stronę powozu. W oknie zobaczyłem zasłonkę — słońce było już wysoko na niebie.)

— ... więc wprowadziłem w życie swoje plany. Rozwazałem, co należy zrobić, by to miejsce zaczęło przynosić dochody. Okolica tu podmokła, dom obrastały dziczące drzewka, a łąki były odległe od obór. Pomyślałem jednak: oto miejsce idealne dla koni. A na koniach znam się dobrze. Niełatwo jednak zarobić na koniach. Ponownie napisałem do pana i znów próżno czekałem odpowiedzi (widać nie miał pan nawet jednej swobodnej chwili). Uporządkowałem więc stajnie na własną rękę, pragnąc założyć hodowlę. Ponadto oczyściłem rowy ze szlamu, wyciąłem haszcze wokół domostwa, a i jego wnętrze przywiodłem do ładu, kupując nawet nieco mebli. Krótko mówiąc, zaprowadziłem tu porządek. Proszę samemu przekonać się o tym... oczywiście, jeżeli znajdzie pan wolną chwilę. Gdy uzna pan te wszystkie zmiany, wówczas w ciągu dwóch lat farma zacznie przynosić dochody. Jeśli zaś nie,

to niechże piekło pana pochłonie!

Wściekłość, zdumienie i inne jeszcze uczucia malowały się na obliczu pana Are'a, kiedy mnie słuchał. Nie poznałem jednak ego odpowiedzi, gdyż właśnie nadeszła ku nam guwernantka.

Pan Are spojrział na nią i jego wzrok złagodniał. Zdawał się też szybciej oddychać. Uścisnęli sobie dłonie i nagle poczułem jej rękę na ramieniu. Zdziwiłem się: jej ręka była ciepła, choć panna Eyre zawsze wyglądała, jakby uchodziło z niej życie.

Guwernantka była niską, bladą osóbką. Rzadkie, rude włosy upięła skromnie z tyłu głowy. W owych dniach pan Are kwitł natomiast w oczach — lecz przy nim i ona zdawała się jaśnieć. Tylko u jego boku wydawała mi się niemal urodziwa.

Włożyła moją dłoń w dłoń pana Are'a. Chciałem cofnąć ją natychmiast, lecz on pierwej przytrzymał ją w uścisku. Popatrzyłem w jego oczy, które zdawały się mówić, że spór pomiędzy nami jeszcze nie zakończony, ale — na razie — poprzestaniemy na tym geście przyjaźni. Nie odezwałem się słowem, ale para przede mną wyglądała na uszczęśliwioną.

— Zapewne Edward powiedział już, iż pomyliłam się co do pana — szepnęła, poprawiając okulary na nosie (gestem, który niezmiennie mnie irytował). — Przykro mi bardziej, niż potrafię wyrazić. Tym więcej, że pojęłam coś, czego nie rozumiałam wcześniej: jak bardzo jest pan drogi Edwardowi. Mam nadzieję, że wielkodusznie daruje mi pan minione błędy i pozwoli obdarować się przyjaźnią.

Cóż mogłem począć? Skłoniłem się tylko i uśmiechnąłem. Wciąż nie wierzyłem w dobre intencje panny Eyre, lecz jeśli jak zrećnie przekonała mnie, iż nie żywi już wobec mnie wrogich uczuć, wówczas i ja, nie musiałem być dla niej taki szorstki.

— No! — rzekł rozpromieniony pan Are. — Znów jesteśmy przyjaciółmi! Jane, Heathcliff oznajmił mi właśnie, jakież to umiany zaszczyt w Ferndean, które obecnie stało się najwspanialszą farmą w całym hrabstwie!

— Słyszałam wiele o pańskich zdolnościach i nie dziwię się temu. Edwardzie, czy powiedziałeś jednak panu Heathciffowi, czemu złożyliśmy mu wizytę?

Pan Are objął ramieniem guwernantkę.

— Heathcliffie, Jane i ja zamierzamy się pobrać. Jesteś pierwszym, który się o tym dowiaduje, i jedynym, kogo chcemy zaprosić na uroczystość. Czy zaszczytujesz swą obecnością nasz ślub?

I znów nie pozostało mi nic innego, jak tylko pogratulować obojgu, choć targwały mną złe przeczucia. Szczęściem miałem wymówkę — w dniu ich ślubu miał odbyć się w sąsiednim hrabstwie koński targ.

Skoro już narzucono mi rolę przyjaciela, to musiałem jej sprostać. Zaprosiłem oboje do środka i nakłaniałem do pozostania na obiedzie. Moja gospodyni, Mary, wybornie gotowała i gorąco pragnęła popisać się swym kunsztem. Pilne sprawy zmuszały jednak pana Are'a i jego wybrankę do natychmiastowego powrotu do Cierniowego Pola (z czego, w głębi duszy, byłem rad).

Obserwowałem, jak ich powóz znika za pobliskimi drzewami. Potem strudzony usiadłem na progu. Strudzone było jednak tylko me ciało — umysł pracował bardzo szybko. Dziwne to, lecz nie myślałem o scenie, jaka rozegrała się przed chwilą. Nie wspominałem też bynajmniej ponuro, jak to skrzywdzono mnie i niesprawiedliwie potraktowano, zanim opuściłem Cierniowe Pole. Nie zastanawiałem się nad nie wyjaśnionymi wypadkami, jakie miały miejsce w domu pana Are'a. Nie rozpacziałem nawet z powodu planowanych zaślubin, które — nawet jeśli panną Eyre powodowały szczere uczucia (w co wątpiłem) — oznaczały ruinę mych planów. Nie, wszystkie te sprawy odpłynęły gdzieś daleko, jakby nigdy ich nie było lub stanowiły tylko cząstkę dawno zapomnianej opowieści Nelly.

W mej wyobraźni zamknęły się drzwi za panem Are'em i panną Eyre. Odeszli ode mnie, trzymając się za ręce. Wraz z nimi zniknęły me naiwne marzenia — niegdyś śniłem przecie, iż zostanę dziedzicem na Cierniowym Polu i swym bogactwem olśnię wszystkich, przyjaciół i wrogów, którzy znali mnie za młodu.

Teraz opętała mnie tylko jedna myśl. Zapragnąłem mianowicie, by Katarzyna Earnshaw zamieszkała wraz ze mną tu, w Ferndean, bym mógł, Katy, mieć Ciebie tutaj.

Mógłbym Cię przecie sprowadzić do siebie.

Bołałem nad słowami, które wypowiedziałeś w dniu, kiedy uciekłem z Wichrowych Wzgórz. Przez całe lata znosiłem poniżenia tylko po to, by móc



patrzeć na Ciebie i rozmawiać z Tobą. Poprzysiągłem sobie, że nie wrócę tam, dopóki nie zgromadzę fortuny, póki nie stać mnie będzie na karetę, jaką jeździł Edgar Linton, i na stroje piękniejsze niż te, w których chodził. Dopiero wtedy chciałem wyznać Ci miłość i rzucić Hindleyowi do nóg tyle złota, ile warte były całe Wzgórza.

Lecz teraz obrazy, którymi tak długo karmiłem wyobraźnię, rozplynęły się niczym śnieg w promieniach gorzącego, wiosennego słońca.

W garści dzierżyłem jednak tę farmę — majątek niepomierne skromniejszy od Cierniowego Pola, mimo to całkiem zacny. Swe oszczędności pomnożyłem, także dzięki wygranym w karty, do pięciu tysięcy funtów. Nie skarżyłem się na zapłatę, jaką otrzymywałem, a dochody mogła przynosić również hodowla koni. Miałem do dyspozycji dom, choć może niezbyt piękny, jednak solidny i dosyć obszerny.

I po cóż miałbym troszczyć się o to, czy okażę się lepszy od Lintona? To udowodniłem już sobie uprzednio. Dla mnie ważna byłaś tylko Ty. Czy nie powtarzałem po wielekroć, jakże jesteście sobie bliscy? Czyż nie mówiłem, że nasze serca biją jednym rytmem? Przed samym sobą musiałem przyznać coś jeszcze — tak bardzo pragnąłem udowodnić, że myliłaś się co do mnie, że nie doceniłaś mnie należycie.

Łączyło nas coś głębokiego i czystego. Gdybym w to zwątpił, zasłużyłbym na miano zdrajcy.

Moglibyśmy oboje wieść spokojne życie, otoczeni przyjaciółmi. Czyliż nie byłoby Ci miło jechać powozem do Gimmertonu i dalej, aż tutaj? Wsparłabyś się na mym ramieniu, słuchając czułych szeptów, których bym ci nigdy nie skąpił. Czy nie wolno było mi ludzić się, że nawet Hindley stał się uczciwym człkiem i mógłbym prosić go o Twą rękę?

Być tu razem z Tobą! Patrzeć, jak z zachwytem oglądasz nasz nowy dom i mówisz, jak pięknie można go urządzić! Patrzeć, jak podziwiasz okolicę i rumaki biegające po tutejszych łąkach! Jakże zadziwiłby Cię pan Are, jak naigrawałaś się pewnie z jego karzełkowej oblubienicy! A Ingram i jego kompani natychmiast zostaliby zniewoleni Twym urokiem...

Nie, musiałem powściągnąć swe fantazje. Zapędziłem się zbyt daleko w marzeniach o słodkiej przyszłości. Nie było mowy, abym mógł układać się z Hindleyem.

Chciałem jednak pieścić Cię, i to nie w snach. Pragnąłem dotykać ciepłych krągłości Twego ciała i obsypywać pocałunkami Twą szyję...

By jednak tak się stało, musiałem zmienić swą naturę. Musiałem sprawić, by duma nie górowała we mnie nad rozumem.

Przed paroma miesiącami powróciłem z Europy i najałem wówczas szpiega, który miał upewnić się, czy Linton dotrzymuje swej obietnicy. Otóż ów umyślny doniósł mi, iż Edgar stroni od ludzi i rzadko opuszcza Drozdowe Gniazdo. Jeździłaś tam, Katy, ale ludzie powiadali, iż spotykałaś się tylko z panną Izabelą Linton, gdyż Edgarowi widok kobiet „był niemiły” i w czasie Twych wizyt zamykał się w bibliotece. Te wiadomości uradowały mnie wielce. Byłem pewien, że dostałaś liścik, który wysłałem jeszcze przed wyjazdem do Europy, i czekałaś na mnie — choć mogłem przedstawić sobie, jakże niecierpliwiło Cię to przedłużające się oczekiwanie.

W ciągu następnych dni podjąłem ważne postanowienie. Za miesiąc miał odbyć się koński targ (oraz ślub pana Are’a). Zdecydowałem, że wyruszę do Gimmertonu w dzień po powrocie z targu. Zastanawiałem się tylko, co stanie się z Ferndean, kiedy wyjadę. Nie chciałem, by podupało w czasie mej, krótkiej nawet, nieobecności.

Wkrótce znalazłem rozwiązanie. Pan Are wspomniał, że gdy udadzą się w podróż poślubną, John nie będzie miał zajęcia. Pojechałem do Cierniowego Pola i nakłoniłem sługę, by doglądał Ferndean, kiedy wyruszę po ciebie, Katy. Zabroniłem też, aby wspominał o tym swemu chlebobdawcy.

Tak więc wszystko było ustalone. Jednak do wyjazdu pozostało mi jeszcze kilka tygodni. Postanowiłem przygotować dom na Twe powitanie. Udałem się po zakupy do Millcote. Tam przypomniałem sobie, jak lubisz przystrajać pokoje. Zdecydowałem się urządzić z jednej izby rodzaj buduaru. Słyszałem, iż czynią tak ptaki w odległych krajach: do swych ulubionych gniazdek znoszą dla ozdoby płatki kwiatów pomarańczy i zielone skrzydełka chrząszczy.

Towary w Millcote wydały mi się jednakże nie dość piękne dla Ciebie. W końcu pojechałem aż do Liwerpoolu. Jakże inaczej czuje się człowiek, gdy znajdzie się tam z trzosem pełnym złota! Uprzednio złodzieje i żebracy snujący się wokół zdawali mi się wilkołakami, teraz ledwie szczurami, które

węszyły za marnym ochłapem i pierzchały z drogi przed mym wierzchowcem. Wielcy kupcy, którzy niegdyś, klnąc i złorzecząc, odganiaли mnie od swych straganów, obecnie kłaniali się w pas i prosili, bym łaskawie zerknął na ich towary. Na rumaku wartym setki funtów przejechałem mimo domu dla obłąkańców, który jeszcze dwa lata temu prześladował mnie w najgorszych snach, i roześmiałem się beztrzesko. Spostrzegłem, iż przed bramą stoi ten sam strażnik, który kiedyś straszył mnie piką. Zapewne do dziś zachodzi w głowę, dlaczego jeździec w trój-graniastym, ozdobionym piórami kapeluszu rzucił mu złotą gwineę.

Jakież cuda kupiłem dla Ciebie, Katy! Porcelanową pozytywkę z figurkami cygańskich tancerzy, tuzin pachnideł w kryształowych buteleczkach ze złotymi nakrętkami, szpinet, na którym można wygrywać wszelkie melodie. Szale i bransolety rodem z Orientu. Żudełko słodczy z Italii, a z Afryki szachy z kości słoniowej hebanu. I mnóstwo innych jeszcze, nadzwyczaj kunsztownych zabawek.

Dni, w których stroiłem dla ciebie komnatę, pamiętam jako dalece szczęśliwe i radosne. Nigdy przedtem nie było mi tak lekko na duszy, aż do obecnej nocy, kiedy piszę ten długi list. Byłem wówczas przeświadczony, że ujrzę Cię za trzy, za dwa tygodnie, za tydzień. Sądziłem, iż wkrótce spotka mnie nagroda za miesiące i lata tęsknoty za Tobą. Wyobrażałem sobie, że skrzydlaty anioł niesie mi słowa otuchy, bym wytrwał jeszcze trochę. Niemal widziałem jego jaśniejącą postać za muślinowymi brankami w oknach Twej przyszłej sypialni.

Nigdy nie dowiedziałem się, co Mary, moja gospodyni, sądziła o tych przygotowaniach. Nie zdradzała żadnych uczuć: ani zdziwienia, ani niechęci, ani też aprobaty. Jedynym znakiem, że spostrzegła w ogóle jakieś zmiany, było jej pytanie, jak często ma wietrzyć i sprzątać nowo urządzonej komnatę.

Chętniej za to rozmawiała z Johnem. Ten przybywał do Ferndean dwukrotnie, by lepiej poznać farmę, nad którą miał przejściowo sprawować pieczę. Po jednej z tych wizyt moja gospodyni oświadczyła:

— Powiadają, że pan Are ukrywa coś przed gubernantką.

— Odłożyłem gazetę (pamiętam, iż czytałem właśnie o zawartym w Paryżu traktacie, który położył kres wojnie w Ameryce), zajrzałem do kuchni, gdzie Mary zrecznie skubała drób, i spytałem:

— Co znowu, Mary? Przecie mają się pobrać w przyszłym tygodniu. To zły czas na sekrety.

— Tak jest, sir. John mówił to samo. Powiedział też, że złe wiatry wieją ostatnimi czasami w Cierniowym Polu.

John nie dodał jednak niczego ponadto. Mary miała tylko nadzieję, że stary sługa się myli i nie stanie się nic złego.

Tak jak zaplanowałem, w następnym tygodniu udałem się na targ. Był to dzień zaślubin pana Are'a, ale niewiele myślałem o tym wydarzeniu. Udało mi się kupić doskonale żrebne klacze i piękne ogiery, z których jeden niemal dorównywał Belzebubowi. Ucieszyłem się, że niebawem będzie można urządzać w Ferndean wspaniałe wyścigi.

Wracałem ścieżynką wśród pól, a radość rozsadała mą pierś. Wiedziałem, że każda minuta zbliża mnie do spotkania z Tobą. Następnego ranka byłem gotów wyruszyć do Gimmertonu. Kufry spakowałem już wcześniej i przewiązałem sznurami. Zapomniałem o całym świecie i trzy razy omal nie spadłem z konia. Zdołałem jednak dotrzeć do Ferndean. Tam oczekiwała mnie niespodzianka.

Przypuszczałem, że ujrzę Johna, lecz bynajmniej nie w siodle z wodzami w dłoniach. Na jego twarzy malowało się wzburzenie, z trudem łapał oddech.

— Panie Heathcliff — powiedział — musi pan niezwłocznie pojechać do Cierniowego Pola! Nie ma chwili do stracenia!

Nim zdołałem wyrazić zdumienie, z domu wybiegła Mary. Schowała dłonie pod fartuchem (nadciągała już bowiem jesień i wieczory stały się zimne) i zakrzyknęła do Johna:

— Też coś! Pan Heathcliff musi odpocząć. Ładne rzeczy! Panie Heathcliff, niechże pan zsiądzie z konia... o, Tom odprowadzi go do stajni... i usiądzie do kolacji. I ty też, człowieku. Możesz opowiedzieć wszystko przy stole. Nie wolno ruszać w drogę o pustym żołądku!

Tak więc, przelitykając kęsy chleba z masłem, wysłuchałem opowieści o dziwnym ślubie pana Are'a. A istotnie dziwny był nadzwyczaj: choć pan Are poszedł do ołtarza z oblubienicą, to nie wyszedł z kościoła jako szczęśliwy małżonek!

Wyszło bowiem na jaw — dziw nad dziwami — że pan Are wciąż poślubiony jest innej kobiecie. I fakt ten ujawniono dopiero w kościele! Zdumia-

łem się tak bardzo, iż zapomniałem o filizance, którą trzymałem w dłoni.

— Czy zjawiała się prawowita żona?

— Ona nie, lecz jej reprezentanci — odparł John. — Jeden z nich, pan Mason, był kiedyś gościem naszego pana. Drugi okazał się prawnikiem.

Wszyscy pojechali potem do Cierniowego Pola.

— Po przerwanej ceremonii?

— Ano, tak właśnie było. Jeszcze rano nasz pan wyglądał tak wybornie, jakby nagle ubyło mu lat. Kiedy wrócił, jego twarz była szara jak popiół. Panny Eyre także... zdawało się, że zaraz zemdleje. Oboje nie rzekli nawet słowa, tylko przeszli korytarzem obok skrzyń i kufrów, które mieli zabrać ze sobą w podróż poślubną. Za nimi kroczył ów pan Mason, a także prawnik i pleban. Wszyscy trzej zamknęli się w pokoju na górze i rozmawiali wiele godzin. Gdy zeszli wreszcie na dół, prawnik rzekł pannie Eyre, że została oczyszczona ze wszystkich zarzutów, jako że nie wiedziała o dawnym małżeństwie pana Are'a, i odjechał. Duchowny prawił naszemu panu o grzechu bigamii, potem oddalił się również. Panna Eyre uciekła do swego pokoju i trzasnęła drzwiami. Pan podążył za nią. Gdy ujrzał nas zerkających zza poręczy schodów (nie wiedzieliśmy, co czynić ani co myśleć!), wówczas przeklął wszystkich najgorszymi słowami i kazał wynosić się precz, jeśli chcemy ocalić nasze marne głowy. Może być pan pewien, że natychmiast schowaliśmy się w kuchni i nie śmieliśmy nawet wytknąć stamtąd nosa.

— Ale Johnie... tamta żona... Kimże jest? Czemu pan Are wyparł się jej?

— Cóż, panie Heathcliff, wszyscy mówią, że zapewne wywodziła się z niskiego stanu. Może była służącą, którą odesłano gdzieś daleko i której zapłacono złotem za milczenie. Niektórzy twierdzą, że pochodziła ze szlacheckiego rodu, była bogatą dziedziczką, lecz wiodła żywot tak niemoralny, że pan Are nie chciał jej więcej widzieć.

— To powiadają inni. A co ty sądzisz, Johnie? Wpatrywałem się w niego uporczywie. Obracał w dłoniach kapelusz.

— Czy pamięta pan, jak ostrzegałem, że w domu nie dzieje się dobrze, panie Heathcliff?

— A więc wiedziałeś o dawnym małżeństwie? John nie odrzekł mi wprost.

— Cóż to ma za znaczenie, panie Heathcliff? Może wiedziałem, może tylko podejrzewałem. Teraz stało się najgorsze. Rozplacze się pan, gdy ujrzy swego dobroczyńcę. Panu Are'owi potrzebna pomoc, proszę jechać ze mną i nie zwlekać już dłużej. Zaklinam pana!

— Sądzę, że on potrzebuje raczej wsparcia panny Eyre.

— Właśnie, sir! Jej nie ma!

— Nie ma? Co to znaczy?

— Zniknęła... rozplynęła się w powietrzu. Pan Are siedział długo pod jej drzwiami, aż otworzyła mu, późno w nocy. Potem rozmawiali w bibliotece... sam słyszałem ich głosy. Nie spałem, chciałem być w pogotowiu w razie potrzeby. Słyszałem, jak pani szlochała, a pan Are mówił podniesionym głosem. Czynił jej wyrzuty albo błagał o przebaczenie, a może jedno i drugie. Po kilku godzinach panna Eyre wróciła do swej komnaty, a pan Are pozostał w bibliotece. Odczekałem nieco i zakradłem się tam: ujrzałem go drzemiącego na kanapie. Okryłem go kocem i wreszcie sam udałem się na spoczynek. Zbudziła mnie Leah. Płakała i krzyczała, że nasz pan postradał zmysły. Wybiegłem i zobaczyłem go. Chodził z pokoju do pokoju i powtarzał, rwąc włosy z głowy: Nie ma jej tu, nie ma jej tu!

— Panna Eyre wyjechała w nocy.

— Tak jest. Umknęła w tej samej sukni, w której przybyła do Cierniowego Pola. Zostawiła drogie ubrania, które kupił jej pan Are. Wzięła ze sobą niewiele pieniędzy, ledwie kilka funtów. Pan Are nie mógł przyjść do siebie. Bez ustanku jęczał, że ona zamrze albo umrze z głodu. A potem zapytał o ciebie, panie: „Gdzież Heathcliff? Czemu go tutaj nie ma?”. Och, jaka żałość mnie brała, kiedy słuchałem jego zboląłego głosu!

— Czy przeszukano okolicę?

— Ano. Nie znaleźliśmy niczego, poza skrawkiem damskiej sukni na ciernistym krzewie. Ten strzęp mógł tam jednak wisieć od miesięcy.

— Nie wiem, co mógłbym uczynić. Nie sprawię przecie, by powróciła. Mam inne plany i wiesz, jakie są dla mnie ważne. Wkrótce wyruszam w swoją drogę.

— Nie, panie Heathcliff, nie mówiłby pan tak, gdyby go zobaczył! Proszę odłożyć swą podróż tylko o dzień. Niech pan jedzie ze mną, a bagaże każe odesłać do Cierniowego Pola. Jutro może pan stamtąd wyruszyć na

Północ. Cóż zmieni dzień zwłoki, jeśli nikogo nie poinformował pan o swym przybyciu?

W końcu zdołał mnie przekonać. Znasz jednak mą naturę i domyślasz się pewnie, że nie ustąpiłem tak łatwo. Świadomość, że zobaczę Cię później, niż się spodziewałem, była mi wielce niemiła. John zdawał się mieć jednak rację — cóż znaczył jeden dzień?

Tak więc zgodziłem się jechać z nim, lecz targały mną złe przeczucia. Nie potrafiłem odpędzić myśli, że wkrótce spotka mnie kara niewspółmierna do występku, który miałem na sumieniu.

Zerknąłem jeszcze na komnatę, którą urządziłem dla Ciebie. Wcześniej zerwałem bukiet świeżych róż i wstawiłem do szklanego wazonu. Pragnąłem, byś ujrzała je, kiedy będą w pełnym rozkwicie. Potem zamknąłem za sobą drzwi i wsadziłem klucz do kieszeni. Niestety, w dniu kiedy piszę te słowa, na łóżykach nie pozostał zapewne ani jeden płatek. Nie wróciłem bowiem na czas i nie przywiozłem ze sobą Ciebie.

Dotarliśmy do Cierniowego Pola o zmierzchu. Powietrze było chłodne i wilgotne, chwilami siał zimny deszcz. Od razu domyśliliśmy się, że stało się coś złego. Na podwórzu stało kilka powozów, a służba znosiła do nich kufry.

Prędko zrozumieliśmy, iż pan Are zwolnił całą służbę. Rzekł, iż wszyscy muszą natychmiast opuścić Cierniowe Pole, nawet pani Fairfax i Adela. Wynagrodził ich sownie, dosłownie ciskał w nich sakiewkami ze złotem, lecz powiedział, że mają wynieść się jeszcze tej nocy. Nie zniósłby ich obecności choćby nawet przez godzinę.

To było czystym szaleństwem. Rozkazałem Johnowi, by zbierał pieniądze, które rozrzucił jego pan, i udałem się na Doszukiwanie władcy Cierniowego Pola, tego wszechwiedzącego mędrca, mego szlachetnego opiekuna.

Siedział całkiem spokojny na prostym krześle w dawnej izbie guwernantki. Przyglądał się czemuś pilnie, lecz podniósł wzrok, gdy wszedłem.

— Popatrz, Heathcliffie — rzekł. — Nie wzięła ze sobą niczego, nawet tych pereł, które jej ofiarowałem... Porzuciła je koło kominka. I jakże ona poradzi sobie sama? Odwiózłbym ją, nie zmusiłbym przecież siłą, by została. A teraz spotka ją zguba... To ja poniosę winę za jej śmierć!

— Niech pan się uspokoi, sir! Czyż nie wyjechała z własnej woli? Pra-

gnął pan przecież, aby go nie opuszczała, prawda?

— Tak, tak... ale niczego nie pojmujesz. Moje grzechy sprawiły, że uciekła.

— Pańskie dawne małżeństwo?

— A więc wiesz już i o tym!

Nagle zerwał się z miejsca i pochwycił mnie za ramiona.

— I cóż ci opowiedziano? — spytał.

Powtórzyłem, co usłyszałem, jak najbardziej opanowanym tonem, a potem zapytałem:

— Czy to właśnie stanowiło tę tajemnicę, której tak długo nie chciał pan przede mną zdradzić?

— Tak... nie... To tylko cząstka sekretu. Heathcliffie, nie zdręczaj mnie przeszłością. Pomóż mi.

— Owszem, pomogę panu, lecz nie mogę uczynić tego w pojedynkę. Dlaczego zwolnił pan służbę?

— Irytowali mnie. Nie mogłem znieść ich spojrzeń... współczujących i pogardliwych. Już sam nie wiem, co gorsze.

— Musi pan przyjąć ich z powrotem.

— Wykluczone. Teraz potrafię myśleć jedynie o niej. Pewnie przymiera głodem i woła o pomoc, a my siedzimy tutaj...! Heathcliffie!

— Nie pomoże jej pan lamentowaniem.

— Lecz nie potrafię pozbierać myśli, kręci mi się w głowie. Musimy ją odnaleźć. Jak tego dokonać?

Drażniło mnie jego biadolenie, lecz nie dałem mu tego odczuć. Powiedziałem za to, co podług mnie należałoby uczynić. Najpierw powinien zostać rozstrzygnięty problem służących. Kilku ludzi

195

mogło pomóc w poszukiwaniach. Pan Are zgodził się przywrócić do służby Johna, choćby na pewien tylko czas. Domem miały zająć się Leah i kucharka. Tłumaczyłem, że uciekiniarka z pewnością nie zechce wrócić do Cierniowego Pola, w którym, prócz właściciela, nie będzie żywej duszy.

W nocy rozesłaliśmy ludzi, by przeszukali wszystkie budynki w okolicy i wypyтали sąsiadów o zbiegłą niewiastę. Wiedziałem, że doprowadzi to do skandalu i przez najbliższe dwa tygodnie wieśniacy plotkować będą tylko o



jednym. Pan Are uparł się jednak — zdecydowałby się na wszystko, co mogło przyspieszyć powrót jego ukochanej.

O poranku jeźdźcy wrócili bez dobrych nowin. Od zniknięcia guwernantki upłynęła doba. Właśnie tego dnia miałem wyruszyć do Gimmertonu, lecz moje zamiary spelzły na niczym. Obawiałem się pozostawić pana Are'a samego. Błyszczały mu oczy, nie wziął niczego do ust ani nie zmrużył oka od chwili wyjazdu panny Eyre. Przemierzał okolicę na końskim grzbiecie, szukając swojej Jane i czasem tylko wpadał rozgorączkowany do domu, gdyż zdawało mu się, że oblubienica wróciła niepostrzeżenie.

Wreszcie udało mi się uspokoić go nieco, przedstawiając plan dalszych poszukiwań. Guwernantka, nie mając przy sobie pieniędzy ani kosztowności, z pewnością zatrzymała się u kogoś ze swych znajomych lub przyjaciół. Znalismy dwa takie miejsca: instytut, w którym pobierała nauki, oraz dom jej ciotki. Ciotka zmarła już co prawda, lecz dom w Londynie odziedziczyła kuzynka panny Eyre, niejaka panna Georgina Reed. John miał nie zwlekając udać się do instytutu, a ja — do Londynu, gdzie mogłem także dać do gazet stosowne ogłoszenia.

Przekonałem pana Are'a o słuszności mych pomysłów. Opanował się nieco i nie wyglądał już na człowieka bliskiego obłądu, tylko na kogoś śmiertelnie strudzonego. Zaprowadziłem go do sypialni i wyruszyłem do Londynu.

Wróciłem po tygodniu z pustymi rękoma, choć uczyniłem wszystko, co możliwe, by trafić na jakikolwiek ślad zaginionej. Rozesłałem ogłoszenia po całej Brytanii, wyznaczyłem nagrodę za każdą wiadomość o obecnych losach panny Eyre, odwiedziłem wiele szpitali. Udałem się również do prawników, wśród nich i tego, który nie dopuścił do zaślubin pana Are'a. Złotem wymogłem na nich obietnicę, że jeśli usłyszą cokolwiek o panie Jane Eyre, wówczas natychmiast powiadomią o tym właściciela Cierniowego Pola.

Wypełniłem powzięty obowiązek i gotów byłem wyruszyć do Gimmertonu.

Los ponownie zadecydował inaczej. Pan Are dostał gorączki tak wysokiej, że musieliśmy wezwać doktora Cartera. Wołał mnie bez ustanku i uspokajał się jedynie wtedy, gdy byłem przy nim.

Potem fatalnie zapadł na zdrowiu. Walczył z chorobą bardzo długo. Opiekowałem się nim troskliwie, lecz to Ty zaprzętałaś jak zwykle więk-

szość mych myśli.

Katy, wypala się właśnie świeca, przy blasku której spisuję te wspomnienia. Zażądałem nowej, a także więcej papieru i atramentu. Chłopak, który mi służy, jest gnuśny i ospały, więc mam chwilę czasu, by otworzyć okno i zaczerpnąć świeżego, nocnego powietrza. Ach... jakże blisko jesteś, ledwie dwie mile stąd. Stąpasz po swej komnacie, czy też śpisz? A może szepczesz: Heathcliffie...! tak słodko, że czuję, jak dreszcz przebiega mi po karku.

Westchnąłem z rozkoszy. Chłopak wrócił z papierem i świecą. Zapytałem go, czy widział w mieście pannę Earnshaw.

Przytaknął. O nie, wcale nie był gnuśny. Przekonał mnie, że bystry z niego urwis, gdyż poznał także plotki, które powtarzali półgłosem tutejsi ludzie. Owszem, widział pannę Earnshaw w kościele. Siedziała w ławce razem z Lintonami, jako że prócz niej nikt ze Wzgórz nie chadza już na msze (Hindley zawsze przedkładał diabła ponad świętych!). Wszyscy powiadają, że pan Linton znowu chce poślubić pannę Earnshaw, choć dwa lata temu niespodziewanie odwrócił od niej swe serce. Dziwna to była historia. Ludzie szeptali wtedy, że chyba postradał rozum, lecz potem powrócił do zdrowia i kocha pannę Earnshaw tak samo jak dawniej. A może nawet bardziej: w kościele siada teraz plecami do ołtarza, by móc podziwiać piękność damy, o której rękę zabiega. Panna Earnshaw wyglądała zeszłej niedzieli szczególnie uroczo — na głowie miała zielony kapelusz, przyozdobiony trzema wielkimi piórami zamorskich ptaków. Pan Linton nie mógł oderwać od niej oczu, patrzył na nią nawet wtedy, gdy wszyscy pochyłali głowy w modlitwie. A podczas kazania zauważono, że panna Earnshaw dotyka srebrnej klamry na bucie pana Lintona czubkiem swego aksamitnego pantofelka.

A więc ten nieszczęsny ślimak odważył się wypełznąć ze swej skorupy! Pożałuje tego, choć jego zamiary przestaną liczyć się już jutro... Lecz Katy! Nie uwierzę, że naprawdę pragniesz wyjść za tego modnisia! Nie dam nawet wiary, iż chciałabyś mieć takiego słabeusza za przyjaciela. Pewnie tylko przekomarzasz się z nim, by umilić sobie dni oczekiwania na mnie lub by pokarać mnie za opieszałość.

Czyżby nie dotarł do Twych rąk krótki list, który wysłałem po spotkaniu z Lintonem? Przecież napisałem również do Nelly, aby czuwała, by nie wpadł w łapy Hindleya. Upewniłem się też, że listy znalazły się w Gimmer-

tonie.

Cóż, wszystko wyjaśni się niebawem. Wschodzi już jutrzeńka. Winienem znaleźć się w Peninstońskich Turniach, nim słońce osiągnie zenit.

\* \* \*

Dni stały się do siebie podobne. On prosi o moją rękę, a ja gotowam odrzec mu: tak. Zamieszkać w pięknym domu, wokół którego stąpać będą po smaragdowym trawniku dumne pawie. Tylko ich krzyki przypomną mi o twym istnieniu.

Podam mu swe ramię, kiedy wzejdzie słońce, i pozwolę oprowadzać się po komnatach. Będę z nim rozmawiać, wystrojona w najpiękniejszą suknię.

Czy zaznam szczęścia? O tak! A ty nigdy nie powrócisz. Gdybyś żył, dałbyś mi znać o sobie. Musiałeś umrzeć.

Nie, nie tylko jesteś martwy, ale i przeklęty. Inaczej niebiosa przesiałoby mi pozdrowienie od ciebie — gałąź na drzewie poruszyłaby się w bezwietrzny dzień, z czystego nieba spadłaby na innie kropla deszczu — i wtedy wiedziałabym już, żeś żył.

Nie tylko wyklęty, lecz także unicestwiony. Wyrwałbyś się do innie nawet z dna piekieł.

W dniu, w którym go poślubię, zajrzę do każdej komnaty jego jasnego domu, lecz nocą wymknę się z łoża i boso pobiegnę przez kuchnię do komórki w piwnicy, w której pachnie ziemią (nie zdołali jej oczyścić).

Przebrnę przez gęsty mrok do kąta, gdzie dotknę stopą wilgotnego kopczyka z torfu. Nie poruszę się i usłyszę wtedy

szelest zwiędłych liści winorośli pełzającej po ścianie piwnicy

ujrzę

białe kwiaty pod swymi powiekami

nie uczynię niczego.

Wypadki, które miały miejsce w następnych miesiącach, opiszę w skrócie, Katy, a to z dwóch powodów: wiele spraw nie zostało wyjaśnionych, a ponadto nowiny, które usłyszałem od chłopca, wprawiły mnie w zaniepokojenie. Chciałbym sam dowiedzieć się prawdy.

Upłynęły tygodnie, zanim upewniliśmy się, że życiu pana Are'a nie grozi niebezpieczeństwo. Zwalczył chorobę, lecz nie był już tym samym, pełnym wigoru człowiekiem. Każdego dnia obiecywałem sobie, iż zostawię go i pojedę do Ciebie. A jednak co dzień ulegałem jego rozpaczliwym prośbom.

Każdy poranek wyglądał tak samo: udawałem się do Millcote, by przekonać się, czy są jakieś wiadomości o guwernantce. Nieodmiennie wracałem bez dobrych wieści dla pana Are'a. Po wielokroć przeklinałem pannę Eyre i równie często pragnąłem, by powróciła do Cierniowego Pola, uszczęśliwiła swym widokiem pana Are'a i sprawiła, by dom przestał być mroczną pieczarą, w której czai się jedynie zwątpienie.

Gospodarz nie odzywał się całymi godzinami i niemalże nie opuszczał swej pogrążonej w mroku sypialni. Nie pozwalał rozsuwać kotar, kazał nawet zawiesić na drzwiach i oknach dodatkowe, grube i ciężkie zasłony. Stał się przezczulony na światło słońca i najdrobniejsze hałasy. Powiadał, że każdy szelest przyprawia go o przenikliwy ból głowy. Służący chodzili na palcach i rozmawiali ze sobą szeptem. Obawiali się zbliżyć nawet do drzwi komnaty swego pryncypała. Przeniosłem się znad tajni do pokoju obok sypialni pana Are'a, gdyż tylko ja mogłem stać przed jego obliczem.

Spodziewając się radosnych nowin, pan Cierniowego Pola zwlekał się z łoża na mój widok, nakładał na nos okular} z przyciemnionymi szklami. Niezmiennie lądził się, że przywiozę mu jego ukochaną Jane. Owa nadzieja trzymała go przy życiu, choć nazwanie takiej marnej wegetacji życiem zakrawało na kpinę

Niestety, za każdym razem musiałem go rozczarować. O panie Eyre nadal nic nie wiadano. Tyle tylko, że prawnicy rozsyłając} po kraju ogłoszenia i listy dopisywali kolejne cyfry na rachunkach wystawianych panu Are'owi.

Usiłowałem rozweselić go zasłyszanyimi historyjkami, ożywić czytaniem

gazet i książek — wszystkim, za czym niegdyś przepadał. Na próżno. Zwykle »wychodziłem z jego pokoju ześlony. Kochałem Ciebie pięćdziesiąt, sto razy bardziej, niż on swą guwernantkę, lecz to on, starszy i zapewne mądrzejszy ode mnie człek, wił się niczym robak na pluszowych poduszkach z tęsknoty za swą oblubienicą. Miałem przecież więcej powodów, by uskarżać się na zły los.

Rozmawiałem oczywiście z Carterem, a także z innymi lekarzami. I każdy z nich doradzał co innego — puszczenie krwi, kąpiele, przeczyszczenie kiszki — zapewniając, iż właśnie jego recepta okaże się zbawienna dla pana Are'a. W końcu zeszli się razem i, po gwałtownej kłótni, doszli do wspólnego zdania: pacjent był zdrow albo niemal zdrow na ciele. Jedyne jego dusza potrzebowała pokrzepienia.

Kiedy usłyszałem te słowa, postanowiłem oświadczyć panu Are'owi, że wracam do Ferndean. W rzeczywistości wybierałem się do Gimmertonu, gdzie powinienem pospieszyć wiele dni wcześniej, lecz panu Are'owi nie było nic do tego. Poza tym, pewnie nawet to nie wzbudziłoby jego zainteresowania. Obchodziła go tylko guwernantka i nawroty migreny.

Gdy wszedłem, nałożył na oczy gogle i skrzywił się nieco, gdyż z holu wpadło trochę światła, którego nie cierpiał bardziej niż kret.

— Wcześniej dziś wróciłeś — rzekł opadając na poduszki. — Nieważne. Opowiadaj. Usiądź, proszę. Denerwuję się, kiedy stoisz tak nade mną.

— Nie mam niczego do opowiedzenia. Tego ranka to John pojechał do Millcote. Przyszedłem porozmawiać o czymś innym.

Westchnął i uniósł nieznacznie dłoń. Uznałem to za gest przyzwolenia. Krótco wyłożyłem więc swój zamiar.

— Lekarze twierdzą, że jest pan zdrow — powiedziałem. — A Ferndean jest ledwie parę godzin drogi stąd...

Odpowiedział głosem suchym i zgorzkniałym (nie widziałem dokładnie wyrazu jego twarzy z powodu mroku, jaki panował w komnacie):

— A więc ty również mnie opuszczasz, Heathcliffie.

— Sir, musi pan przyznać, że nie zdam się tu na nic. Zaległa cisza, a potem pan Are odezwał się:

— Powiadasz, żeś tu nieprzydatny... To mi dopiero powód.

— A jaka może być inna przyczyna?

— Rzeknę ci, skoro pytasz. Kobieta, a jej imię zaczyna się na K. Milczalem, więc podjął tonem nieco zgryźliwszym, jakim uwielbiał rozmawiać dawnymi czasy:

— No, Heathcliffie, zwierz mi się. Kim jest owa K.? Musisz wciąż ją kochać, gdyż inaczej nie unikałbyś przelotnych miłostek. Nie masz natury mnicha, a jednak widziałem, jak odrzucałeś zaloty najpiękniejszych dziewcząt i, co więcej, unikałeś sideł zastawianych przez ich matki. K. ... Karolina, Kleopatra, Kunegunda? Jak znosisz rozłąkę? Jeśli ona żyje, jeśli wiesz, gdzie przebywa, to czemu do niej nie pojedziesz? Powiedz mi, mój drogi H.

To było okrutne.

— Pomylił się pan. Zwyczajnie obrzydła mi bezczynność, tak jak znudziłaby się panu, gdyby znalazł się na moim miejscu.

— Kłamiesz... albo coś skrywasz. Nadal nie chcesz zdradzić swego sekretu.

Położył się w zadumie. Po chwili dodał:

— Nie mogę mieć ci tego za złe, ponieważ możesz odrzec, iż sam postępuję podobnie. I będziesz miał słusność. Co mam robić, co robić...? Heathcliffie, pozostań jeszcze tylko jeden dzień!

— Po cóż? Czy po to, by siedzieć w bibliotece i konwersować z grzbietami książek?

— Nie... Zejdę do ciebie. Jeżeli obiecasz, że pozostaniesz jeszcze dzień, wówczas wyjdę stąd i dotrzymam ci towarzystwa.

Choć bardzo nie chciałem ponownie odsuwać swego wyjazdu, to jednak się zawahałem. Pan Are przecież od miesięcy nie opuszczał swej mrocznej komnaty. W końcu prosił o jeden tylko dzień.

Tak więc znowu udało mu się nakłonić mnie, bym został w Cierniowym Polu.

Kiedy wieczorem czekałem na pana Are'a w bibliotece, ogarnął mnie gorączkowy niepokój. Musiałem wreszcie wyrwać się z tego domu. Poczulem chłód, więc dorzuciłem drewno do ognia. Wówczas zrobiło mi się duszno i gorąco. Musiałem otworzyć okno, choć był już listopad.

Wówczas zjawił się gospodarz, podtrzymywany przez Johna Kazała posadzić się blisko kominka. Coś odmieniło się w jego twarzy. Ustąpił smutek, jego miejsce zajęła dawna moc i zdecydowanie.

— Johnie! — rozkazał. — Przynies talię kart!

— Tak jest, sir!

Myślałem, że się przesłyszałem, lecz pan Are wskazał m: miejsce obok siebie.

— Zagrajmy w karty. Jesteś sławnym graczem, więc zagra-i ze mną.

— Zaniechałem hazardu.

— A jednak uczynisz dla mnie wyjątek, z uwagi na nasze dawną przyjaźń.

Nalegał, więc ustąpiłem.

— Dobrze — powiedziałem. -Jl- Jeden raz nie robi różnicy. Wygrałem, gdyż pan Are grał słabo. Mimo to upierał się, bj

obstawiać wysoko. Nie poświęcał uwagi kartom, za te z nieubłaganą zawziętością wpatrywał się we mnie. Jego spojrzenie było dzikie i gorączkowe. Poczulem się nieswojo, przebiegł mnie zimny dreszcz. Dorzuciłem do paleńska kolejne szczapy. Par Are nie przestawał obserwować mnie w milczeniu.

W końcu zapytałem go, cóż tak zainteresowało go w mym obliczu. Odpowiedział:

— Diabeł w ludzkiej skórze uciekł z piekła, gdzie jego miejsce Nie pojąłem tych słów. Nie wiedziałem, cóż znowu za tajemniczą grę rozpoczął pan Are, lecz nie zamierzałem do nie\_ przystąpić. Tym razem poprosiłem los, by podsunął mi najgorsze karty. Życzenie się spełniło. Wyrzuciłem je na stół, przekonany że pan Are przebiję je swoimi, ucieszy się z wygranej i oderwie swój umysł od chorobliwych rozważań.

Naraz spojrział gdzieś poza mnie, jakby ujrzał, że ktoś wszedł do pokoju. Bezwiednie obróciłem głowę. Kiedy ponownie popatrzyłem na rozłożone na stole karty, poznałem, iż jedno z nich została podmieniona — pan Are oszukiwał! Jego sztuczkę nie mogła mu jednak przynieść żadnej korzyści: na miejsce waleta karo, podrzucił waleta treflowego!

— Bardzo chytrze — rzekłem rozbawiony. — Tego nie potrafi nawet nasz stary znajomy Ingram. Przeliczył się par niestety: to był mój walet, więc owe dziesięć funtów także biorę ja!

— Walet? — spytał pan Are, patrząc mi w oczy. — Cały czas dopisuje ci piekielne szczęście.

Przyjrzałem mu się, by odgadnąć, cóż to znowu za kpiny

O dziwo, pan Are wydawał się szczerze zdumiony. "Wzruszyłem ramionami i zagarnąłem dziesięć funtów. Jeśli miał kaprys napełnić pieniędzmi mą sakiewkę, to nie zamierzałem mu w tym przeszkadzać

Wkrótce jednak stało się to nudne. Nie przegrałem ni razu, choć wielce się starałem. Wygrywałem, gdy dostawałem mocne karty. Byłem też górą, kiedy przychodziły do mnie słabe, bo pan Are wykladał wówczas na stół swoje —jeszcze gorsze. Chociaż byłem przekonany, że celowo szachruje, aby przegrywać, to nie przyłapałem go na żadnej sztuczce. Raz złapałem go za rękaw, podejrzewając, że trzyma w nim drugą talię. Spojrzał na mnie niewinnie i rzekł:

— Uważaj, Heathcliffie, ostrożnie...! Podrzesz koronkę. No, teraz ja rozdaję!

To zbiło mnie z tropu i przestałem już dociekać, czy pan Are istotnie czynił wszystko, by przegrać.

Wreszcie odłożył karty, wstał, skłonił się i spytał:

— A więc jutro wieczorem, o tej samej godzinie? Wyszedłem, pozostawiając go bez odpowiedzi. Wygrana

ciążyła w mej kieszeni. Wysypałem złoto na łóżko i naliczyłem ponad czterysta funtów! Pan Are dał mi te pieniądze, nie, wepchnął mi je siłą! Ileż koni musiałbym wyhodować w Ferndean i sprzedać, by cieszyć się takim zyskiem?

Pan Are zachowywał się tak dziwacznie. Cały wieczór wpatrywał się we mnie z nadzwyczajną uwagą i przegrał do mnie olbrzymią sumę. Obawiałem się, że wkrótce będzie musiał zastawić część swych dóbr (choć niebawem przekonałem się, iż jego majątek był naprawdę wielki — miał nawet posiadłość w Indiach Zachodnich, przy której Cierniowe Pole było lichym nieużytkiem). Próbowałem odgadnąć, czemu to wszystko robił, lecz nie potrafiłem. Postanowiłem zostać jeszcze jeden dzień i zasięgnąć opinii lekarzy.

Przyznam się przed Tobą, Katy, że powodowało mną też coś innego. Stos złotych monet, który trzymałem pod poduszką, rozbudził me apetyty. Zapragnąłem być prawdziwie bogaty. Może w ciągu zaledwie kilku dni albo tygodni posiadałbym niemałą fortunę? Chociaż znalazłem już miejsce, gdzie moglibyśmy rozkoszować się wspólnym szczęściem, to czy nie byłoby miło



mieć też coś ponadto?

Tamtej nocy jednakże nie powiedziałem sobie tego otwarcie. Udawałem za to, że troskam się o zdrowie pana Are.

Tak jak oczekiwałem, medycy poradzili mi, bym spełniał zachcianki swego dobroczyńcy, choćby najbardziej niezwykle.

Najważniejsze, że zdecydował się porzucić swą mroczną komnatę, w której krył się przed światem.

A więc pozostałem tam, Katy, przez następny dzień i jeszcze jeden i kolejne... Wciąż ogrywałem pana Are'a i chciwie zagarniałem złoto. Nie robiłem niczego innego. Porzuciłem wszelkie zajęcia, które wymagały niewielkiego choćby wysiłku. Nic nie było warte trudu. Zatrwały mnie zdradliwe opary, które sączyły się ze szczelin w murach Cierniowego Pola. Złoto ogłupiało mnie całkowicie. Kiedy uzbierałem już dziesięć tysięcy funtów, przestałem liczyć — i tylko patrzyłem, jak w mym pokoju rośnie góra pieniędzy.

Na podobieństwo pana Are'a przestałem niemal widywać się z ludźmi. Teraz już tylko John jeździł po nowiny do Millcote. Dopiero późnym wieczorem, po zapadnięciu zmierzchu, wychodziłem z izby, i to po to jedynie, by zasiąść do gry. Wspominałem swe dawne lęki. Czy w rzeczy samej byłem chory na umyśle? Nie trudziłem się jednak, by szukać odpowiedzi na to pytanie. Czasem jak oszalały wybiegałem z domu i błąkałem się między drzewami, wystawiając swój rozpalony tors na mroźne podmuchy zimowego wiatru. (Czy pamiętasz, jakie zawieje nawiedziły Anglię tamtej zimy?)

A cóż działo się z mym szlachetnym protektorem? Nabrał co prawda wigoru, lecz wigoru bardzo szczególnego rodzaju: cały jego zapał pochłonęły karty. Za dnia pozostawał w swej sypialni, robiąc Bóg wie co. Ja kładłem się spać dopiero po wschodzie słońca, ale nawet moje sny były zatrute — zaraza sączyła się przez szparę pod drzwiami niczym niezdrowy, siarczany dym, a wraz z nią straszliwe majaki. Śniłem, że deszcz złotych monet spada na bezbronne ciała Edgara Lintona i Hindleya Earnshawa, wijące się w błocie podwórza. Złoto zasypuje ich całkiem, a spod błyszczącego kopca płynie strugami krew...

Potem widziałem nieprzystojne sceny. Słyszałem jęki i westchnienia. Mą głowę wypełniały obrazy splecionych ze sobą, parzących się kotów, pta-

ków... chciały przekazać mi jakąś wiadomość, ale nie pojmowałem ich języka.

Budziłem się zatrwożony. Strach ścisłał mi gardło, twarz oblewał zimny pot. Potykając się, podchodziłem do okna i otwierałem je, aby przyniosło mi ulgę świeże powietrze..., ale widziałem tylko martwy, suchy las: wszystko znów okazywało się złudzeniem.

Przesypiałem całe popołudnie. Pewnego wieczora zbudził mnie trzepot skrzydeł. Zamorski ptak przemienił się w wielkiego anioła. Anioła śmierci pokrytego połyskującymi, czarnymi, ostrymi piórami.

Przerażony, nie wiedziałem, czy to jawa czy sen. Stwór miotał się po komnacie. Jego pióra musnęły mój policzek.

Zerwałem się z łóżka. Bosymi stopami dotknąłem zimnej podłogi: a więc to nie sen! Coś żywego czyniło w pokoju niebywałe zamieszanie. Ledwie dostrzegłem dziwny kształt w smudze światła, które wpadało z holu przez szparę pod drzwiami. Rzuciłem się ku nim i otwarłem na oścież. Przez moment poczułem jakby tchnienie gorącego wiatru. W mgnieniu oka obce stworzenie przemknęło obok mnie i wypadło na korytarz.

Wybiegłem za nim. Wosk z palącej się świecy skapywał na poduszkę. Poruszenie obok wyjścia na poddasze zdradziło obecność żywej istoty.

To był ptak. Przysiadł na szczycie na wpół otwartych drzwi i machał błyszczącymi skrzydłami. Gdy zbliżyłem się do niego, nie wzbił się do lotu, pokiwał tylko łebkiem w górę i w dół. Wiedziałem, że takie ptaki zwą papugami. Marynarze przywozili je z Indii i przysięgali, że w mowie są tak biegłe jak ludzie. Ta jednak nie wydawała z siebie głosu. Ujrzałem, iż pióra ma szkarłatne, upstrzone barwnymi, żółtymi i niebieskimi plamkami. Popatrzyła na mnie, przekrzywiając łeppek. Zapragnąłem ją schwytać.

Lecz w tej samej chwili dobiegł mych uszu gardłowy śmiech zza drzwi. Papuga zerknęła tam i sfrunęła, znikając mi z oczu. Szarpnąłem za klamkę, ale za późno. Niewidzialna istota ulotniła się, rozplynęła w powietrzu wraz z niezwykłym ptakiem.

Tego wieczora jak zwykle oczekiwałem pana Are'a w bibliotece. Tym razem chciałem zaproponować mu inną grę. Sądziłem, iż wprawię go w zdumienie, okazało się jednak, że to mnie pierwszej oczekuje niespodzianka.

Mój szacowny gospodarz przyszedł tego dnia odziany z nadzwyczajną

starannością w strój z czarnego sukna. Kołnierz i rękawy zdobiły flandryjskie koronki. Co więcej, miał gładko wygoloną twarz (odkąd zachorował, jego policzki pokrywał szorstki zarost), a włosy przewiązał z tyłu głowy wstążką. Ustroił się jakby na moje podobieństwo. Stał przede mną w butnej pozie. Zdziwiło mnie to (wspomniałem, w jakim stanie ducha znajdował się przez ostatnie tygodnie) i zmieszało nieco. Wcześniej byłem zdecydowany powiadomić go o swych zamiarach, lecz teraz zawahałem się.

Czekaliśmy na Johna, który przynieść miał talię kart. Czytałem gazetę w blasku płonącego w kominku ognia, a pan Are stuka palcami w blat stolika i znowu bacznie wpatrywał się w moją twarz

Udałem, że nie zwracam na to uwagi.

Naraz wstał, odepchnął gwałtownym ruchem krzesło i znalazł się na środku komnaty.

— Heathcliffie, podejdź tutaj — rzekł.

Targało mną przecucie, że stanie się coś złego, a jednak usłuchałem go i stanąłem u jego boku.

Patrzył w wielkie zwierciadło, zawieszone na ścianie biblioteki sięgające od podłogi aż do sufitu. Ujrzałem w nim odbicie półel zapelnionych rzędami książek, ognia, gazety porzuconej niedbale na stole, krzesel i nas obu, stojących ramię przy ramieniu.

— Popatrz, Heathcliffie. Jaki budujący widok. Czy nie jesteśmy do siebie podobni? Zaiste, stanowimy obraz męstwa i szczęśliwości, nieprawdaż?

Nie miałem na to odpowiedzi, milczałem więc. Lecz on uściśnął me ramię. Choć pohamowałem się i nie cofnąłem, to jednak jego dotyk był mi wielce niemiły.

— Dalejże, Heathcliffie. Powiedz, co widzisz?

— Dwóch dżentelmenów, ubranych niemal jednakowo. Ktoś mógłby wziąć ich za braci.

— Owszem, owszem, ale nie chodzi mi o strój... raczej o fizjonomię. Cóż różni od siebie tych ludzi w zwierciadle?

— Obaj mają podobnie śniadą cerę, ciemne oczy i włosy, a także krzepką posturę. Lecz młodszy w każdym calu piękniejszy jest od starszego: wyższy o pół głowy, nosi się prosto, z jego oblicza emanuje spokój. Starszy garbi się i wykrzywia twarz w ponurym grymasie. Być może jakieś nieszczęście

zrujnowało mu nerwy, a może wyniszcza go ukryte poczucie winy.

— Być może — przyznał. Błyszczały mu oczy, po chwili dodał:

— Czas to pokaże. Rzeknij, co maluje się na obliczach tych mężczyzn?

— Gorączka, dzikość, niezłomność... takie same u obu. Istotnie, gdy tak patrzyłem, zdało mi się, że nasze twarze zlały się w jedną maskę.

— Heathcliffie, wyznaj, czy jesteś dobrym człowiekiem? Milczałem.

— I cóż? Zadałem ci pytanie?

— Dlaczego miałbym się odzywać, skoro ma pan już gotową odpowiedź? Rozczarowałbym pana, odbierając okazję do wygłoszenia kolejnej oracji.

— Tak...! Nawet teraz mnie nie oszczędzisz! Czy jest w tobie choć trochę miłosierdzia, odrobina wyrozumiałości albo dobrotliwości? Czasami myślę, że tak. Innym razem widzę w tobie jedynie pychę i okrucieństwo.

— W zwierciadle dostrzegam swe wierne odbicie. Proszę tylko spojrzeć i pozna pan wszystko.

— Tak jest, pojmuję, żeś nad wyraz odważny, mocny, bystry, pracowity nawet. Gdzie jednak litość, życzliwość, szczerść...?

— Pogardzam kłamstwem.

— Być może. Skrywasz jednak wiele. Czasami zaledwie zdarzy ci się wspomnieć słówkiem o swej przeszłości... Nie znam twych dawnych przyjaciół... nawet imienia owej tajemniczej K. strzeżesz tak zazdrośnie... Wiem, żeś oddany jej całą duszą, lecz czemu nigdy nie opowiedziałeś mi o niej?

— Czyżby pan nie miał żadnych sekretów?

— Obaj wiemy dobrze, że także mam swoje tajemnice. I oznajmiłem ci niegdyś, czego ci nie wyjawię. Ale ty ukrywałeś niemal wszystko. Dla przykładu: co zaszło między tobą a bratankiem Denta, Lintonem? Tego lata działy się osobliwe rzeczy... Kim był dla ciebie? Czegoś wówczas nie rozumiałem...

Odwróciłem się od lustra i spojrzałem mu prosto w oczy.

— Powiedział pan, czego mi nie wyjawię. Nie wspominał jednak o czerwonym ptaku...

Drgnął.

— ...czerwonej papudze — ciągnąłem. — Tego popołudnia złożyła mi

wizytę i była łaskawa zaprowadzić do swej siedziby na poddaszu. Tam jednak zapomniała o dobrych manierach i zatrzasnęła drzwi przed moim nosem. W rzeczy samej, nadzwyczajny ptak.

Na czole pana Are'a dojrzałem pot.

— Papuga...? Może jeden ze służących...

— Pozostało ich tu ledwie kilku i, jak dobrze panu wiadomo, żaden z nich nie hoduje podobnego ptaka. Nigdy dotąd nie widziałem go w Cierniowym Polu, a jednak wybornie znał drogę na strych i w dodatku zamknął za sobą drzwi. Proszę mi powiedzieć, jakież ptak potrafiłby aż tyle?

Pan Are ujął w dłonie me ramiona i popatrzył mi w oczy długo i przenikliwie. Milczał, lecz słyszałem niemal pytanie, które rozważał: czy powinienem mu powiedzieć? Czy mogę mu powiedzieć? Wahał się, więc postanowiłem odezwać się pierwszy. Odsunąłem jego ręce:

— I cóż, chociaż obaj pragniemy przeniknąć swe tajemnice, to jednak żaden z nas nie ma ochoty się nimi dzielić. Czy widzi pan uczciwe wyjście z tego impasu?

Pan Are zaprzeczył.

— A ja znalazłem rozwiązanie — powiedziałem. — I mniemam, że uczciwe. Musimy zagrać, ale tym razem już nie o złoto. Stawką niech będą nasze tajemnice. Karty wskażą, który z nas odkryje swój sekret. Przegrany musi odpowiedzieć na zadane pytanie: szczerze i prawdziwie.

— Szczerze i prawdziwie — powtórzył pan Are.

— Tak — potwierdziłem. — I obaj musimy złożyć przysięgę, że przystajemy na te reguły, gdyż inaczej gra straciłaby sens.

Po pełnej napięcia chwili odrzekł:

— Zgoda, lecz z jednym zastrzeżeniem. Jedna rozgrywka to zbyt mało. Niechże przegrany może liczyć na rewanż.

— Dobrze. A więc do pięciu razy? Zagrajmy o pięć pytań. Pan Are przytaknął i dorzucił:

— I o pięć szczerych odpowiedzi.

— Tak jest.

Usiadłem i wzięłem do ręki karty przyniesione przez Johna. Byłem przekonany, że los nadal będzie uległy moim żądaniom.

— Och, jeszcze jedno — rzekł pan Are, odbierając mi talię. — Odłóżmy

to. W kartach piekielnie sprzyja ci szczęście. By szanse się wyrównały, posłużymy się kośćmi. Przystajesz na to?

Wzruszyłem ramionami.

— Niech będzie, choć mógłbym przyznać, iż to głównie pańska zasługa, że ostatnio nieprzerwanie byłem górą.

W głębi duszy pokrzepiałem się myślą, że dzięki mocy swej woli mogę wygrywać nie tylko w karty.

A jednak, gdy po minucie czy dwóch ponownie zjawił się John, niosąc kości i kubek, zacząłem w siebie wątpić. Przecież nie wiedziałem, czy kości także będą poddawać się moim życzeniom. Być może nie. Może dopiero drugi albo trzeci rzut okaże się dla mnie szczęśliwy, a to mogło oznaczać katastrofę.. Pan Are podejrzewał, że wyrządziłem krzywdę Edgarowi Lintonowi. Cóż się stanie, jeżeli zapyta mnie o niego? Oczywiście, mogłem zęłgać, lecz przecie dopiero co poprzysiągłem mówić tylko prawdę. I zaprawdę bałem się złamać tę przysięgę.

John skłonił się i wyszedł. Pan Are i ja uściśniliśmy sobie dłonie na znak, że grać będziemy uczciwie. W jego oczach odbijał się blask ognia, palącego się w kominku za moimi plecami. Zagrzecotał kośćmi w kubku.

— Niech się dzieje wola Boga — powiedział. Kości potoczyły się po stole. Naliczyliśmy siedem oczek.

Próbowałem zebrać w sobie siły i myśli, lecz bez skutku; pan Are wpatrywał się we mnie uporczywie. Rzut się nie powiódł

Zdobyłem ledwie marną trójkę. Strach ścisnął mnie pierś, kiedy czekałem na pytanie.

— Kim jest dla ciebie K.?

Zaskoczony, roześmiałem się na głos. Naraz uświadomiłem sobie, że chcę na to odpowiedzieć. Przez ostatnie trzy lata nie mówiłem o Tobie nikomu, kryłem przed innymi nawet Twoje imię, zazdrośnie strzegąc go w swym sercu niczym najdroższego skarbu, teraz jednak wyznałem:

— K. znaczy Katarzyna. Katarzyna Earnshaw. Jej ojciec przygarnął mnie do swego domu. Wychowałem się razem z nią.

— Czyli, była... albo i jest twoją siostrą?

— Owszem, siostrą.. lecz nie tylko.

— Pokochałeś ją, nieprawdaż?

— Tak jest.  
— A ona ciebie?  
— Również.  
— Skądś taki pewien? Przypuszczam, iż ślubowaliście sobie dożywotnią wierność?

— Oboje byliśmy i jesteśmy połączeni ze sobą na wieczność. Jestem jej częścią, a ona jest częścią mnie.

— Tak... bardzo pięknie. Zatem jak mogłeś ją opuścić?

— Powiedziała, że zaślubiny ze mną przyniosą jej ujmę... i w owym czasie była to prawda. Po śmierci starego Earnshawa dziedzic Hindley przegnał mnie z domu do stajni. Zostałem nędznym parobkiem.

— Już nie jesteś ubogi. Czy wciąż pragniesz pojąć za żonę tę Katarzynę?

— Pragnę być z nią na wieki... Tak, chcę ją poślubić.

— A więc musisz to uczynić i stanie się tak, człowieku! Odnajdziemy ją już jutro!

Ze zdumieniem zamrugałem powiekami. Splątany węzeł został rozcięty. Co zdawało się trudne, okazało się takie proste. Oto niespodzianie znalazłem się u wyjścia z labiryntu!

Teraz i pan Are wyglądał na wielce poruszonego. Oddychał szybciej, krocząc od stolika do kominka. Tym razem jednak nie była to rozpacz, lecz duma i radość.

Dawna moc opuściła mnie chyba na dobre. Przegrałem bowiem także następny rzut. Pan Are ponownie miał prawo zadać pytanie. Czekałem na najgorsze. Poprzednim razem odetchnąłem z ulgą, lecz za chwilę znowu mogłem znaleźć się nad przepaścią.

— Co robiłeś koło domu wariatów w Liwerpoolu?

— Słucham?

Oniemiałem. Powtórzył pytanie.

— Przybyłem tam, by odkryć tajemnicę mego pochodzenia — powiedziałem.

— Dalejże, mów więcej! — wykrzyknął. — To ma być cała odpowiedź? Dlaczego udałeś się do Liwerpoolu? Dlaczego akurat do szpitala dla obłąkanych?

— Wiedziałem, że przed laty pan Earnshaw znalazł mnie właśnie w Li-

werpoolu, a wspomnienia... niejasne strzępy wspomnień zawiodły mnie do domu wariatów. Wydało mi się, że znam tamto miejsce. Pamiętałem ciasną, bieloną izdebkę, razy i przekleństwa, tunel, którym wyrwałem się na swobodę...

Oczy pana Are'a rozbłysły.

— Tak! Tak! Wszystko się zgadza...! Mów dalej! Nie pojąłem, co miały znaczyć te okrzyki.

— Uciekłem więc i włóczyłem się potem po ulicach. Kradłem złodziejom drobne monety, żebraków błagałem o chleb. Pewnego dnia pan Earnshaw zabrał mnie ze sobą do Wichrowych Wzgórz i nazwał Heathcliffem, tak jak swego syna, który umarł za młodu.

— Śmiało odpowiedziałeś! Rzucaj!

Tym razem wygrałem ja. Pan Are zacisnął szczęki, jakby gotował się na przyjęcie tęgiego ciosu.

— Pytaj! — rozkazał.

— Dlaczego napotkałem pana pod murami domu dla obłąkanych?

Patrzyłem w jego twarz i widziałem jak drżące wargi trzy razy chciały dać mi odpowiedź, lecz tężały dwukrotnie. Za trzecią próbą pan Are zdołał wyrzec:

— Poszukiwałem swego syna. Teraz zeszywniały też i moje usta.

— Czemu właśnie tam?

— Ponieważ pozostawiłem go w owym miejscu piętnaście lat wcześniej. Jego matka popadła w obłąd, a on sam był bardzo do niej podobny. Obawiałem się, że jego także opęta szaleństwo, a nie zniósłbym widoku swego potomka złożonego umysłową niemocą. Zawiozłem go tam i pozostawiłem. Co roku jednakże posyłałem pieniądze na jego utrzymanie.

— I co znalazł pan w domu dla obłąkanych?

— Nie, to już osobne pytanie. Będziesz miał prawo je zadać jeżeli wygrasz następny rzut!

Wiedziałem, że wygram i tak też się stało.

— O czym przekonał się pan w domu wariatów? — po wtórzyłem.

— Dowiedziałem się, że przed dziewięciu laty mój syn zbieg i już nigdy potem go nie widziano. Wciąż dostawali ode mnie pieniądze, więc trzymali pustą, niewielką izbę, której ściany co roku bielono wapnem na wypadek,



gdyby schwytano uciekiniera. Musiał być silnym, dzielnym chłopcem, skoro potrafił przekopać tunel pod murem.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Kości spadły na podłogę.

— Jak się nazywam? — spytałem.

— Heathwood... Heathwood Are — odrzekł. — Earnshaw zapewne natknął się na ciebie przypadkiem. Zdumiałby się, jak podobne było twe imię do imienia jego zmarłego syna.

Czułem, jak serce łomocze mi w piersi. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

— Kiedy tamtej nocy ujrzałem twoją twarz, zrozumiałem natychmiast, że jesteś moim synem. Tak bardzo podobny byłeś do matki. Poszedłem za tobą, a potem zobaczyłem także inicjał na twym medalionie. Spytałem cię, a ty sam rzekłeś swe imię... Wszystko to upewniło mnie, iż się nie myliłem. Lecz obawiałem się, o jakże się lękałem! Uderzające podobieństwo, twa dzika mina i dziwne zachowanie... wszystko to wiodło mnie ku jedynej myśli: że także jesteś szalony, żeś zatruty fatalną krwią swej matki. A jednak coś w twych oczach mówiło, iż to nieprawda. Postanowiłem poddać cię próbie. Uciekałem się do wszelkich forteli, by przekonać się, żeś godny mego nazwiska. John nabrał podejrzeń, gdyż widział twą matkę i także dostrzegał wielkie podobieństwo między wami. Bał się o mnie. Uchyliłem przed nim rąbka tajemnicy. Wówczas nabrał respektu dla ciebie. Obserwowałem cię bacznie: ogarniała mnie rozpacz, gdy widziałem twe napady wściekłości i okrucieństwa, rozpierała duma, kiedy mogłem podziwiać bystrość twego umysłu. Stawiałem przed tobą coraz trudniejsze zadania, a ty potrafiłeś sprostać każdemu z nich. Uczyłem cię i prędko pojąłeś wszystko, co winien wiedzieć mój syn... nie, w istocie przeszedłeś me najśmielsze oczekiwania. Pokochałem cię... wzdragasz się, ale to prawda. Tak, pokochałem cię, mimo że jesteś taki szorstki dla mnie i innych. A może właśnie dlatego. Czymże był twój chłód, jeśli nie pancierzem przeciw kpinom, których ci nie żałowałem? Zawiązała się pomiędzy nami przyjaźń...

— Lecz potem wszystko się odmieniło — wtrąciłem.

— O tak... odmieniło się...

Podszedł do ognia i pogrzebał w palenisku pogrzebaczem.

— Kobieta, którą pokochałem, lękała się ciebie. Może szóstym zmysłem

rozumiała, skąd wzięłeś się w tym domu i kim naprawdę jesteś. Pozwalałem jej wierzyć, iż życzysz mi źle mniemając, że wszystko i tak skończy się szczęśliwie. Wiedziałem i to, że czujesz do mnie żal. Jednak to świadczyło, iż nie jestem ci obojętny. Pragnąłem pojednać was ze sobą... dwoje ludzi, których kochałem i Kocham najbardziej. Z czasem zamierzałem cię usynowić.

Drewniane polano w kominku strzeliło snopem iskier. Pan Are odwrócił twarz od ognia i rzekł stanowczo:

— I tak się stanie. Ona odeszła i może nigdy już nie wróci, lecz ty pozostałeś. Jesteś mym prawowitym synem i dowie się o tym cały świat. Od dziś przestanę się z tym kryć przed ludźmi. Utraciłem ukochaną, ale ty, dzięki Bogu, wciąż możesz poślubić swą oblubienicę. Przywieziesz ją do tego domu jako pannę młodą.

Nie mogłem się ruszyć.

Jakież to dziwne!

Ojciec.

Patrzył na mą twarz, jakby widział ją pierwszy raz.

— Jak dobrze, że jesteś przy mnie! — powiedział. — Rad przycisnąłbym cię do serca jak ukochane jagnię! Lecz ty nie jesteś barankiem, jesteś wilkiem i okrutnie wpilbyś się kłami w me trzewia.

Wciąż milczałem. Stał przedemną. Jego oczy płonęły.

— Heathcliffie?

Musiałem uczynić jakiś gest, gdyż objął mnie nagle. Targały mną sprzeczne uczucia. Chciałem roztrzaskać go o ścianę, a zarazem przyłgnąć do jego piersi.

Zapłakałem. Płacząc, wyswobodziłem się z jego objęć. Płacząc, zebrałem z podłogi kości i położyłem je na stole.

— Pozostało jeszcze jedno pytanie — powiedziałem. — Zagrajmy o nie.

Wygrałem i ten rzut. Spojrzałem mu w oczy: wiedział, o co zapytam.

— Gdzie moja matka?

Wstrząsnął nim nagły dreszcz, oczy zasnuła mgła. Bez słowa odwrócił się, wziął świecę i nakazał gestem, bym poszedł za nim.

Ruszyliśmy ku drzwiom, za którymi zniknął dziś ptak. Pan Are zdjął z haka pęk ciężkich kluczy, których nigdy dotąd nie widziałem. Znajdowały

się w miejscu, gdzie nie docierało światło nawet za dnia. Otworzył zamek i schodami weszliśmy na poddasze. Tam ujrzałem jeszcze jedne drzwi.

Pan Are przystanął przed nimi.

— Czy jesteś zdecydowany przez nie przejść, Heathcliffie?

Spotkania z nią nie należą do bezpiecznych. Sam widziałeś, jak mnie zraniła i słyszałeś zapewne, co uczyniła Masonowi... swemu rodzonemu bratu.

— Jestem zdecydowany.

Zastukał. Nie usłyszeliśmy odpowiedzi. Wówczas przekręcił klucz w zamku i zakrzyknął:

— Berto! Berto Are!

— Czyje to imię? — odezwał się ze środka dźwięczny głos. — Nie moje przecież. Nigdy się tak nie nazywałam. Czemu wciąż tak na mnie wołasz?

— Zawsze to samo: wypiera się swego imienia — rzekł cicho pan Are i pchnął drzwi. — Zaprzeczyłaby wszystkiemu, co prawdziwe. Na Boga, miej się na baczności, Heathcliffie. Ona jest przebiegła.

Ujrzeliśmy dwie kobiety siedzące przy okrągłym stole na środku izby. Na ramieniu wyższej z nich przycupnęła czerwona papuga. Kulista lampa rzuciła blask na zwój papieru, kałamarze i rozrzucone w nieładzie, uwalane w atramencie gęsie pióra. Jednak twarz kobiety z papugą, mimo iż i na nią padało światło, była pogrążona w cieniu.

Druga niewiasta popatrzyła na nas łagodnym wzrokiem i oznajmiła:

— Ona jest dzisiaj spokojna. Wcale się nie skarży, choć tak bardzo cierpi. Podziwiam hart jej ducha.

— To jej siostra — wyjaśnił pan Are zmienionym głosem. — Przybyła niedawno z Indii Zachodnich, by zastąpić służącą, która odeszła.

— Chcesz dręczyć mnie opowieściami o Indiach? — zapytała wyższa kobieta. — Ten budynek nigdy nie był mym domem. Dlaczego zawsze mi to wmawiałeś? I czemu uwięziłeś mnie tutaj? Chcę wrócić do prawdziwego domu. Słyszysz? Potworze! Łajdaku! Odpowiedz mi!

Pan Are wykrzywił twarz i zakrył uszy rękoma.

— Straszne! Straszne! — krzyknął. — Dobrze, dowiesz się: aby słyszeć, jak deprawuje się twój jasny umysł! By patrzeć, jak starzejesz się i z piękności przemieniasz się w wiedźmę!

Nagle kobieta odskoczyła od stołu i chwyciła pana Are'a za szyję. Sza-

motali się wściekle, a papuga bijąca dziko skrzydłami czyniła jeszcze większe zamieszanie. Podeszła ku nim druga z kobiet i położyła dłoń na ramieniu siostry. Ta uspokoiła się niespodzianie i spoczęła z powrotem na krześle. Papuga przysiadła na swym miejscu.

— A oto Berta Mason Are, Kreolka i wariatka — rzekł pan Are, dysząc ciężko. — Poślubiłem ją, gdy byłem równie młody, jak ty obecnie i poniewczasie zrozumiałem swój błąd. Jej przodkowie cierpieli na chorobę umysłu, chociaż ich szaleństwo było zdradliwe... Z pozoru wszyscy byli normalni. Żyli jednak w całkiem innym, wymyślnym świecie... Heathcliffie, spójrz, oto twoja matka!

I wtedy uniósł świecą kule, która przedtem zdawała mi się lampą... Kulę niczym zwierciadło, pochłaniające odbicie spoglądającej weń istoty.

— Matka? Nie jestem matką — powiedziała kobieta tonem, w którym usłyszałem zdumienie. — A to nie mój syn. Chociaż...

Wyciągnęła rękę ku mej twarzy.

— Chociaż...

— Nie pozwól jej się tknąć! — ostrzegł pan Are, zasłaniając mnie ramieniem. — Zrani cię niechybnie!

— Chcę tylko odzyskać wolność — oświadczyła, unosząc dumnie głowę. — To pragnienie każdego więźnia... Przechytryć swego ciemniejącego i powrócić do świata. Strzeżcie się obaj. Nie cofnę się przed niczym, przed żadnym okrucieństwem, żeby odzyskać wolność. Sądźcie, żeście mocarni, lecz nie ma siły, która mogłaby mnie powstrzymać.

— Krnąbrna, buntownicza szelma! A przy tym jakże żałosna! Niegdyś czyniła wrażenie mądrej i szczerzej, teraz niegodna jest nawet miana kobiety. Przenigdy stąd nie uciekniesz. Muszę trzymać ją tu w zamknięciu. Teraz zadręcza tylko mnie. Gdyby zaznała wolności, krzywdziłaby innych!

— Próżny i głupi człowieczku! — rzekła mu. — Zdaje ci się, że uciec można tylko drzwiami i oknami. Zabij je deskami, jeśli taka twoja wola. Będę wolna, choćbyś zakął mnie w kajdany!

— Wrzeszcz i pieklisz się dalej, droga małżonko. Rozkoszuj się tym, że zrujnowałaś moje życie.

Potem zwrócił się do mnie:

— No i co powiesz, Heathcliffie? Czyżby współczucie odebrało ci mo-

wę? A może jej łagodne spojrzenie tak poruszyło twe serce? Może ujęła cię czułość, z jaką cię powitała? Czy nie jesteś szczęśliwy, mając taką matkę? Chciałeś ją ujrzeć i twemu życzeniu stało się zadość. Czyś z tego rad?

Usiadłem przy stole.

— Chciałbym zostać z nią sam — odezwałem się. Pan Are roześmiał się gorzko.

— Nie pora na żarty.

— Domagam się tego. Pragnę rozmawiać z nią na osobności.

— Zabraniam ci tego. Nie wiesz, czego żądasz. Ona cię zabije.

— Nie wierzę w to. Widzę, że jest spokojna. Wybuchła tylko na pański widok.

— Nie przejrzałeś jej chytryści. Napadnie na ciebie, kiedy stąd wyjdę.

— Och...! Mógłbym złamać ją jak trzcinę. Ponadto, jestem przecie jej synem. Jeśli tak jest naprawdę, to winienem przynajmniej dorównać jej w okrucieństwie i przebiegłości.

Wahał się długo, nieskory usłuchać mej prośby. W końcu pozostawił nas samych w izbie. Zanim to jednak uczynił, udzielił mi wielu przestróg i rad. Potem wyprowadził drugą kobietę i wyszedł sam. W progu odwrócił się jeszcze i powiedział:

— Pamiętaj, jestem w pobliżu. Jeden krzyk i wrócę tu natychmiast.

Dopiero teraz mogłem dobrze przyjrzeć się twarzy swej matki, istotnie — wielce podobnej do mej własnej, lecz wymizerowanej, ponurej, strasznej... Jakże zniszczyć musiał ją czas!

— Dlaczego twierdzisz, żeś nie jest moją matką?

— Od tak dawna, odkąd sięgam pamięcią, byłam więziona w tej komnacie. Nie mogę robić tu niczego... tylko knuć plany ucieczki. I zapisywać zwoje papieru, który przynosi mój władca i zdobywca. Tak więc piszę. Piszę dniami i nocami. Stawiam małe litery, by na więcej starczyło papieru.

— Cóż takiego piszesz?

— Czasem opisuję więzienia takie jak to i barbarzyńców takich jak Are. Innymi razy piszę o pięknych, dalekich królestwach, otoczonych szmaragdowymi oceanami. I wtedy jestem wolna w świecie, który sama tworzę. Wnikam w dusze innych kobiet, innych mężczyzn.

— A gdzie bywałaś, zanim tu trafiłaś?

— Are rzeknie ci, że urodziłam się w gorących krajach, lecz to kłamstwo. Pochodzę z Północy, gdzie wiatry były chłodniejsze i bardziej rześkie niż tu. Pamiętam wrzosowiska... słońce i rozległe równiny. Konie w stajni, szczekające psy, woń chleba w gorącym piecu...

— Całkiem jakby ktoś opisywał okolice, w których wyrosłem.

— Dziwne. Przypominasz mi kogoś. Może rzeczywiście jesteś moim dzieckiem.

Znowu chciała dotknąć mego policzka. Tym razem pozwoliłem jej na to. Tak, odnalazłem matkę. Zamknąłem oczy.

I nagle na mą czaszkę spadło uderzenie. Oślepiła mnie krew spływająca po twarzy. Jak przez mgłę ujrzałem ponad sobą matkę, trzymającą zwinięty w rulon manuskrypt, z którego wystawała żelazna sztaba. Ogłuszyła mnie nią i teraz gotowa była uczynić to ponownie. Syciła swój wzrok moim widokiem. Nie mogłem się bronić.

Wepchnęła w mą gardziel papier, bym nie wołał o pomoc. Jednak i bez tego nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

Pan Are pozostawił klucze na krześle koło drzwi. Chwyliła je i próbowała wszystkie, aż wreszcie udało jej się odnaleźć te właściwe i otworzyć ciężkie okiennice. Wzięła z ramienia papugę i pozwoliła ulecieć ptakowi w noc. Usłyszałem dziwny skrzek i odgłos przecinających powietrze skrzydeł. Kobieta rozkoszowała się porywistym wiatrem, który wniknął przez okno do komnat} — roześmiała się i zatańczyła, unosząc rąbek sukni.

Czułem, że tracę świadomość, lecz nadzwyczajnym wysiłkiem zdołałem jeszcze raz otworzyć ociężałe powieki. Oto cc zobaczyłem:

Z ciemnego wnętrza wielkiego kałamarza matka wydobyla mały sztylet. Zabójczo ostry, choć ukrywała go chyba od dawna. Schowała go do kieszeni fartuszka.

Potem rozrzuciła papiery po całej izbie. Zrozumiałem, cc zamierza! Chciała puścić z dymem Cierniowe Pole! Nie mogłem jednak poruszyć się, krzyknąć, jęknąć choćby z trwogi. Patrzyłem, jak podpala zasłony, kotarę ponad łóżkiem, obrus na stole...

Otworzyła drzwi i ukryła się za nimi, gotowa umknąć niepostrzeżenie, gdy pan Are nadbiegnie, by gasić pożar. Lec2 on ujrzał ją i jednym ciosem zwałił na podłogę. Spleli swe ciała we wściekłym uścisku, upadając, to

znów powstając, w przerażającym tańcu sunąc ku płonącemu oknu. Usłyszałem krzyki z podwórza.

Moje serce nareszcie zabiło żywiej. Strach sprawił, że odzyskałem władzę nad ciałem! Wyciągnąłem z ust papier i, slaniając się, podszedłem ku dwojgu złączonym w śmiertelnym uścisku. Zakolysali się na niskim parapacie otwartego okna.

— Ojczel! — krzyknąłem.

Spojrzał na mnie przez ramię. Kobieta wyrwała mu się nagle, lecz nie po to, by uciec. Wyciągnęła sztylet, wzniosła go w obu dłoniach ponad kark mego ojca. Rzuciłem się ku niej.

Mgła wściekłości zasnęła mi oczy. A po sekundzie ujrzałem ją, za oknem, na tle ciemnego nieba nocy. Jej suknia płonęła... spadała niczym wielki kwiat.

Z podwórza dobiegł mych uszu straszliwy krzyk. Tak, wypchnąłem przez okno własną matkę. Roztrzaskała głowę o kamienie, którymi wyłożony był podjazd.

Płomienie i trzask pękających kości. Karminowa plama na plecach ojca, który upadł na posadzkę. Dławiąc się dymem, uniosłem jego zakrwawione, bezwładne ciało i ruszyłem przed siebie... Nie wiem, jakim cudem, lecz udało mi się wydostać z gorejącego piekła. Na dole John wziął z mych ramion ojca. Wybiegłem z domu i spojrzałem na leżące ciało. Matka. Z rozbitej czaszki wypłynął mózg, ale oczy wpatrywały się we mnie bez cienia litości.

To wydarzyło się przed tygodniem. Powiedziano mi, że pan Are będzie żyw, lecz stał się ślepcem i kaleką — lekarze odjęli mu jedno ramię. Ja ocalałem. Poza raną na głowie, doznałem tylko kilku oparzeń. Cierniowe Pole doszczętnie spłonęło.

Dopiero wczoraj pan Are powrócił do przytomności. Wezwał swych adwokatów i kazał, by wypłacili mi trzydzieści tysięcy funtów. Gdy uczynili to i odjechali, usiadłem na chwilę przy jego łożu. W końcu jednak odrzuciłem jego błędzącą po omacku rękę i zostawiłem go samego. Niech pozna, co znaczy być opuszczonym i uwięzionym.

Katy, wykupiłem kajutę na statku, który wypływa z Liwerpoolu do Nowego Świata. Ucieknijmy razem do Ameryki, daleko od wszystkich, którzy nas prześladowali. Tam będziemy szczęśliwi i wolni — tak jak pierwotni

mieszkańcy tego ogromnego i pięknego kontynentu. Wolni jak wichry, hula-  
jące po naszych wrzosowiskach i niezmiernych równinach kraju, gdzie  
założymy nowy dom.

Przyślij mi swą odpowiedź albo przybądź sama. Chłopak z karczmy  
przyprowdzi Cię do mego powozu. Przybądź, nie zwlekaj, miłości moja!  
Skoro dożyłem tego dnia, pozwól mi umrzeć w Twych ramionach! Nie pra-  
gnę niczego więcej.

Twój H.

\* \* \*

Pod podpisem Heathcliffa widniały słowa dopisane przez panią Dean:

Ten długi rękopis mogłam za pierwszym razem przeczytać ledwie po-  
bieżnie. Chłopak przysłany przez Heathcliffa wciąż czekał w sąsiednim po-  
koju. Podziękowałam niebiosom, że list trafił w moje ręce. Do swych niezli-  
czonych grzechów Heathcliff dorzucił jeszcze matkobójstwo i porzucenie w  
potrzebie okaleczonego ojca. Nieważne, jak bardzo się wzbogacił i jaki stał  
się wytworny (nie widziałam go od lat i — szczerze powiedziawszy —  
uznałam jego przechwałki za łągarstwo). Wciąż był diabłem w ludzkiej skó-  
rze, jakim znałam go przed laty. W życiu mej pan i pana Lintona mógł  
wnieść jeno gorycz.

Schowałam zatem rękopis i udałam się do chłopca. Oznajmiłam mu, że  
panna Earnshaw poprzedniego dnia oddała swą rękę Edgarowi Lintonowi i  
młoda para udała się właśnie w podróż poślubną. Powiedziałam mu też, że  
musiał czekać tak długo gdyż wyszłam kuchennymi drzwiami i chciałam ich  
pożegnać — ale spóźniłam się, bo już odjechali.

Głupi chłopak gapił się na mnie podejrzliwie. Chciałam się go pozbyć,  
zanim panienska Katy powróci z Gniazda, i pokazałam mu weselną suknię.

— Zobacz — rzekłam — w tej sukni szła wczoraj do ołtarza Muszę zająć  
się prasowaniem, więc idź już sobie. Nie mogę przeze; ciebie mitrzyć czasu.

Obrócił się na pięcie i zaniósł wiadomość Heathcliffowi. Za żadne skarby  
świata nie chciałam się znaleźć w skórze poślanka

Resztę już Pan zna, Panie Lockwood. Heathcliff ponownie zniknął na ja-  
kieś pół roku. Wie Pan na pewno o wszystkim, cc zaszło później.



Czasami nie daje mi spokoju myśl — cóż by się stało, gdyby oddała list Katarzynie? Nie wątpiłam, że nie zapomniał\* o Heathcliffie. Zapewne nie poślubiłaby pana Lintona, a może( nawet pobiegłaby do powozu, który na nią czekał. Lecz ile; wynikłoby z tego nowych tragedii? Nie mogłam postąpić inaczej

Proszę łaskawie dać mi znać, czy uważa pan, że uczyniłam słusznie.

N.D

\* \* \*

Jutro stanę się jego żoną. Przyjdzie po mnie, rozpromienioną radością.

Lecz jak ja mogę rozkwitnąć bez Ciebie? On jest człowiekiem z obrazka. Jego pocałunki są chłodne, Twe były ogniste, mój t) jastrzębiu, mój orle.

Mój? Nie, nie mój. Opuściłeś mnie.

Stracę Cię ze swego nieba. Jesteś dla mnie nikim — nigdy już o poranku nie wdrapiesz się na mur i nie przeciągniesz się w promieniach słońca. Nigdy nie wyjdiesz z cienia stodoły, nigdy nie szepniesz sekretne go słowa do me go ucha. Nigdy nie będziemy galopować po wzgórzach.

Nikt nie poruszył zasłonki w oknie. Odsunęła się sama. Do przedziału wpadły nagle jasne promienie zimowego słońca, którego nie przesłaniały ni chmury, ni śnieg. W jednej chwili pan Lockwood i ja zasłoniliśmy oczy przed oślepiającym światłem poranka.

Westchnęłam zdumiona. Usnęłam w pociągu chyba pierwszy raz w życiu. Kartki rękopisu rozsypały się po podłodze i leżały w nieładzie.

Pochyliłam się zmieszana, aby je pozbierać. Pan Lockwood najwyraźniej zamierzał uczynić to samo. Jednocześnie wspomnieliśmy zderzenie głowami, od którego zaczęła się nasza znajomość. Jednocześnie wyprostowaliśmy się, by nie doszło do wypadku jeszcze raz. Spojrzeliśmy na siebie wytrzeszczonymi oczami.

W tym momencie otwały się drzwi przedziału.

— Pięć minut do stacji w Leeds — oznajmiono. I po chwili znowu byliśmy sami.

Pan Lockwood uśmiechnął się i uniósł dłoń.

— Proszę mi pozwolić — powiedział i zaczął zbierać stronicę. — Czy

przeczytała pani do końca?

— Tak.

Pytania cisnęły mi się na usta. Czy Heathcliff pogodził się z panem Ar-  
e'em? A może wróciła do nieszczęśnika ukochana guwernantka? Czy He-  
athcliff i Katy przebaczyli sobie nawzajem? Czy Edgar Linton padł ofiarą  
strasznej zemsty, którą groził mu Heathcliff? W jaki właściwie sposób He-  
athcliff zszedł z tego świata... jeśli w ogóle umarł? Chciałam się także do-  
wiedzieć więcej o zjawie, którą widział pan Lockwood i która — jak głosiły  
pogłoski — ukazywała się także innym mieszkańcom zkoici Wichrowych  
Wzgórz.

Nie zadałam jednak nawet pierwszego z nich, gdyż w przedziale zjawił  
się jakiś człowiek, by pozbierać koce. Musiałam się spieszyć. Zapięłam  
płaszcz, mocując się z guzikami, i owinęłam szyję szalem. Pociąg zatrzymał  
się. Wydostaliśmy się z przedziału i znaleźliśmy na peronie.

Mój towarzysz szedł przede mną, torując drogę w ludzkie, ciżbie. Byłam  
mu za to wdzięczna: jestem tak drobnej postury, że sama pewnie nie poradzi-  
łabym sobie. Gdy wydostaliśmy się z tłumu, odwrócił się do mnie. W jednej  
dłoni dzierzył laskę drugą przyciskał do piersi pomieszane stronicie manu-  
skryptu Odezwał się uprzejmym głosem:

— Panno Bronte, oczekuję na pani werdykt. Co powinienem jej powie-  
dzieć?

Zawahałam się. Cóż mogłam odrzec? A co on mógł odpowiedzieć starej,  
stojącej nad grobem kobiecie?

Za plecami pana Lockwooda spostrzegłam idącą ku nam gromadkę ludzi.  
Przeciskali się przez tłum, wymachując rękoma Zwróciłam uwagę na wysoką  
damę o wielkich, ciemnych oczach i siwych włosach. "Nie wiem czemu, ale  
nie miałam wątpliwości że była córką Katy i Edgara. Powiedziałam prędko:

— Proszę oznajmić pani Dean, że uczyniła słusznie. Proszę zapewnić ją,  
iż nie miała innego wyboru. Postąpiła zgodnie z prawami...

Ostatnie me słowa zagłuszyło posapywanie pociągu, który wtoczył się na  
sąsiedni peron. Zawołano pana Lockwooda. Ten odwrócił głowę, uściśnął mi  
na pożegnanie dłoń i odszedł.

Zawiadowca stacji wskazał mi pociąg jadący do Keighle i koło południa  
dotarłam do domu.

## 16.

Było wczesne popołudnie ciepłego, marcowego dnia. Siedziałam obok łóżka staruszki, której twarz pomarszczyła się niczym skórka jabłka, chowanego w spiżarni przez całą zimę. Jednakże jej dłoń ścisnęła moją z zadziwiająco siłą. W jasnym, obszernym pokoju prócz nas była także ma siostra, Emilia. Siedziała z dala, w ocienionym kącie. Słyszałam przytłumione głosy, dochodzące z korytarza przez uchylone drzwi.

Starą kobietą była Nelly Dean. Znajdowałyśmy się w jednym z pokoiów Drozdowego Gniazda, a rozmowę za drzwiami wiedli pani Katarzyna Earnshaw, niedawno owdowiała córka owej Katy, której historię tak dobrze poznałam, i pan Lockwood, którego poznałam przypadkiem w pociągu do Leeds. Na nocnym stoliku tuż przede mną leżał nieobcy mi, poźółkły rękopis.

Czytelniku, zapewne zastanawiasz się, jakież to niebывałe wypadki wypełniły trzy długie miesiące od owego śnieżnego, styczniowego dnia, kiedy to pożegnałam się z panem Lockwoodem na peronie, do chwili, w której rozegrała się owa spokojna scena, którą opisuje właśnie me pióro.

Odpowiedź pewnie zadziwi cię nieco. Otóż nic nadzwyczajnego! Żadne zdarzenie nie zasługiwało na miano osobliwego wypadku. Moje życie na plebani przebiegało monotonnie jak dawniej. Ledwie parę razy zamieniłam kilka zdań z ojcem i gospożą. I, co najgorsze, milczał także pan Heger, nie odpowiadając na me listy — choć obawiałam się, że jego milczenie jest bardzo wymowne.

Niemal nie rozmawiałam także z Emilią. Być może było to niemądre, ale nie zwróciłam się do niej, by opowiedziała m o Heathcliffie. Tak więc byłyśmy dla siebie zimne i szorstkie Czasem, lecz z rzadka, mówiłyśmy o chorobie ojca i o tym, żeteraz same powinnyśmy zajmować się domem. A i nowe obowiązki dzieliły nas miast łączyć. Emilia zwykle pomagała w kuchni, ja ścierałam łóżka i ścierałam kurze.

Długo milczał też pan Lockwood. Choć rozstając się pośpiesznie na stacji, nie ustaliliśmy, że spotkamy się ponownie, to jednak oczekiwałam (mając na względzie nieznaczną odległość dzielącą Haworth od Drozdowego Gniazda), iż prześle mi jakąś wiadomość.

Lecz dopiero wczoraj posłaniec przyniósł list. Przez krótką chwilę moje serce biło mocniej. Pomyślałam, że napisał do mnie pan Heger, mój uwielbiany mistrz. Jednak kiedy nałożyłam okulary, przekonałam się, że list wysłano z Gimmertonu. Mim c to radowałam się niezmiernie. Każda przesyłka stanowiła jakieś urozmaicenie. Tak niewiele działo się w naszym domu Roze-  
rwałam kopertę.

Zdziwiłam się widząc, co zawierała. Otóż znalazłam w niej zaproszenie na ozdobnym, kremowym papierze do złożenia; wizyty w Drozdowym Gnieździe. Zaadresowano je „do panny Bronte oraz jej siostry” (chodziło zapewne o Emilię, jako że Anny nie było z nami w Haworth). Pani Ellen Dean pilnie nalegała na spotkanie tak ze mną, jak i moją siostrą. Także pan Earnshaw i pan Lockwood, który „w pociągu zawarł był znajomość z panną Bronte” poczytywaliby za wielki zaszczyt gdybyśmy obie przychyliły się do prośby i złożyły im wizytę. Powóz oczekiwać miał o jedenastej.

Naturalnie, nie zamierzałam odmówić. Bardzo pragnęłam pojechać. Nigdy jeszcze nie proszono mnie o nic tak uprzejmie, ponadto pani Dean mogła rozwiać kilka wątpliwość dotyczących losów Heathcliffa. Ku memu zaskoczeniu, Emi lia z chęcią gotowa była mi towarzyszyć. Karetą przybył; o czasie.

Chociaż ja sama usychałam z nudy przez ostatnie miesiące, t jednak dla innych minione dni wcale nie były jałowe. Przekonałam się o tym naocznie, kiedy pan Lockwood powitał nas w Drozdowym Gnieździe. Kwitł wprost u boku majestatycznej damy której przedstawił mnie i Emilię. Przygnębienie, jakie zdawali się dręczyć go podczas naszego pierwszego spotkania, zniknęło zastąpione jawnym ukontentowaniem. Ucieszył się szczerze na mój widok i z radością uściśnął mą dłoń.

Pani Earnshaw, wyniosła, lecz urocza dama, pośpiesznie i ściszym głosem, prosiła o wybaczenie, iż bez zwłoki zaprowadzi nas do pani Dean. Wiedziała, że możemy czuć się nieco strudzone, lecz staruszka oczekuje naszych odwiedzin z taką niecierpliwością, że byłoby niegodziwie kazać

czekać jej lłużej.

— W ciągu ostatnich dni podupadła bardzo na zdrowiu — wyznała szeptem pani Earnshaw, kiedy wchodziliśmy po schodach. — Lecz w chwilach, kiedy odzyskuje świadomość, wypytuje ) panie. Chodzi o pewien rękopis czy też list. — Tu uściśnęła lekko me ramię. — Pani wie, o czym mówię... Biedaczka koniecznie chce porozmawiać właśnie z panią.

Przestronnym korytarzem doszliśmy do uchylonych drzwi.

— Przenieśliśmy ją do dawnego pokoju mej matki — powiedziała pani Earnshaw. — Tu jej najlepiej. Prosiła o to, by mogła rozmawiać tylko z wami, miłe panie. Charles i ja poczekamy na wewnątrz.

Wprowadziła nas do komnaty i przedstawiła drobnej osobie, która leżała w łóżku. Potem wróciła na korytarz, gdzie pozostał pan Lockwood.

Początkowo nie mogłam uwierzyć, że w pani Dean tli się choćby isierka życia. Jednak po chwili stara gosposia otworzyła czy i spojrzała na mnie rozumnie. Ujęła mą rękę w geście powitania i zaraz, bez wstępnych kurtuazji, zaczęła wypytywać ? moją rodzinę. Trudziłam swą pamięć i opowiedziałam jej całą historię, zastanawiając się, po cóż tej prostej kobiecie owe wiadomości. Spozrzegłam, że pani Dean wcale nie zwraca uwagi na Emilię.

Wreszcie wyszło na jaw, do czego zmierzało całe to przesłuchanie. Otóż nasza służąca Tabitha i pani Dean przez wiele lat były dobrymi kumoszkami, lecz od dawna nie miały już okazji spotykać się na ploteczkach. Głowiłam się, co począć, gdyż nie chciałam opowiadać teraz o losach Tabby. Niespodziewanie starszka sama wybawiła mnie z kłopotu, mówiąc:

— Ach, panienko! Tak długo i cierpliwie odpowiadała pani na pytania starej kobiety. Teraz ja mogę oddać panience przysługę, jeśli zechce się pani czegoś dowiedzieć.

Ten nagły zwrot w naszej rozmowie speszył mnie wielce. Otworzyłam usta, ale nie zdołałam nic powiedzieć. Pani Dean podjęła:

— Proszę pytać. Widzę, że ciekawa pani wielu rzeczy. Przez ostatni kwadrans tak wpatrywała się pani w pamiętnik Heathcliffa, jakby chciała go zjeść!

Zaśmiałam się na te słowa.

— To prawda, pani Dean. Jestem bardzo zaciekawiona Pragnęłabym wysłuchać prawdziwego zakończenia tej historii

Puściła moją rękę, jakby przestraszona.

— Historii Heathcliffa? I jej prawdziwego końca? Zdała się nadzwyczaj zmieszana tak niewinną prośbą.

Przymknęła powieki, palcami ujęła brzeg kołdry.

— Nie było zakończenia... opowieść ciągle wiję się ja] powój... oplata wszystkich i wszystko...

Spróbowałam zająć jej uwagę ziemskimi sprawami.

— A ten list, pani Dean? Co się stało, gdy go pani przeczytała

— To wie pan Lockwood. Czy nie mówił panience? Schowałam go. Pani Katy nigdy go nie ujrzała. Wyszła za panicza Lintona

— Owszem, wiem, ale pan Heathcliff powrócił jeszcze raz choć ukryła pani list i choć pan Linton poślubił pannę Katarzynę...?

Wciąż zaciskała palce na kołdrze, lecz nagle jakby odnalazła zagubiony wątek i odrzekła mocniejszym głosem:

— Tak, on wrócił. Przybył tu, gdzie najmniej chciano go widzieć. „Nelly — zakrzyknął pewnego dnia — to ja. Nie poznajesz mnie?” I stanął jak wilkołak w świetle księżyca, na poły diabeł, na poły człowiek. Nie śmiałam go nie wpuścić, bo i tak wdarłby się tu, gdyby zechciał. A więc udałam się do pokoju, gdzie pani, pan i panienska Izabela pili spokojni herbatę, i rzekłam, że przyjechał.

— I co zdarzyło się potem?

— Och, pani Katy prawie odeszła od zmysłów, kiedy go ujrzała, pamiętam to jak dziś. Nie spojrzała nawet na pana Edgara, który wstał i milczał jak zakłęty. Schwyciła dłoni swego przyrodniego brata i wykrzyknęła z radości, ale powstrzymała się przed pocałunkami, nie chcąc gorszyć męża. A Heathcliff był twardy i napięty jak łuk, lecz potem powitał godnie państwa niczym najwytworniejszy dżentelmen ze stolicy. Widziałam jednak, że to pozór. Czeakał tylko okazji.

— Okazji ku czemu?

— Aby pozostać z nią sam, przekonać, by porzuciła prawowitego męża i w końcu zabrać ją ze sobą daleko. Jednak przejrzałam jego grę i czuwałam, żeby nigdy nie pozostawić ich we dwoje, chociaż nieraz uszy płonęły mi ze wstydu. Bałam się że kiedy będą mówić ze sobą zbyt swobodnie, to wyda się, że schowałam list.

— I wydało się?

— Nie... Oni byli tacy sami... Patrzyli sobie w oczy i widzieli w nich swoje odbicie. Kochali się i nienawidzili. Och, oboje byli tak samolubni...! I dumni. Heathcliff czuł się skrzywdzony przez nią, a ona nie mogła mu darować, że ją opuścił, rozmawiali więc o innych albo o błahostkach i otwarli swe serca dopiero w dniu jej śmierci. I tak prawda o liście nie wyszła na jaw.

— Cóż jednak na to pan Linton? Czy nigdy nie opowiedział swej żonie o spotkaniu z Heathcliffem?

— Och, gdzieżby, panienko... Nigdy nie wspomniał o tym, przynajmniej nie pani Linton. Była taka kapryśna i niesprawiedliwa. Prędzej przebaczyłaby Heathcliffowi jego okrucieństwo niż panu Edgarowi to, że zataił przed nią miejsce pobytu zaginionego kompana dziecinnych zabaw. I mój pan wiedział o tym. Och, zaprawdę dobrze o tym wiedział.

— Musiał bardzo ją kochać, jeśli nie wadziły mu skazy jej charakteru. Więcej, muszę też rzec, że był odważny, gdyż poślubił ją, nie bacząc na zemstę, jaką zapowiedział mu Heathcliff.

— Sądziłam tak samo, proszę pani. Co dodało mu odwagi, żeby po dwóch latach spróbować szczęścia? Oczywiście musiał dowiedzieć się od swego wujostwa o dziwnych wypadkach, jakie zaszły w Cierniowym Polu. Może sądził, że po wielkim skandalu Heathcliff ukryje się w jakimś zakątku razem z nieszczęsnym panem Are'em. Pan Edgar poczuł się bezpieczny. Wążąc wszystko myślę, że musiało być właśnie tak.

— A jednak jego miłość godna jest podziwu. Czy ona kochała go tak samo?

— W żadnym razie. Powiadam, pani Katarzyna naprawdę kochała jedynie siebie i Heathcliffa, który był taki jak ona.

— Więc dlaczego wyszła za Lintona?

— Uwielbiała siebie, ale drugim jej grzechem były nadmierne pragnienia. Chciała stać się damą podziwianą przez wszystkich i mieć przystojnego, bogatego małżonka. Jej pragnieniom stało się zadość, lecz wkrótce spotkała ją sroga kara. Oddała ducha w tym domu, w tejże komnacie.

Sypialnia, która do tej chwili zdawała mi się pięknie wystrojona i skąpana w słońcu, nagle stała się bardziej mroczna. Mimowolnie rozejrzałam się wokół, bojąc się, że ujrzę gdzieś martwe ciało Katarzyny Earnshaw.

— Tak, zmarła w tym samym pokoju, w tym łóżku, zaraz po narodzinach mojej obecnej pani, której głos dobiega teraz zza drzwi. Przed rozwiązaniem czuwałam nad panią Katarzyną dniami i nocami. Siadywałam tam, w kącie... Tak, w tym samym, gdzie przycupnęła pani siostra. Pamiętam, dzień podobny był do dzisiejszego, ciepły, słoneczny... Wiatr wiał znad wrzosowisk... Mówiła, że powietrze z wrzosowisk dodaje jej sił Pan udał się do kościoła i pozwoliłam wejść jemu.

— Jemu?

— Heathcliffowi. Pojmuje pani, to był ich ostatni raz Wiedziałam, że ona musi umrzeć. Chorowała, nosząc pod sercem dziecko i należała do dwóch mężczyzn. I obaj porzucili ją w rozpacz: Heathcliff na złość sobie ożenił się z panną Izabelą a pan Edgar nie widział świata poza książkami. Śmierć patrzyła jej z oczu.

— A więc wpuściła go pani tutaj?

— Tylko jeden jedyny raz. Padli sobie w objęcia. I byłam świadkiem, jak w końcu zrozumieli się i przebaczyli sobie nawzajem... chociaż ludzie nie tak sobie przebacząją. Lecz on przecież kochał się inaczej. Tulił ją do siebie tak mocno, że na ramionach miała siniaki! A ona zabiłaby go niechybnie, gdyby tylko mogła, by zabrać go ze sobą w zaświaty. Wyznała to przed samą śmiercią.

— Co stało się później?

— Później? A cóż jeszcze mogło się stać? Powiła dziecko i umarła, zanim nastał świt.

Słyszając to, Emilia pochyliła się i zaczęła coś mówić. Zamilkła jednak zaraz, uśmiechnęła smutno i pokręciła głową.

— Och, co stało się z panem Edgarem? — powiedziała staruszka. — A tak, nosił żalobę i wielce rozpaczał. Bez ustanku czuwał przy zwłokach, zanim pochowano panią w ziemi. Pogrzebano ją obok kościoła. Nie, nie w krypcie. Zanim zmarła, rzekła, że pragnie, by wiatry znad wrzosowisk poruszały trawę na jej grobie.

— A Heathcliff? — spytałam.

— Cóż, cierpiał okrutnie przez następne dwadzieścia lat i nie szczędził cierpień innym. Zawziął się i w końcu uczciwymi i podłymi sposobami doszedł do największej fortuny w okolicy. Omal nie udaremnił ślubu mej pani z



Haretonem, synem Hindleya. Och, Heathcliff był tak mściwy, że nie pozostawił w spokoju nikogo bliskiego swym dawnym nieprzyjaciołom. Umarł jednak, nim zdołał unieszczęśliwić Bogu ducha winnych ludzi. Nawiedzała go zjawia pani Katy (co poświadczyć może pan Lockwood) i dręczyła bez ustanku, póki nie spoczął w grobie obok niej. Powiada się jednak, że oboje wyszli spod ziemi i do dziś wędrują po wrzosowiskach.

Pani Dean pokręciła głową i uniosła dłoń do policzka, jakby chciała otrzeć łzę.

— Czy to wszystko?

— Tak jest. Teraz powrócił tu pan Lockwood, choć przeżył wiele wiosen w innych zakątkach kraju. I pragnie poślubić moją drogą panią, która nie chce wieść reszty dni w samotności. Chwała za to Bogu, jako że moja śmierć już blisko.

Naraz jej twarz odmieniła się. Odwróciła głowę ku mnie i teraz naprawdę ujrzałam łzy spływające po jej policzkach.

— Pan Lockwood mi wybaczył. Czy pani też to uczyni? Oczekiwałam, że spyta mnie o to i miałam już gotową odpowiedź.

— Nie mnie wybaczać, bo nie mnie stała się krzywda. Mogę jednak wypowiedzieć swe zdanie, zwłaszcza kiedy znam już zakończenie historii. — Ujęłam jej dłoń i dodałam: — Jestem pewna, że postąpiła pani najwłaściwiej.

Słyszając to, zdołała unieść się nieco znad poduszki i zerknęła na Emilię.

— A panienka? Siedzi pani w cieniu i milczy. Proszę coś odrzec.

Emilia powiedziała chłodno:

— Proszę mi darować, ale nie sądzę, by interesowała panią moja opinia.

Pani Dean skinęła ku niej dłonią.

— Proszę podejść do światła, bym mogła panienkę zobaczyć. Emilia wstała bez wahania i podeszła do krzesła po drugiej stronie łóżka. Teraz słoneczne promienie padały wprost na jej twarz. Pani Dean przyglądała jej się bez słowa przez dłuższą chwilę.

— Ach! — wykrzyknęła w końcu, cmokając językiem. — Może to i prawda! Może nie pragnęłabym pani wysłuchać. Czasami od słów lepsze milczenie.

Potrząsnęła głową, opadła na poduszkę i zamknęła oczy. Nie otwierała ich i nic nie mówiła. Po minucie albo dwóch ogarnął mnie niepokój. Spojrza-

łam na Emilię. Ta obojętnie wzruszyła ramionami. Właśnie wtedy weszła pani Earnshaw. Podeszła do łóża i łagodnie dotknęła ramienia pani Dean. Staruszka uniosła powieki, lecz nadal milczała.

— Jesteś zmęczona, prawda, Nelly? — spytała pani Earnshaw, a potem rzekła nam cicho. — Opuściły ją siły. Lepiej zostawić ją samą. Gdyby odezwała się teraz, pewnie zaczęłyby majaczyć. Może zejdziemy na dół i napijemy się herbaty?

Wstałyśmy, ale nagle pani Dean szepnęła:

— Jak to, proszę pani? Majacząc, tak? Jeszcze nigdy mój rozum nie był tak jasny.

Pani Earnshaw uśmiechnęła się do nas.

— Dobrze więc, Nelly. Powiedz, czego sobie życzysz.

— Chcę przekazać coś panienkom, które przybyły.

— Proszę bardzo. Są wciąż przy tobie.

Pani Dean wyciągnęła rękę i położyła ją na rękopisie Heathcliffa. Zdołała go unieść, choć drżał w jej dłoni. Powiedziała:

— Weź. Masz prawo to zabrać.

Emilia spojrzała na mnie i uśmiechnęła się nieznacznie. Zapewne na moim obliczu odmalowało się bezgraniczne zdumienie. Ukłoniła się i wzięła plik kartek.

— Owszem — powiedziała. — Wezmę. Dziękuję. Pani Dean zamknęła oczy. Nie rzekła już nic więcej.

— Usnęła — stwierdziła pani Earnshaw.

Przy herbacie potwierdziła się nawiną o spodziewanym ślubie. Złożyłyśmy powinszowania szczęśliwej parze. Oboje nalegali usilnie, byśmy zatrzymały się u nich na dłużej, a potem odwieziono by nas powozem do Haworth, lecz podziękowałyśmy za jedno i drugie. Pogoda była tak piękna, że obie miałyśmy ochotę na spacer. Od domu dzieliły nas ledwie trzy mile łąk i pól.

Z uśmiechem pożegnałyśmy panią Earnshaw i pana Lockwooda, lecz kiedy oddaliśmy się już na tyle, by nie mogli posłyszeć mego głosu, dałam upust swym uczuciom. Wiedziałam, że w żaden sposób nie zdołam skruszyć bryły lodu, którą zdawała mi się dusza Emilii, lecz mimo to powiedziałam:

— Emilio, nie pojmuję i nie potrafię wybaczyć ci twego zachowania. Jak

mogłaś wziąć ten rękopis? Być może uprzejmość względem pani Dean istotnie wymagała, byś wzięła go na chwilę, lecz potem należało go oddać! Nie-wybaczalne! Powinnaś przynajmniej zaproponować jego zwrot pani Earnshaw. Widziałam, że tego oczekiwała!

— Oddać go jej? Zdaje się, że nigdy do niej nie należał. Po cóż jej wspomnienia spisane przez Heathcliffa?

— A czemu ty je zabrałaś? To rodzinny dokument i pamiątka zarazem.

— Czyżby? A więc twierdzisz, że Earnshawowie z wdzięcznością wspominają Heathcliffa? Myślę, że przeklinają go nawet po śmierci. Ponadto list wręczyła mi osoba, która trzymała go w ukryciu przez sześćdziesiąt lat. I ona jedna spośród żywych miała prawo nim dysponować.

Nie dałam jednak za wygraną:

— Lecz twe zachowanie w stosunku do tej uroczej staruszki! Byłaś dla niej okrutna! Należy się jej ukojenie w ostatnich dniach życia. Czy tak trudno było ci się zdobyć na kilka dobrych słów?

Emilia parsknęła urągliwie.

— Twoja urocza staruszka kłamała.

— Co takiego?

— Kłamała w żywe oczy. Łgała. Jak jeszcze mogłabym to powiedzieć...? Rzekła nam nieprawdę.

— Nie rozumiem. Przecież przyznała się do swego oszustwa. Ukrywała prawdę przez wiele lat, lecz dziś wszystko szczerze wyznała.

— Ach, chodzi ci o to, że niegdyś schowała u siebie list. Miałam na myśli coś innego.

— Nie wiem zupełnie, o czym mówisz.

— Mówię o wypadkach, które zaszły po tym, jak Nelly Dean ukryła rękopis.

— Zarzucasz jej kłamstwo? Jakże opowieść, którą usłyszałyśmy, mogła być fałszywa? Pani Dean ukryła manuskrypt, ale liczni świadkowie mogli potwierdzić to, co działo się w Wichrowych Wzgórzach. Heathcliff nadal kochał Katy, lecz ta umarła. Przed śmiercią wydała na świat córkę, Katarzynę. Potem Heathcliff prześladował swych wrogów. I gdzie dopatrzyłaś się kłamstwa?

— To tylko jedna historia.

- Jak to?
- Jest i inna, której ci nie opowiedziano. Przystanąłam i tupnęłam ze złością.
- Albo obrażasz ludzi, albo doprowadzasz do szału mówiąc zagadkami!
- Dobrze, szanowna panno Bronte, powiem więc wprost. Katy nie zmarła tamtej nocy, kiedy urodziła dziecko.
- Cóż to za niemądre przypuszczenie. Zachowano przecież świadectwa narodzin i zgonów!
- Zapisy w wieczystych księgach można sfalszować. Jak zapewne wiesz, Edgar Linton był sędzią pokoju.
- Milczałam chwilę, dumając nad słowami Emilii, a potem zapytałam:
- Skąd ty wiesz, że Katy nie zmarła i sfalszowano zapiski w dokumentach?
- Rzekł mi o tym ktoś, kto był naocznym świadkiem wydarzeń.
- Kto taki? Emilio, powiedz mi!
- Czemu miałabym ci mówić? Znowu nazwałabyś mnie głupią. Ruszyłyśmy dalej. Łzy cisnęły mi się do oczu. Szłam za swą siostrą, wpatrując się w kwiecisty wzorek na jej sukni.

Oczywiście, zagadkowe wyjaśnienia Emilii wzburzyły mnie niebywale, lecz wiedziałam, że będę mogła dowiedzieć się czegoś więcej, jeśli tylko sprawię wrażenie zupełnie obojętnej. Ona już taka była — gdy ktoś prosił o cukier, podawała sól. Tak więc zanuciłam beztruską piosenkę i uśmiechnęłam się niewinnie. Szłam niespiesznie i nawet westchnęłam ze znudzeniem. Emilia, sztywna i wyprostowana, kroczyła przede mną na swych długich nogach. Bez wysiłku omijała kałuże, kiedy ja wciąż musiałam baczyć, by nie uwaląć się błotem.

Naraz ujrzałam zbliżającą się ku nam furmankę ciągnioną przez woły. Dróżka, którą szłyśmy, była niezbyt szeroka, musiałyśmy więc ustąpić na bok, na niewysoki nasyp.

Obserwowałam wóz i w wyobraźni przeniosłam się ku dawnym, minionym czasom. Fura jechała wolno, niezgrabnie pokonując wyboje gościńca, a ludzie na niej — mężczyzna i kobieta w starych, zniszczonych ubraniach — bez wątpienia byli ubogimi wieśniakami. Przygarbieni od ciężkiej pracy, z ziemistymi twarzami, zdawali się pogrążeni w głębokiej zadumie.

Kiedy wóz przejechał mimo, skinęłam głową i życzyłam ludziom dobrego dnia. Nie odpowiedzieli na pozdrowienie, chociaż dzieliło ich ode mnie najwyżej sześć stóp. Nawet nie podnieśli oczu, by na mnie spojrzeć. Wyglądali jak senne zjawy.

Obejrzałam się za siebie i potrząsnęłam głową, by przekonać się, czy nie śnię. Słońce nie świeciło już jasnym blaskiem, niebo zasnuły ciężkie chmury. Nawet okolica była różna od tej, którą znałam. Pagórki wyższe, porośnięte rzadszą roślinnością. Trakt stał się jeszcze węższy.

— To nie droga do Haworth — powiedziałam.

— Nie.

— Dokąd mnie prowadzisz? Gdzie idziemy?

W odpowiedzi Emilia wskazała wzgórze przed nami. Spojrzałam tam i przez szkła dostrzegłam strome dachy i kominy na tle szarego nieba.

— To Wichrowe Wzgórze! — wykrzyknęłam po chwili. — Wieszysz mnie ku Wichrowym Wzgórzom!

Emilia przytaknęła.

— Dlaczego, Emilio? Nigdy nie pozwalałaś sobie towarzyszyć.

— Ponieważ zawsze odwracałaś się od prawdy. Teraz chcę się przekonać, czy nadal boisz się świata.

A więc pragnęła się ze mną pogodzić. Ujęłam wyciągniętą ku mnie dłoń.

— Masz rację. Często zamykałam z przerażenia oczy, lecz nie uczynię tego nigdy więcej. Pozwól, bym poznała prawdę.

Emilia wpatrywała się w mą twarz.

— Obiecujesz? — zapytała wreszcie.

— Tak.

— Dobrze więc. Nie tylko zaprowadzę cię do Wichrowych Wzgórz, ale i opowiem ci, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy, kiedy urodziła się Katarzyna Earnshaw, córka Katy i Lintona. Jednakże pod jednym warunkiem.

— Spełnię każde twoje życzenie. Mów!

— Nigdy nie zapytasz mnie, skąd się tego dowiedziałam.

— Przyrzekam — zapewniłam uroczyście. Gotowa byłam na zawsze powściągnąć język i już nigdy nie urażać uczuć siostry.

— Posłuchaj...

Szłyśmy wąską ścieżką, omijając kałuże powstałe z roztopionego w pro-

mieniach wiosennego słońca śniegu. Emilia opuściła głowę...

Wyobraź sobie scenę:

Wosk trzech świec sływa na obmurowanie kominka. (Widać komuś było bardzo spieszo). Rozświetlają sypialnię (tę samą, którą dziś widziałyśmy) eleganckiego domu z końca zeszłego wieku. Tu właśnie przyjść na świat miało dziecko, lecz poród okazał się bardzo trudny. Wszystko zaplamione było krwią... a widok ludzkiej krwi napawa strachem: zbroczone krwią ręczniki, miski pełne krwi wymieszanej z wodą, zawinięty w zakrwawione pieluchy, płaczący noworodek w kołysce obok łóżka. Plamy krwi widnieją także na prześcieradle, na którym leży kobieta.

Kobieta. Ktoś ubrał ją w świeżą, piękną, koronkową nocną koszulę. Wygląda, jakby niebawem miała pożegnać się ze światem żywych. Zamknęła oczy, w których coraz słabiej odbijały się płomyki świec. Jej skóra nabrała szarego odcienia, a oddech stawał się z każdą chwilą płytszy i słabszy. Lecz krew pulsowała jeszcze w żyłach na szyi i przy nadgarstkach, które podtrzymywała dłoń... dłoń męża.

Mąż. Siedzi na krześle przy łóżku i czeka, aż śmierć odbierze mu żonę. Kropla krwi skapnęła na jeden z jego jasnych pukli. Mąż szlocha cicho, ile razy nabiera w płuca powietrza.

Niania. Drzemie w fotelu w kącie pokoju. Dziecko, płowowłose jak jego ojciec, wrzeszczy. Nikt się nie porusza. Na kominki; obok świec stoją dwa zegary. Zgodnie tykają.

Minęła już północ. W otwartym oknie nocny wiatr porusza niestrudzenie zasłonami.

Ale cóż to? Czyżby słyhać było szelest bluszczu? Wiatr dalej wprawia kotary w ruch. Nagle na parapecie pojawia się ludzka dłoń. Z ciemności wyłania się mroczna twarz, w której goreje para oczu, a za nią mocarne barki i nogi. Czarne buty połyskują w blasku świec.

— Heathcliff!

Zduszone słowo wydobywa się z gardła męża, a bezwładne ciało na łóżku porusza się nagle.

Mąż wciąż płacze, lecz znajduje w sobie siły, by niepewną ręką ująć dzwonek, którym wzywa się służbę.

— Stój! — chrypi Heathcliff strasznym głosem. — Jeśli chcesz ocalić

jej życie i jeżeli twoje własne jeszcze ci miłe!

W jednej dłoni dzierży pistolet, drugą wyciąga z kieszeni mały flakonik, w którym znajduje się rubinowy płyn.

— Pamiętasz to? — pyta. — Uratuję ją, jeśli okażesz się rozumny i nie zechcesz mi wadzić! — Obchodzi łóżko, przykłęka i kładzie pistolet na poduszce obok głowy kobiety. — Jest nabity! — ostrzega męża, gdy ten chce się odezwać. — I rad bym przekonać cię o tym, pakując kulkę w twój łeb!

Po tych słowach słyhać już tylko kwilenie dziecka.

Heathcliff odgarnia delikatnie włosy z twarzy umierającej niewiasty i szepta w jej ucho czule słowa.

Mąż i niania, która właśnie przebudziła się, nie spuszczają zeń oczu. Heathcliff otwiera buteleczkę i wlewa kilka kropel między zaciśnięte zęby kobiety. Dotyka jej gardła.

Mąż, niania i kochanek pochylają się nad nieprzytomną. Jej ciałem zaczynają wstrząsać gwałtowne konwulsje.

— Zabiłeś ją! — krzyczy niania, lecz mąż ucisza ją ruchem dłoni. Ciało uspokaja się, a po chwili na policzki kobiety występuje rumieniec. Jej oczy otwierają się. Błyszczące patrzą przytomnie, żywo.

— Katy — odzywa się Heathcliff zdławionym głosem.

— Wróciłeś — mówi Katy, patrząc na Heathcliffa. Heathcliff jest tak wzruszony, że nie potrafi znaleźć słów, przyciska usta do jej dłoni. Linton wzdycha, ale wciąż powściąga język. — Wróciłeś — powtarza ocalona. — Ale znowu ode mnie odejdziesz.

— Nigdy, Katy — głos Heathcliffa drży. — Już nigdy. Pieści jej ciało, jakby chciał poznać je na nowo. Ona dotyka ręką jego twarzy i pyta:

— Umarłam, prawda? I zabrałam cię ze sobą, tak jak pragnęłam? I staliśmy się oboje aniołami w innym, piękniejszym świecie?

— Nie, Katy, nie umarliśmy. Jestem tutaj przy tobie, w twojej sypialni.

— Ale gdzie dębowe kasetony? Gdzie nasze książki? To nie nasza sypialnia! A Nelly... i Edgara...? Co to wszystko znaczy?

— Ocknij się, Katy! Nie jesteśmy już dziećmi w Wichrowych Wzgórzach! Nie wyszłaś za mnie, tylko za Edgara Lintona, tego oto człowieka, który siedzi teraz spokojnie u wezglowia twego łóżka. Powiłaś mu dziecko. Zostałaś panią Drozdowego Gniazda. Lecz zabiorę cię od nich... Od męża,

niemowlęcia, od wszystkiego. Pójdiesz ze mną...? Katy?

Katy nie spieszy z odpowiedzią, rozgląda się po pokoju i z każdą chwilą zdaje się odzyskiwać pamięć. Wreszcie otwiera usta, jednak nie zwraca się do Heathcliffa, tylko do męża.

— Edgarze Linton, nie ujrzyś mnie już nigdy więcej. I nie dbam, czy będziesz mnie przeklinał czy błogosławił za to, że odeszłam!

Linton najpierw krztusi się, ale potem odzyskuje głos.

— Katarzyno! Co ty mówisz? Chcesz mnie zostawić? Zostawić swoje dziecko? Porzucić wszystkie obowiązki i żyć z tym wyrzutkiem?

— Nie obchodzi mnie, za kogo go uważasz albo jak widzą go inni. On jest mi dzieckiem, matką, bratem i mężem. Nie pragnę nikogo poza nim.

— I nie pragniesz nawet mnie?

— Już nie. Byłam przy tobie szczęśliwa, lecz teraz on powrócił i muszę z nim odejść.

— Ale co ja pocznę, kiedy mnie opuścisz? Co pocznę? Linton ukrywa twarz w dłoniach.

— Będziesz żył, jak żyłeś dotąd. Książki były ci najmilszym towarzyszem.

Na te słowa lico Edgara nabiega krwią.

— Zatem bądź pewna, Katarzyno. Jeśli wyjdiesz z tego pokoju, nigdy nie ujrzyś już mnie ani swej córeczki. Gdy upłyną lata i twa uroda pójdzie w zapomnienie, wrócisz do mnie i będziesz błagać o łaskę, lecz na próżno.

Tu odzywa się Nelly:

— Panie Linton! Przecież ona nie wie, co mówi. Majaczy w delirium, które poprzedza śmierć!

— Nie, ona jest przytomna. Znam ją dobrze.

— Ona odeszła od zmysłów, bo śmierć zajrzała jej w oczy, ale pan! Czy dopuści pan, by ów człowiek, który zmarnował życie pańskiej siostrze, uciekł teraz z pana żoną? Czy chce pan stać się pośmiewiskiem dla całej okolicy? Potem zwraca się do Heathcliffa:

— To zbrodnia! Ona umrze!

Bo oto Heathcliff delikatnie podnosi Katy z zakrwawionego łoża, przytula do piersi i powiada:

— Opamiętaj się, kobieto. Ratuję ją od zguby. Tak, ona umrze... jeżeli tu



pozostanie, razem z tobą, z tym pięknisiem i niemowłęciem, które właśnie powiła. Jak pijawki wysiecie z niej życie.

Edgar, którego poruszyły słowa piastunki, próbuje powstrzymać kochanków:

— Pojąłem Katarzynę za żonę w majestacie Boga i prawa. Nie wolno rozcinać ci świętych więzów.

Heathcliff uśmiecha się. Jego zęby błyszczą groźnie.

— I sądzisz, iż zdołasz mnie powstrzymać takimi przemowami? Słucham się tylko jednego prawa. Prawa, które sprawiło, że serca moje i jej biją jednym rytmem.

I przyciska do siebie mocniej kruchą, niewieścią postać, owijając ją swą opończą i tuląc policzki do jej włosów. Katarzyna dotyka dłonią sztywnych loków Heathcliffa, przewiązanych na karku wstążką.

Linton nie ustępuje jednakże. Chwyta pistolet pozostawiony na poduszce. Heathcliff obserwuje go zimno.

— Obchodź się z tym ostrożnie — ostrzega Lintona. — Może wypalić.

— Puść moją żonę, bo cię zastrzelę! Heathcliff wybucha śmiechem.

— Jeżeli zabijesz mnie, zabijesz także ją.

— Nie zawaham się nawet!

— No, na co czekasz? Strzelaj! Chcę być tylko z nią, nieważne, w którym ze światów. Odstąp na bok. Opuszczam to miejsce razem z Katy. Nie powinna była cię poślubić. Teraz jednak życie zacznie się dla mnie i dla niej na nowo. Wkrótce wyjeżdżamy na koniec świata. Już nigdy nas nie ujrzysz. Nie musisz się już mnie obawiać. Zapomnij o nas. Wymaż nas ze swej pamięci.

Heathcliff, trzymając w ramionach swój skarb, okrąża łóżko i rusza ku drzwiom. Edgar podąża za nimi z pistoletem w dłoni.

— W imieniu prawa, aresztuję cię za porwanie! — krzyczy.

Heathcliff uśmiecha się i kłania. Zza jego płaszcza wylania się twarz Katarzyny, która śmieje się w głos.

Oboje przekraczają próg i znikają w ciemnym holu. Słychać ich kroki na schodach i skrzywienie frontowych drzwi. Nelly zbiega za Katy i Heathcliffem. Wygląda na podwórze. Widzi powóz oświetlony pochodniami.

— Johnie! — woła Heathcliff. Tęgi człowiek zeskakuje z kozła.

— Wszystko gotowe, panie Heathcliff! — mówi i otwiera drzwiczki powozu. W środku Nelly dostrzega niewieścią twarz.

— Zadbalem o wszystko — powiada Heathcliff do niańki. — Katy znajdzie troskliwą opiekę.

Heathcliff wnosi Katy do karety i zamyka za sobą drzwi. Powóz rusza i wkrótce znika w ciemnościach nocy.

Emilia skończyła swą opowieść. Tak wiele pytań wciąż nie dawało mi spokoju. Skąd dowiedziała się tego wszystkiego? Być może wertując parafialne archiwa, natknęła się na jakiś inny rękopis, napisany przez Heathcliffa lub też przez kogoś innego? A może przed wieloma laty Ellen opowiedziała prawdziwą historię swej kumoszce Tabby, a ta powtórzyła ją swej ulubienicy, Emilii? Albo też sam Heathcliff wyznał wszystko mej siostrze? Czy Heathcliff w istocie błąkał się po wrzosowiskach jak upiór?

Nie wiedziałam, obiecałam jednak nie pytać. Emilia przystanęła. Spojrzałyśmy na zaniedbany kościelny dziedziniec, przez który płynął wezbrany potok. Nagrobne kamienie obrosły mchem.

— Tutaj właśnie są pochowani — rzekła Emilia.

— Katy i Heathcliff?

— Tak. Linton również... Pragnął spocząć w ziemi u boku Katy.

— Dziwne to... w świetle historii, z którą mnie zapoznałaś. Wzruszyła ramionami.

— Miłość jest niepojęta — powiedziała.

— A jednak...

— Nie wierzysz mi? Może przekonasz się o tym sama.

— Ależ oczywiście, wierzę ci! Powiedz mi tylko, co wydarzyło się potem.

— Dobrze, ale przyspieszmy kroku. Chmury gęstnieją, zanoszą się na deszcz.

Wróciłyśmy na ścieżkę i ruszyłyśmy ku wzgórzu.

- Co stało się potem? Cóż, wiarygodni świadkowie odeszli już na zawsze — stwierdziła Emilia. — Nietrudno jednak dopowiedzieć resztę...

Wyobraź sobie:

Powóz znika w mroku, piastunka wraca do sypialni. Jest bardzo zmęczo-

na. Dostrzega, że hałas nie przebudził nikogo ze służby. Wszyscy byli wielce strudzeni minionym dniem. Gdyby służący usłyszeli powóz na podwórzu, pomyśleliby zapewne, że przybył doktor albo pleban. Tak więc Nelly wspina się po schodach uszpiętego domu i zmierza do komnaty, oświetlonej płomieniami świec.

I wyobraź sobie ich dwoje: młodego męża, pogrążonego w rozpacz, zarazem kipiącego wściekłością i gosposię, która pojmuje, że doszło do wszystkiego za jej sprawą — ukryła przecież list. W milczeniu patrzą na siebie ponad kołyską, w której kwili niemowlę. Skrzypienie kół karety rozplywa się w nocnej ciszy.

Z początku nie wiedzą, co począć. Naradzają się jednak gorączkowo i oto znajdują wyjście. Postanawiają zataić przed światem, co zaszło naprawdę w tej komnacie. Pomysł z pewnością podsunęła Nelly — lubowała się przecież w podobnych sekretach i zależało jej na tym, by usunąć plamę na honorze obu rodzin, którym służyła. A Linton gotów był zapomnieć o istnieniu Katy, jak wcześniej odwrócił się od Izabeli. Historia powtórzyła się: Heathcliff zabrał drugą z drogich mu kobiet. Tym razem Edgar posuwa się jeszcze dalej — skoro Katy umarła dla niego, to czemu nie miałyby umrzeć dla świata?

Kto mógł podać w wątpliwość śmierć Katarzyny? Z pewnością nie zbiegła para. Nie było powodu nie wierzyć Heathcliffowi, gdy mówił, że on i Katy nigdy nie powrócą — gdyby Linton dowiedział się, gdzie udała się jego małżonka, mógłby mocą sądowego wyroku zmusić ją, by ponownie zamieszkała w Drozdowym Gnieździe. Oczywiście więc było, iż Heathcliff dobrze ukryje panią swego serca. A jeśli dotrze doń nawet pogłoska o zgonie i pogrzebie Katy, to we własnym interesie nie będzie temu zaprzeczał.

Więc czemuż by za pomocą jednego kłamstwa nie ocalić od razu dobrego imienia rodziny i uroczystych wspomnień?

(Tak, Edgar kochał przecież Katy, choć na swój sposób.)

— Dlaczego nie? — pyta Nelly.

To w istocie nie było trudne. Następnego ranka powiadomiono, że pani Katarzyna wyzionęła ducha. Młody panicz zamknął się w komnacie, gdzie znajdowały się zwłoki jego ukochanej żony, i pogrążył w okrutnej rozpacz. Nelly współczuła mu tak głośno, by wszyscy ją słyszeli i polecała opiece boskiej. Po kilku dniach domownicy stali się świadkami pospiesznego po-

grzebu: panią Katarzynę pochowano w zamkniętej trumnie. Gospościa bez kłopotu wyjaśniła zniknięcie Heathcliffa, mówiąc, że diabeł niechybnie zawezwał go w piekielne czeluście. I tak, wieść o tym, co się stało w Drozdowym Gnieździe, prędko rozeszła się po całej okolicy!

W ziemi zakopano trumnę wypełnioną kamieniami. Edgar Linton nie pochował żony w rodzinnej krypcie — o nie, tajemnica wyjść mogła na jaw — lecz w poświęconej ziemi. Łzy, które uronił, były prawdziwe. Przez lata Nelly opowiadała fałszywą historię o śmierci swej pani. Historię, którą pewnie sama ułożyła. Powtarzała ją tyle razy, że w końcu w nią uwierzyła. Jednak prawda nie daje jej spokoju i dlatego szuka u wszystkich wybaczenia.

W grobie spoczęły więc kamienie, a Linton odwrócił się od świata, który tak srodze się z nim obszedł, i wybrał samotność, a jego córka w zdrowiu doczekała naszych dni.

— Jak potoczyły się losy Heathcliffa i Katy? — zapytałam. — Ponoć Heathcliff zamieszkał w Wichrowych Wzgórzach z dala od ludzi i nawiedzał go tam duch ukochanej. Potwierdził to pan Lockwood, a także Nelly.

— Owszem, to prawda. Heathcliff szukał zemsty, żył we Wzgórzach i w końcu zmarł... lecz wszystko to miało miejsce pięć lat później, niż twierdziła Nelly. A Lockwood nie wiedział wszystkiego. Był świadkiem ledwie cząstki tej historii.

— Pięć lat... a więc Katy i Heathcliff przeżyli razem jeszcze pięć lat!

— Tak. Za pieniądze pana Are'a nabyli plantację w Nowym Świecie, koło Nowego Orleanu, który podówczas był francuską kolonią. Chcieli uciec od chłodnych wiatrów, surowych zim i jeszcze surowszych obyczajów Północy. Katy powróciła do zdrowia, lecz zmarła pięć lat później, wydając na świat syna. Przed śmiercią wyznała Heathcliffowi, iż pragnie zostać pochowana w rodzinnych stronach. Jej życzeniu stało się zadość. Pewnej nocy Heathcliff złożył ciało ukochanej w trumnie, którą niegdyś Linton wypełnił kamieniami. Owe kamienie znaleziono w sypialni w Wichrowych Wzgórzach, kiedy i Heathcliff pożegnał się z tym światem.

Chociaż pragnęłam zapytać: „A twój Heathcliff, to nie ośmieliłam się tego uczynić. Emilia zapewne poczułaby się urażona i nie opowiedziałyby mi już nic więcej. A jednak ciekawość nie dawała mi spokoju. Usłyszałam przecież o synu! Czy przeżył? A może to właśnie on — albo raczej jego potomek,

a wnuk kochanka Katarzyny — był przyjacielem Emilii i zwierzył się jej z sekretów historii swego rodu. Bo jeśli nie, pomyślałam, to Heathcliff, którego poznała moja siostra, musiał być duchem, zjawą z mgieł unoszących się nad wrzosowiskami. Albo też stworzyła go wyobraźnia Emilii z zasłyszanych od Tabby niesamowitych opowiadań.

Zachowałam jednak te przypuszczenia dla siebie i spytałam tylko:

— Jak wyglądało ich życie na plantacji w Nowym Świecie? Emilia zwołniła kroku. Szliśmy po zboczu wzgórza. Dom,

który był celem naszej wędrówki, znajdować się musiał już bardzo blisko, lecz wciąż pozostawał ukryty przed naszymi oczami. Spojrzała w niebo. Chociaż zasnuwały je ciężkie, szare chmury, to jej oczy błyszczały, jakby ujrzała przejrzyste, błękitne sklepienie.

Odpowiedziała:

— Wyobraź sobie: na plantacji znajduje się głębokie jezioro. Otaczają je stare dęby, wysokie sosny i sad, pełen soczystych owoców. Porankami jeżdżą wśród cudnie pachnących drzew na grzbietach pięknych, karych koni (Heathcliff założył hodowlę rumaków znaną w całej okolicy) i wracają dopiero, kiedy powietrze staje się zbyt gorące. Wówczas wypływają na jezioro łodzią, w której od żaru chroni ich czerwony baldachim. Heathcliff dotyka dłonią wody, a Katy śpiewa dla niego i gra na mandolinie. Potem zapada w drzemkę, a on wychyla się przez burtę i niczym mewa nurkuje w ciemnych głębinach, by po chwili wrócić ku światłości i zaczerpnąć ożywczego powietrza. Złote słońce kołysze się na pomarszczonej powierzchni jeziora. Kochankowie rozkoszują się swym szczęściem: nareszcie mogą być razem i tylko we dwoje.

Wieczorami spacerują między drzewami i rozprawiają wesoło. Rozkoszują się wonią wilgotnych ziół, porastających ziemię, po której stąpają. Chylą się ku nim zroszone liście winnej latorośli. Katy zrywa kiść owoców i dotyka gorącego czoła Heathcliffa.

Ten bierze z jej ręki winogrona, smakuje je i pocałunkami każe Katy poznawać ich słodycz.

Budzą się w środku nocy, lecz jak dawniej nie słyszą szumu wichru, który porusza wysokimi sosnami, wsłuchują się za to w dzikie odgłosy tajemniczych stworzeń — ptaków, owadów i gadów. Nie sypiają, jak niegdyś, w

dzieciństwie, w maleńkiej komnacie, na dębowym łóżku, lecz na werandzie, w łożu osłoniętym baldachimem z materii cienkiej jak mgiełka, przez którą przypatrują się migocącym gwiazdom. I ona zawsze jest u jego boku, a on nigdy jej nie opuszcza.

Szliśmy powoli. Okrążyliśmy wzgórze i nagle, tuż przed sobą, ujrzaliśmy dom, zwany Wichrowymi Wzgórzami. Na tle szarego nieba, po którym płynęły gnane wiatrem chmury, ukazała się masywna budowla z kamienia. Obok sterczały uschnięte drzewa. Okna domostwa były wąskie. Z ich wnętrza ziało pustką.

Przystanąłam, wstrząśnięta tym widokiem. Emilia odwróciła się ku mnie.

— Co się stało?

Milczałam. Coś wciąż mnie dręczyło.

— Cóż, idziesz ze mną? — usłyszałam. Nie uczyniłam kroku, tylko odrzekłam:

— Dałaś słowo, że to, co mi opowiedziałaś, było prawdą. Wierzę ci całym sercem. Lecz czy to wszystko istotnie się wydarzyło?

— Nie pojmuję, o co właściwie pytasz.

— O historię, którą właśnie usłyszałam. Czy tak rzeczywiście było? Powiedziałaś mi, że Heathcliff i Katy wyjechali do Ameryki, osiedli tam i przeżyli pięć szczęśliwych lat. Kochali się namiętnie, co dnia zapewniając się nawzajem o wielkiej miłości. Nadzwyczajne. Poznałam ich gorące charaktery. Oboje częstokroć musieli się kłócić, krzyczeć, kipieć wściekłością i godzić na nowo. Musieli także jeść, pić, pracować, wydawać pieniądze i nudzić się... Żaden ludzki żywot nigdy nie był wolny od utrapień i przykrości. Czy im też nie były one obce?

Cierpliwość nie opuszczała Emilii.

— Owszem — odparła.

— Rzekłaś mi więc prawdę czy opowiedziałaś jedynie uroczą bajkę?

Teraz wpadła w furję.

— Widać nie słuchałaś mnie uważnie!

— Jak najuważniej. Zapamiętałam każde słowo. Nie wiem tylko, co myśleć o tej historii!

Emilia pokręciła głową.

— Nigdy nie zrozumiesz...

— Nie wolno ci tak mówić! Gdybyś zechciała wyjaśnić mi wszystko...!

— Niektórych spraw nie da się wytłumaczyć. Tak bywa. Pewnych historii nie należy rozgłaszać, gdyż nikt nie pojmie ich ukrytego sensu. Trzeba czuć, a nie na próżno starać się ogarnąć rozumem tajemnice.

Patrzyłam w jej rozzłoszczoną twarz, to znów na dom za jej plecami. I naraz coś osobliwego przykuło mój wzrok.

— Emilio! Spójrz. Czy w tym oknie pali się świeca? Emilia obejrzała się za siebie.

— Nie, to tylko odbłask zachodzącego słońca.

— Skądże znowu. Przecież pogoda się zmieniła. Słońce skryło się za gęstymi chmurami.

— Widać jeden promyk wychylił się na chwilę.

— Mylisz się! O... w tamtym oknie, na górze! Znowu widzę błysk... O, poruszył się! W środku ktoś jest!

— Zdaje ci się tylko.

— Ależ nie, Emilio. Widziałam, naprawdę, zapewniam cię!

— Niemożliwe. Pozabijano przecież drzwi i okna.

— Och... płomień zgasł! Chodźmy tam i zobaczmy same! Odwróciła się od domu.

— Nie. Nie pokażę ci już niczego. Jeśli wejdiesz do środka, ujrzysz jedynie nagie ściany i opustoszałe pokoje. Nic ponadto.

Wciąż pilnie obserwowałam budynek i rzeczywiście — wydawał się teraz pusty. W oknach nie dostrzegałam już światła. Uświadomiłam sobie, że w istocie były zaryglowane i zabite gwoździami. Nie mogłam się jednak postrzyczyć, by nie zapytać Emilii:

— A co ty byś tam ujrzała? Uśmiechnęła się słabo.

— Wszystko, czego tylko bym zapragnęła — powiedziała i zaczęła odchodzić.

— Nie! Emilio! Sama przecież mnie tu przywiodłaś! Wejźdźmy do wnętrza! Chcę wiedzieć więcej!

— Dla ciebie, Charlottó, nie ma niczego więcej. Dla ciebie historia skończyła się dawno temu, kiedy umarli Heathcliff i Katy. Oboje nie żyją, opuścili ten świat i to już wszystko. Koniec opowieści.

Emilia nigdy więcej nie wspomniała o tajemnicy, której mnie nie udało

się przeniknąć.

Lecz kiedy wracając do Haworth przechodziłyśmy blisko cmentarnej ziemi nie opodal kościoła w Gimmertonie, zdziwiłam się, jak głośny był szum wody w wezbranym strumieniu. I szum wzburzonych wód zdał mi się dźwiękiem życia — prawdziwego, niezniszczalnego życia—jakże odmiennego od szarej, codziennej egzystencji.



## POSŁOWIE

Szczęście pozwoliło mi mieć przyjaciół, którzy są równie utalentowani jak wspaniałomyślni. Ich wytrwałej pomocy książka ta zawdzięcza bardzo wiele.

Każdego miesiąca przez niemal pięć lat MaryKay Mahoney, Candice Rowe, Peggy Walsh i ja siadałyśmy przy kuchennym stole MaryKay i czytałyśmy sobie nawzajem opowiadania, jedząc pizzę i pijąc szampana. Tak więc, gdy rozpoczęłam pracę nad tą powieścią, me przyjaciółki natychmiast poznawały kolejne jej rozdziały. Miałam okazję wysłuchać ich mądrych, przenikliwych uwag. Wszystkie posiadały też wiedzę, która okazała się niezwykle przydatna — MaryKay zajmowała się badaniami nad epoką wiktoriańską, Peggy wiedziała wszystko na temat sztuki dramatycznej, a Candy wprowadzała mnie w arкана warsztatu pisarskiego. Jestem im wdzięczna za nieocenioną pomoc.

Pragnę podziękować Rebecce Saunders, w której bystre rady wsłuchiwałam się jeszcze w czasach szkolnych. Wkrótce po tym, jak zaczęłam pisać „Heathcliffa”, zaprosiła mnie wraz z Ellen Troutman do wzięcia udziału w interesujących warsztatach: obie razem z Helenę Dawis, autorką „Chemopoet and Other Poems”, czytały swe wiersze zaproszonym poetom (wśród nich Dawidowi Zaigowi oraz hanowi Rodriguezowi), a pod koniec każdej sesji prezentowałam fragment swej powieści. Choć przypominało to serwowanie pikantnej, azjatyckiej potrawy razem z kawałkiem czekoladowego tortu, dziwna kombinacja okazała się udana: wiersze zyskały nowych czytelników, a ja skorzystałam z subtelnych uwag, jakich nie szczędzili mi poeci.

Yvette Grimes zasłużyła na poczwórne podziękowania. Po pierwsze, dostarczyła mi komputer, na którym napisałam swą książkę. Po drugie, nauczyła mnie posługiwać się nim. Po trzecie, dzieliła się ze mną swymi uszczypliwymi często sugestiami i po czwarte, zawsze namawiała mnie do zajęcia się prozą.

Julia Dubnoff nie pozwoliła mi upaść na duchu podczas pracy, a kiedy

przeczytała gotową już rzecz, zapewniła mnie, że stanęłam na wysokości zadania. Jestem jej za to ogromnie wdzięczna.

Dziękuję swej córce, Sage, za to, że polubiła moje zajęcie i uwolniła mnie od wielu domowych obowiązków, pochłaniających mnóstwo czasu.

Martin Green nigdy nie był skory do szafowania pochwałami. Znacznik gotyku i muzyki komicznej udzielił mi wielu cennych wskazówek. Składałam mu także podziękowania za pomoc w przygotowaniu książki do publikacji.

Czuję się w obowiązku podziękować także: Larry'emu Bermanowi, Jeffowi Buttowski, Janet Campbell, Bobowi Gale'owi, Ugo Giambarelliemu, Julianowi Jordanowi, Samowi Rileyowi, Karen Henry, Dewrze Kumin, Oldze Pelenski, Jeffowi Snyderowi, Liz Ammons, Lindzie Bamber, Robertowi Stange, Liz i Jimowi Trupinom oraz Claire Zioń. Wiele zawdzięczam ich uprzejmości.

Osobne, gorące wyrazy wdzięczności należą się Jane Gezari, która latem 1990 roku prowadziła seminarium poświęcone życiu i twórczości sióstr Bronte. W czasie jej wykładów w chłodne, czerwcowe popołudnia drobne sylwetki Charlotty, Emilii i Anny Bronte zdawały się zaglądać przez okna do wnętrza sali. I gdy profesor Gezari zapytała, co działo się z Heathcliffem w latach, kiedy nie było go w Wichrowych Wzgórzach, pomyślałam, że potrafiłabym na to odpowiedzieć.

*Lin Haire-Sargeant*